



I LICEUM OGÓLNOKSZTAŁCĄCE

**im. Króla
Władysława
Jagiełły w Dębicy**

WE WSPOMNIENIACH NAUCZYCIELI I UCZNIÓW

EWA NOWACKA

Dębica 2020

A faded, grayscale portrait of King Władysław Jagiełło, the ruler of the Kingdom of Poland and Grand Duke of Lithuania. He is depicted wearing a crown and a fur-lined robe, with a coat of arms on his chest. The image is semi-transparent, serving as a background for the text.

I LICEUM OGÓLNOKSZTAŁCĄCE

**im. Króla
Władysława
Jagiełły w Dębicy**

WE WSPOMNIENIACH NAUCZYCIELI I UCZNIÓW



I LICEUM OGÓLNOKSZTAŁCĄCE

**im. Króla
Władysława
Jagiełły w Dębicy**

WE WSPOMNIENIACH NAUCZYCIELI I UCZNIÓW

EWA NOWACKA

Dębica 2020



I Liceum Ogólnokształcące im. Króla Władysława Jagiełły w Dębicy świętuje w tym roku jubileusz 120-lecia istnienia. Jest to jubileusz szczególnie, gdyż obchodzony w czasach pandemii. Od połowy marca szkoła opustoszała, nie słychać w niej gwaru i śmiechu uczniów, zapanowała przytłaczająca cisza. Wszyscy czekamy na wrzesień i mamy nadzieję, że wrócimy w stare szkolne mury, które na nowo ożyją dzięki swoim uczniom.

Wielkie jubileusze skłaniają do refleksji, przywołują w pamięci dawne twarze, miejsca i wydarzenia. Łukasz Świdorski napisał, że wspomnienia to jedyny wehikuł czasu, jakim dysponujemy. Pomysł opracowania tomiku wspomnień dotyczących naszego liceum spotkał się z dużym zainteresowaniem i chęcią współpracy dawnych nauczycieli i uczniów. Systematycznie napływały wspomnienia, zdjęcia i inne materiały obrazujące minione 120 lat życia szkoły. Również archiwum szkolne, którym ofiarnie przez lata opiekowała się śp. Lidia Górską, zgromadziło wiele zdjęć i wspomnień.

Czytając i przepisując otrzymane wspomnienia, stopniowo zagłębiałam się w świat, który już nie istnieje, odszedł razem z upływającym czasem. „Nic nie może przecież wiecznie trwać...” – jak śpiewała kiedyś Anna Jantar. Oczyma wyobraźni zobaczyłam szkołę, nauczycieli i uczniów z czasów, kiedy marzyli o niepodległości kraju, ich głęboki patriotyzm i poświęcenie. Lata międzywojenne przyniosły rozkwit szkoły, która stała się kulturalnym centrum miasta i okolicy. Realizowały się wielkie marzenia ludzi pełnych entuzjazmu i życiowej pasji. II wojna światowa przyniosła strach, rozpacz i śmierć. Jednak, mimo okupacji i represji, dyrekcja i nauczyciele nie zapomnieli o swoich uczniach, którzy chętnie zdobywali wiedzę. W wielu wspomnieniach widać



życiową energię, nadzieję i chęć powrotu do normalności po zakończeniu wojny. Odbudowa szkoły stała się wspólnym celem wielu osób: dyrekcji, nauczycieli, uczniów i ich rodziców. Profesor Urbanek podkreślił, że nigdy nie był świadkiem tak wielkiej ofiarności, pracowitości i walki o lepsze jutro wśród swoich uczniów.

Zmieniały się czasy, zmieniali się nauczyciele i uczniowie, ale wszyscy pamięcią wracali do korzeni, czasu spędzonego w tych murach. Uczniowie podkreślali, że ta szkoła dała im wiedzę, pokazała, jak żyć, jak realizować swoje pasje i marzenia, ale przede wszystkim, jak być dobrym człowiekiem i szanować innych ludzi.

Wspomnienia przesycone są szacunkiem i przywiązaniem do szkoły i ludzi w niej pracujących, choć nie brakuje również krytycznych ocen pewnych zdarzeń i zachowań. Tworzą one obraz herosów swoich czasów, ale przedstawiają również uczniowskie zabawy, a nawet wybryki. Przebija z nich subiektywizm spojrzenia, chęć odtworzenia tego, co było najistotniejsze w danym czasie i dla danej osoby. Wspomnienia są przecież odzwierciedleniem czasu, który człowiek przeżył i który w dużym stopniu go ukształtował. Są bezcenne i niepowtarzalne. Waldemar Łysiak napisał: „Kiedy szukam w pamięci tego, co dało mi poczucie trwałości w moim życiu i co usprawiedliwia moje istnienie, kiedy podliczam godziny, których na pewno nie zmarnowałem – odnajduję zawsze te wędrówki, których nie mógłbym zawdzięczać największej fortunie i najwyższemu stanowisku. Wspomnienia (...) – tego nie można kupić za żadne pieniądze”.

Serdecznie dziękuję wszystkim, którzy chętnie podzielili się z nami swoimi wspomnieniami i refleksjami. Spotkałam się z wielką życzliwością, sympatią i chęcią pomocy ze strony tych, którzy tworzyli historię i niepowtarzalną atmosferę „Jagiełły”. Można jej doświadczyć również dzisiaj, wkraczając w mury naszej szkoły.

Ewa Nowacka



TERESA BĘTKOWSKA

„Nauczyciel nie tylko w szkole...”

wspomnienie o Edmundzie Galasie

Stał za długim stołem pokrytym zielonym suknem i przemawiał. Ot, zwyczajnie, bez mikrofonu, za to serdecznie i ciepło. Mówił, że miło było spędzić wspólnie lat tyle, że rozstania zawsze są przykre, że jednak dobrze się dzieje skoro młodzi myślą o podnoszeniu swych kwalifikacji, o dalszej nauce, że...



Dyrektor Edmund Galas

Słuchałam go uważnie. Tak zresztą jak 159 absolwentów liceum, którym później wręczał dyplomy, w zamian otrzymując niemal od każdego wiązanki kwiatów. A gdy ceremonii zakończenia roku (dla czwartoklasistów) stało się zadość, gdy młodzież z auli przeszła do jednej z klas na symboliczną lampkę wina i ostatnią już szkolną zabawę przy magnetofonie, razem z dyrektorem Edmundem Galasem (tak, to on przemawiał do uczniów w imieniu własnym i szanownego grona pedagogów!) udałam się do jego rezydencji – gabinetu, starej, bo liczącej lat ponad siedemdziesiąt szkoły. Szkoły, którą w Dębicy aktem erekcyjnym (jako gimnazjum) powołano do życia 29 sierpnia 1900 roku. Przyjęto wówczas 55 uczniów, wśród których przeważali mieszczenie z Dębicy, Pilzna, Ropczyc, Sędziszowa...

Uroczystości związane z pożegnaniem zawsze mają to do siebie, że nastroją do wspomnień. Dyrektor był jeszcze mocno pod wpływem popołudniowego spotkania, więc...

– Nawet w najśmielszych marzeniach nie przypuszczałem, że kiedyś przyjdzie mi uczyć w szkole, do której sam uczęszczałem. Tak, to było w czterdziestym piątym, gdy zdałem egzamin, gdy zostałem wpisany na listę uczniów. W pięćdziesiątym siódmym wróciłem do liceum. Ale już jako zastępca dyrektora.

Brzmi to imponująco. Nie ukrywam. Dyrektor jednak zerka w moje notatki i wstrzymuje na chwilę bieg rejestrowanych faktów.

– Nie, wcale to wszystko takie proste nie było!



Odkładam długopis. Słucham: nie, najłatwiejsza to ta droga nie była. Do gimnazjum dostał się mając lat... dziewiętnaście. Co robił wcześniej? Ano, uczęszczał do wiejskiej szkoły w rodzinnej wiosce. Dwa lata do trzeciej klasy, dwa lata do czwartej. Nie, nie dlatego żeby się źle uczył. Bynajmniej, świadectwo o tym nie decydowało! Tak po prostu w tym czasie wyglądała normalna w Podgrodziu edukacja. No, a poza tym, trzeba było pracować. Od czternastego roku życia. Och, czegoż się Galas nie imał! Tłukł na drodze kamienie i brukował. Mierzył i asfaltował... Tylko że jemu marzyła się nauka! Zresztą o potrzebie jej kontynuowania przekonał nie tylko jego, ale nawet ojca sam nauczyciel:

– Zdolny, zapiszcie go do gimnazjum. Da sobie radę – powiedział.

Ojciec chciał zapisać. Zabrał nawet syna do Dębicy ze sobą. Cóż, skoro do Podgrodzia wrócili obaj ze łzami w oczach. Dopiero później, znacznie później się udało. No, a gdy dyplom gimnazjum był już w kieszeni, gdy do niego został dołączony drugi, liceum pedagogicznego – wiadomo było już dla Edmunda Galasa jak potoczą się jego dalsze losy.

Zawędrował do Zwiernika. Objął kierownictwo szkoły.

- Tak zwyczajnie? Bez doświadczenia? – pytam.
- To był rok czterdziesty dziewiąty. W szkole 250 dzieci, ale na lekcje przychodziło najwyżej sto pięćdziesiąt. Wie pani, ile trudu trzeba było włożyć, by przekonać rodziców o potrzebie nauczania dzieci? O tym, że w polu to one rzeczywiście powinny pomagać, ale nie kosztem własnej edukacji.
- I jaki był rezultat owego przekonywania?
- O, w tym przypadku mogę mówić o sukcesie. Frekwencja pod koniec września sięgnęła już osiemdziesięciu pięciu procent.

Rozmawiamy z dyrektorem o pracy w Zwierniku. W zeszycie odnotowuję:

- * zorganizowany kurs dla analfabetów (60 mieszkańców wioski za sprawą Galasa nauczyło się pisać i czytać)
- * remont szkoły
- * „powiększenie” szkoły poprzez oddanie na izby lekcyjne własnego służbowo – nauczycielskiego mieszkania
- * pozyskanie w skład kadry pedagogicznej szkoły drugiego pedagoga, pani Ireny Gonet (która została później żoną dyrektora).



Droga ze Zwiernika do Pilzna jest niedaleka. Po dwóch latach pracy na stanowisku kierowniczym wiąże się Galas z liceum ogólnokształcącym w nowym dla siebie mieście, w nowym środowisku. I już jako doświadczony nauczyciel uczy młodzież języka rosyjskiego. Uczy młodzież, ale także i ... siebie w Studium Nauczycielskim (to pierwsze dwa lata) i na Wyższym Kursie Nauczycielskim w Poznaniu.

Kolejna karta życiorysu mojego bohatera jest nieco inna. Edmund Galas, aktywny działacz Związku Walki Młodych, organizator kół „Wici” w latach 1945 – 48 we wsi Olchawa, założyciel kół ZMP na tym terenie oraz ich opiekun na okres kilku lat opuszcza... szkolne mury. Komitet PZPR w Dębicy potrzebuje instruktora. Potem potrzebuje kierownika Wydziału Propagandy. Człowiek noszący partyjną legitymację od pięćdziesiątego pierwszego roku trafia do aparatu:

– To była odpowiedzialna robota – mówi – Odpowiedzialna i trudna. Bo czasu poświęcić jej trzeba było wiele, a i ambicja nakazywała mi ukończyć rozpoczęte zaoczne studia na wydziale historycznym. Trudna i dlatego, że jakoś tęskniłem do młodzieży. Widać już wtedy – choć wówczas jasno nie uświadamiałem sobie tego – na dobre i na złe związałem się z młodzieżą...

Gdy w roku 1957 dyrektor Liceum Ogólnokształcącego w Dębicy, Wiktor Pietrzykowski szukał kogoś na stanowisko swojego zastępcy, Galas przyjął propozycję.



Harcówka



– O, Pietrzykowski to znakomity człowiek. Wspaniały organizator, pedagog. To prawda, wiele mu zawdzięczam. Był dla mnie wzorem.

21 oddziałów, 750 uczniów, 37 nauczycieli etatowych i kilku „dochodzących” – to królestwo dyrektora Galasa. Chodzę po tym królestwie, oglądam piękną harcówkę, całkiem niezłe wyposażone klasy. Wiem, że w szkole działa 28 kół zainteresowań, że wielu uczniów osiągnęło niezłe rezultaty w olimpiadach przedmiotowych, nawet na stopniu centralnym. Wiem, że i puchary stojące w oszklonej szafie w dyrektorskim gabinecie świadczą o dobrze notowanej pozycji liceum na polu sportowym. Na każdym kroku widać rękę dobrego gospodarza, opiekuna, nauczyciela. Zastanawiam się tylko, jak sobie radzi Edmund Galas z czasem. Praca w szkole to przecież tylko wycinek jego aktywnego życia. Przecież sporo energii poświęca także na pracę w Dębickim Towarzystwie Kulturalno – Oświatowym, w Towarzystwie Wiedzy Powszechnej (przewodniczący zarządu miejskiego i zastępca przewodniczącego zarządu wojewódzkiego). No i trzeba wiedzieć i to, że Edmund Galas od 1975 roku pełni funkcję przewodniczącego Miejskiego Komitetu Frontu Jedności Narodu, a wreszcie jest lektorem Komitetu Wojewódzkiego PZPR w Tarnowie. Słowem, nauczyciel nie tylko w szkole.

(archiwum szkolne)



JACEK BICZ-ŁATKIEWICZ

Wspomnienia ucznia, rocznik maturalny 1966, zesańca politycznego z Warszawy, który wcześniej uczęszczał do Liceum im. Stefana Batorego.

W lutym 1964 roku znalazłem się w internacie Liceum Ogólnokształcącego im. Króla Władysława Jagiełły w galicyjskiej Dębicy. Miasto powiatowe nieduże (20 tys.), lustrzane odbicie papieskich Wadowic. Kolej, plac główny, fara, kościoły, klasztor na górze, wspaniałe ciastka w prywatnej cukierni i najdostojniejszy budynek – liceum. Wszystko jednak w biedzie, bo bieda to również zimno w pomieszczeniach, telefony prywatne w załączku, kaflowe piece, zimna woda w kranie, brak radia, prasy, ciekawych książek i nas dwudziestu w sali.

Otoczyła mnie nuda, podczas gdy ja umiłowałem „french can-can i carski szpan”. W Warszawie taka bieda mnie nie dotyczyła, byłem nawet burzumem, miałem motorower, toteż od razu odczułem, co straciłem. Przyjęto mnie serdecznie. Wywołałem sensację, więc od razu poddany zostałem presji ciekawości. Było to bardzo męczące, gdyż cały czas znajdowałem się jak aktor na scenie i musiałem na wszystko uważać. Ostrożność okazała się jednak zbawienna, bowiem istniała podświadoma tendencja podejrzewania mnie o skłonności do „rozrabiactwa” politycznego. Najbardziej interesujące były oczywiście moje warszawskie szczegóły. W tym celu wydelegowano doświadczonego szkolnego wywiadowcę z instrukcją: „Dowiedz się, co on tam takiego zrobił, bo tu przyszło pismo, że on za jakąś politykę wyleciał”. Wywiadowca był inteligentniejszy od zlecającego i uznał, że zadanie przekracza jego możliwości, wyciągnął co na ten temat jest już wiadome, po czym, aby nie utracić uznania dla swojej fachowości, razem ze mną opracował możliwie „najsmaczniejszą” wersję.

Budziło to coraz większą ciekawość i przy założeniu, że Warszawę zamieszkuje jakiś doskonały ludzie (było odwrotnie) rozdzielała się na dwa nurty: pedagogiczny i rówieśniczy (koleżeński).

Pierwszy – dostojny – miał na celu drobiazgowo ustalenie obrazu warszawskiego liceum, celem wdrożenia u siebie najnowszych stołecznych trendów. Wymaganie to narzuciło mi porównanie powiatowego liceum z warszawskim. Było przerażające. W Warszawie w najszlachetniejszych murach gnieździło się niekon-



trolowane grono pedagogiczne, którym trzęsła ustosunkowana, cwaniacka mniejszość, mająca na celu w pierwszej kolejności prywatne interesy. W Dębicy było normalnie, to znaczy panował wyrosły z cesarsko - królewskich korzeni, sanacyjny porządek, zaś profesorowie w pierwszej kolejności starali się młodzież jak najwięcej nauczyć. Szanowaliśmy ich, bo i na szacunek zasługiwali. Ku zdumieniu i wbrew nękającym naciskom nie zgodziłem się deprawować porządnego galicyjskiego powiatu mirażami zdegenerowanej „warszawki”. Twardo milczałem. Dębickim porządkiem licealnym kierował dyrektor szkoły – działacz partyjny, w duszy skrajny piłsudczyk, mnie zaś miał bezpośrednio dozorować profesor przysposobienia wojskowego, jednocześnie kierownik internatu i sympatyk Armii Krajowej. W takich oto rękach miałem przymusowo pokochać Polskę Ludową.

Pedagogów szkolnych uzupełniał doskonale wykształcony miejscowy kler, który nie bez cichej sympatii szkoły dominował w umysłach młodzieży tak dalece, że w szkole (ok. 550 uczniów) byliśmy wszyscy praktykującymi rzymskimi katolikami. W tych warunkach moja resocjalizacja dokonała się błyskawicznie – religijnie sporządzałem, ale nic więcej. Przełożeni moi przy tym obdarzyli mnie kontrolowaną sympatią i nigdy nie posunęli się do złośliwych aluzji, docinków, nie mówiąc o szykanach. Było mi nawet więcej wolno, z czego rzadko korzystałem, nie chcąc, wobec korzystnego traktowania mnie, przysparzać kłopotów. Tak pobyt zesłańca był mi osładzany.

Nie znaczy to oczywiście, że nie podlegałem kontroli. Wszelkie moje oddalenie się, niezauważane u innych, budziło dyskretny niepokój. Przekonałem się o tym od razu, gdy codziennie po obiedzie oddalałem się do odległej czytelnicy fabrycznej, gdzie sprowadzano gazety ogólnopolskie niedostępne gdzie indziej. Cóż, tak nie postępował nikt przede mną.

Liceum obsługiwało przede wszystkim miasto. Internat był niejako dolepiiony do niego i gromadził synów okolicznych rolników. Byli oni bardzo biedni. Świat, jaki znali, ograniczał się do wsi rodzinnej, okolic internatu i drogi między nimi. Nadludzkiem wysiłkiem rodziców, wspomagani hojnie przez „ciotkę UNRE”, dążyli ku lepszemu. Doceniali oni swoją szansę, żyli jednak w dziwnej obawie przed jej utratą. Byli przy tym zdolni, pracowici i ciekawi świata. Niestety, unikałem z nimi rozmów, gdyż musiałem cały czas bardzo uważać, aby nie powiedzieć czegoś, w co nie uwierzą, bo wtedy jako bazarz stawałem się publicznym pośmiewiskiem. Tak było, kiedy opowiedziałem, że w moim warszawskim liceum był kryty basen, w którym pływaliśmy.



Oto okazało się, że zesłanie zawiera w sobie skazanie na samotność, zwłaszcza, gdy do domu przyjeżdżałem jedynie na ferie i wakacje.

Bycie licealistą w warunkach, w jakich się znalazłem, było dowodem przynależności do lepszego świata, toteż nie stanowiło problemu noszenie tarcz i emblematów szkolnych oraz uczestniczenie w pochodach pierwszomajowych wraz z okolicznościowymi, państwowotwórczymi galówkami.

Inaczej było ze mną. Odmówiłem noszenia tarczy szkolnej i uczestnictwa we wszelkim zgonionym entuzjazmie. Uszanowano to, nikt nie zapytał dlaczego, wszyscy się domyślili. Czasy to były napięte, bo zbiegało się tysiąclecie państwa z tysiącleciem chrztu, odnowa posoborowa z antykościelną awanturą i niewątpliwie z tego powodu w szkole przeprowadzono partyjną ankietę, w której jedno z pytań brzmiało: „Kto jest dla Ciebie bohaterem narodowym?”. Młodzież świadoma rzeczywistości podawała różne „czerwone mały” w rodzaju Karol Świerczewski (gdyby katecheci o to zapytali szczerze i jednomyślnie byłby to kardynał Wyszyński).

Mnie, w obawie o niepisany, ale przestrzegany status zesłańca, nie wypadało postępować standardowo i „zafajdałem” idealnie prawomyślne oblicze szkoły. Żadnych sankcji oczywiście nie było, ale zaniepokojony dyrektor wyjaśnił mi niewłaściwość wyboru. W tej szkole odwaga budziła szacunek, pod warunkiem, że nie rozlała się szeroko, bo wtedy traciło się zaufanie władzy. W myśl tej zasady byłem bardzo dokładnie obserwowany, czy aby nie zdobywam wpływu na kolegów, słusznie zauważając, że jest to pierwszy, niezbędny warunek założenia bandy politycznej. Banda polityczna nie była mi wtedy w głowie, ale moi nadzorcy mieli inne zdanie, byli nawet przewrażliwieni. Któregoś roku polecono udekorować internat na pierwszego maja (a do trzeciego maja bardzo blisko). Na szczęście demonstracyjnie nie dotknąłem się tego. Wykonawcy kupili same biało-czerwone chorągiewki, bo czerwonych, o dziwo, w sklepie zabrakło. Internat udekorowano. Była reprimenda, przy czym po cichu podejrzewano, że to moja robota.

Bywało groźniej. Na jakimś tam szkolnym zgromadzeniu, śpiewając „Międzynarodówkę”, od połowy przeistoczono ją w diabelskie wycie. Stałem wtedy o dwa metry od prezydium, widziano więc, że jestem niewinny, bo to skrzydła zaszalały. Ale czy aby ja ich nie namówiłem? Awantura tym razem była poważna, jednak ucichła, bo proroczo powiało „marcem '68”. Prowodyrami okazali się synowie miejscowych notabli.



Tak wyczulony nadzór wyniósł mnie na wyżyny, a nosiłem wtedy od paru miesięcy spodnie bazarowe „szariki” z naszywką skórkową „Arizona”. Wtedy to ogłoszono, że na prezydenta USA startować będzie Gerald Ford i Barry Morris Goldwater z Arizony – twardy jastrząb, potomek polskich Żydów. Propaganda tak daleko zachwalała Forda i obrzydzała Goldwatera, że nieświadomie obiektywnie poinformowała o obu kandydatach. Nie jest dziwne, że w tych warunkach w klasie między uczniami padło pytanie: „A kto ci się bardziej podoba: Ford czy Goldwater?”. Temat chwycił. Ministrantom się podobał. Nastąpiły dyskusje, przekonywania, pytanie rozpląnęło się na szkołę, ewoluując w formę: „ Za kim jesteś, za Fordem czy Goldwaterem?”. Uczniowie deklarowali przy tym między sobą, nie jak dla ankiety partyjnej tylko na kościelną modłę. Rozdzieliliśmy się bardzo szybko, po czym po krótkim czasie podział praktycznie zniknął. Sympatia dla Goldwatera była wyłączna. Tak nieświadomie zorganizowałem pierwsze w Polsce prawyborcy. Tego było za wiele. „Order” okazał się podrzyconym śmierdzącym jajem. Zawyły wszystkie syreny alarmowe. A więc po to główny winowajca nosił na spodniach hasło „Arizona”. Profesorom nie chodziło o poglądy młodzieży, które doskonale znali i po cichu dzielali, ale o to, że w przypadku szybkiego rozprzestrzeniania chwytnego pomysłu są bezsilni. Nie potrafili w porę poskromić prawyborców, czym doprowadzili do ujawnienia nieprawomyślnego wyniku. To były już pomruki „marca '68”. Z opóźnieniem powiało jakimś jałowym gderaniem, represji jednak nie było. Nie ulegało wątpliwości, że narobiłem kłopotu, toteż przez szacunek, sam z siebie, bez jakichkolwiek nacisków, odprułem od spodni skórkową naszywkę z napisem „Arizona”, a i Goldwater wybory przegrał.

Dziś, po latach, koledzy żartują sobie, że miasto Dębica powinno mi przyznać za pierwsze w Polsce prawyborcy honorowe obywatelstwo. Zgadzałem się z tym dodając tylko, że zesłanie i represyjne cierpienie piorunująco dominowało nad groteską.

Jacek Bicz-Łatkiewicz był uczniem Liceum im. Stefana Batorego w Warszawie, został wydalony ze szkoły za poglądy polityczne i podejrzenia rozpowszechniania antykomunistycznych ulotek. Wraz z dwoma kolegami został skreślony z listy uczniów i skierowany do liceum w Dębicy (koledzy do szkół w Łukowie i Płońsku).



Prof. dr hab. **JÓZEF BUSZKO**

wspomnienia z lat 1939 – 1944

*Panie Dyrektorze,
Szanowni Zgromadzeni, Koleżanki i Koledzy*



Prof. inż. Władysław
Zieliński

Nie bez głębokiego wzruszenia zabieram głos z tego miejsca, w czasie uroczystości rocznicowej – 90-lecia istnienia Liceum im. Króla Władysława Jagiełły w Dębicy. Wzruszenie moje jest tym większe, że w szkole, do której uczęszczałem, pobierali naukę: śp. mój Ojciec – późniejszy, długoletni jej profesor – a także cały szereg najbliższych moich krewnych starszej generacji – stryjów i wujków. Noszę więc cały bagaż wspomnień wiążących się ściśle z losami szkoły – jubilatki, pamięć wydarzeń bezpośrednio przeze mnie przeżytych lub przekazanych mi przez poprzednie rodzinne pokolenia, a także starszych kolegów i przyjaciół.

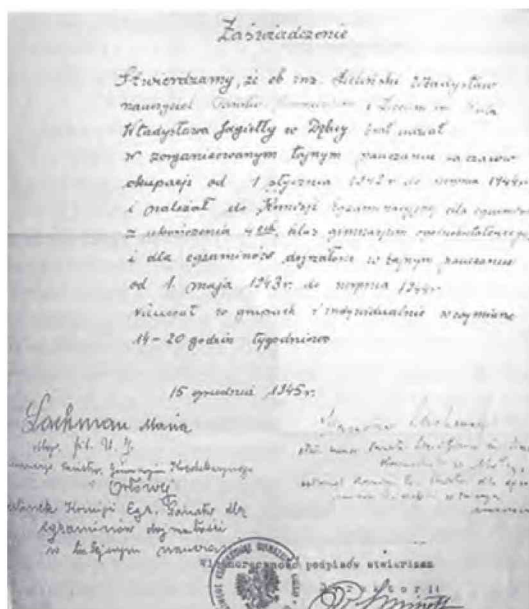
Zaznaczyć pragnę, że ówczesne – z moich lat szkolnych – tutejsze gimnazjum i liceum zaczynałem w ustabilizowanych, zdawałoby się na czas dłuższy, warunkach poprzedzających wrzesień 1939 roku, kończyłem zaś w jakże odmiennych warunkach ostatniego, ściślej – przedostatniego roku wojny. Pamiętne są zwłaszcza dla mnie dni w czerwcu 1944 roku, gdy składałem końcowe egzaminy maturalne w sytuacji wojny i nauki w konspiracji.

Lata te sięgają już blisko półwiecznej perspektywy. Odeszli już na zawsze prawie wszyscy moi egzaminatorzy. Z tym większą radością odbieram fakt, że na tej sali, wśród licznej rzeszy uczniów, absolwentów i grona nauczycielskiego, widzę wychowawcę mojej klasy, ks. profesora Teofila Deca, od którego przez szereg lat pobierałem nie tylko naukę religii, ale i propedeutyki filozofii. Mocno też wrył mi się w pamięć egzamin z tego ostatniego przedmiotu, który zdawałem w jego prywatnym mieszkaniu, a właściwie skromnym pokoiku. Działo się to we wspomnianym już czerwcu, poprzedzającym zwrot w położeniu naszego kraju i miasta Dębicy, która miała się znaleźć w ogniu półrocznych walk frontowych.



„Okrągłe” jubileuszowe daty mają tę właściwość, że skłaniają do zadumy i refleksji w kategoriach szerszego wymiaru czasu, skłaniają do szukania odpowiedzi – czym była w ciągu wieku blisko i czy jest ta droga i bliska nam placówka oświatowa, której jubileusz świętujemy? Na tak postawione pytanie trudno odpowiedzieć w jednym czy kilku zdaniach. Jedno wszakże trzeba podkreślić, gdy próbujemy dać, ujęty jak najbardziej lapidarnie, jak najbardziej syntetycznie, pogląd na jej dzieje, na jej miejsce i rolę. Była ona przez długie lata, już dla trzech pokoleń, rzetelnie pracującym ogniwem narodowej oświaty, przygotowującym kadry przyszłej inteligencji, równocześnie zaś szczególnie silnie oddziaływała na oblicze kulturowe miasta i związanego z miastem regionu. Była jednak szkoła zarazem – co godne podkreślenia – ośrodkiem krzewienia i pogłębiania patriotycznych postaw młodzieży, co szczególnie mocny wyraz miało znaleźć w postawie szerokich rzesz jej uczniów, absolwentów i grona pedagogicznego w czasie jakże trudnych i dramatycznych lat II wojny światowej. Mam tu na myśli zarówno udział jej wychowanków i nauczycieli w walce z okupantem w krajowej konspiracji, na wszystkich frontach wojennych, jak i czynne włączenie się w nurt tajnego nauczania.

W okresie kończącej się wojny szkoła szybko wyszła z konspiracji, rozwijając szeroko swą działalność na przełomie roku 1944/45, początkowo w Ropczycach, potem już w Dębicy. W późniejszych latach przeżywała te wszystkie „meandry”, które charakteryzowały istnienie w powojennej Polsce systemu totalitarnego, a których bólem było między innymi barbarzyńskie usunięcie imienia wielkiego patrona szkoły – króla Władysława Jagiełły, nie mówiąc już o innych pseudoreformatorskich zabiegach. Ale i wówczas zdecydowana większość jej nauczycieli i uczniów nie zatraciła swego zasadniczego celu – rozwijania narodowej oświaty i podstawowych wartości humanizmu.



Zaświadczenie o tajnym nauczaniu prowadzonym przez prof. Władysława Zielińskiego



Dziś, po uzyskaniu przez nasz kraj pełnej suwerenności, może ona już jawnie i nieskrępowanie nawiązywać do wszystkich, ale to wszystkich patriotycznych i narodowych tradycji.

Życzyć więc wypada kierownictwu szkoły, całemu gronu profesorskiemu i uczniom kultywowania i pogłębiania tych wszystkich wartości, które nieodmiennie służyły sprawie narodowej wolności, sprawiedliwości i demokracji. Życzyć wreszcie wypada dalszego doskonalenia metod przekazywania wiedzy w duchu dobrze pojętych obowiązków obywatelskich.

Przemówienie zostało wygłoszone w czasie uroczystości jubileuszu 90-lecia istnienia szkoły.



EWA CIĘCIEL

wspomnienia uczennicy z lat 1939-1946

Z Gimnazjum i Liceum im. Króla Władysława Jagiełły w Dębicy po raz pierwszy zetknęłam się w czerwcu 1939 roku. Bardzo chciałam chodzić do tej szkoły, ale wcześniej musiałam zdać egzamin wstępny. Już wtedy przeżyłam wiele emocji. Kandydatów było bardzo dużo, a wiedziałam, że miejsc jest tylko 100. Po egzaminie i stwierdzeniu, że jestem na liście przyjętych (byli i tacy, którzy zdali, ale z braku miejsc nie zostali przyjęci) mój ojciec powiedział mi, że teraz jako dorastająca dziewczyna muszę sama załatwić niektóre swoje sprawy. Wręczył mi 15 złotych i powiedział, że 5 złotych jest na komitet rodzicielski, 10 złotych na książki. Powiedział mi również, że mam pójść do pana Szewczyka i wpłacić te pieniądze. W tym okresie pan Szewczyk był skarbnikiem komitetu rodzicielskiego. Pod egidą tegoż komitetu była prowadzona biblioteka książek do nauki. Działalność biblioteki polegała na tym, że uczniowie gimnazjum i liceum nie kupowali książek, a po wpłaceniu ustalonej kwoty, z chwilą stania się uczniem, otrzymywali na każdy rok szkolny potrzebne do nauki książki. W razie zniszczenia książki przez ucznia, winowajca ponosił koszty zakupu.

Mój ojciec, po tym jak zostałam uczennicą gimnazjum, zaprosił mnie do pokoju i przeprowadził ze mną rozmowę. Wyjaśnił mi, jakie obowiązki ciążyą na mnie jako uczennicy tej szkoły i jak powinnam się zachowywać. Na koniec rozmowy stwierdził, iż liczy na to, że będę przykładną uczennicą. Ostrzegł mnie również, że nie będzie między nami zgody, jeżeli komukolwiek dam odczuć, że mój ojciec uczy w tej szkole. Niestety, nie dane mi było chodzić do Gimnazjum i Liceum im. Króla Władysława Jagiełły w Dębicy w normalnych warunkach. Wybuchła II wojna światowa i, o zgrozo, już we wrześniu Niemcy byli w Dębicy. W październiku 1939 roku zezwolili na otwarcie gimnazjum, które mieściło się w Szkole Powszechnej w Dębicy, a nauka odbywała się po południu, ale już po paru tygodniach nauki szkoła została zamknięta.

Powtórnie zetknęłam się z gimnazjum na wysiedleniu. W październiku



1944 roku zostało otwarte dębickie gimnazjum z siedzibą w Ropczycach. Moje uczęszczanie do tej szkoły zaczęło się egzaminem z III klasy gimnazjalnej, który zdałam i zostałam uczennicą klasy IV. Dzisiejszym uczniom zapewne wydawać się będzie niemożliwe, że można było się uczyć w takich warunkach. Szkoła była w większości bez szyb, a była to już późna jesień, więc uczyliśmy się w płaszczach i rękawiczkach, jeżeli ktoś je oczywiście miał. Okolica była zniszczona, a w Ropczycach było wielkie skupisko ludzi z uwagi na wysiedlenia. Brakowało wszystkiego, zwłaszcza żywności. Do szkoły wychodziliśmy po śniadaniu, na które jedliśmy sam chleb i piliśmy czarną kawę, ale rozpieszczała nas radość, że możemy chodzić do szkoły jawnie. Uważaliśmy, że nie tylko chlebem człowiek żyje i dlatego byliśmy bardzo szczęśliwi, że możemy chodzić do szkoły. Nie było również książek do nauki, więc uczyliśmy się „systemem studenckim”, profesorowie powoli przedstawiali temat, a uczniowie notowali wykład. Kto potrafił szybciej pisać, ten zanotował więcej. Niektórzy profesorowie pod koniec wykładu sami dyktowali notatki. Ubrani chodziliśmy różnie: najczęściej w wojskowe ubrania, często za duże lub za małe, ale naprawdę byliśmy szczęśliwi.

Pod koniec stycznia lub na początku lutego Dębica została otwarta dla ludności. Wszyscy wyruszyli do domów. Z chwilą wyzwolenia Dębicy z grona pedagogicznego do miasta został wysłany pan Stanisław Gierulski. Miał on zadbać o zabezpieczenie budynku dawnego gimnazjum. Nauka w gimnazjum zaczęła się od porządków. Południowa ściana budynku była w większości zniszczona przez działania wojenne. Trzeba było odgradzić to skrzydło od pozostałej części. Pracowali wszyscy wspólnie, uczniowie i nauczyciele. Do domów wracaliśmy zmęczeni i bardzo brudni. Po kilku dniach rozpoczęła się nauka. Po ukończeniu klasy IV i zdanym egzaminie zostałam uczennicą I klasy liceum. Część uczniów po zakończeniu roku szkolnego wróciła do Gimnazjum w Ropczycach, które stało się filią Gimnazjum i Liceum im. Króla Władysława Jagiełły w Dębicy. Uczniów było bardzo dużo, sale nie mogły ich pomieścić, brakowało także nauczycieli. Z nadejściem wiosny rozpoczęły się na nowo prace. Wszystkich bardzo raziła swastyka znajdująca się na budynku szkoły. Dwaj uczniowie, bardzo odważni, jeden nazywał się Zbyszek Baster i był moim rówieśnikiem, ale nazwiska drugiego już nie pamiętam, bez odpowiednich zabezpieczeń zerwali ją i wygładzili mur.



Pierwszego maja braliśmy udział w defiladzie i w wiecu, które odbyły się na rynku, a następnie trzeciego maja też maszerowaliśmy dla uczczenia tego święta. Do kościoła na mszę szkolną chodziliśmy ze szkoły czwórkami. Odbywała się ona w kaplicy klasztoru.

Od nowego roku szkolnego utworzono II klasę licealną. Wśród uczniów tej klasy znalazłam się też ja. Była to klasa licząca dziesięciu uczniów i łączyła dwa profile: humanistyczny (sześciu uczniów) i matematyczno-przyrodniczy (czterech uczniów). Do tej klasy należeli: Halszka Bedronek, Janina Bogucka, Ewa Cięciel, Jerzy Ćwikliński, Irena Gąsiorek, Teresa Langner, Kazimierz Miś, Jan Selbirak, Schmidh (imienia nie pamiętam) i Zenobia Zielińska. Do egzaminu dojrzałości przystąpiliśmy w czerwcu 1946 roku. Cała klasa stanęła na wysokości zadania, oczywiście z dużą pomocą i zasługą pedagogów. Wszyscy otrzymaliśmy świadectwa dojrzałości.

Z moich wspomnień ktoś może odczytać, że byliśmy nadzwyczajną młodzieżą. Nie należy jednak tak sądzić. Byliśmy młodzi i czasem też broiliśmy. W pierwszej klasie licealnej języka polskiego uczyła nas profesor Śnieżkówna, która była bardzo spokojna i delikatna. Klasa liczyła sześćdziesięciu uczniów, a podręczników nie mieliśmy. W czasie wykładów niektórzy grali w szewca, inni w okręty, inni z kolei czytali książki, jednym słowem na polskim robili, co chcieli. Zadania szkolne pisaliśmy ze ściąg i dobrze nam się wiodło. Natomiast w drugiej klasie licealnej przejęła nas profesor Stalowa. Po dwóch lekcjach, na których niewiele umieliśmy, powiedziała nam, że nie umiemy materiału z poprzedniej klasy, a więc musimy go samodzielnie nadrobić. Pani profesor zadawała nam materiał do nauczenia się, a potem nas sprawdzała.



Rok 1945. Front budynku szkolnego, w którym w czasie okupacji mieścił się niemiecki Główny Urząd Powiatowy. Na zdjęciu młodzież usuwa niemiecką „wrone”.



Uczyliśmy się bardzo pilnie, a pani profesor dwa razy w tygodniu kontrolowała nasze postępy poprzez odpytywanie jednego ucznia. Nikt nie wiedział, kto będzie pytany na kolejnej lekcji, więc wszyscy pilnie się uczyliśmy, tym bardziej, że było nam wstyd, że tak się skompromitowaliśmy. Nie lubiliśmy również zastępstw, więc jeżeli nie było nauczyciela, z którym mieliśmy mieć ostatnią lekcję, cała klasa opuszczała mury szkolne. Ponosiliśmy potem konsekwencje takiego zachowania, ale przecież taka jest młodość. Bardzo lubiliśmy się bawić i zabawy szkolne były dla nas prawdziwą rozrywką. Po powrocie z wysiedlenia często takie zabawy były organizowane. Odbywały się one w sali gimnastycznej i trwały do 22.00.

Wychowawcą naszej klasy był profesor Józef Wiercioch. Był to wspaniały wychowawca, całej młodzieży takiego życzę. Miał wspaniały dar zjednywania sobie młodzieży. Wszyscy go szanowaliśmy i podziwialiśmy jako nauczyciela i człowieka. Po zakończeniu omawiania nowego tematu pan profesor pytał, czy wszystko zrozumieliśmy. A kiedy twierdziliśmy, że wszystko zrozumieliśmy, zadawał zadanie domowe. Wtedy okazywało się, że jednak nie wszystko zrozumieliśmy. W związku z tym często przychodziliśmy do szkoły bez zadania. Było dwóch albo trzech uczniów, którym matematyka nie sprawiała trudności i zazwyczaj mieli zadanie domowe. Nigdy jednak nie przyznawali się do tego. Zazwyczaj jeden ze słabszych matematyków przyznawał, że niestety nie zrozumieliśmy zbyt dobrze tematu i dlatego nie odrobiliśmy zadania. Wtedy profesor Wiercioch tłumaczył nam ten materiał jeszcze raz. Taka właśnie była ta nasza szkolna rzeczywistość.

(archiwum szkolne)



Prof. dr hab. inż. **KRZYSZTOF CIOS**

wspomnienia z lat 1964-1968

Urodziłem się 22 marca 1950 roku w Dębicy. Po ukończeniu Szkoły Podstawowej nr 1, wtedy jeszcze tylko męskiej, podjąłem naukę w „Jagielle”, którą ukończyłem w 1968 roku. Dzięki znakomitemu gronu profesorskiemu, liceum było bardzo dobre. Przekładało się to na olbrzymie osiągnięcia uczniów. Przykładowo, kolega z mojej klasy wygrał międzynarodową olimpiadę chemiczną w Pradze, a drugi, młodszy, olimpiadę matematyczną w Moskwie. Chwała za to profesorom: Rybce (uczył chemii) oraz Gwoździowi (uczył matematyki). Doskonali byli też: profesor Surowiec od fizyki, który, nota bene, ożenił się z naszą koleżanką, profesor Gałuszka od biologii, profesor Czerny od geografii oraz polonistka, profesor Sidorowicz. Bardzo dobrze wspominam również profesorów: od rosyjskiego – Nowaka i od angielskiego – Kessler. Oboje „terroryzowali” nas do tego stopnia, że gdy ktoś nie był przygotowany na lekcję, to często nagle „chorował” w tym dniu, ale dzięki temu nauczyliśmy się tymi językami biegle władać. Ten pierwszy przydał mi się kiedy, będąc na „strojce” (taka praktyka wakacyjna w „Sojuszu” podczas studiów), udawałem Rosjanina, aby zwiedzić piękny Bakczysaraj, stolicę chanów krymskich, leżący w pobliżu Sewastopola. Wstęp cudzoziemcom był tam surowo zabroniony.

Profesor Sidorowicz była bardzo barwną postacią. Jak się czasem zdenerwowała, choć na co dzień była bardzo dobrą i spokojną kobietą, wpisywała do dziennika wszystkim bez wyjątku „kochanym chłopaczkom” piątki, a wszystkim „wstrętnym dziewczuchom” dwóje (potem to wymazywała). Strach pomyśleć co by się działo, gdyby wtedy była polityczna poprawność.

Historyczka, profesor Oleńska, na ile mogła, próbowała uczyć nas prawdziwej historii Polski. Młodszy kolega w pamiętnym 1968 roku odwrócił twarzami do ściany portrety komunistów wiszące na korytarzach, za co został natychmiast wyrzucony ze szkoły. Wyszło mu to na dobre, bo wkrótce wylądował na tzw. Zachodzie.



Na początku liceum byłem członkiem kółka chemicznego prowadzonego przez cudownego profesora Rybkę. Starszy kolega opiekował się nami w czasie spotkań, abyśmy przypadkiem nie wysadzili laboratorium w powietrze, jako że najatrakcyjniejsze eksperymenty wiązały się z reakcjami powodującymi wybuchy. Pewnej soboty coś tam mieszałyśmy – jak się okazało, źle – bo nam mocno wybuchło i całe laboratorium zapełniło się cuchnącym białym dymem. Musieliśmy uciekać, a potem wietrzyć, otwierając okna, drzwi i sprzątać laboratorium ze szklanych odłamków. Jakoś się nam to upiekło, bo do poniedziałku nieprzyjemny zapach zniknął.

Mile wspominać wszystkich moich kolegów i koleżanki. Z niektórymi często chodziliśmy latem pod żelazny most na Wiśloce, aby popływać i poskakać do wody, co nie zawsze kończyło się dobrze. Z kolei zimą „nartowaliśmy”, tzn. dźwigaliśmy drewniane narty na plecach w górki koło Dębicy, aby zjechać tylko 2-3 razy i wrócić wieczorem w przemoczonych, bo wtedy jeszcze skórzanych, butach. Trudno było nazwać to jazdą na nartach, bo nie było wyciągów, choć narty były zjazdowe. Często jeździliśmy też na łyżwach na lodowisku w pobliżu liceum. Jeden z kolegów nauczył swojego boksera różnych sztuczek, np. spektakularnego przechodzenia przez dwumetrowe płoty z metalowej siatki. Inny, w czasie jakiejś lekcji, pokazał naszej koleżance na wpół otwarty scyzoryk i zademonstrował, jak łatwo go otworzyć, naciskając jednym palcem taki krótki grzbiet, tuż za którym zaczyna się ostrze. Ona spróbowała zrobić to samo, ale oczywiście rozcięła sobie głęboko palec. Zachowała się jednak dzielnie, bo nie „miauknęła” i nikomu się nie poskarżyła.



Krzysztof Cios
z Morusem





Krzysztof Cios jako lisowczyk

Dobrym zrządzeniem losu otarłem się o dwóch znamienitych absolwentów „Jagięły”. Penderecki, po swoich pierwszych sukcesach, kupił ojcu złotego garbusa, a ja wraz jego ojcem robiłem prawo jazdy, chyba w mojej drugiej klasie. Będąc już w Stanach miałem przyjemność rozmawiać z Mistrzem po koncercie jego muzyki, którym sam dyrygował. Było to w Detroit w stanie Michigan.

Ciekawsze było jednak moje spotkanie z Łomnickim. W czasie liceum jeździłem konno, na zdjęciu widać mnie jak prowadzę ogiera o imieniu Morus, na którym później jeździłem jako statysta lisowczyk w filmie „Pan Wołodyjowski”. Widać mnie tam przez sekundę na całym ekranie, z ogromną chorągwią.

Morusowi zawdzięczam niepołamaną klatkę piersiową, bo kiedy spałem na planie (czekając długie godziny na odpowiednie, wg reżysera Hoffmana, słońce, aby móc nagrywać nowe bądź powtarzać sceny bitewne), a on koło mnie skubał trawę, w pewnym momencie zaczął stawiać mi nogę na piersi, ale w ostatniej chwili ją cofnął i postawił tuż obok. Nagrywanie scen odbywało się w okolicach Białego Boru. Pewnego dnia miałem jechać do księgarni w Szczecinku i Łomnicki poprosił mnie, abym przy okazji kupił mu jakąś książkę.



Z przyjemnością to zrobiłem, a on dziękując, zaprosił mnie do siebie na lampkę koniaku. Jak usłyszał, że ukończyłem „Jagięłkę”, spytał, czy przypadkiem nie znam pewnej osoby. Okazało się, że tak i to dość dobrze. Była to matka mojego kolegi, u którego często bywałem. Musiała być kiedyś bardzo bliska Łomnickiemu, bo wyraźnie się wzruszył, gdy o niej rozmawialiśmy.



Dedykacja Tadeusza Łomnickiego

*Kulin. Kogitacji
 Na wiec. na zamy. pamiątce
 upom. w. 10. 10. 1968
 Tadeusza Łomnickiego
 z polskimi przyjaciółmi
 i rodziną w. 10. 10. 1968
 Tadeusz Łomnicki*

Do dziś mam jego fotografię z dedykacją dla mnie. Łomnicki nie pił z nami, studentami – koniarzami, alkoholu przy ogniskach. Ale robili to i pięknie śpiewali czastuszki, takie rubaszne piosenki rosyjskie, Olbrychski i Perepeczko.

Cieszę się kiedy słyszę o sukcesach absolwentów „Jagięłki”. Będąc na obchodach 30-lecia matury, poznałem uczennicę, która dostała stypendium na MIT, po wygraniu jakiejś olimpiady, chyba w Indiach, choć po roku przeniosła się na Harvard. Od czasu do czasu zaglądam na stronę internetową „Jagięłki” i jestem wdzięczny za zamieszczanie tam ciekawych informacji o życiu i ciągle nowych osiągnięciach szkoły.

Jagięłko był jednym z najlepszych królów Polski, a nasze „Jagięłko” jest jednym z najlepszych liceów – oby tak dalej!

Richmond, Virginia, USA, październik 2019 r.



TERESA CZYŻOWSKA

wspomnienia nauczycielki LO w Dębicy

Praca z młodzieżą bardzo mnie fascynowała. Marzyłam, by zostać nauczycielką i zostałam. A praca w szkole średniej, po kilku latach w „podstawówce”, była nobilitacją. Otrzymałam taką propozycję i skorzystałam z niej. Nie było lekko. W domu trójka małych dzieci, a w szkole liczne klasy, po 30-40 uczniów.

Dębickie liceum było szkołą elitarną, młodzież mądra, wiedząca, czego chce. Dużo pracy, duże wymagania, a na końcu matura i egzaminy wstępne na studia, które były potwierdzeniem zaangażowania uczących i młodzieży.

Szkoła to przede wszystkim nauka, ale także różnego rodzaju przeżycia i radości. Taką przyjemnością i odskocznią od codzienności były wycieczki organizowane przez grupę pięciu nauczycielek, entuzjastek zwiedzania Europy. Byłam i ja w tej grupie. Dzięki kilku wyjazdom zwiedziliśmy (nauczyciele i uczniowie) Włochy, Francję, Hiszpanię, Grecję, Holandię, Belgię, Niemcy... Widzieliśmy wspaniałe kraje, zabytki architektury, muzea. Wspomnieniom i przeżyciom nie było końca. Po każdej wycieczce powstawały nowe albumy pełne zdjęć i potwierdzenia, że było się w tym miejscu naprawdę.

Stare przysłowie mówi, że „wszystkie drogi prowadzą do Rzymu”. Znaleźliśmy się w mieście, gdzie przed wiekami zrodziła się cywilizacja Europy. Obok starożytnej Grecji, Rzym stanowił jej kolebkę. Nawet po upadku Imperium był nadal kulturalnym centrum świata. Miasto stało się stolicą chrześcijaństwa i siedzibą papieży, następców św. Piotra. Zasługą Kościoła była budowa Bazyliki św. Piotra i zespołu Pałaców Watykańskich. Nieporównywalne arcydzieła Bramanteo, Rafaela i Michała Anioła stanowią największe osiągnięcia geniuszu artystycznego wszechczasów. Rzym jest dziś największym skarbem Europy i zyskał nazwę Wiecznego Miasta. Zwiedziliśmy między innymi najświetniejsze bazyliki: Santa Maria Maggiore, Świętego Jana na Lateranie,



Profesor Teresa
Czyżowska



Św. Pawła za Murami oraz w Watykanie Bazylikę św. Piotra, a także inne perełki architektury, jak: Forum Romanum. Wielką niespodzianką i ogromnym przeżyciem było dla nas uczestnictwo we mszy świętej odprawianej przez Papieża Polaka, Jana Pawła II oraz publiczne powitanie nas – nauczycieli i młodzieży z Liceum Ogólnokształcącego w Dębicy i gromkie oklaski tłumu zebranego na placu przed bazyliką. Po mszy cisnęliśmy się do barierek, by być bliżej przejeżdżającego naszego Papieża.

Wycieczki były kilkudniowe, dużo czasu zajmowały dojazdy autobusem do celu podróży, ale widzieliśmy wiele.

Wspominamy 21-godzinny rejs promem po Morzu Śródziemnym z Włoch do Grecji i kolejne 21 godzin w drodze powrotnej. Noc spędzoną na krzesłach w sali kinowej na statku, bo nie było nas stać na wykupienie kajut. Ale możliwość zwiedzania Grecji warta była tych trudów. To Grecy pozostawili nam wspaniałą spuściznę filozoficzną i literacką. Mogliśmy stąpać śladami Homera i patrzeć na sztukę grecką, którą kieruje idea czystej harmonii i piękna.

Po powrocie do domu opowiadałam o tym cudownym świecie swoim dzieciom, a teraz, będąc na emeryturze, wnukom.

Obecnie młodzi mają łatwiejszy dostęp do wszystkiego, większe możliwości wyjazdów bez paszportów i wiz. Dla głębokich przeżyć i radosnych wspomnień warto zwiedzać świat.

Wrocław, styczeń 2020 r.



WINCENTY DOŁŻYCKI

wspomnienia ucznia z lat 1908-1916

„Gimnazjum w Dębicy z okazji 50-lecia istnienia poświęcam”

Dębico, Dębico...
Do.....

Czy kochasz Ty miasto swoje
Tak jak ja?
Szczególnie to - z młodych Twych lat...
Gdzie wita Cię już na dworcu
Kasztanów kwiat,*
A wzgórza zielenią się wśród chat.
I rzeka wesóło przepływa od gór...
Wrażeń ileż tu łśni!
A wspomnień lubych dziewcząt
Miły chór
To wszystko przypomina Ci...

Dębico, Dębico!
Kraju mych snów
Młodzieńczych, tęczyowych nadziei!
Ty miasto sztubackich wspomnień
I słów...
Miłości pierwszej epopei.

Dębico, Dębico!
Ty źródło mych cnót!
W szkole Twej znalazłem
Ten skarb.

I – kiedy do śmierci przybliżę się
Wrót,
Twój obraz w oczach .

Opole, 30 czerwca 1950 r.

*Trzy sędziwe kasztany rosły w roku 1908 i później na peronie dworca kolejowego w Dębicy.



Słowa: Wincenty Pol Dębico, Dębica. Muzyka: n.d.

Czy ko-cha-ny (i. d.)

Refrain.

Ni-co (n. d.)

D.S.

Do gimnazjum w Dębicy uczęszczałem osiem lat, bez przerwy i bez repetowania. Przechodziłem z klasy do klasy z oceną celującą. Maturę zdałem w 1916 roku z odznaczeniem. To są wspomnienia natury osobistej. Natomiast jeżeli chodzi o reminiscencje odnośnie widzianej z perspektywy czasu działalności gimnazjum, ściśle jego grona nauczycielskiego, z wdzięcznością i uznaniem wspominam te czasy i tych ludzi. Działalność zawodowa i społeczna ówczesnego grona pedagogicznego była przykładem patriotyzmu, życzliwości dla młodzieży, troski, dobrej woli i wiedzy.

Profesor Migdał znał na pamięć stronicę Wielkiego Słownika Języka Greckiego (starożytnego) i wiedział gdzie, na której stronie znaleźć potrzebne informacje. Patriotyzm wyrażał się w krzewieniu, wyraźnym i bezkompromisowym szacunku i miłości dla przeszłości Polski. Żyliśmy wtedy w zaborze austriackim. Nauczyciele budzili w nas patriotyzm i podtrzymywali nadzieje na odzyskanie niepodległości.

Bogata biblioteka gimnazjum, pod kierunkiem profesora Wyrobka, dostarczała nam literaturę patriotyczną, nie wyłączając polskich periodyków, np. warszawskich. Wszystkie dzieła klasyków polskich były do dyspozycji uczniów. Budzono i podtrzymywano w nas poczucie godności Polaka i narodu



polskiego oraz poczucie własnej godności i wartości. Wpajano uczniom potrzebę jedności i zgody w narodzie, jednomyślności celów i metod działania. Wychowywano nas w duchu wielkoduszności, tolerancji i liberalizmu. Nie stroniono od wskazywania na zdobycze cywilizacyjne i kulturalne Zachodu i w potrzebnych granicach starano się je uczniom przyswajać.

Poziom nauczania w gimnazjum był wysoki. Od uczniów i od siebie wymagano dużo. I stanowczo. Pamiętam, że w czwartej klasie (14 rok życia) uczono nas rozumienia „Ody do młodości”. Sam ją deklamowałem na jednej z okolicznościowych akademii w gimnazjum. W szóstej klasie profesor Kozłowski, a może Radomski, już dokładnie nie pamiętam, kazał nam studiować, poza przedmiotem obowiązkowym, literaturę fachową, np. z dziedziny polityki ekonomicznej i wygłaszać na tej podstawie odczyty w auli gimnazjalnej lub czytelnicy w godzinach nadobowiązkowych. Czytelnia była pięknie zorganizowana w sali obok biblioteki, na parterze, od strony zachodniej.

Do matury pisemnej z języka polskiego otrzymałem temat o romantyzmie w poezji A. Mickiewicza. Tak się zapaliłem do tego tematu, że chociaż były to czasy rządów Austrii, a 1916 rok czas I wojny światowej, obowiązywał więc „stan wojenny”, bez względu na to, na zakończenie pracy napisałem...przepowiednię o powstaniu Polski niepodległej. Podobnie w 1939 roku na wielkim publicznym zebraniu na Pomorzu zapowiedziałem Hitlerowi drugi Grunwald. Taka postawa była wynikiem wychowania, jakie otrzymałem w gimnazjum. Zaraz po oddaniu przez mnie maturalnej pracy pisemnej, z sali konferencyjnej gimnazjum przyszedł na salę roboczą dyrektor Szydłowski i publicznie złożył mi gratulacje...

Uczono nas nie tylko przedmiotów zawodowych, ale i wychowywano nas w gimnazjum na ludzi kulturalnych i cywilizowanych. Pamiętam, że zaraz po ukończeniu klas niższych, profesorowie, bo tak wtedy tytułowano nauczycieli gimnazjum, gospodarze klas kolportowali wśród uczniów tych klas ładnie wydane, ilustrowane i tanie podręczniki dobrego wychowania, w których w przystępny sposób opisano, jak należy zachować się w towarzystwie, na zebraniu, w teatrze, w pociągu, na ulicy, jak należy się ubrać w zależności od okoliczności, nawet na ślizgawkę lub na tor saneczkowy, dzięki temu uczniowie gimnazjum byli eleganccy i umieli się zachować w odpowiedni sposób.



Muzyki i śpiewu uczył nas prof. Sierosławski, kompozytor i profesor Klamut, dębicki „Kiepora”. Rysunków i malarstwa uczył profesor Czyżewski, późniejszy słynny polski futurysta. Uczono także gimnastyki i zajęć praktycznych w gimnazjalnych warsztatach, gdzie w ramach nadobowiązkowych, dobrowolnych zajęć, budowano nawet łódzie. Nie podwodne, ale takie do pływania po Wiśle lub po stawie. Gimnazjum miało swoją orkiestrę dętą, nie gorszą od wojskowej. Orkiestrę prowadził i dyrygował nią kolega Ludwik Wasilkowski, późniejszy adwokat w Krakowie.

Wielkie i niezaprzeczalne były więc zasługi ówczesnego dyrektora Szydłowskiego oraz profesorów: Józefa Wyrobka, Bolesława Pochmarskiego, Radomskiego, Kozłowskiego, Staronia, Mydlarskiego, Wiśniewskiego, Klamuta, ks. Kotfisa i innych, których nazwisk już nie pamiętam.

Uczniowie pochodzili przeważnie z rodzin chłopskich i mieszczańskich. Później już, po odejściu z gimnazjum i wypłynięciu na szerokie wody życia zawodowego, spotykałem się jeszcze z niektórymi kolegami, wychowankami Gimnazjum w Dębicy. Większość z nich zdobyła wysokie stanowiska i pełniła ważne funkcje. Mieczysław Broda był przed 1939 rokiem prezydentem Tarnowa, zginął podobno w 1939 roku. Szymon Berger był sędzią okręgowym we Lwowie (1924), Franciszek Jezierski z Ropczyc był najlepszym adwokatem w Toruniu do 1939 roku, Władysław Łukasik – kapitanem Wojska Polskiego i ludowym poetą, Stanisław Nykiel – nadleśniczym, Władysław Pasella w latach dwudziestych pełnił funkcję dyrektora personalnego w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych w Warszawie, Stanisław Pociask był majorem Wojska Polskiego, Bolesław Stachoń – pułkownikiem Wojska Polskiego i dowódcą Czwartego Pułku Lotnictwa w Toruniu, zginął prawdopodobnie pod Tobrukiem, Stanisław Eugeniusz Szczęsny był porucznikiem Legionów Polskich i Wojska Polskiego, a przed 1939 rokiem referentem w Ministerstwie Kolei Państwowych w Warszawie. To tylko garstka wychowanków Gimnazjum w Dębicy, było ich niewątpliwie więcej.

Dębica, 29 września 1979 r.



TERESA DUDZIŃSKA – BERKA

wspomnienia z lat 1956-1960

Będąc absolwentką tutejszego liceum, z wielkim sentymentem wspominam lata nauki spędzone w okresie od 1956 do 1960 roku. Postacią szczególnie dla nas, uczniów, bliską był wówczas profesor Zdzisław Czerny. Profesor był nauczycielem geografii, serdecznym, oddanym młodzieży i lubianym przez wszystkich za ogromną wiedzę i poczucie humoru, człowiekiem.



Profesor Z. Czerny wśród uczniów

To on w swoich wykładach malował piękno polskiej ziemi i zachęcał do jej zwiedzania. Sam był zapalonym turystą i posiadał kwalifikacje przewodnika górskiego.



Nie szczędząc swoich sił i wolnego czasu, przeznaczonego na własny wypoczynek, organizował wiele autobusowych i rowerowych wycieczek szkolnych. Jego obecność na wycieczce gwarantowała rzetelny przekaz wiedzy o zwiedzanym regionie geograficznym, pełne bezpieczeństwo oraz to, co wtedy dla nas uczniów było najważniejsze, masę śmiechu, humoru i autentycznego relaksu.

Profesor Zdzisław Czerny był nauczycielem z powołania, o pogodnym usposobieniu i dobrym sercu. Nie potrafił wzbudzić srogiego wyglądu nawet wtedy, gdy oceniał nieprzygotowanego do lekcji ucznia. Profesor wymagał od uczniów systematycznej nauki, ale robił to z wrodzonym sobie wdziękiem. Dlatego też cieszył się naszą ogromną sympatią. To on był organizatorem pierwszego w dziejach naszego liceum 14-dniowego obozu wędrownego dla 20 dziewcząt, który wyruszył z Dębicy dn. 29 VI 1959 roku. I którego ja byłam uczestniczką. Drugim opiekunem obozu była profesor H. Gałuszka, nauczycielka biologii. Właśnie z tej racji dłużna jestem przekazania garści niezapomnianych wspomnień. Trasa obozu obejmowała początkowo przejazd pociągiem z Dębicy przez Kraków, Katowice do Raciborza, a stamtąd wędrowki piesze w rejonie Kotliny Kłodzkiej, Karkonoszy i Sudetów. Wędrowki piesze były wspaniałe, ale często wymagały wielu wyrzeczeń, nie było wygod, wypoczynku, niejednokrotnie „burczało w brzuchu”. Mimo to byliśmy zadowolone i chciało się nam śpiewać.

Lata nauki w liceum przypadły na okres „głębokiego” socjalizmu, kiedy turystyka z różnych powodów miała bardzo ograniczony wymiar. Większość z nas, uczestniczek obozu, po raz pierwszy była tak daleko od Dębicy. Ogrom doznanych wrażeń w czasie zwiedzania przepięknych zakątków Ziemi Dolnośląskiej bardzo często nie pozwalał nam zasnąć, mimo ogromnego wysiłku włożonego w pokonanie sporych odległości pieszo (15-20 km dziennie). I to z plecakami.

Warto wymienić te przepiękne zakątki noszące jeszcze wówczas ślady minioniej II wojny światowej:

- * Racibórz z przepiękną neogotycką Farą z XIII wieku, muzeum z 1317 roku oraz zamkiem nad Odrą;
- * Kietrz – urocze miasteczko leżące tuż przy czeskiej granicy, z zabytkowym barokowym kościołem;



- * Głubczyce - ze znanym browarem piwa słodowego;
- * Raławice Śląskie, Prudnik – miasta w 50% zburzone w czasie II wojny światowej
- * Głuchołazy - miejscowość uzdrowska położona w malowniczych Karkonoszach;
- * Nysa – z neogotycką katedrą i z renesansowymi kamieniczkami;
- * Otmuchów – położony nad pięknym jeziorem;
- * Paczków – polskie „Carcassonne”;
- * Łądek Zdrój – miejscowość uzdrowska położona w Karkonoszach;
- * Wrocław z najstarszą dzielnicą – Ostrowem Tumskim, uniwersytetem i kościołem św. Elżbiety.

Powodem naszej dumy było jednak zdobycie najwyższego szczytu Sudeców Wschodnich – Śnieżnika położonego na granicy z Czechosłowacją. Tam, w schronisku PTTK, po raz pierwszy widzieliśmy na własne oczy cudzoziemców, a byli to turyści z Czechosłowacji, którzy również i nam przyglądali się z nieukrywana ciekawością.

W czasie trwania obozu wędrownego Profesor Czerny przekazywał nam wiedzę o zwiedzanych miejscach, wymagał dyscypliny i porządku, ale również otaczał nas ojcowską opieką. Miał talent w zaszczepianiu u młodzieży chęci poznawania piękna naszego kraju i z pewnością przyniosło to rezultaty.

Pozostawił po sobie wiele pięknych i ciepłych wspomnień, których czas nigdy nie zatrze w pamięci Jego wychowanków.



LUCYNA DYMIŃSKA – WODZIŃSKA

„Byłam uczennicą...”

wspomnienia z lat 1963- 1967

Ludzie często wracają wspomnieniami do lat swojej młodości, do lat „górných i durnych”, ale niepowtarzalnych i przez to pięknych. W tych wspomnieniach wiele miejsca poświęca się czasom szkolnym. Są one bowiem jednym z najpiękniejszych okresów w życiu człowieka.

Szkoła to oczywiście czas zdobywania wiedzy, kształtowania osobowości, ale także pierwszej miłości, uniesień, niezapomnianych przeżyć.

Po skończeniu Liceum Ogólnokształcącego w Dębicy w 1967 roku podjęłam studia w Wyższej Szkole Pedagogicznej w Rzeszowie. Po pięciu latach studiowania wróciłam do „swojej szkoły” w charakterze nauczycielki języka rosyjskiego i „trwam na posterunku” do dzisiaj.



Profesor Czesław Surowiec

Z rozrzewnieniem wspominam dziś nauczycieli, którzy zostawili trwałe ślady w naszych umysłach. Wdzięczną pamięcią obejmuję swoją wychowawczynię, śp. prof. Stanisławę Gawryś-pełną dobroci i mądrości, śp. prof. Zdzisława Czernego, którego lekcje geografii były wspaniałym przeżyciem, prof. Helenę Gałuszkę, która zawsze wszystko dostrzegała i od każdego z nas wyegzekwowała z całą stanowczością wiedzę biologiczną, jaką nam przekazała.

Ze wzruszeniem wspominam prof. Czesława Surowca, przyszłego fizyka, w którym prawie wszystkie podkochiwałyśmy się. Bardzo przystępnie przekazywał On tajniki swego przedmiotu.

Z radością wyznaję, że miałam szczęście spotkać w szkole prof. Zdzisławę Grundboeck, ówczesną mistrzynię wychowania fizycznego, która w wielu z nas zaszczepiła miłość do czynnego wypoczynku. Mając w pamięci Jej wspaniałe lekcje wychowania fizycznego, potrafię po latach, nie będąc nauczycielką tego przedmiotu, zorganizować i poprowadzić zajęcia sportowe z młodzieżą.



Ale pobyt w szkole to nie tylko lekcje. To także czas imprez, zabaw szkolnych, wycieczek czy biwaków.

Odczuwając dotkliwie ich brak w naszym życiu, zorganizowaliśmy „grupę artystyczną” działającą w ramach szkolnego koła ZMW, do którego chyba wszyscy należeliśmy. Dla wielu z nas to niezapomniana przygoda z tamtych lat. Nasze spotkania na próbach z koleżankami i kolegami: Antonim Kamińskim, śp. Pawłem Barczyszynem, Jerzym Galatem, Marią Matłok, Jackiem Łatkiewiczem, Ryszardem Sopińskim, śp. Ks. Władysławem Domarskim i wieloma innymi, były świetną okazją do młodzieńczych zabaw, żartów, przeżywania razem niezapomnianych chwil. Nasze „tournee artystyczne” wiodło po wszystkich okolicznych miejscowościach, jak: Stara Jastrząbka, Parkosz, Bobrowa i innych. Wszędzie byliśmy przyjmowani bardzo serdecznie, co dodawało nam skrzydeł do dalszej działalności.

Kiedy w 1972 roku, po skończeniu studiów, rozpoczęłam pracę w liceum, okazało się, że większość nauczycieli uczących w szkole to moi profesorowie. Byłam tym faktem niezmiernie skrupowana. Jednakże ich serdeczność i wyrozumiałość sprawiły, że bardzo szybko zostałam ich koleżanką.

Dzisiaj wśród obecnego Grona Pedagogicznego naszego liceum jest wielu moich uczniów i wychowanków. Pozostajemy ze sobą w bardzo przyjaznych i koleżeńskich stosunkach. Jesteśmy przecież wychowankami tej samej szkoły.

Dębica, 2000 r.



ANDRZEJ GIERULSKI

wspomnienia ucznia z lat 1960 - 1964

Uczniem Liceum Ogólnokształcącego w Dębicy byłem w latach 1960-64. Ze szkołą przy ulicy Słowackiego 9 zetknąłem się już wcześniej, w 1953 roku. Działała wówczas w jej murach jedenastolatka TPD. Tam właśnie rozpocząłem naukę w pierwszej klasie szkoły podstawowej. Pamiętam z dzieciństwa rodzinne dyskusje na temat wyboru szkoły dla mnie. W Dębicy istniały trzy szkoły podstawowe: męska „koło kościoła”, żeńska oraz owa jedenastolatka, szkoła koedukacyjna. Wybrano dla mnie tę ostatnią, mimo że miałem do niej z domu znacznie dalej niż do męskiej. Zdecydowało o tym między innymi przekonanie matki o zaletach systemu koedukacyjnego. Moją pierwszą nauczycielką była pani Zofia Charzyńska, doświadczony pedagog cieszący się opinią dobrej specjalistki od nauczania początkowego. Kierownikiem działu podstawowego jedenastolatki był, niemłody już wówczas, lubiany przez młodzież i ceniony przez rodziców, Józef Róg. Uczył on matematyki w klasach od czwartej do siódmej. W 1958 roku, o ile dobrze pamiętam, zlikwidowano jedenastolatkę i przeniesiono klasy podstawowe do budynku tak zwanej burzy przy ulicy Wielopolskiej. Powstała w ten sposób Szkoła Podstawowa nr 4 w Dębicy.

Do gmachu przy ulicy Słowackiego powróciłem w 1960 roku. Z egzaminu wstępnego do liceum nic nie pamiętam. Byłem dość przejęty tym, że jestem już w gimnazjum, jak się często jeszcze wtedy mówiło o tej szkole. Czułem, że zaczął się w moim życiu pewien nowy etap. W ósmej klasie często słyszeliśmy od nauczycieli, „że to już nie będzie szkoła podstawowa” i należy „zacząć się uczyć”. Z perspektywy lat mogę stwierdzić, że byłem uczniem dość nietypowym. Od 1955 do 1963 roku dojeżdżałem po południu, przeważnie dwa razy w tygodniu, do szkoły muzycznej do Rzeszowa. Nauka muzyki absorbowała mi na tyle czasu i uwagi, że mój kontakt z liceum i kolegami szkolnymi niewiele wykraczał poza godziny lekcji. Niemniej jednak, jakkolwiek stosunkowo mało uczestniczyłem w pozaszkolnym życiu rówieśników, wydaje mi się, że



nie byłem traktowany przez nich jako outsider i nie czułem się wyobcowany z ich grona. To, że patrzyłem na szereg ich spraw i wzajemnych powiązań nieco z dystansu, pozwalało mi być w zasadzie ze wszystkimi w zgodzie. Wiele osób spośród nich wspominam z dużą sympatią. Najdłużej chyba utrzymywałem kontakty z Krzyśkiem Dydakiem. Odbyliśmy w czasach licealnych włośćczęgę po Bieszczadach i kilkakrotnie spotykaliśmy się w latach studenckich, mimo że on studiował chemię i petrochemię w Warszawie i w Bukareszcie, a ja byłem studentem Państwowej Wyższej Szkoły Muzycznej w Krakowie. Ze Staszkiem Kruszyńskim, kolegą z jednej ławki, urządzaliśmy wycieczki rowerowe po okolicach Dębicy. Ułatwialiśmy sobie nieraz szkolny żywot w ten sposób, że on udostępniał mi swoje zadania domowe z matematyki, a ja mu w zamian z rosyjskiego czy angielskiego. Wspólny język znajdowałem z Bogusiem Rolkiem, który również, podobnie jak ja, dojeżdżał przez pewien czas do szkoły muzycznej do Rzeszowa. Pamiętam rozciągające się na całe kwadrans powroty po lekcjach z Krzyśkiem Gągulskim, Jackiem Gąsiorem, Antkiem Szlachtą czy Zbyszkiem Mazurem. Bliżej kolegowałem się również z Markiem Berezowskim, mile wspominam Antka Kmiecika. Z koleżankami moje relacje też na ogół były dobre. Bywały i konkretnie ukierunkowane sympatie, które jednak nie znalazły okazji, aby się wyraźniej uzewnętrznić.



Profesor Zdzisław Czerny



Profesor Piotr Rybka



Grono profesorskie przez cztery lata mojego pobytu w liceum było w zasadzie ustabilizowane. Uczyli mnie następujący profesorowie: języka polskiego – Irena Janda, historii – Stanisława Gawryś i Edmund Galas, matematyki – Władysław Kulig, chemii – Piotr Rybka, geografii i astronomii – Zdzisław Czerny, języka rosyjskiego – Józef Nowak, angielskiego – Eugenia Skibowa, propedeutyki filozofii – dyrektor Wiktor Pietrzykowski, przysposobienia obronnego oraz nauki o Polsce i świecie współczesnym – Stefan Dziepak, wychowania fizycznego i zajęć technicznych – Andrzej Mol. Mając główny obiekt zainteresowania w muzyce, nie faworyzowałem specjalnie żadnego z przedmiotów licealnych. Żaden też nie sprawiał mi większych trudności. Stąd też zapewne nie przeżywałem jakoś silniej emocjonalnie kontaktów z profesorami, zarówno w sensie pozytywnym, jak i negatywnym. Jednak kilkoro z nich utrwaliło się szczególnie w mojej pamięci. Z uznaniem i szacunkiem wspominam dyrektora Pietrzykowskiego. Sposób, w jaki uczył propedeutyki filozofii, bez tendencyjnych przerysowań, naświetlając problemy z różnych stron, umiejętnie wywołując dyskusje w klasie, świadczył w naszych oczach o jego dużej wiedzy o przedmiocie, o takcie i talencie pedagogicznym. Jako dyrektor wzbudzał respekt, ale i sympatię. Ogólną sympatią uczniów cieszyli się profesorowie Czerny i Rybka za ich dobroduszość i miły sposób prowadzenia lekcji. Osobiście miło wspominam lekcje historii z profesor Gawrysiową i z rosyjskiego z profesorem Nowakiem. Utkwiły mi w pamięci lekcje języka polskiego z profesor Jandową, która, chcąc wdrożyć nas do samodzielnej pracy, lekcje poświęcała na odpytywanie zadanego materiału, od czasu do czasu jedynie jakieś kwestie rozwijając czy wyjaśniając. Dużym i miłym zaskoczeniem był dla nas jedyny bodajże wykład w czasie jej pracy z nami – wykład z gramatyki z materiału, którego zdaje się nie było w podręczniku.

Dziś, mając za sobą dziesięć lat pracy pedagogicznej w kilku szkołach i poznawszy z różnych stron problematykę pracy szkoły, muszę z całą odpowiedzialnością przyznać wszystkim moim pedagogom licealnym ogromną rzetelność ich pracy. Pragnę im za to jeszcze raz serdecznie podziękować...

Olsztyn, sierpień 1979 r.



LIDIA GÓRSKA

„Zostało parę płyt...”

wspomnienie o prof. Zdzisławie Grundboeck (1919 – 2011)

W tę podróż wybierała się już dawno i można rzec, że była do niej dobrze przygotowana. Jakby na nią czekała, tak jak czeka każdy podróżny na opóźniający się pociąg. Parę lat temu powiedziała: „Bóg chyba o mnie zapomniał, bo co ja jeszcze tu robię”.

Nie zapomniał Bóg, może jedynie przedłużał jej obecność wśród nas, abyśmy zrozumieli coś, co do nas dociera teraz ze zdwojoną mocą. Być może chodziło o to, aby każdy uświadomił sobie, że ci, których spotykamy na co dzień są częścią naszego życia, coś w nie wnoszą i czegoś nas uczą.

ZAWSZE PO IMIENIU

Pozostało parę starych winylowych płyt z walcami i tangami, cisza sali gimnastycznej i wdzięczne wspomnienie Jej uśmiechu, życzliwości, wyważonego i taktownego żartu oraz świadomość, jak bardzo jej na nas zależało, jak dbała o to, abyśmy się nie garbiły i umiały uwierzyć, że każde ćwiczenie jest do wykonania, nawet jeśli na początku trudno i ciężko.

Zawsze zwracała się do nas po imieniu, tak serdecznie, umiając dostrzec całą grupę i każdą uczennicę z osobna. Dla każdej z nas miała życzliwe słowo.

Do dziś niektóre koleżanki mają schowane na pamiątkę bluzeczki, które obowiązywały na zajęciach. Szyłyśmy je według jednego wzoru z płócienka, miały z boku wyhaftowane nićmi nasze nazwiska i pierwszą literę imienia.



Profesor Zdzisława Grundboeck
w czasie zajęć wychowania fizycznego



JESTEŚCIE DZIEWCZĘTAMI

Zajęcia zaczynały się od zbiórki, w czasie której miałyśmy przegląd bluzek. Musiały być wyprane i wykrochmalone na każde zajęcia.

Uśmiecham się do tamtych czasów, gdy widzę jak stoimy jednakowe. W mojej pamięci zachowała się Pani Profesor w nienagannej, czystej, białej bluzce lub dresie. Dziś wiem, że nasz strój dawał poczucie świeżości, a poza tym podkreślał rangę przedmiotu.

Sala gimnastyczna była zawsze przygotowana do zajęć. Do obowiązków dyżurnych należało zetrzeć podłogę na mokro. W ten sposób nie unosił się kurz i zapach pozostawiony po poprzednich zajęciach.

Po latach, gdy wchodzi się do starej sali gimnastycznej, ożywają w pamięci słowa Pani Profesor: „Jesteście dziewczętami, pamiętajcie o tym, że elegancja i godność kobiety obowiązuje nawet na wuefie”.



Zajęcia wychowania fizycznego profesor Zdzistawy Grundboeck



Nigdy nie zapomnę lekcji tańca, które prowadziła. Dzięki niej nauczyłam się tańczyć. Zachowały się do dziś płyty winylowe z utworami, które towarzyszyły nam w czasie tych zajęć.

UŚMIECH TAK DELIKATNY...

Kiedyś, gdy po latach, zachodziłam do Niej na pogaduszki, planowałyśmy, że urządzimy sobie wieczór wspomnień przy tych płytach. Uśmiechała się przy tym lekko i mówiła: „Stare, dobre czasy”, a potem spoglądała przez okno na podwórko i milczała.

O czym wtedy myślała? O zmianach, jakie niosą kolejne lata w naszej szkole, te bez niej?

W ostatnich dniach choroby była myślami przy swoich uczennicach i wyrażała troskę o te, które się lekko ubierają i nie dbają o zdrowie. Zachowała pamięć i przytomność do samego końca.

Nie pamiętam jej nigdy złej, rozgniewanej czy krzyczącej na młodzież. Pamiętam uśmiech, delikatny i jakby w zamyśleniu. Gdy kierowała go w stronę swego rozmówcy, zawsze patrzyła mu w oczy.



MARTWIŁA SIĘ O OGRÓD

Pełna pokory, pogodzona z losem, z tym, co nieuchronne, przebywała od czasu do czasu w Domu Opieki w Parkoszu. Z uśmiechem pokazywała przez okno psa, który pojawiał się w ogrodzie. „Popatrz – mówiła – nawet pies z kulawą nogą tu do mnie zagląda. Nie jest tak źle”.

Martwiła się o ogród, który przecież trzeba przygotować na wiosnę i tęskniła za nim, gdy przebywała poza domem. Jedna z pielęgniarek zapytała potem: „Kim jest ta starsza pani, która tak ładnie buduje zdania i potrafi tak kulturalnie rozmawiać ze wszystkimi?”.

Mówiła piękną polszczyzną. Było w rozmowie z Nią coś ze świadomości, że rozmawia się ze swoją dawną Profesorką, ale jednocześnie jakby ze starszą przyjaciółką, która rozumiała, umiała doradzić.

Była szczerą i serdeczną, a jednocześnie bardzo skrupowana tym, że czasem musi poprosić o pomoc. Prosiła niechętnie i tylko wtedy, gdy już naprawdę musiała, a potem szybko dodawała: „Idź już, idź dziecko, masz swoje sprawy”.

ZAWSZE MIAŁA SMAKOŁYK

Była bardzo wrażliwa na krzywdę innych, na choroby, choć przecież jej samej życie nie rozpieszczało, a przy tym odważna w obronie swojego stanowiska i bardzo taktowna.

Dla kogoś, kto nie znał Pani Profesor, niektóre rzeczy były może dziwne lub niezrozumiałe, śmieszyły może lub po prostu drażniły. Czasami wzbudzały ludzką ciekawość. Ale wszystko polegało na chęci jej poznania, porozmawiania.

Dla zagląających do niej czasem po sąsiedzku dziewcząt i chłopców zawsze miała jakiś smakołyk, a kiedy mówili, że nie trzeba, mawiała: „Wam teraz, moi drodzy, nie jest lekko”.

TAKIE Z CIEBIE BYŁO CHUCHERKO...

Na pamiątkowym filmie nakręconym kilkanaście lat temu z okazji spotkania rocznika 1979 na dwudziestolecie matury, jest pogodna i szczerze szczęśliwa.



Pamięta nas wszystkich po latach, choć uczyła przede wszystkim dziewczęta. Patrzy z niedowierzaniem, że to już tyle lat, a przecież jakby wczoraj prowadziła z nami zajęcia. „Nie do wiary – to Ty?! No popatrz, a takie z ciebie było chucherko. Ale kulą dobrze rzucałaś...”.

Patrzę na uśmiechniętą twarz Profesorki i myślę, że świeci gdzieś tam na jakiejś gwiazdzie, może nawet czeka na nas z herbatą, a kiedy do niej dołączymy, włączy adapter z walcami Straussa...



Lidia Górka – autorka wspomnień – była uczennicą prof. Zdzisławy Grundboeck w Liceum Ogólnokształcącym im. Króla Władysława Jagiełły w Dębicy w latach 1974 – 1979.



MARIAN GRUNDBOECK

„Moje spotkania z dębickim gimnazjum”

wspomnienia z lat 1929 – 2000

SPOTKANIE PIERWSZE – 1929 ROK

Do budynku Państwowego Gimnazjum w Dębicy przyszedłem jako sześciolatek, a właściwie nie przyszedłem, ale zostałem przyprowadzony przez moją starszą siostrę, Marysię. Sam bałbym się iść ulicami miasteczka, choć przechodniom nie zagrażały tam bardzo liczne samochody czy rzadko ukazujące się wozy ciągnięte przez woły lub konie. Nie bałem się też brzęczących ostrogami żołnierzy XX Pułku Ułanów, boso chodzącej po ulicach ubogiej ludności oraz przejeżdżających kolorowymi wozami taborów cygańskich. Bałem się Żydów! Byli oni ubrani zwykle na czarno, nosili długie brody, mieli pejsy nad uszami i mówili niezrozumiałym dla mnie językiem jidysz.

Gimnazjum było wówczas głównym ośrodkiem intelektualnym prowincjonalnego miasteczka byłej Galicji, miasteczka biednego, bo bieda spowodowana kryzysem ekonomicznym panowała wówczas w Europie i w Ameryce. Budynek gimnazjum był dwupiętrowy, solidnie zbudowany przed 22 laty, a na jego frontowej elewacji widniał napis: GIMNAZYUM MCMVII.

Pod napisem spod szarej farby wyzierał niedawno zamalowany dwugłowy austriacki orzeł i litery CK świadczące, że była to wcześniej szkoła cesarsko – królewska. W budynku tym oprócz męskiego gimnazjum mieściło się Żeńskie Seminarium Nauczycielskie, przy którym zorganizowano niewielką szkołę ćwiczeń, by przyszłe nauczycielki w zajęciach z dziećmi nabywały rutyny pedagogicznej. Ja zostałem jednym z uczniów tej szkoły, popularnie zwanej „ćwiczeniówką”. Do dziś zachowało się zdjęcie naszych pierwszoklasistów. Wśród siedzących rozpoznaję, patrząc od lewej: Tadzia Szutryka, Staszka Palucha, Stasia Ptaszyka, Józję Szybalską, Marysię Zachwiejównę, Manka Gotza, Jurka Strużyńskiego i Stefka Jakubińskiego. Za nimi stoją: Zbyszek Filipek, Rysio Piotrowski, Kazik Kemmer i ja- Maniek Grundboeck. Czuwa nad nami nasza nauczycielka i opiekunka, pani Tenczyszyn wraz z dyrektorem seminarium, panem Ptaszykiem.



Moja czarna, ceratowa teczka, z którą chodziłem do szkoły, nie była ciężka. Wkładałem do niej tylko elementarz, cienki liniowany zeszyt do nauki pisania oraz drewniany piórnik, zawierający ołówek i gumkę. Do pisania nie używałem już łupkowej tabliczki i rysika, jak mój o dwa lata starszy brat. Program klasy pierwszej obejmował nieliczne przedmioty: język polski, rachunki, religię, rysunki, śpiew i gimnastykę. Codziennie, także w soboty, mieliśmy dwie lub trzy godziny nauki.

W czasie przerw z zachwytem i respektem przyglądaliśmy się przez płot biegającym i grającym w piłkę na podwórzu szkolnym uczniom gimnazjum, których nazywano studentami. Nosili oni granatowe, długie spodnie i granatowe marynarki ze stojącymi kołnierzykami, na których srebrne lub złote paski oznaczały rok nauki. Pierwsiacy mieli jeden srebrny pasek, a studenci z ósmej klasy cztery złote. Na ich granatowych rogatywkach z błyszczącym daszkiem widniała srebrna litera G. Bieganie i krzyki na podwórzu czasem przygasały, co świadczyło o pojawieniu się dyrektora gimnazjum, ks. Błażeja Kotfisa.

Uczennice seminarium i nasza dziecięca grupka nie kontaktowały się ze studentami. W czasie przerw wychodziliśmy boczną bramą na małą uliczkę, zwaną obecnie ulicą Profesora Tadeusza Gawrysia. Nie pamiętam, by ktoś tą uliczką kiedykolwiek przejeżdżał. Tuż za płotem gimnazjum rozciągały się w kierunku południowym tylko szerokie pola i ugory, obramowane na horyzoncie pierwszymi wzniesieniami Pogórza Karpackiego.

Po jednorocznej nauce „ćwiczeniówkę” zlikwidowano, a niedługo później również seminarium. Tak zakończył się mój pierwszy kontakt z gimnazjum.

SPOTKANIE DRUGIE – 1932 ROK

Spotkanie to miał charakter obserwacji zza płotu. Moja mama bowiem z wiosną wymienionego roku rozpoczęła budowę domu w odległości zaledwie kilku metrów od posesji gimnazjum. Z wysokości coraz to bardziej rosnących murów miałem więc doskonały wgląd na podwórze gimnazjalne. W obserwacjach nie przeszkadzał mi żywopłot, który wówczas zasadził wzdłuż granicznej linii profesor biologii, Grzegorz Bobiak, przy pomocy kilku studentów. A na podwórzu można było ujrzeć wiele nowości. W 1932 roku dokonywała się w Polsce reforma systemu oświaty, której głównym twórcą był Janusz Jędrzejewicz, minister wyznań religijnych i oświecenia publicznego.



Ośmioklasowe gimnazjum męskie przeobraziło się w koedukacyjne czteroklasowe gimnazjum, a kontynuację nauki umożliwiało dwuletnie liceum, którego program był sprofilowany. Dębiccy uczniowie mogli wybierać między liceum typu humanistycznego i przyrodniczego. Zmieniły się też mundurki szkolne. Męską rogatywkę zastąpiła okrągła czapka ze srebrnym kagankiem oświaty. Wysokie kołnierze zniknęły, a pojawiły się granatowe krawaty. Nowy mundurek nie uwidaczniał, do której klasy uczęszcza uczeń, ale umożliwiał rozróżnienie gimnazjalistów i licealistów. Pierwsi mieli niebieskie wypustki w mundurkach i takiego samego koloru tarcze na ramieniu z numerem gimnazjum: 352. U licealistów wypustki i tarcze były amarantowe. Dziewczęta, podobnie jak chłopcy, miały granatowy strój: na głowie beret z kagankiem oświaty, bluzkę z długimi rękawami i plisowaną spódnicę. Rajstopy nie były wówczas znane, więc w szczególnych sytuacjach można było ujrzeć tylko kawałek podwiązki. Również w gronie pedagogicznym nastąpiły zmiany. Na stanowisku dyrektora ks. Błażeja Kotfisa zastąpił Franciszek Sadowski, a nowym prefektem został ks. Wilhelm Boczek.

Ja oczywiście najbardziej byłem zainteresowany chłopcami kopiącymi piłkę lub grającymi w palanta, grę wówczas bardzo pospolitą, a dziś zapomnianą. Wiele emocji dostarczała mi też dęta orkiestra gimnazjalna, która w każdą niedzielę szła na czele pochodu uczniów gimnazjum do kościoła.

SPOTKANIE TRZECIE –1935 ROK

Po ukończeniu szóstej klasy szkoły powszechnej złożyłem podanie o przyjęcie mnie do gimnazjum. Wszyscy kandydaci przybyli na egzamin wstępny z czarnymi opaskami na ramieniu, ponieważ trwała żałoba narodu po niedawnej śmierci Marszałka Józefa Piłsudskiego. Egzamin złożyłem pomyślnie i znalazłem się w gronie uczniów gimnazjum, do którego uczęszczał już mój starszy brat, Kazimierz, nazywany Jankiem oraz siostra Zdzisława, obydwójce trzecioklasiści.

Gdy znalazłem się pierwszy raz w klasie, uderzyła mnie ostra granica między społecznościami dziewcząt i chłopców, którym dotąd obca była koedukacja. Dziewczęta zajęły lewą połowę sali, chłopcy prawą i patrzyliśmy na siebie bacznie, ale nieufnie, jak na zwierzęta nieznanego gatunku. Granica ta jednak powoli zaczęła się zacierać. Głównie przyczynił się do tego profesor biologii,



Ryszard Christoff, który podzielił klasę na kilkusobowe mieszane grupy, polecając na początek dokonywanie wspólnych obserwacji pszczół w pasiece. Poszliśmy oczywiście do pasieki, ale więcej przyglądaliśmy się sobie niż pszczołom, stwierdzając przy okazji, iż lokatorki ula mają żądkło.

Opiekunem i wychowawcą naszej klasy był profesor Stanisław Marcisz, nauczyciel łaciny, pedagog nowoczesny, po koleżeńsku odnoszący się do uczniów. Nadto był żarliwym socjalistą, z czym się nie krył. Nie uczył on jednak łaciny naszej klasy. Funkcję tę pełnił profesor Bronisław Nagawiecki, który, wchodząc do klasy, pozdrawiał nas słowami: „Salvete pueri!” A my odpowiadaliśmy chórem „Salve magister noster!”. W arkana matematyki wprowadzał nas sam dyrektor gimnazjum, Franciszek Sadowski. Naszym germanistą był Józef Cięciel, nauczyciel starego formatu, który prowadził lekcje w języku polskim, ale zadawał nam dużo ćwiczeń gramatycznych i wiele wierszy musieliśmy nauczyć się na pamięć. Wieczorem można go było ujrzeć, jak w roboczym ubraniu, w dużym kapeluszu i na bosaka pędził do domu z pastwiska dwie krowy. Prefektem gimnazjum, uczącym nas religii, był ks. Teofil Dec, wysoki, przystojny i dystyngowany. Lekcje rysunków i śpiewu odbywały się równocześnie, oczywiście w oddzielnych salach. Uczniowie w zależności od zamiłowania i zdolności mogli wybrać tylko jeden z tych przedmiotów.

Rano, przed rozpoczęciem nauki, uczniowie wszystkich klas uczestniczyli w kilkunastominutowych ćwiczeniach gimnastycznych na podwórzu gimnazjalnym. Po ich zakończeniu wspólnie śpiewaliśmy pieśń „Pod Twą obronę ojczyzna na niebie...”, a następnie udawaliśmy się do klas. Nauka rozpoczynała się od wspólnej modlitwy: „Duchu Święty, który oświecasz serca i umysły nasze, dodaj nam ochoty i zdolności, aby ta nauka była dla nas z pożytkiem doczesnym i wiecznym, przez Chrystusa Pana naszego. Mario, Królowo Korony Polskiej, módl się za nami”. Kilka godzin później lekcje też kończyliśmy modlitwą: „Dzięki Ci, Boże, za światło tej nauki. Pragniemy, abyśmy nią oświeceni mogli Cię zawsze wielbić i wolę Twoją wypełniać. Przez Chrystusa Pana naszego. Amen”. W połowie każdej lekcji słychać było dźwięk dzwonka. Nauczyciel wówczas przerywał lekcję na dwie minuty, a uczniowie wstawali i wykonywali rękami oraz górną połową ciała kilka ćwiczeń gimnastycznych.

Gdy skończył się rok szkolny, pożegnałem koleżanki i kolegów oraz dębickie gimnazjalne mury, ponieważ zostałem przyjęty do Korpusu Kadetów nr 2 w Rawiczu.



SPOTKANIE CZWARTE – 1939 ROK

Po wrześniowej klęsce znalazłem się znów w Dębicy, która, podobnie jak cała zachodnia część kraju, znalazła się pod okupacją niemiecką. Mój kadeccki mundur stracił swój blask. Nawet srebrne guziki z Orłem zastąpiłem czarnymi, by nie zwracać na siebie uwagi żołnierzy niemieckich, dumnie kroczących ulicami miasta. Uczestniczyłem wraz z całym narodem w goryczy klęski i upokorzenia. Pocieszaliśmy się jednak, „że to tylko do wiosny”.

W ostatnich dniach września Państwowe Gimnazjum i Liceum w Dębicy wznowiło naukę według programów przedwojennych, więc zapisałem się do czwartej klasy, by nie tracić cennego czasu. Ponieważ budynek gimnazjum zajęty był przez niemieckie wojsko, nasze lekcje odbywały się po południu w budynku szkoły powszechnej, do której uczęszczałem jeszcze kilka lat temu. Znów spotkałem wielu dawnych dębickich kolegów, ale znalazły się też „nowe twarze”, które wojenne losy rzuciły do naszego miasta. Funkcję dyrektora gimnazjum nadal pełnił Franciszek Sadowski, prefektem był wciąż ks. Teofil Dec, ale wśród profesorów brakło matematyka, Ludwika Kity, którego zabiła jedna z niemieckich bomb, jakie spadły na Dębicę podczas pierwszego nalotu.

Pod koniec października, na mocy zarządzenia władz niemieckich, nastąpiło zamknięcie szkoły. Zgodnie z opracowanymi już planami eksterminacji polskiej inteligencji, okupant uznał, że Polakom nie potrzeba nie tylko wyższych uczelni, lecz również ogólnokształcących szkół średnich. I tak zakończyło się moje czwarte spotkanie z dębickim gimnazjum.

SPOTKANIE PIĄTE – 1940 ROK

Z początkiem roku Szkoła Handlowa w Dębicy zorganizowała naukę w ramach jednorocznych kursów, które w swym programie prócz przedmiotów handlowych zawierały przedmioty ogólnokształcące na poziomie określonych klas gimnazjum. Nauczycielami byli tu przeważnie dotychczasowi profesorowie gimnazjalni, choć często musieli oni zmienić swą specjalność. I tak: łacinnik, mgr Stanisław Marcisz uczył stenografii, a chemik, inżynier Władysław Zieliński wykładał towaroznawstwo. Pojawiły się też „nowe twarze”: Helena Sala pełniąca funkcję dyrektora szkoły, Franciszek Dwornik – fizyk, doktor Zofia Bastgen – germanistka i polonistka, Maria Śnieżkówna – romanistka, Stanisław Kobosowicz – filolog klasyczny i inni. Uczestniczyłem



w dwóch takich jednorocznych kursach. W szkole nie ograniczaliśmy się tylko do nauki. Z miesiąca na miesiąc krzewiła się tu coraz bardziej działalność konspiracyjna. Z początkiem 1940 roku zostałem wprowadzony do Szarych Szeregów. Zaprzysiężenie mnie nastąpiło w sali szkolnej przed lekcjami.

Jednym z naszych kolegów szkolnych był Ziutek Szczepański, poeta wciąż piszący wiersze. Cztery lata później napisał on słowa warszawskiej, powstańczej pieśni „Pałacyk Michła, Żytnia Wola”. Będąc dowódcą plutonu w batalionie „Parasol”, poległ on w powstaniu warszawskim w 1944 roku.

Budynek gimnazjalny w czasie okupacji nie służył nauce. Początkowo był wykorzystywany przez wojsko jako koszary, a później stanowił siedzibę starostwa. Napis GIMNAZYUM został zastąpiony „niemiecką wroną”, trzymającą w pazurach swastykę.

SPOTKANIE SZÓSTE – 1945 ROK

Na spotkanie przyszedłem z dużym bagażem życiowych i wojennych przeżyć. Miałem już 22 lata i doświadczyłem zarobkowej działalności w różnych zawodach: księgowy objeżdżający rowerem małe sklepiki w Dębicy i w Pilźnie, pracownik poczty, jako robotnik rolny wyspecjalizowany zwłaszcza w młóceniu cepem, producent butów ze słomy, a w razie potrzeby korepetytor z matematyki, języka polskiego, niemieckiego i łaciny. Nadto miałem za sobą działalność konspiracyjną w Szarych Szeregach oraz w dębickim obwodzie „Deser” Armii Krajowej, a jako żołnierz AK uczestniczyłem w walkach partyzanckich w „Akcji Burza”.



Wygląd szkoły w 1945 roku



Gdy w kwietniu 1945 roku wchodziłem w mury gimnazjalne, budynek był w opłakanym stanie. W jego zachodniej ścianie widniały ogromne wyrwy spowodowane przez artylerię niemiecką. Dach był znacznie uszkodzony i brakowało w oknach szyb. Nadto sale były beładnie zawałone sprzętem biurowym i poniemieckimi aktami zmieszanymi z gruzem. Kilkanaście sal było jednak doprowadzonych do porządku i tam odbywała się nauka. Ja zapisałem się na skrócony kurs licealny.

Zarówno ja, jak i moi koledzy o podobnej przeszłości, nieswojo czuliśmy się w szkolnych ławach. Najbardziej zszokowani czuli się ci, którzy we wchodzącym do klasy nauczycielu rozpoznawali byłego podwładnego z pracy lub działalności konspiracyjnej. Za przykład niech tu posłuży nauczycielka Helena Leyko i jej były szef z Buchhaltersbüro, a po wojnie uczeń liceum, Kazik Wasilewski. Ale mimo wszystko czuliśmy zapał do nauki, chociaż powrót do niej wymagał wielkiego wysiłku. Najtrudniejsze było to, że trzeba było przestawić się psychicznie. Nadto mieliśmy bardzo niewiele podręczników. Brakujące zeszyty zastępowaliśmy zalegającymi we wszystkich kątach gimnazjum niemieckimi pismami urzędowymi, kończącymi się niezmiennie formułą: Heil Hitler! Trudności jednak przezwyciężyliśmy. Nie przeszkadzało nam nawet, iż w naszej klasie, liczącej ponad dwudziestu uczniów, część z nich realizowała program liceum typu humanistycznego, a część typu przyrodniczego.

Funkcję dyrektora gimnazjum znów piastował Franciszek Sadowski. Języka polskiego uczyła nas elegancka brunetka, Irena Stalowa, biologii – Cecylia Dwornik, wdowa po niedawno zabitym w trakcie działań wojennych Franciszku, matematyki – Józef Wiercioch, którego można było scharakteryzować krótko słowami: „równy chłop”, historii – Zofia Hołubowicz, wielka działaczka partyjna, religii – ks. Teofil Dec, filozof, esteta, a zajęcia wychowania fizycznego z dziewczętami prowadziła moja siostra, Zdzisława Grundboeck.

Dnia 9 maja usłyszeliśmy niezwykłą strzelaninę dookoła gimnazjum. Zaskoczyło to nas, bo walki frontowe z Niemcami toczyły się już koło Wrocławia i Berlina. I wtedy usłyszeliśmy okrzyki: „POBIEDA!”. To żołnierze sowieccy tak hucznie świętowali kapitulację Niemiec. Nam jednak nie przechodziło przez usta słowo zwycięstwo. Nie o takim zwycięstwie marzyliśmy, ale niewątpliwie odetchnęliśmy, że wojnę mamy już za sobą i wciąż jesteśmy żywi!

Egzamin dojrzałości zdałem w dniu moich urodzin, 8 lutego 1946 roku.



Mając w kieszeni świadectwo maturalne z samymi bardzo dobrymi ocenami, bezpłatny repatriacyjny bilet kolejowy oraz zapas gotówki, wystarczający na zakup 20 bochenków chleba, ruszyłem do Wrocławia na wyższe studia.

SPOTKANIE SIÓDME – 1980 ROK I ÓSME -1995 ROK

Spotkania te, to dwa zjazdy absolwentów z okazji 80. i 95. rocznicy powstania szkoły. Na pierwszy z nich licznie przybywają z całego kraju przedwojenni i powojenni wychowankowie dębickiej Alma Mater. Aula nie może pomieścić uczestników i tylko na podwórzu możemy się w całej masie pooglądać. Seniorem spotkania jest ks. Teofil Dec, jak dawniej wyprostowany i z wielką godnością na twarzy. Mamy okazję do serdecznych powitań koleżeńskich, wspomnienia dawnych zdarzeń oraz tych, którzy odeszli. W oficjalnych przemówieniach jest trochę akcentów politycznych, słów o Polsce Ludowej i socjalizmie, ale uczestnicy zjazdu rozumieją, iż „co cesarskie, trzeba oddać cesarzowi”.

Zjazd, który się odbył 15 lat później, był znacznie mniej liczny. Powojennych absolwentów prawie nie widać. Ale jest wśród nas ks. Teofil Dec, zawsze ten sam, tylko w okularach. O Polsce Ludowej i budowie socjalizmu nikt już nie wspomina, bo rozpoczął się nowy rozdział w historii Polski, zatytułowany: SOLIDARNOŚĆ.

REFLEKSJE PO 70 LATACH

Przez wiele lat, począwszy od dzieciństwa, trwałem w ciągłym kontakcie z dębickim gimnazjum. Mieszkałem w bezpośrednim sąsiedztwie podwórza szkolnego, po całych dniach dochodziły mnie stamtąd odgłosy porannej gimnastyki, lekcji wychowania fizycznego, gry w palanta i piłkę nożną, zbiórek harcerskich, uroczystości szkolnych i spotkań niedzielnych przed wymarszem do kościoła przy dźwiękach orkiestry. Po każdej lekcji tercjan gimnazjalny, Jan Ciurkot, ogłaszał ręcznym dzwonkiem przerwę, w czasie której podwórze rozbrzmiewało gwarem rozmów i śmiechem. Po następnym dzwonku wracał na podwórze spokój. Nie byłem świadkiem pierwszych 30 lat działalności gimnazjum, które przypadły na koniec okresu władania monarchii austriacko – węgierskiej, na czas wojny i pierwsze lata niepodległej Polski. Ale losy gimnazjum z tamtych lat nie były mi obce, bo często były one przedmiotem rozmów rodzinnych. Padały nazwiska pierwszych pedagogów: Tadeusza Gawrysia,



który w mundurze legionisty poległ za Polskę, wspianego dyrektora, Józefa Szydłowskiego, profesorów: Arseniego Dorożyńskiego, Jana Leśniaka, Józefa Wyrobka i innych.

Niektórzy uczniowie gimnazjum szczególnie utkwili mi w pamięci. Należał do nich Wilhelm Mach, który był już w klasie maturalnej, gdy ja byłem pierwszoklasistą. Był on niewysokiego wzrostu, ale miał dużą głowę i badawczo patrzące oczy. Na przerwach nie dokazywał, lecz spokojnie stał gdzieś na boku i obserwował otoczenie. Pełnił on funkcję redaktora czasopisma gimnazjalnego „U nas”, sam publikując w nim wiele wierszy i artykułów pisanych prozą. Niewątpliwie przygotowywał się on w ten sposób do późniejszej działalności powieściopisarskiej.

Innym uczniem, już powojennym, któremu była pisana wielka kariera, był Krzysztof Penderecki. Przypominam sobie tylko jedno z nim spotkanie z tego okresu. Było to w lecie 1945 roku na obozie harcerskim w Okoninie koło Dębicy. Przyszły Maestro nie miał w ręku żadnego instrumentu muzycznego tylko karabin, podobnie jak inni druhowie. Takie to były czasy, że nawet małolaty bez broni obyć się nie mogły.

Kontakty moje z gimnazjum i liceum dębickim szybko zaczęły się rwać i zanikać po 1946 roku, gdy wyjechałem do Wrocławia. Kolejne pokolenia profesorów poznawałem coraz mniej. Gdy teraz wchodzę do budynku licealnego, jestem postrzegany jako nietutejszy. A tak naprawdę to ja jestem tutejszy, tylko z innej epoki.

DOPISEK: SPOTKANIE DZIEWIĄTE – 2000 ROK

Powyższy referat wygłosiłem w trakcie trzydniowych uroczystości poświęconych stułetniej rocznicy założenia Państwowego Gimnazjum i Liceum Ogólnokształcącego w Dębicy. Zdarzenia zbiegające się z moim wystąpieniem oraz zachodzące w dwóch następnych dniach dostarczyły materiału do następnego rozdziału moich wspomnień, noszącego tytuł: „Spotkanie dziewiąte -2000 rok”. Główne miejsce w programie jubileuszu 100-lecia szkoły zajmował zjazd absolwentów obejmujący wszystkie pokolenia wychowanków szkoły, począwszy od tych najstarszych. Pierwszy dzień jednak poświęcony był przede wszystkim obecnym uczniom liceum i do nich kierowałem swoje wspomnienia.



Uroczystości rozpoczęły się dnia 16 czerwca 2000 roku od sesji popularno-naukowej na temat historii Liceum Ogólnokształcącego im. Króla Władysława Jagiełły w Dębicy. Po wygłoszeniu przez uczniów kilku referatów obrazujących dzieje szkoły począwszy od jej założenia w 1900 roku, zabrało głos paru starszych absolwentów, którzy podzielili się z obecnymi swoimi refleksjami i wspomnieniami z dawnych lat. Ja byłem jednym z nich. Sesja zakończyła się częścią artystyczną obejmującą popisy wokalne i taneczne młodzieży, przy czynnym współudziale dyrektora szkoły, który nawet włączył się do zespołu młodzieżowego, tańcząc na scenie poloneza.

Dalszym punktem programu był finał konkursu dotyczącego patrona szkoły. W południe uformował się pochód, który przeszedł z budynku licealnego na Stary Cmentarz. Uczestnicy, głównie młodzież liceum, wzięli udział w apelu poświęconym zmarłym nauczycielom i wychowankom szkoły. Czy te nazwiska dawno zmarłych nauczycieli coś mówią obecnej młodzieży i z czymś się kojarzą? Niektórych i ja, stary człowiek, już nie pamiętam: Józefa Szydłowskiego, Areseniego Dorożyńskiego, Jana Leśniaka, Józefa Wyrobka... Ale wciąż mam w żywej pamięci spoczywających na tym cmentarzu profesorów: Ryszarda Christoffa, Józefa Cięciela, ks. Teofila Deca, Kazimierza Klamuta, ks. Błażeja Kotfisa, dwóch Nagawieckich: Bronisława i Stanisława, Mariana Palucha, Piotra Passowicza, Michała Skibę, Jana Szczerbę, Stanisława Wiśniewskiego i dwóch Władysławów Zielińskich. A do wymienionego szeregu nazwisk dochodzi dalszy, tych, którzy zmarli później. Wielu z nich ja już nie znałem, ale na pewno pamiętają o nich ci młodszy. Apel przywołuje też nazwiska wielu naszych starszych i młodszych kolegów. Niektórzy z nich polegli na polach bitew ostatniej wojny lub zginęli z ręki okupanta. Cześć ich pamięci!

Następnego dnia, w sobotę, rozpoczyna się zjazd absolwentów. Już od godziny ósmej schodzą się uczestnicy do budynku licealnego, gdzie oczekują na nich materiały zjazdowe. Wyróżnia się wśród nich monografia Liceum Ogólnokształcącego w Dębicy opracowana przez Anetę Kwolek. Książka ta przedstawia w czterech rozdziałach stuletnie dzieje szkoły, a liczne aneksy zawierają wykazy nauczycieli i absolwentów oraz osiągnięcia uczniów w olimpiadach naukowych. Liczne zdjęcia ilustrują historię gimnazjum i liceum oraz przedstawiają luminarzy szkoły.

Przed godziną dziesiątą do budynku przybywa Jego Ekscelencja, ks. biskup Wiktor Skworc, ordynariusz tarnowski. Dostojnego gościa wita dyrektor



liceum, Ryszard Pękala i prowadzi do auli szczerze wypełnionej uczestnikami zjazdu. Następuje oficjalne powitanie gościa, po którym wygłasza on okolicznościowe przemówienie. Młoda twarz Ekszelencji kontrastuje z włosami poproszonymi siwizną. Ma on na sobie czarną sutannę z purpurowymi wypustkami i guzikami i amarantowy pas. Z szyi zwisa mu duży srebrny krzyż. Słowa ks. biskupa są adekwatne do napisu wiszącego nad jego głową: „Liceum Ogólnokształcące w Dębicy u progu wieku zakwitło, jego sława trwa do dziś...”.

Następnym punktem porządku dziennego jest odsłonięcie tablicy wyrażającej hołd społeczeństwa powiatu dębickiego wybitnym pedagogom i absolwentom tutejszego gimnazjum i liceum. W uroczystości bierze udział kilka pocztów sztandarowych, wśród których wyróżnia się sztandar liceum z białym Gryfem na czerwonym polu oraz dwa sztandary Armii Krajowej: ten historyczny, pamiętający wojnę oraz sztandar Światowego Związku Żołnierzy AK, okręg Dębica.

Następnie zebrani formują pochód podążający do najstarszego dębickiego kościoła p.w. św. Jadwigi. Ze wzruszeniem wkraczam w te stare, gotyckie mury. Patrzą na chrzcielnicę, przy której przyjąłem swój pierwszy sakrament. Z drugiej strony barokowa ambona z obrazem św. Jana Ewangelisty, znana mi od 70 lat. W głównym ołtarzu obraz św. Jadwigi, patronki kościoła i parafii. Na lewo od niego błyszcząca srebrem i złotem figura Matki Boskiej, a na prawo figura św. Jana. Ta dostojna asysta Świętej to pozostałość z dawnych lat, gdy w ołtarzu nie było jeszcze obecnego obrazu, ale duży Krzyż Chrystusowy. Na prawo od ołtarza witraż z obrazem Serca Jezusowego. I to okno też ma swoją historię, już chyba całkiem zapomnianą. W latach dwudziestych w oknie było zwykłe szkło ozdobione w górnej części paroma niebieskimi szybkami. Około roku 1933 odchodzący z Dębicy do Rzeszowa XX Pułk Ułanów ufundował do tego okna witraż przedstawiający głowę ukrzyżowanego Chrystusa z napisem: „Tak Bóg umiłował świat”. W czasie wojny tylko ten jeden spośród wszystkich kościelnych witraży uległ całkowitemu zniszczeniu. Zastąpiono go innym, który można dziś oglądać. Każdy szczegół w kościele ma swoją historię, którą znają tylko ci najstarsi i wiedza o tych dziejach zniknie wraz z odejściem pokolenia.

Mszę Świętą celebryje ksiądz biskup w białym ornacie z infułą na głowie. On też wygłasza Słowo Boże do zgromadzonych uczestników zjazdu. Po mszy już indywidualnie wracamy do liceum. Idziemy bardzo szybko, nawet



podbiegając, bo zrywa się rzęsisy, na szczęście, niezbyt długi deszcz. W budynku liceum każdy odszukuje odpowiednią dla niego salę spotkań koleżeńskich. Ja oczywiście spotykam się z tymi najstarszymi, którzy zdawali maturę przed wojną, w trakcie tajnego nauczania i tuż po wojnie. Jakże nas mało, może dwadzieścia osób. Z przedwojennego pokolenia widzę Aniutkę Paluchównę, Jurka Wojciechowskiego i Adama Pawlusa. A Jan Berezowski, Jan Grek, Aleksandra Szydełkówna, Marian Goetz i dwóch Grundboecków to już powojenni absolwenci. Niektórych twarzy nie rozpoznaję. A więc pokolenie Kolumbów, bohaterów II wojny światowej, wykruszyło się! Trudno nam nawet znaleźć wspólny temat do rozmowy, bo ten świat, który nas łączył, już nie istnieje.

Po południu idziemy do Domu Kultury „Mors” na uroczystą akademię. Absolwenci, uczestnicy zjazdu, zasiadają w fotelach w olbrzymiej sali, mając przed sobą scenę, na której znajduje się makieta budynku symbolizującego gmach liceum, a obok wisi olbrzymi napis: 100 lat. W przedniej części sceny ustawiony jest długi stół nakryty czerwonym sukniem, za którym zasiada dyrektor liceum, a po obydwu stronach luminarze naszej Alma Mater, przeważnie profesorowie wyższych uczelni. Po prawej ręce dyrektora miejsce zajął Józef Buszko, emerytowany profesor i prorektor Uniwersytetu Jagiellońskiego. Wszystkich wyróżnionych jest 15, a wśród nich dwie kobiety. Wysłuchujemy koncertu młodzieżowej orkiestry, a następnie serii referatów i przemówień. Wieczorem odbył się w hali sportowej KS „Wisłoka” wieczór wspomnień połączony z balem. W imprezie tej, niestety, nie uczestniczyłem.

Nazajutrz, w niedzielę 18 czerwca, przychodzimy przed południem jeszcze raz do liceum na spotkania koleżeńskie. Niespodziewanie wśród przybyłych dostrzegam Augusta Kowalczyka, absolwenta tutejszego liceum z roku 1944/45. Znany jest on w kraju (i nie tylko) jako aktor teatralny i filmowy (wójt w „Chłopach”) oraz jako reżyser i dyrektor Teatru Polskiego w Warszawie. Nie wielu ludzi jednak wie, że jest on autorem książki „Refren kolczastego drutu”, w której opisuje swą nieudaną próbę przedostania się na Zachód w 1940 roku, pobyt w więzieniach niemieckich i w obozie w Oświęcimiu, a na koniec swoją dramatyczną ucieczkę z obozu w czerwcu 1942 roku.

Swoje dziewiąte spotkanie z dębickim gimnazjum i liceum kończę rozmową z dyrektorem szkoły, któremu gratuluję wspaniałego zorganizowania 100-letniego jubileuszu.



EUGENIUSZ JASIŃSKI

wspomnienia z lat 1951 - 1955

Rok 1951 był w moim życiu, a także moich rówieśników, rokiem szczególnym. Wtedy to zostałem przyjęty w poczet uczniów Liceum Ogólnokształcącego w Dębicy. Dla młodego chłopaka rozpoczęcie nauki w szkole średniej było dużym wyzwaniem. Zmiana środowiska i zupełnie nieznanymi nauczycielami to wszystko stwarzało niepewność, czy damy radę pokonać trudności. Okazało się jednak, że strach ma wielkie oczy. Mieliśmy szczęście trafić na wspaniałych wychowawców, wyśmienitych nauczycieli i troskliwych opiekunów.

Szczególnie serdecznie wspominam następujących profesorów:

- * pana Józefa Wierciocha, matematyka, który swoją wiedzę potrafił przekazać każdemu uczniowi bez względu na jego predyspozycje do tego przedmiotu. Zadania i zasady matematyki tłumaczył dokładnie i tak długo, aż dotarły do świadomości każdego ucznia. Jego kultura osobista, odnoszenie się do uczniów i ludzi w ogóle, winny być wzorem dla wszystkich. Był on człowiekiem o wielu zainteresowaniach. Z powodzeniem posługiwał się łaciną i greką. Jego szczególnym zainteresowaniem cieszyła się literatura. Organizował spektakle teatralne wystawiane przez uczniów szkoły i był ich reżyserem. Do dzisiaj przechowuję kopię plakatu do sztuki Jerzego Juranota pod tytułem „Takie czasy”. Było to jedno z licznych przedstawień, które opracowywał prof. Józef Wiercioch wspólnie z prof. Marią Urbaś.
- * profesor Irene Jandę, polonistkę posiadającą dużą wiedzę w dziedzinie literatury polskiej. Jej wiedza i konsekwencja w nauczaniu prowadzonego przedmiotu powodowały, że wszyscy uczniowie musieli czytać zadane lektury, których w tamtych latach było dość dużo. Ich czytanie było jedyną możliwością zdobycia wiedzy o autorach lektur oraz bohaterach w nich występujących. Kto tego nie znał, nie miał dużych szans na uzyskanie pozytywnej oceny z przedmiotu język polski. Stosowane przez prof. Jandę metody nauczania w konsekwencji powodowały, że egzamin maturalny z języka polskiego nie sprawiał trudności maturzystom.



Dnia	ZESPÓŁ DRAMATYCZNY przy Szkole Ogólnokształcącej T. P. D. W DEBICY	Godz.
------	--	-------

wystawia komedię w trzech aktach J. JURANDOTA
p. t.

TAKIE CZASY

w rolach:

Dyr. Zieliński	—	Szebal Janusz
Dorota — jego żona	—	Łęcka Konstancja
Skupień — literat	—	Łeśniowski Henryk
Męgorzewski — buchalter	—	Durot Tadeusz <i>Tadeusz</i>
Ela — sekretarka	—	Gac Stanisław
Petryka — majster	—	Nesteruk Stanisław
Czyżyk — robotnik	—	Jasiński Eugeniusz

Reżyser: prof. Wierciach Józef
Dekoracja: prof. Urbas Maria

Przedsprzedaż biletów w cenie: I m-ce _____, II m-ce _____, III m-ce _____

W



- * profesora Jana Szczerbę, nauczyciela biologii, którego uczniowie nazywali „Miczurin”. Olbrzymia wiedza z nauczanego przedmiotu oraz stosowanie jej w praktyce, przyciągały do niego liczne grono młodzieży, która wykonywała wszelkie prace w ogródku szkolnym, znajdującym się obok budynku szkoły. Ogródek ten stanowił zaplecze dla stołówki uczniowskiej kierowanej przez prof. Szczerbę. Dzisiaj po tym ogródku pozostały tylko wspomnienia. Na tym terenie wybudowano bloki mieszkalne i garaże.
- * profesora Zdzisława Czernego, wykładowcę geografii. Jako młody nauczyciel potrafił zjednoczyć wokół siebie liczne grupy uczniów naszej szkoły. Był on pasjonatem turystyki. Organizował i prowadził wycieczki turystyczno-krajoznawcze do wielu miejsc i rejonów Polski. Jego umiejętności muzyczne i wokalne dawały o sobie znać podczas występów artystycznych związanych z uroczystościami szkolnymi i ogniskami. Niezapomniane są też pochody pierwszomajowe z jego udziałem, z akordeonem i grupą uczniów. Będąc już na emeryturze, był czołowym chórzystą Zespołu Pieśni i Tańca „Igłopolanie”.



Profesor Zdzisław Czerny

Nauczycieli języków obcych wspominam równie serdecznie, a w szczególności profesora Piotra Prasowicza, nauczyciela łaciny, którego nazywaliśmy „Dziadziunio” ze względu na podeszły wiek. Był to nadzwyczaj miły i sympatyczny człowiek, który każdego ucznia traktował jak własne dziecko. To za jego przyczyną chłopak do dziewczyny zwracał się grzecznie „Puella” i odwrotnie, dziewczyna do chłopaka mówiła „Puer”.

Nauczanie łaciny w naszej klasie od 1952 roku prowadziła profesor Helena Oleńska. Była nauczycielem języka, który uczniowie uważali za trudny. Dzięki tej pani profesor łacina okazała się językiem łatwiejszym do nauczenia się, a nawet przez wielu uczniów bardzo lubianym. Dotyczyło to szczególnie tych, którzy w przyszłości chcieli zająć się medycyną.

Profesor Małgorzata Michalczenko była niezwykle skromną osobą pochodzącą z Rosji. Była to kobieta znacznie starsza od innych nauczycieli, w swoim życiu, o czym nam sama mówiła, przeszła gehennę związaną z działaniami wojennymi, w których straciła całą swoją rodzinę. Swoje miejsce odnalazła



w Dębicy i dostała pracę w naszej szkole jako nauczyciel języka rosyjskiego. Języka tego uczyła z wielką starannością. Po polsku mówiła niezbyt grammatycznie, co było często powodem śmiechu ze strony uczniów. Znosiła to jednak zawsze z uśmiechem. Była ona dla nas „kochaną Babuszką”.

W moich wspomnieniach mile zapisani są również inni profesorowie, którzy w latach szkolnych od 1951/52 do 1954/55 przygotowawali nas do egzaminu maturalnego. Byli to profesorowie: Józef Szlamka, Michał Weselak, Stefan Dziepak, Wiesława Kruszyńska, Józef Nowak, Piotr Rybka, Władysław Kulig. Tworzyli oni grono nauczycieli cieszących się dużym autorytetem ze strony uczniów, a także naszych rodziców.

Z wielkim uznaniem i szacunkiem wspominam ówczesnych dyrektorów. Byli to profesorowie Jan Czyhin i Wiktor Pietrzykowski, którzy z poświęceniem i zaangażowaniem kierowali powierzoną im placówką, zapewniając jej niepodważalny autorytet. Za to wszystko serdecznie dziękuję.

Dębica, wrzesień 2019 r.



DANUTA KALITA

„Wzruszała gorącym sercem”

wspomnienia o Helenie Gałuszce

Najpełniejszy portret Pani Profesor pozostał w sercu Haliny Gałuszki – bratanicy, wychowanki i uczennicy zarazem.

– Kochała nas – Marylkę i mnie – bezgraniczną miłością na zawsze i na każdy czas. Nam i pracy poświęciła swoje życie. Wychowała nas i ukształtowała. Pragmatyczna, zahartowana przez trudy życia, zaszczerpiła w nas te wartości, które uważała za szczególnie cenne i potrzebne – umiłowanie pracy, obowiązku i uczciwości. I chociaż z upływem czasu coraz bardziej krucha, imponowała jasnym umysłem i wzruszała gorącym sercem – opowiada Halina Gałuszka.

– Życie mnie nie rozpieszczało, choć otrzymałam dużo – taki własny bilans życia Pani Profesor zapamiętała Urszula Świstak.

– Wspaniały człowiek, zadziwiła niezwykłym hartem ducha. Siła charakteru oraz życiowa mądrość pozwoliły Jej z godnością i bez skargi przejść przez najcięższy krzyż swojego cierpienia pośmierci ukochanej bratanicy Marylki – mówi Urszula Świstak, nauczycielka.

– Uczyła biologii z pasją, zachwycona przyrodą, każdym kwiatem, trawą. Była nauczycielką, której się nie zapomina – twierdzi Beata Gola, nauczyciel akademicki.

Wspomina Maria Michałek: Była dla mnie wielkim autorytetem. Swoim życiem pokazała mi drogę, cel i sens życia. Zawsze miała dla mnie czas, umiała wysłuchać, zrozumieć, pocieszyć, służyła dobrą radą. Pozostanie w moim sercu jako najlepszy nauczyciel.

– Bez reszty poświęcała się szkole – uzupełnia Barbara Lewartowska, wolontariusz hospicjum domowego – Rozwijiała zainteresowania uczniów zdolnych, ale często pomagała też słabszym – dodaje.
– Nauczycielka sumienna, obowiązkowa, a przy tym wymagająca, przede wszystkim od siebie, skromna, wręcz ascetyczna. Wielu z Jej uczniów bez



Profesor Helena Gałuszka



problemu dostało się na uczelnie medyczne i rolnicze – dopowiada Zofia Rybka, dziś stomatolog.

Świadectwo tym słowom daje Maksymilian Stęga, lekarz, licealista w latach 1973 -1977.

– Od początku zafascynowała całą klasę IV d naukami przyrodniczymi. Wśród nas jest czterech lekarzy o różnych specjalnościach, dwóch lekarzy weterynarii i cztery pielęgniarki. Ja zaciągnąłem szczególny dług wdzięczności. Dzięki opiece Pani Profesor zostałem laureatem V edycji Olimpiady Biologicznej, a moje plany zawodowe związałem z medycyną – wspomina Maksymilian Stęga.



Spośród wielu olimpijczyków szczególną satysfakcję przyniosły Helenie Gałuszce laury Zenona Dula.

– Była wspaniałym człowiekiem i nauczycielem. Lekcje były bardzo ciekawe i perfekcyjnie przygotowane, z wykorzystaniem filmów, przyrodniczych eksponatów, mikroskopu. Jak myślę o Pani Profesor, to wydaje mi się, że było to wczoraj, a naprawdę to czuję, że jest to teraz. Pamięć o kimś bliskim i ważnym żyje w umyśle w każdej chwili – mówi Zenon Dul.



– Prawdziwa legenda mojej szkoły – twierdzi Grażyna Kawecka, lekarz. – Patrząc i widząc: szczupła, delikatna, pełna godności kobieta o przenikliwym spojrzeniu, życzliwym uśmiechu, ale twarda i zdecydowana. A w jesieni życia nadal pogodna i ciekawa świata – dodaje.

Jej zasługi dla służby zdrowia docenia dr Ryszard Pazdan – najwierniejszy uczeń i przyjaciel.

- Była nauczycielką niezwykle wymagającą, w ocenach bardzo sprawiedliwą, wstyd było czegoś nie umieć. Nauczyła nas szacunku do człowieka – to jest najważniejsze, szacunku do wiedzy. W ostatnich tygodniach i dniach dzielnie znosiła cierpienie, była gotowa na śmierć, niesamowity charakter. Zawsze będę Ją ciepło wspominać i pamiętać w modlitwie – mówi.
- Pozostaje dla mnie wzorem. Znała każdą z nas. Bardzo sympatycznie zdrabniała nasze imiona. Uśmiechała się w taki szczególny, zamysłony sposób. Zawsze była sobą. Wciąż jesteśmy umówione na wspomnienia o czasach szkolnych – zdradza Lidia Górka, nauczycielka i bibliotekarka.
- Była bardzo religijna i głęboko wierząca. Jej wiara nie była na pokaz – odtworza jej duchowy portret s. Izabela (Łucja Puchała). Potwierdza to s. Gizela (Anna Wiśniowska).
- Często obserwowałam ją w czasie Eucharystii. Dlatego zrozumiałam optymizm i spokój w dźwiganie krzyża choroby, cierpienia, samotności – mówi s. Gizela.
- Czas Jej walki z ciężką chorobą był dla mnie kolejną lekcją, najtrudniejszą. Podczas tej lekcji odwagi i pokory podziwiałam hart ducha. Z radością witałam każdy błysk uśmiechu na zmęczonej twarzy. Nie absorbowała cierpieniem. Czasami tylko lekko zniecierpliwiona odsyłała mnie do obowiązków – wyznaje Maria Świętoń, stomatolog.

Zgasało życie, które zawsze nas intrygowało, jako że odbiegało od przeciętnych stereotypów i utartych schematów. Żegnając raz jeszcze wspomnieniem Panią Profesor, raz jeszcze dziękujemy za miłość, za pokładane w nas nadzieje, za stawiane kiedyś wysokie wymagania, za mozolne rzeźbienie naszych charakterów – za wzór życia dobrego, prawego i szlachetnego. I taka pozostanie w naszej pamięci.



ZOFIA KAWALEC – DUSZKIEWICZ

wspomnienia uczennicy z lat 1945-48

Naukę w Gimnazjum im. Króla Władysława Jagiełły w Dębicy rozpoczęłam w 1945 roku. Gimnazjum kształciło swoich wychowanków w przedmiotach matematyczno-fizycznych i humanistycznych, przygotowując ich do studiów technicznych i humanistycznych. Dyrektorem szkoły był wtedy Franciszek Sadowski.

Lata szkolne miały duży wpływ na rozwój osobowości mojej oraz moich koleżanek i kolegów. Był to czas kształtowania się naszych charakterów, czas pięknych marzeń i pierwszych uniesień. W gimnazjum uczyłam się raczej dobrze, choć nigdy nie sięgałam po laury prymusa.

W roku 1945 mury gimnazjum były słabo oświetlone i ogrzewane. Uczniowie przynosili w torbach opał. Uczyliśmy się chętnie, dowodząc przy tym okropnie, chociaż bardzo rzadko złośliwie. Każdy z nas garnął się do wiedzy i pracy. Rozpierała nas radość i wielkie nadzieje na przyszłość.

Grono nauczycielskie w tamtym czasie nie zmieniało się, mimo że niektórzy profesorowie odeszli na wyższe uczelnie jako wykładowcy, na przykład profesor Urbanek czy profesor Irena Stalowa. Języka polskiego uczyli prof. Urbanek, prof. Stalowa oraz prof. Sobocińska, matematyki – prof. Józef Wiercioch, fizyki – prof. Władysław Zieliński, chemii – prof. Stanisław Gierulski, geografii – prof. Marian Paluch, j. niemieckiego – prof. Józef Cięciel, później prof. Marian Safier, łaciny – prof. Jan Dobrowolski, propedeutyki – prof. Zbigniew Fladerer, historii – prof. Józef Szlamka oraz prof. Szalay Groele, biologii – prof. Jan Szczerba, a religii – ks. prof. Teofil Dec. Z uznaniem i szacunkiem wspominam moich profesorów, a szczególnie prof. Urbanka, prof. Palucha, prof. Szalay Groele, prof. Wierciocha, którzy posiadali dużą znajomość nauczanego przedmiotu, umiejętność przekazywania uczniom wiedzy oraz potrafili nam wpoić umiłowanie kraju i piękno mowy ojczystej.

Kontakty z koleżankami i kolegami na przestrzeni tych lat były przyjazne i przetrwały z niektórymi do dnia dzisiejszego.



Świadectwo maturalne otrzymałam w 1948 roku i trzeba się było pożegnać z murami szkoły, kolegami, koleżankami i nauczycielami. Wtedy moje kontakty z gimnazjum się skończyły, aż do czasu, kiedy w progi tej szkoły wkroczyła moja córka Mirosława, która w 1979 roku otrzymała świadectwo dojrzałości.

Z perspektywy tak szybko płynącego czasu pragnę podziękować wszystkim moim pedagogom za ogromną rzetelność, poświęcenie się pracy i uczniom, a szkole życzyć jeszcze wielu lat owocnej działalności w kształtowaniu nowych pokoleń.

Dębica, 16 października 1979 r.

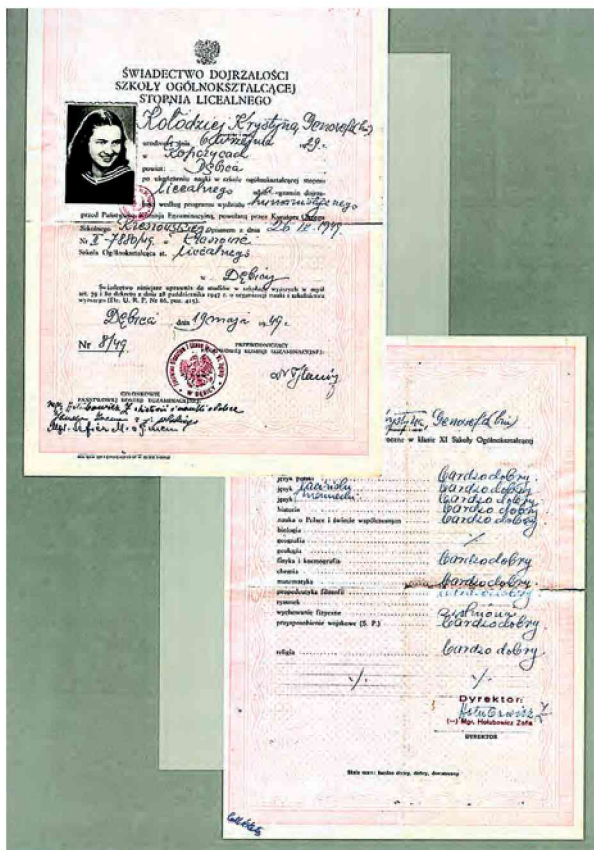


KRYSTYNA KOŁODZIEJ - SELBIRAK

wspomnienia harcerki

BYŁAM HARCERKĄ W LATACH 1945 – 1949.

Były to pierwsze lata powojenne, trudne, ale cudowne. Byliśmy młodzi, po przejściach wojennych złaknieni wolności, możliwości działania, pełni nadziei na lepsze jutro, pełni optymizmu. Chcieliśmy się uczyć, bawić i cieszyć. Jednym słowem, chcieliśmy żyć, jak młodzież przed wojną, o czym słyszeliśmy od starszego rodzeństwa i naszych starszych kolegów.



Czekaliśmy na harcerstwo. Władza zajęta kształtowaniem nowego ustroju, chwilowo, zapomniała o harcerstwie. Mogliśmy więc zacząć działać, przyjmując zasady i prawa harcerstwa przedwojennego. Przyjeliśmy więc prawo harcerskie, którego główną ideą było – Bóg i Ojczyzna.

Mieliśmy wspaniałych opiekunów. Dyrekcja szkoły nam sprzyjała. Dyrektorem był były legionista, Franciszek Sadowski, kapłanem ks. Teofil Dec, a opiekunką harcerzek prof. Zdzisława Grundboeck.



Dyrektor Sadowski i ksiądz Dec z harcerzami

Gdy tylko po przesunięciu się frontu szkoła wznowiła swoją działalność, natychmiast się organizowaliśmy. Na dziedzińcu szkolnym odbywały się pierwsze zbiórki, musztry, rozlegały się pieśni harcerskie. Należałam do tych pierwszych powojennych harcerzek. Byłam uczennicą II klasy gimnazjalnej. Koleżanki ze starszych klas: Romana Towarnicka i Ewa Rypniewska, przy wydatnej pomocy prof. Zdzisławy Grundboeck, zorganizowały dwie pierwsze drużyny harcerzek. Byłam harcerką pierwszego zastępu „Jaskółek” w I Drużynie Emilii Plater. Zastęp „Jaskółek” jako pierwszy posiadał swój proporczyk,



którego uroczyste wręczenie odbyło się na dziedzińcu szkolnym przez naszego kapelana, ks. Deca, w obecności dyrektora szkoły, Franciszka Sadowskiego i wszystkich harcerek i harcerzy.



Wręczenie proporczyka zastępowi „Jaskółek”

Wiele z „Jaskółek” stało się później „kierowniczą kadra” powstałych w przyszłości nowych drużyn i zastępów. Byłam kolejno zastępową, drużynową i przyboczną hufca do spraw kulturalnych. Kilka z nas już w sierpniu 1945 roku wzięło udział w zorganizowanym przez Chorągiew Krakowską obozie harcerskim w Górnej Szklarskiej Porębie. Tam właśnie, w pięknej scenerii gór, w parku, o północy przy ognisku złożyłyśmy przyrzeczenie harcerskie. Było to niezapomniane przeżycie.

Nasze zbiórki harcerskie odbywały się najczęściej na dziedzińcu szkolnym, a w czasie zimowym w jednej z klas lub w sali gimnastycznej, gdzie omawiałyśmy różne sprawy bieżące, zdobywałyśmy sprawności, planowałyśmy ogniska, biwaki, ćwiczyłyśmy musztrę i uczyłyśmy się piosenek. Nie było jeszcze wtedy tak wielkiego ruchu na głównej dębickiej ulicy Rzeszowskiej, więc często maszerowałyśmy przez sam środek miasta z piosenką na ustach.





Z sentymentem wspominam jeszcze dzisiaj piosenki, które przypominają mi dawne, beztrudne czasy młodości, w rytmie których maszerowałyśmy. Były to: „Szturmówka”, „Słoneczny marsz”, „Tam nad Wisłą w dolinie”, „Serce w plecaku” i wiele innych piosenek partyzanckich, które świeżo po wojnie były nam bardzo bliskie. Ale bywało też, że dokuczałyśmy niektórym mieszkańcom Dębicy. Maszerując koło nieistniejącego już dziś baru – restauracji „U Kotry”, znajdującego się na trasie naszego marszu przy ul. Rzeszowskiej, gdzie gromadzili się często amatorzy piwa i mocniejszych trunków, śpiewałyśmy głośno:

„Bo co to za przyczyna, przyczyna, przyczyna
 Że krowa ani świnia nie weźmie wódki w pysk
 A człowiek choć rozumny, rozumny, rozumny
 Sam kładzie się do trumny, w pijaństwie widzi zysk.

Z wódki rozum krótki
 Krótka radość, długie smutki.
 Po harcercu bracie żyj
 Czarną kawę pij!”



Lubiłam obserwować, jak maszerowały inne drużyny, a szczególnie drużyny harcerzy, którzy na werblach i bębenkach wystukiwali z zapamiętaniem rytm, robiąc dużo hałasu. Zwykle w pierwszym szeregu maszerowali wyspecjalizowani w tym harcerze: Alfred Maciuba i Krzysztof Penderecki.

Szczególnie miło wspominałam ogniska harcerskie, na które zwykle gromadziły się wszystkie drużyny, gdy rozlegała się pieśń „Płonie ognisko w lesie”, a na zakończenie w pełnej powadze ciszy rozbrzmiewała „Modlitwa harcerska”.



Ognisko harcerskie w Pustyni



Jedno takie ognisko w Pustkowie (może Pustyni) utkwіło mi w pamięci szczególnie. Przy ognisku każda z drużyn popisywała się skeczem, tańcem lub piosenką. Bardzo podobał mi się występ trzech druhen, nie pamiętam już z której drużyny, przebranych w piękne barwne stroje (same je przygotowały), które, tańcząc w blasku ogniska, śpiewały piosenkę. Tę piosenkę do dzisiaj pamiętam. Śpiewałam ją nawet moim dzieciom, kiedy były małe:

„Od wioszczki do wioszczki idą małe Cyganecki
Idą, idą i tak wróżą, by pieniądze zdobyć dużo.
Noc ciemna i zimna...”

Moją drużynę reprezentowałam, między innymi, ja. Przebrana za harcerza miałam w sposób trochę drwiący zademonstrować, jak harcerze sobie radzą z szyciem i cerowaniem, zdobywając sprawność krawiecką. Wypadło to chyba nieźle. Na zakończenie harcerze zaczęli popisywać się zręcznością, przeskakując przez płonące ognisko. Prowokowali mnie, że skoro udaję harcerza, powinienam jak oni przeskoczyć przez ognisko. Ujęta honorem, zrobiłam to dwa razy. Można sobie wyobrazić, jakie było moje przerażenie, gdy po powrocie do domu odkryłam, że ucierpiała na tym moja uroda. Koniuszki moich rzęs lekko się upaliły. Nikt sobie nie wyobraża, jak bardzo to przeżyłam, chociaż nikt tego nie zauważył i po pewnym czasie nie było już po tym wypadku żadnego śladu.

Mam również jeszcze takie bardzo osobiste wspomnienie z harcerskiego festynu, który odbył się w parku „Sokoła”, nie pamiętam już z jakiej okazji. Były występy drużyn, loteria i harcerska poczta polowa. Na takiej małej, chyba jeszcze istniejącej w parku, betonowej estradzie tańczyłam z Murką Mużówną i Jądzia Gawlikówną kozaka. Na harmonii grał Jasiu Brodecki. Po występie otrzymałam pocztą polową list. Zawierał krótki wierszyk i oczywiście komplement dotyczący występu. List ten napisał do mnie mój obecny mąż, wtedy również harcerz. Nie wiedziałam, że w przyszłości będziemy małżeństwem. List ten jednak świadczył o tym, że już wtedy był zainteresowany moją osobą.

Rok 1948 przyniósł zmiany. Odszedł dyr. Franciszek Sadowski, a jego miejsce zajęła dyr. Zofia Hołubowicz. Nastąpiło nasilenie działalności ideologicznej w duchu marksizmu-leninizmu. Harcerstwo nie było mile widziane. Przeżywało kryzys. W maju 1949 roku zdałam maturę.

Warszawa, marzec 2020 r.



TOMASZ KOZIOŁ

Od początku, ale nie po kolei.

Uważam, że jeżeli w „Jagielle” przepracowało się ponad 30 lat, to można, a nawet wypada, przyjrzeć się temu okresowi swojego życia i ponad ¼ okresu funkcjonowania szkoły. Nie sposób jest opisywać wszystko, ale postanowiłem skupić się na kilku aspektach: wyglądzie szkoły w 1986 roku, wycieczkom szkolnym, klasom, w których miałem wychowawstwo, moim olimpijczykom oraz kolegom – nauczycielom, szczególnie tym, którzy już w I Liceum Ogólnokształcącym w Dębicy nie pracują.

POCZĄTKI W „JAGIELLE”

Wiosną 1986 roku, kiedy kończyłem studia geograficzne w Wyższej Szkole Pedagogicznej w Krakowie, do domu w Ropczycach przyszedł list z Liceum Ogólnokształcącego w Dębicy – dyrektor Edmund Galas zapraszał mnie na rozmowę w sprawie pracy. Na rozmowę pojechałem. Muszę przyznać, że trochę mi to schlebilo, bo moje koleżanki z roku, które pochodziły z Dębicy i były absolwentkami „Jagielly” takiej oferty nie dostały. W tym miejscu muszę wspomnieć, że o pracę w szkole wtedy nie było trudno – mogłem wybierać między „Jagiellą” a LO w Ropczycach i kilkoma wiejskimi szkołami podstawowymi, które na dodatek oferowały mieszkanie.

Pojechałem na rozmowę do Dębicy. Z dyrektorem Edmundem Galasem rozmawiało mi się dobrze. Po tej rozmowie dyrektor pokazał mi dobrze wyposażoną bibliotekę. Tutaj, w stosach książek, siedziało dwie panie. Jak się później okazało były to Lidia Górńska i Helena Gałuszka, ta ostatnia była emerytowaną nauczycielką biologii.

Dyrektor Galas powiedział, że nie pokaże mi pracowni geograficznej, gdyż nie chce, żeby nauczycielowi, który zamierzał odejść na emeryturę było przykro, zrozumiałem to. Muszę nadmienić, że w czasie mojej rozmowy w gabinecie dyrektora otworzyły się drzwi i zaglądnął starszy mężczyzna z falowanymi włosami – we wrześniu 1986 roku skojarzyłem, że był to mój poprzednik, Zdzisław Czerny.



Po wielu przemysleniach postanowiłem podjąć pracę w „Jagielle”.

We wrześniu przeżyłem szok. Pracownia geograficzna mieściła się na parterze w sali nr 10. Główną ścianę zajmował „tryptyk” – tablica przesuwana w pionie oraz tablice boczne z mapami konturowymi świata i Polski, z boku były jeszcze szafki na mapy i pomoce. Zaskoczeniem dla mnie były ławki z dziurami na kałamarze, ja takie pamiętałem z pierwszej klasy szkoły podstawowej w Ropczycach, w takich się uczyłem, ale od 1970 roku takich ławek na oczy nie widziałem. W sali nr 9 był gabinet geograficzny, w którym harcowały myszy. Jeszcze większy szok przeżyłem, wchodząc do ubikacji, w których były tylko dziury w podłodze – coś takiego widziałem pierwszy raz w życiu.

Moje pierwsze spotkanie z gronem nauczycielskim miało miejsce w końcu sierpnia 1986 roku. Oprócz mnie pracę wtedy rozpoczynali też Urszula Grych - Bochyńska i Lech Kruczała. Już przed konferencją poczułem ducha szkoły, siedziałem w pokoju nauczycielskim i zostałem przegoniony z krzesła, bo „Ja tu siedzę już od 23 lat” – powiedziała mi jedna z nauczycielek.

W szkole było wtedy kilkoro młodych nauczycieli, z którymi bardzo szybko nawiązaliśmy relacje towarzyskie (Lidia Górską, Dorota Stępień, Barbara Olechniewicz, Artur Bieszczad, Lucyna Bączek).

WYCIECZKI

Na pierwszą wycieczkę pojechałem po dwóch tygodniach pracy w szkole. W piątek po lekcjach członkowie koła turystycznego pojechali w Pieniny. Byli to głównie uczniowie klasy 2a i 3b. Pociągiem dojechaliśmy do Nowego Sącza. Tam wsiedliśmy do autobusu do Nowego Targu – nocleg mieliśmy w Krośnicy, ale kierowca się nam tu nie zatrzymał i wywiózł nas do Czorsztyna. Nocą szliśmy na przełaj przez góry – w górę i w dół, w górę i w dół, nie miałem pojęcia czy w dobrym kierunku prowadzę uczestników wycieczki, ale wyszliśmy w Krośnicy i to przed budynkiem, gdzie mieliśmy nocleg. I tu sprawdziło się przysłowie: „Głupi ma więcej szczęścia niż rozumu”. Młodzież uznała, że mam doskonałą orientację w terenie. Wcale temu nie zaprzeczyłem. Dalsza część wycieczki odbywała się bez przygód.





Wrzesień 1986 – na szczycie Trzech Koron

Właściwie w każdym roku pracy organizowałem jakąś wycieczkę. Poza tą wcześniej opisaną, wspomnę jeszcze wyjazdy dwóch moich klas. W latach 1998-2002 byłem wychowawcą najliczniejszej klasy w szkole (43 osoby) w czasie mojej pracy.

Klasa była fajna. Byli w niej bardzo zaangażowani rodzice – szczególnie Janusz Dziedzic i Stanisław Kopeć. Pojechali na wycieczkę w Bieszczady w maju 1999 roku jako opiekunowie, widząc jak wychowawca ciągle liczy pieniądze, postanowili pomóc. Po powrocie z Bieszczad zaangażowali zespół klasowy w reklamę jednej z firm w czasie Dni Dębicy. Młodzież zarobiła bardzo dużo pieniędzy. Za nie odbyły się dwie wycieczki na Słowację i jedna w Tatry, a klasie pieniędzy zostało jeszcze na studniówkę. Na pierwszej wycieczce na Słowację zwiedzaliśmy jaskinie, na drugiej jeziora górskie. Trzeba przyznać, że pięcioro uczniów borykało się z poważnymi problemami finansowymi. Po przyjeździe na Słowację, panowie Dziedzic i Kopeć, wspierali finansowo najuboższe dzieci, wręczając każdemu potrzebującemu dziecku kieszonkowe w koronach słowackich. Wycieczki były bardzo udane.





1f (1998/99) na wycieczce w Bieszczadach. W łożysku Wetlinki uczyliśmy się o transporcie i akumulacji materiału przez rzekę.



3f w Wadowicach - 20.05.2000 roku – w powrotnej drodze wstąpiliśmy do Wadowic, gdzie cała Polska świętowała 80. urodziny Jana Pawła II, fotografia wykonana przed domem, w którym urodził się papież.



W czasie, gdy wychowywałem najliczniejszą klasę w szkole, przez dwa lata miałem drugie wychowawstwo. Dostałem go zupełnie przypadkowo, mój kolega, Kazimierz Moskal, awansował, a jego wychowankowie zażyczyli sobie mnie na wychowawcę. Zgodziłem się. Była to chyba najlepsza pod względem naukowym moja klasa – choć każdy z uczniów był indywidualistą.

Pojechaliśmy na wycieczkę w Beskid Śląski. Dzieci były tak grzeczne, że bardzo szybko po przyjeździe do schroniska nastąpiła cisza. Wczesnym rankiem, już nie spałem, usłyszałem łomot do drzwi. W jednym z pokoi zemdlął uczeń. Wezwaliśmy pogotowie i ponad pół dnia spędziłem z nim w szpitalu w Cieszynie na badaniach. Wróć jeszcze do przyczyn omdlenia, panowie nie uchylili okna, a w niewielkim pomieszczeniu spało ich sześciu. Dalsza część wycieczki przebiegała bez zakłóceń.



Na każdej wycieczce robiono grupową fotografię na tle autobusu należącego do biura podróży. Wycieczki po Europie przygotowywało biuro podróży Juwentur Wałbrzych. W czasie wycieczki do Włoch - wśród stojących Małgorzata Pasek (trzecia od lewej) i Halina Niziołek (piąta od lewej).



Lata dziewięćdziesiąte XX wieku to otwarcie Polski na świat. Polacy zaczęli wyjeżdżać i nadrabiać braki powstałe w czasie komunizmu. W „Jagielle” za dbały o to panie: Hanna Dominiak, Halina Niziołek, Teresa Czyżowska, Maria Marek i Małgorzata Pasek. Dzięki nim młodzież miała okazję zwiedzić Francję, Włochy, Austrię, Szwajcarię, Hiszpanię, Grecję i Belgię. Wycieczek panie zorganizowały pięć, ja byłem na trzech.

Atmosfera na wycieczkach była doskonała, młodzież zdyscyplinowana – nie stwarzała żadnych problemów wychowawczych. Na wyjazdach tych skonfrontowałem swoją wiedzę teoretyczną z rzeczywistością. Po latach te wycieczki wspominamy, najczęściej chyba klasę DEKT na promie z Włoch do Grecji. Nie byliśmy świadomi, że biuro turystyczne nie wykupiło nam kajut, tylko miejsca na pokładzie. Ale podróż w klasie DEKT nauczyła nas również jak Polacy dwadzieścia lat temu byli postrzegani, gdy zamówiliśmy sobie kawę w barze na pokładzie, to barman sugerował nam inną, za niższą cenę.



We Florencji – Maria Marek (pierwsza od lewej), Halina Niziołek (trzecia od lewej), potem kolejno Teresa Czyżowska, Tomasz Kozioł i Hanna Dominiak.





W San Marino żeńska część wycieczki skupiła się głównie na zakupach w perfumeriach, natomiast Tomasz Kozioł i Ryszard Kulig zapoznawali się z urokami tego państwa. Choć San Marino jest niewielkie, to panowie spóźnili się (około godziny). Wywołało to takie zgorszenie uczestników wycieczki, że do następnego postoju nikt się do nich nie odzywał.

Wyjazdy z koleżankami do Włoch, Grecji i Hiszpanii bardzo korzystnie wpłynęły na współpracę z nimi w szkole. Poza tymi wyjazdami wspólnie organizowaliśmy zielone szkoły i wycieczki po Polsce.



Podróż do Grecji przez Adriatyk klasą dekt w sumie nie była taka straszna. Na fotografii na pierwszym planie Maria Grek (z lewej strony), Małgorzata Pasek (z prawej), za stołem Tomasz Kozioł (w środku) i Hanna Dominiak (po prawej).



WYCHOWAWSTWA

Wychowawcą byłem wielokrotnie. Do moich klas chodzili nie tylko mądrzy uczniowie, ale i dobrzy ludzie. Wielu wychowanków pamięta o mnie – odwiedzają w domu, przyjdą do szkoły, przyślą kartkę z wakacji lub SMS z życzeniami świątecznymi.

Obok klas, które wspominałem już przy okazji wycieczek, wspomnę ostatnią, czyli tę, która skończy naukę w 2021 roku. Wychowawcą ich byłem tylko w pierwszej klasie. Muszę przyznać, że tak dobrych i prawdopodobnych dzieci to w całej swojej karierze w „Jagielle” nie spotkałem. Myślę, że jak przeczytają wcześniejsze zdanie, to woda sodowa nie uderzy im do głowy.



Klasa 2f (2019/20) z wychowawcami (byłym – Tomasz Kozioł i obecnym – Katarzyna Zalewska) – najbardziej prawdopodobna klasa w mojej karierze.

Raz byłem wychowawcą w Liceum dla Dorosłych, które istniało przy I LO w Dębicy. Spotkałem tam bardzo sympatycznych ludzi, którym los nie pozwolił zdobyć wykształcenia w wieku kilkunastu lat. Wielu z nich spotykam, informują mnie o sobie, o swoich dzieciach i o kolegach z klasy, którzy wyjechali z Dębicy.

OLIMPIADY I OLIMPIJCZYCY

Zawsze olbrzymią przyjemność sprawiała mi praca z uczniami zdolnymi. Najczęściej już po kilku pierwszych lekcjach, a często po pierwszej, wiedziałem, że z tego ucznia będzie pociecha. Najzdolniejszych starałem się zmobilizować do wzięcia udziału w olimpiadzie. Przez okres 30 lat startu moich uczniów w olimpiadach wpisanych na listę Ministerstwa Edukacji Narodowej, udziału w zawodach olimpijskich odmówiło mi nie więcej niż pięciu. Moi uczniowie



startowali w olimpiadach: Olimpiadzie Geograficznej, Olimpiadzie Nautologicznej i Olimpiadzie Znajomości Afryki.

W każdej z tych olimpiad, po zawodach centralnych, przywozili tytuły laureata lub finalisty. Dwukrotnie moi uczniowie reprezentowali szkołę na zawodach międzynarodowych – w Olimpiadzie Geograficznej (Szymon Fidziński) i w Konkursie o Ignacym Domeyce (Tomasz Ćwiok). Za sukcesami uczniów w olimpiadach szły miejsca szkoły i moje w różnych rankingach. Muszę przypomnieć, że w rankingu obejmującym 40 lat Olimpiady Geograficznej I Liceum Ogólnokształcące w Dębicy znalazło się na 30. miejscu w Polsce, a ja na 16. Olimpiada Nautologiczna miała tylko 19 edycji, I LO w Dębicy startowało w kilku, ale to wystarczyło, że w podsumowaniu olimpiady znajdujemy się na 7. miejscu w Polsce, a dwóch uczniów znalazło się w gronie trzech osób, które odniosły największe sukcesy w tej olimpiadzie.

W Olimpiadzie Znajomości Afryki moi uczniowie startują od 4 lat i z każdej przywożą tytuł finalisty lub laureata.



Warszawa – 14.10.1998 - spotkanie uczestników olimpiad międzynarodowych i ich nauczycieli z prezydentem RP Aleksandrem Kwaśniewskim. Z lewej strony: Sz. Fidziński i T. Kozioł przed pałacem prezydenckim; z prawej drużyna, która zajęła I miejsce na II Międzynarodowej Olimpiadzie Geograficznej w Lizbonie - Szymon Fidziński (pierwszy z prawej).





Supraśl – 11.04.2010 – laureaci ostatniej XIX edycji Olimpiady Nautologicznej, wśród nich Jakub Tomaszewicz (pierwszy od prawej w drugim rzędzie).

I LO w Dębicy czterokrotnie otrzymało najwyższe wyróżnienie Olimpiady Geograficznej – Dyplom Uznania – w Polsce jest tylko około 20 szkół, które to wyróżnienie otrzymały więcej razy. Za sukcesy odniesione w Olimpiadzie Geograficznej, w 2007 roku otrzymałem Odznakę im. Prof. Anny Dylikowej. Odznaka ta przyznawana jest od 2002 roku organizatorom olimpiady i nauczycielom, których uczniowie mieli znaczące sukcesy w zawodach centralnych olimpiady. Moja odznaka ma numer 34. Zrobiłem na parterze wystawę osiągnięć olimpijskich z geografii, która istnieje do dziś. W 2014 roku napisałem opracowanie „40 lat Olimpiady Geograficznej w I LO w Dębicy” i ta pozycja do tej pory jest na stronie internetowej szkoły.

Przygodę z Olimpiadą Geograficzną rozpocząłem w roku szkolnym 1989/90. Wtedy sześciu uczniów (wszyscy) dostało się na zawody okręgowe, na których czterech (Mariusz Kozioł, Arkadiusz Łaba, Tomasz Turza i Eugeniusz Żurek) zostało zaproponowanych do zawodów centralnych, ale ostatecznie żaden do nich nie wszedł. Występ moich uczniów był zauważony przez ówczesnego dyrektora Stanisława Kłoka – dostałem „Nagrodę Specjalną Dyrektora Szkoły”.





Warszawa – 10.04.2019 – Jakub Lachcik (trzeci od prawej), laureat II miejsca OZA w 2019 roku wśród laureatów i ich nauczycieli.

Lista moich uczniów, którzy byli proponowani do zawodów centralnych, tak jak ci z 1990 roku, a potem do nich nie wchodziłi, jest znacznie dłuższa. Pozwolę sobie w tym miejscu ich wymienić, bo „im się to należy”: Mirosław Bik, Jarosław Cybura, Tomasz Gawlik, Bartłomiej Janusz, Grzegorz Owca, Szymon Szostak, Paweł Wodzień, Filip Wojcieszyn.

Pierwszą moją uczennicą, która reprezentowała szkołę na zawodach centralnych Olimpiady Geograficznej była Mirka Ciołkosz. Pamiętam, że w pracy, która miała być przepustką na zawody okręgowe, opisywała podróż dookoła świata. Mirka, podobnie jak Mariusz Kozioł i Michał Mikuła, należała do uczniów bardzo aktywnych na lekcjach i tych, którzy wszystko wiedzą. Po niej przyszli następnii: Marek Chudzik, Marcin Materna, Szymon Fidziński, Tomasz Ćwiok, Staszek Bacher, Mariusz Sypel, Mateusz Chmiel, Michał Trólka, Jakub Tomaszewicz, Paulina Bańdur, Joanna Socha, Krzysztof Wiercioch, Michał Mikuła, Witold Jarząb, Patrycja Magiera, Radosław Cacała, Jakub Lachcik.

A ilu ich jeszcze będzie...?

Chcę podkreślić, że współpraca z wszystkimi olimpijczykami w szkole układała się dobrze, jedni przychodzili do szkoły z większymi, a inni z mniejszymi wiadomościami. Za szczególnie udaną uważam współpracę ze Staszkiem Bacherem, Mateuszem Chmielem, Krzyśkiem Wierciochem i Michałem Mikułą.



Staszek Bacher chodził do klasy biologiczno-chemicznej. Na lekcjach siedział w pierwszej ławce i notował. Według mnie to na geografii w liceum startował z poziomu zero, ale wszystkiego potrafił się nauczyć, zdobył tytuł finalisty Olimpiady Geograficznej, a dziś leczy ludzi.

Mateusz Chmiel chodził do klasy matematyczno-geograficznej i jest to jedyny przypadek olimpijczyka, którego zauważyłem dopiero w drugim półroczu pierwszej klasy. Bardzo miłe wspominałem wyjazd z nim na zawody centralne do Łańcuta. Mateusz jest jednym z kilku olimpijczyków, z którymi kontakt utrzymuję do dziś – podobnie jak z Krzyśkiem Wierciochem, który chodził do klasy o profilu matematyczno-fizycznym, geografii miał tylko w klasie pierwszej, ale potrafił przez dwa lata raz w tygodniu dojechać na lekcję geografii na godzinę 7:00 i to przyniosło sukces.

Centralne zawody olimpijskie wszystkich olimpiad z geografii składają się z dwóch części: pisemnej i ustnej. Kuba Tomasiewicz i Kuba Lachcik zawsze zdumiewali mnie tym, że przed ogłoszeniem wyników potrafili określić liczbę zdobytych punktów z dokładnością do jednego.



Puławy – 27.04.2014 – Michał Mikuła i Joanna Socha, finaliści XL Olimpiady Geograficznej z medalami i dyplomami.



Na zakończenie chcę podkreślić, że olimpijczykami są również osoby, które przygodę z olimpiadą geograficzną zakończyły na szczeblu okręgowym, jest takich osób kilkakrotnie więcej niż wymienionych w niniejszym tekście. W tym miejscu wspomnę o dwóch: Wojtku Biernackim i Marcinie Żyle, którzy po zdaniu matury studiowali geografię na Uniwersytecie Jagiellońskim, obronili prace doktorskie i są pracownikami naukowymi.

Moi wszyscy olimpijczycy wyszli na ludzi, choć różnie potoczyły się ich losy. Wykonują różne zawody, między innymi są finansistami, geografami, lekarzami, prawnikami, psychologami, osobami duchownymi.

KOLEDZY NAUCZYCIELE

W 1986 roku, gdy zaczynałem pracę w Liceum Ogólnokształcącym im. Jana Wiktora w Dębicy, w szkole pracowało około 40 osób – dziś ponad 70.

Wśród uczących wtedy było kilkoro emerytów. Jedną z nich była Helena Gałuszka, emerytowana nauczycielka biologii, była osobą bardzo szanowaną przez całe grono i uczniów klas biologiczno-chemicznych, w których wtedy uczyła. Jako emerytka pracowała wtedy również Zdzisława Grundboeck, nauczycielka wychowania fizycznego. Od niej dowiedziałem się, kto jest kim w szkole, w czasach, gdy w szkole rządził dyrektor, któremu wytyczne dawał lokalny komitet PZPR (Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej). Pierwszy raz zdałem sobie z tego sprawę w listopadzie 1986 roku, kiedy to jedna z klas zamiast na lekcję geografii, samowolnie poszła na akademię z okazji rocznicy wybuchu rewolucji październikowej, a ja kazałem się im samym nauczyć lekcji z podręcznika.

W czasie mojej pracy kilkakrotnie przeżywałem szok spowodowany nagłym i niespodziewanym zgonem nauczyciela. Po raz pierwszy takie zdarzenie było w roku szkolnym 1988/89. Przyszedłem w jeden z zimowych poniedziałków do szkoły, a tu wieść, że nie żyje Józef Nowak – emerytowany nauczyciel języka rosyjskiego, wicedyrektor. Szok był tym większy, że jeszcze w piątek na trzeciej lekcji uczył ówczesną klasę 3A w pokoju nauczycielskim. Przed lekcją upominał nauczycieli, aby zrobili porządek na stołach. Swoją ostatnią lekcję znacznie przedłużył. Nauczyciele czekali na korytarzu kiedy skończy, nikt nie przypuszczał, że jest to jego ostatnia lekcja.



W późniejszych latach nagle odeszło kilka koleżanek, z którymi łączyły mnie nie tylko relacje służbowe, ale i przyjaźnie. W lutym 1999 roku na wieczny odpoczynek odeszła Bogusława Błażejowska-Kowal, uczyła języka polskiego. Z Bogusią zawsze miałem o czym porozmawiać, podobnie jak Małgorzatą Pasek. Gośka też uczyła języka polskiego. Zmarła w maju 2006 roku. W grudniu 2014 roku pożegnaliśmy Lidię Górską. Lidka prowadziła w szkole bibliotekę. Trzeba przyznać, że w latach 80. i 90. XX wieku najsilniejsza integracja nauczycieli (szczególnie młodych) zachodziła na zapleczu biblioteki.

Na zmiany kadry w I Liceum Ogólnokształcącym w Dębicy miała wpływ zarówno polityka władz samorządowych, jak i reformy oświaty. W końcu XX wieku do szkoły zaczęły wchodzić roczniki tzw. „echa wyżu demograficznego z lat 50. XX wieku”. Liczba oddziałów rozrastała się, wzrastało zatrudnienie. Wtedy to zbiegły się dwa wydarzenia, które spowodowały, że z „Jagielly” odeszło bardzo wielu wartościowych nauczycieli. Jednym ze zdarzeń było otworzenie w Dębicy konkurencyjnego liceum, w którym nie zatrudniono ani jednego nauczyciela „Jagielly”, drugim wprowadzenie gimnazjów, w których też nie znalazło się miejsce dla nauczycieli „Jagielly”. Starszych nauczycieli wysłano wtedy na przymusową emeryturę – zrobiono im olbrzymią krzywdę, krzywdę wyrządzono również szkole, usuwając wartościowych ludzi. Nazwisk osób, które w ten sposób musiały odejść nie będę wymieniał – rozumiem ich rozgoryczenie i żal do władz szkoły, władz samorządowych i reformatorów oświaty.

Za moich czasów w „Jagielle” zaczęło pracę kilku zdolnych i mądrych ludzi, którzy odeszli ze szkoły. Jedni zmienili stan cywilny i przenieśli się do innych miejscowości, jak Renata Rydzy (nauczycielka języka polskiego) i Mirosław Zima (nauczyciel wychowania fizycznego), inni awansowali, jak Kazimierz Moskal (nauczyciel historii) – poseł na Sejm RP, innych przeniesiono, jak ksiądz Ryszard Podstołowicz (późniejszy dyrektor Caritasu Diecezji Tarnowskiej) i ksiądz Wiesław Lechowicz.

Styczeń 2010 roku – ks. biskup Wiesław Lechowicz pokazuje atlas z dedykacją od kolegów nauczycieli z I LO w Dębicy, który otrzymał 24 czerwca 1992 roku „W drodze do Boga nie zapomnij, że w roku szkolnym 1991/92 pracowałeś z nami w Dębicy ...”.



Szczególną uwagę chcę poświęcić ostatniej z wymienionych osób. Ksiądz Wiesław Lechowicz uczył w naszej szkole w roku szkolnym 1991/92. Był bardzo lubianym zarówno kolegą, jak i nauczycielem. W maju 1992 roku poinformował nas, że biskup tarnowski kieruje go na studia do Rzymu. Zdawaliśmy sobie sprawę z tego, że Wiesiek do liceum już nie wróci. W czerwcu zostaliśmy zaproszeni przez kolegę na pożegnalne spotkanie. Chcieliśmy, żeby miał po nas jakąś pamiątkę. Kupiliśmy atlas, napisaliśmy dedykację, dodatkowo na niektórych mapach porobiliśmy dopiski i wręczyliśmy koledze.



Styczeń 2010 – spotkanie z ks. biskupem Wiesławem Lechowiczem (od lewej: Małgorzata Kurcz, Jadwiga Pajkowska, Maria Grek, Celina Ukowska, Maria Marek i Hanna Dominiak)



Styczeń 2010 – spotkanie z ks. biskupem Wiesławem Lechowiczem (za stołem od lewej: Wiesław Ostafin, Andrzej Pietrasik, Tomasz Kozioł, Stanisław Kłok, Józef Cebulski, Antoni Wozowicz, Czesław Surowiec, Kazimierz Gwóźdź)



W 2010 roku na spotkanie opłatkowe nauczycieli przyjechał ksiądz biskup Wiesław Lechowicz. Przyjechał z atlasem, który dostał od nas. Rozpoznawaliśmy swoje podpisy (Aneta Kwolek, Jarosław Urbański, Andrzej Pietrasik, Tomasz Kozioł, Mirosław Zima, Jolanta Pietrzyk, Renata Rydzy, ks. Ryszard Podstołowicz).

Było to jedno z niewielu spotkań, na które przybyli licznie nauczyciele emeryci, nawet ci, których wcześniej zmuszono do przejścia na wcześniejszą emeryturę.

W styczniu 2020 roku ksiądz biskup Wiesław Lechowicz ponownie odwiedził szkołę, pracę w niej wspominał w ciepłych słowach, opowiadał również o atlasie i o dedykacji. Obiecał, że szkołę jeszcze odwiedzi.

Ropczyce, marzec 2020 r.



EDMUND KRÓL

Wspomnienia ucznia, który urodził się w 1911 roku w Drohobyczu, a gimnazjum ukończył w 1932 roku.

Ponad pół wieku minęło od lat gimnazjalnych. Wspomnienia z tak odległych czasów oparte tylko na tym, co szare komórki zakodowały, mogą być nieściśle lub też sposób ich ujęcia może odbiegać od faktycznego stanu, dlatego też proszę o wybaczenie, jeżeli coś przedstawię niezbyt dokładnie.

Do trzeciej klasy Gimnazjum im. Króla Władysława Jagiełły w Dębicy, obecnie Jana Wiktora, dostałem się na podstawie zdanego egzaminu. Śmierć ojca, tuż po mojej maturze, pogorszyła warunki materialne mojej rodziny do tego stopnia, że nie mogłem marzyć o studiach. Dopiero własna praca, oczywiście po pewnym czasie, stworzyła warunki do podjęcia studiów w zakresie ekonomii. Niestety, rozpoczęte studia przerwała II wojna światowa, która przewróciła wszystko do góry nogami. Upadły plany studiów oraz marzenia o pracy zawodowej i społecznej. Nastąpiły radykalne zmiany w mentalności, w psychice i myśleniu. Trzeba było się przestawić na zupełnie inne tory, na tory myślenia żołnierskiego, polegającego na poznawaniu zmieniającej się taktyki wroga czy poznawaniu nowej broni. Ale, mimo tej okrutnej rzeczywistości, pozostały w nas ideały wszczepione przez nauczycieli: umiłowanie ojczyzny, etyczne postępowanie, chęć zdobywania wiedzy, która poszerza horyzonty myślenia.

Grono nauczycieli pracujące w gimnazjum w tamtych czasach to znakomici pedagodzy, którzy nie szczędzili trudu, aby wychować nas na ludzi dzielnych, o prawych charakterach, niezłamujących się byle przeszkodą, umiejących radzić sobie w życiu i kształtować samodzielnie swój los.

Szczególnie serdecznie wspominam profesora Józefa Cięciela, który uczył języka niemieckiego. Był to mężczyzna słusznego wzrostu z sarmackim wąsem. Poruszał się powoli, dlatego, że dużo fizycznie pracował. Był bardzo dobrym wychowawcą, który wtajemniczał nas nie tylko w sekrety obcego języka, lecz także swoim postępowaniem kształcił nasze charaktery.



Edmund Król



Profesor Jan Piotrowski był polonistą, wspaniałym pedagogiem i dydaktykiem. Cierpliwie i wytrwale uczył nas piękna polskiej mowy, szczególną uwagę zwracał na logikę i jasny sens wypowiedzi.

Profesor Henryk Żurawski uczył nas łaciny. Był mężczyzną niskiego wzrostu i miał siwiejącą brodę. Pamiętam do dziś łacińskie przysłowia i sentencje.

Życie koleżeńskie układało się, moim zdaniem, dobrze. Wymiana poglądów na sprawy dotyczące nie tylko poszczególnych tematów związanych z nauką, lecz także z wydarzeniami na terenie szkoły, była niemalże codziennym zjawiskiem. Wspólne wyjazdy do Teatru im. Juliusza Słowackiego w Krakowie wzbogacały nas intelektualnie oraz rodziły przyjaźnie, które przetrwały do dnia dzisiejszego.

Bardzo aktywnie angażowałem się w życie sportowe szkoły, zgodnie z powiedzeniem: „W zdrowym ciele zdrowy duch”. Brałem udział w zawodach lekkoatletycznych, w sprincie, w skokach i rzutach. Zdobyłem wówczas trzy pierwsze miejsca i trzy drugie, a więc sześć miejsc medalowych. Zrobiłem to w sposób zupełnie naturalny, bez intensywnego treningu. Byłem członkiem szkolnej drużyny biorącej udział w grze zwanej palantem. Uczestniczyliśmy w rozgrywkach w Tarnowie, zakwalifikowaliśmy się do dalszych rozgrywek, które odbyły się w Krakowie, ale do finału nie doszliśmy.

W ten sposób zapamiętałem tamte szkolne lata, które tak szybko przeminęły.

Mielec, około 1982 r.



ZENON KSIĄŻEK

wspomnienia ucznia z lat 1945-50

Po pięciu ciężkich miesiącach ewakuacji mieszkańcy Dębicy, natychmiast i gromadnie, wracali do zrujnowanego i zdewastowanego miasta bez prądu, bez handlu, bez jakiegokolwiek zaopatrzenia, bez opieki medycznej, administracji, itp. Przez kilkanaście dni mroźnego i śnieżnego stycznia 1945 roku całe karawany dębiczian ciągnęły pieszo, rowerami, różnego rodzaju wózkami, do swojego miasta, dźwigając tułaczą schedę z nadzieją, że odnajdą swoje dawne domy i mieszkania całe. Nierzadko zdarzało się, że nadzieja ich zawiodła, nie było gdzie zamieszkać. Nie wiem, jakim sposobem przeżyliśmy tamte trudne miesiące zimy 1945 roku. Myślę, że dzięki zaradności i determinacji naszych rodziców nie chodziliśmy głodni. Po ewakuacji już nigdy nie wrócili dwaj moi koledzy: Łukasz Bogucki, który zginął od bomby i Karol Florkiewicz, którego zabił pocisk artyleryjski.

Sięgając pamięcią w przeszłość, do spraw odległych czasowo o 75 lat, trudno odtworzyć dokładnie tamte wydarzenia, dzisiaj należące już do historii. Spróbuję jednak wrócić moją ułomną pamięcią do tamtych lat i opisać atmosferę towarzyszącą nam w tamtym trudnym i biednym czasie.

Entuzjazm i radość społeczeństwa z odzyskanej wolności były tak wielkie, że nieraz natychmiast wznawiano wszelkie możliwe przejawy życia społecznego. Jako jedno z pierwszych zostało wznowione szkolnictwo, bo już pierwszego marca dzieci zapełniły zdewastowane szkoły, a w nich zimne klasy. W jakich trudnych warunkach przyszło nam wznawiać edukację, dzisiejszej młodzieży trudno byłoby uwierzyć. A pęd do wiedzy był ogromny, szczególnie wśród młodzieży wiejskiej.

Wspólnie z moimi kolegami i rówieśnikami rozpoczęliśmy naukę aż w sześciu oddziałach klas pierwszych Gimnazjum i Liceum im. Króla Władysława Jagiełły w Dębicy. Wspomnieć jednak należy, że ten pierwszy po wyzwoleniu rok szkolny trwał 5 miesięcy, bo od 1 marca do końca lipca 1945 roku. Na odpoczynek wakacyjny został nam tylko sierpień. Skład społeczności uczniowskiej



w tym skróconym roku szkolnym był bardzo zróżnicowany wiekowo, bo oprócz nas, najmłodszych, naukę wznawiali znacznie od nas starsi, którym edukację na 5 lat przerwała wojna i okupacja hitlerowska. My, najmłodszy uczniowie, z wielkim szacunkiem i respektem spoglądaliśmy na starszych kolegów, często już wąsatych, którzy do szkoły wrócili prosto z leśnych ścieżek partyzantskich.

Ażeby szkoła mogła normalnie funkcjonować i spełniać podstawowe zadania dydaktyczne i wychowawcze, należało przede wszystkim doprowadzić sam budynek do stanu używalności. A jaką szkołę zobaczyliśmy w dniu rozpoczęcia nauki? Przez 5 miesięcy stagnacji frontu, miasto było ostrzeliwane przez artylerię niemiecką. Budynek szkoły, jeden z większych i okazalszych, był celem niemieckich pocisków. Dach szkoły niemal przestał istnieć, szczególnie od strony zachodniej i nie chronił sal lekcyjnych na drugim oraz pierwszym piętrze przed opadami deszczu i śniegu. W ścianę szkoły od strony zachodniej trafił ciężki pocisk artyleryjski i wybił ogromną dziurę, od parteru aż do pierwszego piętra.

W klasach szybko zgromadzono jakieś stoły, nie wiadomo skąd zdobyte, ale usiąść przy nich już nie było na czym. Każdy musiał przynieść z domu własne krzesło albo taboret. W szkole nie było centralnego ogrzewania, jak to jest obecnie. W każdej klasie stał piec kaflowy, ale nie było do niego opału. Z tym problemem poradzono sobie w ten sposób, że uczniów każdej klasy podzielono na „piątki”, które w wyznaczonym dniu miały obowiązek dostarczyć do klasy wiązkę drzewa. Wypadało to mniej więcej raz na tydzień dla każdej piątki. Dodać należy, że nie zdarzało się, żeby ktoś o tym obowiązku zapomniał. Mimo tego w klasach nie było zbyt ciepło, więc dogrzewaliśmy się w inny sposób. Przy ulicy Rzeszowskiej, na wprost piekarni Roztoczyńskich, w budynku już nieistniejącym, odkryliśmy magazyn torebek z brązowym proszkiem. Używali ich niemieccy żołnierze na froncie wschodnim podczas wojny. Wystarczyło do takiej torebki wlać trochę wody lub wrzucić garść śniegu, a po chwili zachodziła reakcja chemiczna wytwarzająca ciepło. Dzisiaj nie mogę wytłumaczyć, jaka to była reakcja, na czym polegała, zostawiam to zadanie do rozwiązania lepszym ode mnie chemikom. Takie ciepłe torebki wkładaliśmy do każdej kieszeni spodni i dogrzewaliśmy się.



Przybory do pisania (ołówki, pióra) były jeszcze w każdym domu z lepszych czasów, ale dokuczał nam brak zeszytów. Przypominam, że nie było w tamtym czasie żadnych sklepów, w tym również papierniczych. Z tą trudnością również uporaliśmy się. W tym samym budynku, co „ciepłe torebki”, odkryliśmy skład okupacyjnych kartek żywnościowych, które z jednej strony były kolorowe, zadrukowane na małe kwadraty, wycinane w sklepach podczas okupacji przy kupowaniu produktów żywnościowych, natomiast z drugiej strony były zupełnie czyste, białe. Kartki te spinaliśmy po kilkanaście sztuk i w takich zeszytach pisaliśmy na czystych stronach.

Najważniejszą sprawą, niecierpiącą zwłoki, była naprawa dziurawego dachu szkoły. W takich trudnych przypadkach ludzka zaradność i pomysłowość była nieograniczona, co w tej sytuacji znalazło potwierdzenie. Nad Wisłoką, na terenach dawnego Igloopolu, stała cegielnia, a przy niej wiaty do suszenia cegieł przygotowanych do wypalenia. Dachówki na tych wiatach przetrwały działania wojenne w dobrym stanie. Uczniowie szkoły w czynie społecznym ściągali dachówki z wiat, ładowali na wojskowe samochody ciężarowe, które przewoziły te dachówki do szkoły. A tam druga grupa uczniów, rozstawiona „łańcuszkiem” od samochodu aż na strych szkoły, podawała sobie po dwie dachówki z ręki do ręki, na zasadzie „podaj dalej”. Na strychu szkoły fachowcy – dekarze, układali nowy dach. W takich to warunkach ukończyliśmy w lipcu pierwszy, skrócony rok szkolny 1945. W następnych latach warunki nauki w szkole ulegały stopniowo poprawie, aż w końcu stały się zupełnie przyzwoite.

Kolejnym przejawem entuzjazmu i normalizacji życia po odzyskaniu wolności było reaktywowanie drużyn ZHP. W naszej szkole w konsekwencji doprowadziło to do powstania Hufca ZHP. Nastąpiło to z inicjatywy starszych uczniów szkoły, członków ZHP sprzed wojny, za zgodą i przy pełnej aprobacie dyrektora Franciszka Sadowskiego. Najbardziej aktywnymi w tych poczynaniach, jak dobrze pamiętam, byli: Ryszard Kwiatkowski, Kazimierz Miś (późniejszy hufcowy), Czesław Haszto (późniejszy drużynowy), Mieczysław Róg, Leopold Bandurski (wkrótce został księdzem), Adam Kubica i inni, których nazwiska umknęły już z mojej pamięci.

Najtrudniejszy okres życia szkoły przypadł na czas trzech pierwszych powojennych lat sprawowania władzy dyrektorskiej przez Franciszka Sadowskiego. Natychmiast po wyzwoleniu przystąpił z pasją do wykonywania



swoich obowiązków i wykonał gigantyczną pracę w rekordowo krótkim czasie, a sprawa nie należała do łatwych. Budynek szkoły był zrujnowany, klasy ogołocone z podstawowego wyposażenia i pomocy dydaktycznych, grono nauczycielskie rozproszone. W ciągu jednego miesiąca wszystkie te piętrzące się trudności dyrektor Sadowski zdołał pokonać. Wyposażył klasy szkolne w konieczny sprzęt, skompletował obsadę nauczycielską, która pracowała kilka miesięcy bez wynagrodzenia. Ogłosił i zorganizował nabór uczniów (poprzez egzaminy) do klas pierwszych gimnazjum oraz wszystkich klas wyższych gimnazjalnych i licealnych na podstawie przedwojennych świadectw szkolnych i weryfikacji zaświadczeń tajnego nauczania z okresu okupacji. Szkoła wystartowała do tego pierwszego po wyzwoleniu roku szkolnego z wszystkimi klasami, od pierwszej klasy gimnazjum do drugiej klasy liceum i realizowała nauczanie zgodnie z programami poszczególnych klas obowiązującymi przed wojną.

Dyrektora Franciszka Sadowskiego zapamiętałem jako człowieka spokojnego, nigdy niepodnoszącego głosu. Miał wykształcenie pedagogiczne, był profesorem fizyki. Nie wyróżniał się okazałym wzrostem, ale był za to wielki duchem. Swoje obowiązki wykonywał z pasją i pełnym zaangażowaniem oraz okazywanym zawsze umiłowaniem młodzieży, przez co zyskał wśród nas ogromny autorytet, a w całej społeczności dębickiej wdzięczność i uznanie. Przez trzy lata mojej edukacji pod rządami dyrektora Franciszka Sadowskiego nie słyszałem o żadnych nieodpowiedzialnych wybrykach uczniów, w które musiałby interweniować. Darzyliśmy go szacunkiem i równocześnie czuliśmy przed nim duży respekt. W szkole wszędzie było czuć jego obecność. Wystarczyło, że usłyszeliśmy na korytarzu charakterystyczny stukot jego jednego podkutego buta, a natychmiast milkły zbyt głośne rozmowy i kończyły się młodzieńcze wygłupy. Nie było to wynikiem strachu przed dyrektorem, tylko wyrazem szacunku dla niego.

W roku 1948 nastąpiła zmiana na stanowisku dyrektora szkoły. Miejsce dyrektora Franciszka Sadowskiego zajęła pani Zofia Hołubowicz. Była to osoba o niezbyt miłej aparycji i nie wzbudzała sympatii. Wrażenia te pogłębiała jeszcze sposobem sprawowania władzy dyrektora opartym na ciągłym zastraszaniu młodzieży. Zapisała się w naszej pamięci jako osoba oschła, szorstka, apodyktyczna. Tylko taką ciągle ją widzieliśmy i wysłuchiwalismy jej krzyków. Najważniejszą sprawą dla nowej pani dyrektor, od samego początku



urzędowania, była indoktrynacja młodzieży. Harcerstwo systematycznie spychała na margines życia szkoły, a w to miejsce uaktywniła ZMP. W każdej klasie obowiązkowo musiało powstać koło ZMP podległe zarządowi szkolnemu, do którego powołała „swoich ludzi”. Informowana przez tych ludzi wiedziała, co się w szkole dzieje, o czym się mówi, jakie panują nastroje wśród młodzieży. Uruchomiła radiowęzeł szkolny, przez który ciągle wysłuchiwałam pogadank ideologicznych i komunikatów zarządu ZMP. Wiem również o naciskach pani dyrektor na grono pedagogiczne w sprawie wstępowania w szeregi partyjne. Wielu z naszych profesorów uciekało przed tą koniecznością, zapisując się do Stronnictwa Demokratycznego lub do Zjednoczonego Stronnictwa Ludowego. Zarządzeniem pani dyrektor Hołubowicz skończyły się niedzielne wspólne przemarsze młodzieży na msze ze szkoły do kościoła. Od samej pani dyrektor wysłuchiwałam pochwały pod adresem naszych wyzwolenców, pod adresem Wandy Wasilewskiej, organizatorki Związku Patriotów Polskich i armii Berlinga w ZSRR, o bitwie pod Lenino, o dobroczynnych skutkach rewolucji październikowej dla ludu pracującego, ale nigdy ani słowa o Katyniu czy Armii Polskiej na Zachodzie. Ale za to dowiedzieliśmy się od pani dyrektor, że z okupantem walczyła tylko PPR i PPS przez swoje oddziały partyzantów AL i GL. Nie usłyszeliśmy od tej pani ani jednej wzmianki o żołnierzach Armii Krajowej. Próbowała nam wmówić, że potwornego mordu na tysiącach polskich oficerów dokonali w Katyniu Niemcy. Wkroczenie Armii Czerwonej do Polski w dniu 17 września 1939 roku, uznane przez historię „za nóż w plecy”, pani dyrektor tłumaczyła nam względami strategii wojennej. Armia Czerwona przygotowywała sobie przedpole do wojny z Niemcami. O pakcie Ribbentrop – Mołotow, który był kolejnym rozbiorem Polski, w swoich częstych pogadankach ideologicznych nie wspominała ani jednym słowem. Przecież te wydarzenia działy się już za naszego życia, niemal na naszych oczach, znaliśmy ich prawdziwą, historyczną wersję. O zbrodni katyńskiej usłyszałam pierwszy raz w szkole podstawowej od naszej nauczycielki. Pani Maria Gielarowska pewnego dnia przyszła na lekcję zapłakana, cała w czerni, bo właśnie wyczytała nazwisko swojego męża na liście zamordowanych przez NKWD polskich oficerów. Wykazy tych nazwisk zamieszczała gazeta okupacyjna („Kurier Krakowski”), a były na tych listach nazwiska kilku debizan. W grudniu 1948 roku uczniowie wszystkich klas zgromadzeni w auli



szkolnej wysłuchali transmisji radiowej z Kongresu Zjednoczonego PPR i PPS, urozmaiconej komentarzami pani dyrektor.

Pani dyrektor nie uznawała żadnych rozrywek uczniowskich, a szczególnie sportowych. Nie rozumiała znaczenia kultury fizycznej i potrzeby ruchu dla prawidłowego rozwoju fizycznego młodych ludzi. Starsi koledzy przekazali nam zwyczaj częstych spotkań na boisku szkolnym (dzisiaj stoi tam hala sportowa), gdzie rozgrywano mecze siatkówki. Zostało nam to zakazane przez panią dyrektor. Jesienią i w zimie powodzeniem cieszyły się rozgrywki pingpongowe. W pracowni zajęć technicznych, która mieściła się na parterze, w rogu po prawej stronie korytarza, ustawiony był stół pingpongowy. Jako jeden z dwóch w mieście (drugi był w świetlicy Zakładów Mięśnych). W jesienne i zimowe popołudnia zamykaliśmy się w pracowni od wewnątrz i graliśmy parami po jednym secie, bo czekających w kolejce, chętnych do grania, było wielu. Przeszkodą w tych rozgrywkach było to, że pani dyrektor mieszkała na terenie szkoły, więc czasem z krzykiem dobijała się do drzwi pracowni, musieliśmy się wtedy salwować ucieczką przez okno. Rozgrywek siatkówki musieliśmy zaniechać (nie było możliwości ucieczki), a spotkania pingpongowe, mimo dużego ryzyka, kontynuowaliśmy do momentu, kiedy pani dyrektor ogłosiła przez swój radiowęzeł, że grupę niesfornych uczniów odkryje i wyrzuci ze szkoły. Korzystając z gościnności świetlicy Zakładów Mięśnych, chodziliśmy rozgrywać mecze pingpongowe, ale już rzadko, ze względu na odległość.

Do jedyne go kina „Uciecha”, jakie istniało w mieście, mogliśmy chodzić tylko pod warunkiem, że afisz filmu był wywieszony w szkole na tablicy informacyjnej, po lewej stronie, przy bramie wejściowej. Ten wymóg zaspokoiliśmy raz, przy okazji wyświetlania przedwojennego polskiego filmu „Pani minister tańczy”, gdyż chcieliśmy go koniecznie obejrzeć. Afisz filmu bez trudności otrzymaliśmy od pomocnika operatora filmowego, Adama Zachwieja, który grał ze mną w drużynie juniorów „Wisłoki”. Wywiesiliśmy go w szkole na właściwym miejscu. Zadowoleni i bezpieczni poszliśmy we trzech na pierwszy seans. Ktoś jednak doniósł pani dyrektor o wywieszonym w szkole afiszu i naszej obecności na niedozwolonym filmie. Nazwisk donosicieli łatwo się było domyślić. Trójka winowajców została zawieszona w prawach uczniowskich, a nasi rodzice wezwani przed oblicze pani dyrektor. Skąd znalazł się w szkole afisz, kto go wywiesił, nigdy nie ustalono. To nas uratowało przed późniejszą



karą. Winowajcy zostali napiętnowani przez ogłoszenie nazwisk przez radio-węzeł szkolny. Treść filmu „Pani minister tańczy” w porównaniu z filmami, jakie ogląda dzisiejsza młodzież w telewizji i w kinach, była bajeczką dla grzecznych dzieci. Od tego incydentu z afiszem zezwolenie na odwiedzenie kina było ważne, jeżeli afisz wywieszony w szkole opatrzony był pieczęcią szkoły.

Dla uzupełnienia rygorystycznych przepisów wprowadzonych przez panią dyrektor dodać należy, że po godzinie dwudziestej wieczorem, o każdej porze roku, nie wolno nam było, pod żadnym pozorem, wychodzić z domów i „błąkać się po mieście”, jak to określiła pani dyrektor. Byliśmy pilnowani i strzeżeni jak gromada niesfornych dzieci.

Działalność ideologiczną pani dyrektor Hołubowicz doceniły władze szkolne i nagrodziły ją awansem na kuratora oświaty aż w Szczecinie. Na początku 1950 roku, tuż przed naszą maturą, pani dyrektor Hołubowicz opuściła szkołę i Dębicę.

Nowym dyrektorem szkoły został Jan Czyhin, którego zapamiętałem jako człowieka spokojnego, pogodnego i w przeciwieństwie do poprzedniczki, bardzo miłego i przychylnego młodzieży. Nie wiem tylko, jak ta zmiana wpłynęła na dalsze losy harcerstwa w naszej szkole. Ostatnim hufcowym przed naszą maturą został mój kolega i sąsiad w namiocie na obozie harcerskim w Jastrzębiej Górze – Staś Waltoś, późniejszy profesor dr hab. na Wydziale Prawa Uniwersytetu Jagiellońskiego. Jemu przypadł smutny obowiązek rozpalenia ostatniego ogniska dębickich harcerzy. Powoli umierała wspaniała organizacja wychowująca młodzież w duchu głębokiego patriotyzmu i umiłowania ziemi ojczystej. Stała się wielka szkoda. Rządy pani dyrektor Hołubowicz w naszej szkole były zapowiedzią mającego wkrótce nastąpić w całej Polsce trudnego okresu terroru stalinowskiego.

Nie należałem do najpilniejszych uczniów szkoły, ale nie powtarzałem żadnej klasy, przechodząc kolejno każdego roku do następnej. Pewne perypetie zdarzały mi się czasem na początku roku szkolnego z językiem polskim. Brakowało mi czasu (!!!) na czytanie lektur obowiązkowych, co było powodem trudności w pisaniu klasówek. Naszą wychowawczynią, a równocześnie nauczycielką języka polskiego, była pani profesor Irena Janda. „Upodobała” sobie dwóch moich kolegów oraz mnie i często (za często – naszym zdaniem) nas pytała, rozpoczynając w różnej kolejności od jednego z nas, ale zawsze



odpytywani byliśmy wszyscy trzej. Byliśmy przekonani, że pani nas prześladowuje, że nas nie lubi, że się na nas uwzięła – jak to często mawiają uczniowie. Po ukończeniu gimnazjum, po tak zwanej małej maturze (byliśmy ostatnim rocznikiem przed reformą szkolnictwa) dwóch z naszej trójki zmieniło szkołę, poszli do Technikum Mechanicznego w Dębicy, a później zostali inżynierami. Ja natomiast dotrwałem w naszej szkole do dużej matury. Dzisiaj wiem, że pani profesor Irena Janda była doskonałą nauczycielką j. polskiego i dzięki niej nie miałem w późniejszym życiu żadnych trudności w wyrażaniu swoich myśli w mowie i w piśmie. Częstym odpytywaniem zmusiła nas do czytania lektur, co z czasem stało się moim nowym nawykiem wypełniającym każdą wolną chwilę – stałem się nałogowym czytelnikiem.

Dużą popularnością wśród moich rówieśników cieszył się wydział prawa na Uniwersytecie Jagiellońskim. Tam właśnie swoje kroki skierowali: Staś Waltoś, Zosia Buszko, Jurek Dymitrowski, Zbyszek Bukowski, Stasia Krzemień, Czesiek Krzak, Jasia Frankiewicz. Politechnikę Krakowska wybrali: Roma Zięba, Wanda Głuszyńska, Boguś Gliwa, Ludek Deszcz. Pojedyncze osoby trafiły na różne kierunki innych uczelni. Jeden kolega wybrał medycynę, jeden został księdzem, a jedna koleżanka wstąpiła do zakonu. Jako ciekawostkę wspomnę, że ta właśnie koleżanka, Zosia B., wybierała się na AWF. Mieliśmy razem jechać na egzamin wstępny. Uzgodniliśmy godzinę odjazdu pociągu, jednak na dworzec nie przyszła, na egzaminy też się nie zgłosiła. Po powrocie z egzaminu wstąpiłem do jej rodziców, od których usłyszałem, że Zosia wybrała klasztor.

Z grona absolwentów naszej szkoły z lat 1945-50 wielu zostało profesorami uniwersytetów: prof. dr hab. Józef Buszko – historyk UJ, prof. dr hab. Leszek Starkel – geograf UJ, prof. dr hab. Stanisław Waltoś – prawnik UJ, prof. dr hab. Eugenia Śliwa - Łoch – polonistka UMCS w Lublinie, prof. dr hab. Janina Działo – polonistka UW. Myślę, że nie jest to jeszcze kompletna lista nazwisk profesorów, absolwentów naszej szkoły. W tym miejscu, w takim szanownym gronie, należy wymienić nazwisko maturzysty z 1951 roku, znanego i cenionego na świecie kompozytora i dyrygenta, Krzysztofa Pendereckiego, który naszej szkole i naszemu miastu przyniósł ogromny splendor.

W szkole byliśmy normalnymi, młodymi ludźmi, skorymi do wszelkich wybryków, ale też nad wiek poważnymi. Myślę, że było to wynikiem doświad-



czeń lat okupacji oraz trudnych warunków życia pierwszych powojennych lat. Duże znaczenie miały również działania wychowawcze naszych wspaniałych nauczycieli oraz domów rodzinnych. Trudno dzisiaj uwierzyć, ale nie zauważyłem nigdy wśród kolegów palenia papierosów. W szkole było jedno wyznaczone pomieszczenie, w którym mogli palić papierosy starsi, „przeterminowani” przez wojnę uczniowie. Nikt z nas nie odważył się tam wejść. Z upływem czasu pomieszczenie to zlikwidowano, było bezużyteczne. Tematy alkoholowe na spotkaniach i w rozmowach były zupełnie nieobecne. O problemach narkotykowych w tamtym czasie nikt nawet nie słyszał. W naszych rozmowach czasem wyrwało się komuś „grubsze” słowo, ale nie było to nagminne.

Spoglądając wstecz, z perspektywy wielu lat od matury i wspominając grono naszych nauczycieli, czuję ogromną wdzięczność za ich trud włożony w naszą edukację. W moim przekonaniu byli doskonałymi wychowawcami i nauczycielami. W swojej trudnej pracy kierowali się zawsze pedagogiczną zasadą nierozzerwalności wychowania i uczenia. Mimo pozorów szorstkości, odczuwaliśmy okazywaną nam zawsze życzliwość, ale równocześnie potrafili być w stosunku do nas wymagającymi nauczycielami. Lata spędzone w tej szkole wspominam z nostalgią i sentymentem, a nad grobami naszych Profesorów skłaniam nisko posiwiałą już głowę z wielkim szacunkiem i składam serdeczne podziękowania za tamte wspaniałe lata naszej młodości burzliwej, górnej, a czasem durnej i chmurnej, przez którą przeprowadzili nas bez niebezpiecznych zawirowań.

Mielec, 28 grudnia 2009 r.



MARIA MAREK

wspomnienia z lat 1969-2006



Profesor Maria Marek tuż po ukończeniu studiów

Poznanie historii zawsze było moją pasją, dlatego po ukończeniu LO w Kolbuszowej wybrałam studia na wydziale historycznym. Po ich ukończeniu, poszukując pracy, udałam się do Kuratorium Oświaty w Rzeszowie, gdzie w biurze do spraw zatrudnienia absolwentów uzyskałam informację o wolnym etacie nauczycielskim w Wydziale Oświaty w Dębicy.

Postanowiłam od razu pojechać do tego urzędu. Los mi sprzyjał, bo spotkałam koleżankę ze studiów, która stała się moją przewodniczką po Dębicy. Natomiast w urzędzie otrzymałam zdawkową odpowiedź bez żadnych konkretów. Byłam wówczas osobą spoza środowiska dębickiego, a więc nieznaną, co niewątpliwie było ważne przy zatrudnianiu. Ostatecznie, po przedłożeniu dokumentów oraz kolejnych rozmowach, inspektor wyraził zgodę na zatrudnienie mnie w Liceum Ogólnokształcącym w Dębicy. Udałam się więc do budynku szkoły, gdzie czekała mnie rozmowa z ówczesnym dyrektorem, panem Edmundem Galasem.

Pan dyrektor przyjął mnie serdecznie, opowiedział o szkole oraz poinformował o zadaniach i obowiązkach w pracy dydaktyczno-wychowawczej. W końcu sierpnia, zgodnie z harmonogramem pracy szkoły, miała miejsce konferencja rady pedagogicznej, podczas której miałam okazję zapoznać się z nauczycielami liceum.

Grono nauczycielskie było niewielkie. W szkole pracowali w większości nauczyciele doświadczeni, z dużym stażem zawodowym. Szybko zostałam przez nich zaakceptowana. Otrzymałam od nich wiele wsparcia i praktycznych rad dotyczących pracy wychowawczej z młodzieżą, a także współpracy z rodzicami. Jestem im za to niezmiernie wdzięczna. W szkole było 12 oddziałów w klasach 1-3. Nie było klas maturalnych ze względu na reformę oświaty, wprowadzającą ośmioklasową szkołę podstawową.



Podczas konferencji otrzymałam przydział czynności. Wymiar godzin pracy nauczyciela był wówczas zróżnicowany i wynosił od 18 do 23 godzin tygodniowo. Historia była jednym z dwóch przedmiotów o najwyższym wymiarze czasu pracy. Zajęcia dydaktyczne kontrolował i hospitował dyrektor, również nauczyciel historii. Dyrektor był osobą bardzo wymagającą od siebie i od podwładnych. Potrafił inspirować nauczycieli i uczniów do lepszej i efektywniejszej pracy. Podczas rozmów indywidualnych zachęcał zarówno nauczycieli, jak i uczniów do wielu wyzwań, organizowania i uczestnictwa w olimpiadach, konkursach i zawodach sportowych. Sprzyjały temu ówczesne przepisy dotyczące organizowania olimpiad z wielu przedmiotów. Oprócz pracy nauczycieli i uczniów, to właśnie sukcesy osiągnięte w tych olimpiadach jeszcze bardziej umacniały prestiż szkoły. Liceum cieszyło się uznaniem nie tylko w środowisku lokalnym, ale także w województwie i w kraju.

Mijały lata, następowały zmiany w różnych dziedzinach życia, także w szkole. Ja nabierałam praktyki i doświadczenia, dzięki czemu mogłam lepiej rozpoznawać i rozwijać zainteresowania uczniów historią oraz pomagać w wyborze kierunku studiów i zawodu. Chętnych do nauki w liceum było coraz więcej. Rozbudowany budynek szkoły umożliwiał zwiększenie naboru uczniów. Dlatego do pracy byli przyjmowani nowi nauczyciele, w dużej mierze nasi absolwenci.

Zmieniała się również dyrekcja szkoły. Ale atmosfera panująca w naszym liceum zawsze była serdeczna, sprzyjająca pracy, rozwijaniu talentów i zainteresowań młodzieży.

Dziś, z perspektywy upływającego czasu, bardzo ciepło wspominam szkołę, nie tylko jako miejsce pracy, ale także miejsce nawiązywania serdecznych, przyjacielskich kontaktów. Służyły temu również uroczystości i imprezy organizowane w szkole i poza nią. Z wieloma koleżankami i kolegami staram się utrzymywać bliski kontakt do dziś. Jestem im wdzięczna za wspólne lata pracy i za przyjaźń.

Z serdecznymi pozdrowieniami i życzeniami dla Dyrekcji i całego Grona Pedagogicznego pracującego w szkole.

Dębica, styczeń 2020 r.



FELIKSA MIĄSO

wspomnienia z lat 1946-1950

Szkołę średnią, Liceum Ogólnokształcące w Dębicy, często wspominam, wspominałam koleżanki, z którymi się uczyłam i przyjaźniłam, wspominam uczących nas profesorów i myślę, że to już mija 50 lat od tamtych czasów, od pierwszych lat powojennych. Były to dla uczniów raczej trudne czasy ze względu na braki ze szkoły podstawowej, na przykład z historii czy geografii, bo tych przedmiotów w czasie okupacji nie uczono. Trzeba było wszystko nadrabiać, a z kolei brak podręczników utrudniał naukę. Żeby podołać wymaganiom, trzeba było pilnie uczęszczać do szkoły, jeszcze pilniej słuchać nauczycieli i robić notatki, a pożyczony od czasu do czasu podręcznik czy lektura sprawiały ogromną radość. Nie było telewizji, każdą lekturę z języka polskiego trzeba było przeczytać, więc czytaliśmy bardzo dużo książek, także tych nieobowiązkowych.

Uczeń reprezentował szkołę swoim wyglądem. Pamiętam, że przez cały okres szkolny chodziło się obowiązkowo w granatowym lub czarnym chałacie zapinanym na guziki, z paskiem, długim rękawem z mankietem i białym kołnierzykiem. Chłopcy też nosili takie fartuchy, tylko krótkie lub granatowe marynarki. Odzież kolorowa była zabroniona i nikt się temu nie próbował sprzeciwić. Uczesanie musiało być gładkie, proste, względnie warkocz. Na rękawie była tarcza z nazwą szkoły.

Uczących nas profesorów także miło wspominam, wydaje mi się, że miałam szczęście do dobrych pedagogów. Niestety większość z nich już nie żyje. Serdecznie wspominam panią profesor Irenę Jandę, wspaniałą polonistkę, która nas doprowadziła do matury, profesora Józefa Wierciocha, jednego z najlepszych matematyków tamtych czasów, profesora Jana Szczerbę – biologa, profesora Mariana Palucha – geografę i wielu innych. Był to chyba ostatni rok nauki religii w szkole średniej i wspaniałą księżką profesor Teofil Dec przekazał nam wiele cennych rad i wskazówek na dalsze życie. Moralność w tamtych czasach była na bardzo wysokim poziomie, swoich nauczycieli szanowaliśmy i ceniliśmy, a prawem ucznia było uczyć się.

Dębica, 21 kwietnia 2001r.



ANDRZEJ MOL

wspomnienia ucznia i nauczyciela

Chciałbym opowiedzieć kilka wydarzeń z życia szkoły za kadencji dyrektora Pietrzykowskiego i dyrektora Galasa. Będą to wspomnienia nie o tym, jaki był dyrektor jako pedagog, organizator czy budowniczy szkoły, bo i tacy dyrektorzy byli, zwłaszcza dyrektor Galas. Będą to wspomnienia o dyrektorze jako człowieku, człowieku „pisanym dużą literą”, który widział problemy nauczycieli, nie tylko zawodowe, ale przede wszystkim osobiste, życiowe i starał się pomagać w miarę swoich możliwości. Naturalnie będą to moje wspomnienia. Ktoś inny może powiedzieć coś innego. Nie będę temu zaprzeczał, ale ja przedstawię to, co mnie spotkało dobrego od tych dyrektorów.

Po zdaniu matury w naszym liceum w 1952 roku poszedłem na studia. Po ich ukończeniu wróciłem do liceum w Dębicy jako nauczyciel wychowania fizycznego. Do dyrektora Pietrzykowskiego przyszedłem z nakazem pracy, a wtedy dyrektor powiedział, że nie ma dla mnie etatu. Ja jednak wiedziałem, że etat jest. Mój dawny profesor, pan Książek, już rok wcześniej powiedział mi, że przenosi się do Brzozowa i zostawia mi miejsce, bo chce, żebym pracował w tej szkole. Mojemu profesorowi mogłem tylko serdecznie podziękować. Tak więc, przychodząc do dyrektora z nakazem pracy, wiedziałem, że to miejsce jest wolne. To był jedyny zgrzyt z dyrektorem przez cały okres mojej pracy. Dyrektor widocznie uzgodnił wszystko w kuratorium, bo za kilka dni wezwał mnie do siebie. Właściwie to przysłał woźnego, bo przecież wtedy nie było jeszcze telefonów. Powiedział, że może mnie przyjąć do pracy, ale do etatu brakuje dwie godziny, więc muszę je uzupełnić w Ekonomiku. Było mi



Profesor Andrzej Mol w czasie zawodów sportowych



to bardzo na rękę, poznałem nauczycieli w jednej i w drugiej szkole, a jeszcze dostałem parę godzin nadliczbowych. W następnym roku pracowałem w liceum już na cały etat. Chcę zaznaczyć, że przez te wszystkie lata pracy nigdy nie miałem z dyrektorem Pietrzykowskim żadnych sytuacji konfliktowych. To nie znaczy, że ja byłem jakimś idealnym człowiekiem czy na wszystko się zgadzałem. Z dyrektorem Galasem, który przez wiele lat był wicedyrektorem, również nigdy nie miałem sytuacji konfliktowych. Jedyne kwestie sporne dotyczyły pochodów pierwszomajowych. Wystawialiśmy, podobnie jak inne szkoły, kolumny sportowe, ale były problemy ze strojami, gdy dzień był chłodny. Ale ten problem rozwiązaliśmy szybko, młodzież musiała wtedy przecież iść w pochodzie, takie były czasy. W końcu udało się zakupić dresy sportowe i wszyscy byli zadowoleni.

Przyszedłem do pracy do swojej szkoły, wszyscy moi wcześniejsi profesorowie teraz teoretycznie stali się moimi kolegami. Bałem się, że będą pamiętać czasy, kiedy byłem uczniem, a chodziłem do ciekawej klasy, takiej dość niegrzecznej. Często zmieniali się nam wychowawcy, były psoty, dyskusje, udawane zainteresowanie tematem, a wszystko po to, żeby tylko nas nauczyciele nie odpytywali. Taka szkolna kolej rzeczy, z perspektywy czasu to dość zabawne zabiegi.

Ale nic takiego się nie wydarzyło, wszyscy przyjęli mnie bardzo serdecznie. Tamto grono pedagogiczne było zgrane, stanowiło monolit, choć były tam drobne rysy. Wszyscy byli wobec siebie życzliwi, pomocni i szczerzy. Stopniowo grono się odmładzało, ale konsolidacja była chyba nawet jeszcze większa. Bardzo ceniłem sobie, wręcz byłem z nich dumny, przyjacielskie relacje z prof. Safinem, Władysławem Zielińskim i dyrektorem Dziepakiem. Z młodzieżą miałem bardzo dobre kontakty. Kiedy ja przyszedłem do pracy, to uczniowie byli przecież moimi kolegami: Andrzej Brniak, Modelski, Solarski i wielu, wielu innych, nie będę ich wszystkich wymieniał. Boisko zaroilo się od młodzieży. Mieliśmy zespół bardzo dobrej młodzieży. Byliśmy potęgą w sporcie w województwie. Zdobywaliśmy puchary, które do dzisiaj znajdują się w szkole. Osiągaliśmy wielkie sukcesy, przywoziliśmy dyplomy. Z młodzieżą ćwiczyliśmy na małym boisku, a dyrektor Pietrzykowski widział nas z okien swojego domu. Obserwował, czy nauczyciel jest punktualny, dobrze wywiązuje się ze swoich obowiązków, przygotowuje się do lekcji, jaki ma stosunek do młodzieży.



Kiedy nabrał przekonania, że jest się uczciwym pracownikiem, któremu można ufać, to mu naprawdę ufał. Nawet jeżeli czasem komuś coś nie wyszło, to nie było wielkiej krytyki czy kar. Każdemu mogło się zdarzyć potknięcie, ale dyrektor miał do nas zaufanie. To była piękna cecha.

Dyrektor szanował nauczycieli, rady pedagogiczne były zaplanowane i spokojne, nie było publicznego oceniania czy krytykowania pracowników. Wszystkie sprawy sporne były załatwiane w gabinecie bez osób trzecich i protokołów.

Państwo Pietrzykowscy przeprowadzili się do Dębicy z Sokołowa Małopolskiego, zamieszkali w mieszkaniu służbowym, tam, gdzie obecnie znajduje się biblioteka. Mieli życiową zasadę, której pozostali wierni: mój dom, moją twierdzą. Nie znali tutaj nikogo, przyszli w obce środowisko, nie przyjmowali gości. Dyrektor prowadził skromne życie, nie mieli samochodu, rzadko podróżowali. Za to uwielbiał grać w brydża. Dość szybko zorganizował kilku graczy z grona nauczycielskiego, samych panów, a szkoda, bo panie też doskonale grały. W wolnym czasie, cztery, może pięć razy do roku graliśmy z dyrektorem w brydża. Dyrektor był doskonałym brydżystą, lubił z nami grać, a ja byłem w tym gronie najmłodszy, więc było to dla mnie zaszczytem. Zasady były proste: dzisiaj gramy w karty, ale jutro w pracy wykonujemy swoje zadania, nikt nie liczył na pobłażliwość i względy. Pewnego razu, ku naszemu zaskoczeniu, dyrektor, po zakończeniu gry, zaprosił nas do swojego domu na kieliszek nalewki. Dla mnie, młodego nauczyciela, to był zaszczyt. Wtedy byłem pierwszy i jedyny raz w domu u naszego dyrektora. Ja byłem z tego bardzo dumny.

W połowie lat 70. miałem tragiczną sytuację w domu, żona ciężko chorowała po urodzeniu drugiego syna, syn też był chory, bo zaraził się od matki. A na domiar złego, starszy syn zachorował na szkarlatynę. Byłem wtedy przemęczony i zmartwiony, w każdej wolnej chwili biegłem do domu sprawdzić jak się czują. Dyrektor to widział, ale nic nie mówił, obserwował. Dwa tygodnie przed zakończeniem roku szkolnego poprosił mnie do gabinetu, pomyślałem, że następne kłopoty przede mną. Jednak nie, podał mi papier i kazał napisać podanie o urlop. Na drugi dzień pojechał ze mną do kuratora, wszystko odbyło się bardzo szybko i mogłem całkowicie poświęcić się swojej rodzinie. Nic dodać, nic ująć. Dzisiaj, kiedy dyrektor już nie żyje, mogę tylko jeszcze raz z wdzięcznością powiedzieć: „Panie dyrektorze jeszcze raz dziękuję za to, co pan dla mnie zrobił”.



Dyrektor odszedł ze szkoły nagle, w czasie wakacji, nawet nie pożegnaliśmy się. Spotkaliśmy się po latach, kiedy przyjechał do Dębicy z okazji 80-lecia liceum. Zaprosiłem go nawet do swojego domu na partyjkę brydża, ale nie przyszedł. On wtedy już źle się czuł, miał problemy z sercem, dowiedziałem się kilka lat później, że zmarł.



Dyrektor Edmund Galas

Taki był dyrektor Pietrzykowski, ja go takiego pamiętam i zawsze dobrze wspominam.

Z dyrektorem Galasem też nie miałem żadnych konfliktów. Pewne rzeczy, jako jego długoletni zastępca, naturalnie przejął od dyrektora Pietrzykowskiego. Był przede wszystkim dyrektorem sprawiedliwym. Zresztą obaj dyrektorzy zawsze bronili nauczycieli. Jeżeli przychodził rodzic na skargę, rozpatrywali ją i sprawiedliwie rozstrzygali. Bronili nauczyciela przed krzywdzącymi ocenami ze strony kuratorium. Jeżeli wizytator kuratorski źle ocenił nauczyciela, a oni na podstawie swoich obserwacji mieli inne zdanie, to stawali w jego obronie. Mieli odwagę sprzeciwić się wydanej opinii.

Kiedy szedłem na emeryturę, dyrektor Galas proponował, żebym jeszcze kilka lat pracował. Nie zdecydowałem się jednak, zresztą dyrektor kilka lat



później sam przeszedł na emeryturę. Wysłał więc wniosek o przyznanie mi na zakończenie pracy Nagrody Kuratora. Okazało się jednak, że kurator tej nagrody przyznać mi nie chciał. Dyrektor postanowił się od tej decyzji odwołać. Jak postanowił, tak zrobił i nagrodę otrzymałem. Kurator swoją decyzję zmienił. Taki był dyrektor Galas. To są oczywiście moje doświadczenia i wspomnienia. Dyrektor Galas sprawiedliwie oceniał i nagradzał swoich nauczycieli.

Wszyscy byliśmy zaangażowani w pracę z młodzieżą, trzeba było jechać na zawody, więc jechaliśmy. Trzeba było wylać w zimie lodowisko na boisku szkolnym, robiliśmy to nawet nocą.

Dyrektor Galas był idealistą, wierzył, że system komunistyczny jest dobry, że ludziom z roku na rok będzie się żyło coraz lepiej. Kiedy system się zaczął kruszyć, a inne partie dochodzić do władzy, dyrektor przeszedł na emeryturę i całkowicie wycofał się z życia publicznego. Miał w Dębicy piękny dom, ale przeniósł się na ojcowiznę do Gołęczyny. Pracował tam ciężko na roli jak zwykły rolnik. Dyrektor napisał książkę o Dębicy w czasie okupacji. Pojechałem go kiedyś odwiedzić. Kiedy podał mi rękę na powitanie, zauważyłem, że była to ręka twarda, szorstka i spracowana. Ciężko pracował sam, na odludziu – w ten sposób przeżywał zawalenie się swojej ideologii. Nigdy nie zmienił swoich poglądów, nie dopasował się do nowych czasów, a tak zrobiło wielu. Pozostał ateistą, pogrzeb też miał świecki. Do śmierci pozostał wierny temu, w co wierzył i co głosił w swoim życiu. Taki był dyrektor Galas. To są moje wspomnienia, inni mogą powiedzieć coś innego, ja go takiego zapamiętałem. Nie można nikogo krzywdzić zbyt jednostronną oceną.

Po dyrektorze Galasie władzę w szkole przejął pan Stasiu Kłok, mogę tak powiedzieć, bo znamy się bardzo dobrze i wzajemnie szanujemy.

Potem po raz kolejny rozgorzała dyskusja na temat patrona szkoły. Napisałem petycję do kuratorium z prośbą o przywrócenie imienia Władysława Jagiełły i w końcu się udało. Mogliśmy teraz zorganizować uroczystość z okazji 90-lecia liceum. Z tej okazji chcieliśmy ufundować sztandar dla szkoły, ogłosiliśmy więc zbiórkę na ten cel. Nie chcę się chwalić, ale ja, jako absolwent, zająłem się tym. Projekt sztandaru kosztował 3 tysiące złotych, a więc tyle, ile mieliśmy w puszcze. Nie było nas stać na takiego projektanta. Poszedłem więc do Zakonu Sióstr Służebniczek na ulicę Bojanowskiego, bo to były moje sąsiadki i poprosiłem je o pomoc. Skierowały mnie do klasztoru do Żabna.



Poprosiłem tamtejsze siostry o zaprojektowanie sztandaru. W ciągu godziny siostra Świętosława, niestety bidulka już nie żyje, narysowała projekt, a potem inne siostry wyhaftowały sztandar. Do dzisiaj ten sztandar wisi w gablocie na korytarzu szkoły. Całość kosztowała nas 4 tysiące. Pojechaliśmy go odebrać już z dyrektorem Pękałą. Był to sztandar ufundowany przez absolwentów, ale trochę pieniędzy dopłacił jednak dyrektor. Ten sztandar przekazaliśmy dyrektorowi Pękałowi w czasie uroczystej mszy świętej, w czasie której nastąpiło poświęcenie, a on potem uczniom.

Moje życie od szkoły średniej aż do emerytury związane było z naszym liceum. Do dzisiaj staram się je odwiedzać i zawsze ciepło myślę o mojej budzie.

Dębica, wrzesień 2019 r.



Dyrektor Ryszard Pękała ze sztandarem szkoły



MARIAN MORAWCZYŃSKI

„Szkoła żegna swego Dyrektora”

wspomnienia o ks. Kotfisie

Działalność ks. Błażeja Kotfisa przypada na czas, gdy gimnazjum było jedyną szkołą średnią w Dębicy i okolicy, stąd znajdowało się w centrum uwagi i ambicji społeczeństwa, zaś ukończenie tej szkoły dla miejskiej i wiejskiej biedoty było przepustką do awansu społecznego – w swoich wspomnieniach dawał temu wyraz Wilhelm Mach, który z prywatnego gimnazjum w pobliskich dla siebie Ropczycach, przeniósł się właśnie do Dębicy.

Ks. Błażej Kotfis był postacią oryginalną, tym większą cieszył się popularnością. Miał specyficzny język, w niektórych wyrazach i zwrotach obraźliwy – co kompensował serdecznością wobec młodzieży gimnazjalnej oraz szczególną troską i ofiarnością na rzecz uczniów biednych. Stąd do dzisiaj wśród najstarszych dębiczan w pamięci pozostały zarówno jego wyrażenia, jak i dowody ofiarności.

Bursa natomiast, która powstała za Jego przede wszystkim staraniem, także wyraźnie znaczącym sumptem, była w tamtych latach (brak komunikacji) dobrodziejstwem niezapomnianym: nie tylko dawała mieszkanie, ale także żywiła biedotę, często za darmo.

Gdy zmarł ks. Błażej Kotfis, miasto okryło się żałobą. Zwłoki spoczywały najpierw w domu jego zamieszkania, w bursie. W godzinach popołudniowych (niedziela) społeczeństwo miasta i przyjezdni przez kilka godzin licznie tu przybywali, aby pożegnać Księdza Profesora, Prefekta, Dyrektora szkoły. Przyszła wreszcie obowiązkowo wtedy umundurowana młodzież gimnazjalna i orkiestra szkolna, którą ks. Kotfis zakładał, potem przez kilka lat prowadził. Wokół trumny zgromadził się chór szkolny (męski). Rozległy się pierwsze melodie, popłynęły przez otwarte okno ku zebranim i w górę ku niebiosom pierwsze słowa pieśni, których jeszcze Ks. Profesor uczył, potem następne, naprędce przygotowane. A że były to także pieśni śpiewane co



Ksiądz Błażej Kotfis



niedzielę na mszy szkolnej, przywołały dawne wspomnienia, wśród zebranych wzbudzające żywe serca bicie i serdeczne poruszenie.

Gdy wynoszono trumnę ze zwłokami Księdza Profesora, opiekuna młodzieży, wielu ocierało oczy, niektórzy dyskretnie dusili grube łzy spływające po policzkach.

Do kościoła parafialnego podążał długi kondukt pogrzebowy, nie wszyscy mogli wejść do wnętrza, z rozrzewnieniem posyłano Zmarłemu ostatnie spojrzenia.

Pozostawał żal. Przeświadczenie, że tak wiele uczynił dla szkoły i na długie dziesiątki lat pamięć serdeczna i barwne o Nim anegdoty.

(archiwum szkolne)



Prof. dr hab. inż. **JANUSZ MROCZKA**

„*Moimi oczami...*”

wspomnienia z lat 1967 – 1971

„ Ale nie depreczcie przeszłości ołtarzy
Choć macie sami doskonalsze wznieść;
Na nich się jeszcze święty ogień żarzy
I miłość ludzka stoi tam na straży,
I wy winniście im cześć!”

Adam Asnyk

Propozycję napisania wspomnień przyjąłem z mieszanymi uczuciami. Otrzymałem ją, kiedy przebywałem w Dębicy na spotkaniach z młodzieżą klas starszych Liceum Ogólnokształcącego i gronem nauczycieli, w dniach 13-17 marca 2000 roku. W pierwszej chwili pomyślałem sobie, czy wspomnienia ucznia, którego życie pozbawione było poważniejszych przeżyć dramatycznych i szczególnych blasków, może budzić większe zainteresowanie – stąd szybko odmówiłem. Po spotkaniu z gronem nauczycieli zrozumiałem, że nie mogę sam przed sobą zataić, że byłem wytworem ówczesnego mi środowiska licealnego, a tym samym w pewnym stopniu typowym przedstawicielem młodzieży licealnej, gdzie niepowodzenia nie były dziełem przypadku czy koniunktury, ale następstwem mojej postawy i postępowania. Doznawałem pomocy, spotykały mnie wyróżnienia, co budowało moją wrażliwość, bowiem było dowodem zaufania. Wyróżnienia dawały mi satysfakcję i traktowałem je w kategoriach – za właściwą pracę, właściwa nagroda. Niepowodzenia, a takich nie brakowało, poza ogólnymi przyczynami, miały swe źródła w niemożliwości wchodzenia w kompromis z własnymi zasadami. Wówczas pamiętam, że poświęcając czas matematyce i fizyce, nie mogłem poświęcić więcej czasu, niż programowo wymagał tego materiał, innym przedmiotom oraz nie mogłem uczestniczyć w szkolnym chórze, bo natura w tej kwestii nie była dla mnie hojna. Te uwarunkowania ukształtowały we mnie prawo do odrębności, możliwość podejmowania dialogu, trwania przy raz obranych postanowieniach. Z perspektywy czasu mogę powiedzieć i czynię to z pokorą, że



Profesor Janusz Mroczka na spotkaniu z nauczycielami w liceum





Profesor Janusz Mroccka wśród uczniów

niekiedy w tego typu postawach bardziej dominował upór niż racjonalne myślenie; ale czy młodość nie mogła mieć swoich praw?

W różnych dyskusjach znajduję uzasadnienie, że nie wszyscy spotykani przeze mnie ludzie byli moimi przyjaciółmi. Dzisiaj mogę powiedzieć, że tak było i traktuję to zjawisko pochlebnie dla siebie, zważywszy na fakt, że było ich niewiele, a ich zachowanie w żaden sposób

nie wpłynęło na moje życie. W pełni ponoszę odpowiedzialność za swe życie tego okresu, gdyż jak pomyślę, mogło potoczyć się inaczej, a przecież z perspektywy czasu wyszedłem z tego okresu z tarczą.

Wspomnienie to poleganie na pamięci. Pamięć ludzka jest zawodna. Są osoby i sprawy, o których zapominamy i wyrażamy się w sposób nieściśły. Istotnym jest również fakt, że raz zapisana myśl, nie może podążać za wpływającym czasem. Pamięć dotyczy tylko przeszłości, tego, co było i to, co każdemu z nas dane było zobaczyć czy przeżyć. Pisząc refleksje uczestniczę w procesie odtwarzania pamięciowego i jako pracownik nauki postrzegam ten proces jako narzędzie poznania, a tym samym zmuszony jestem dochować wierności faktom minionego czasu.

Naukę w Liceum Ogólnokształcącym w Dębicy rozpocząłem w 1967 roku. Należałem do rocznika, który mógł po siedmiu latach szkoły podstawowej podjąć naukę w szkołach technicznych lub kończąc osiem klas, w liceach ogólnokształcących. Mimo moich technicznych zainteresowań, wspólnie z rodzicami, podjąłem decyzję o dalszej nauce w liceum. Warunki lokalowe mojej ówczesnej Szkoły Podstawowej nr 2 w Dębicy spowodowały, że ósmą klasę kończyłem w murach licealnych, a grono nauczycielskie było z liceum. Ten fakt miał dość istotny wpływ na atmosferę, która zapanowała w pierwszej klasie liceum, kiedy spotkali się uczniowie z różnych szkół podstawowych powiatu dębickiego. Pewne różnice, które bardziej zarysowane były i podnieszone przez rodziców, szybko zniknęły i mogę powiedzieć, że już w drugiej



klasie stanowiliśmy zgrany zespół. Uczniowie mojej klasy pochodzili z różnych grup społecznych. Były tu dzieci inteligencji, robotników, chłopów. Uczniowie ci reprezentowali rodziny bardzo różniące się stopniem zamożności i warunkami, w jakich w młodości byli wychowywani i dorastali. Pomimo to, szybko zawiązały się różnego rodzaju przyjaźnie, stąd też zasady demokratycznej równości nie występowały w naszej klasie w postaci formalnej. Wspominam to, bo obserwując współczesną młodzież z dużego miasta, widać wyraźnie, że dzieci klas uprzywilejowanych wymagają i niekiedy uzurpują sobie prawo do uzyskiwania pozycji uprzywilejowanych. Ogólnie środowisko mojej klasy było typowe dla uwarunkowań środowiska galicyjskiego, żyjącego w obecności obcego systemu komunistycznego. W swoim partykularyzmie i niedostatku cywilizacyjnym zachowało wiele wartości, których działanie uświadamiamy sobie teraz po wielu latach. Myślę, że tych kart naszych życiorysów niepodobna zatrzeć, tym bardziej, że wielu z nas miało skłonności idealistyczne, co widać było w codziennym życiu. Myślę, że w perspektywie czasu, może wyglądać to rozmaicie, ale współcześnie było to głęboko przeżywane i wymagało odwagi. Tego typu zachowania budziły w naszych rodzicach zaniepokojenie, a okazywane nam uczucie (o tym się nie mówiło) kształtowało nasze obywatelskie myślenie i odpowiedzialność, która chyba była potrzebna, aby w roku 1989 móc w pełni zrozumienia przeżyć odzyskanie niepodległości.

Moją klasę tworzyli: Jan Biel, Wanda Bielawska, Genowefa Chłopek, Krystyna Cuper, Teresa Gac, Krystyna Galas, Tomasz Gawlik, Janusz Golus, Bogusława Kaciłowicz, Urszula Karpińska, Józef Kolbusz, Elżbieta Konieczna, Małgorzata Karga, Anna Kubalica, Krystyna Kubalica, Włodzimierz Leginowicz, Anna Litak, Genowefa Magdziarz, Stanisław Mądrzak, Janusz Mroczyka, Elżbieta Obrocka, Zofia Popek, Adam Rzepecki, Jolanta Składzień, Małgorzata Sęczyk, Czesław Skupnik, Edward Szumański, Krystyna Świetlik, Teresa Wielgocka, Edward Wielgocki, Ewa Zapart.

Grono moich nauczycieli to profesorowie: Zdzisław Czerny, Edmund Galas, Helena Gałuszka, Stanisława Gawryś, Władysława Gazda, Zdzisława Grundboeck, Anna Gwóźdź, Kazimierz Gwóźdź, Mieczysław Kogut, Władysław Kulig, Lucyna Marciniak. Z perspektywy ostatnich 30 lat i po blisko 25-letniej pracy na Politechnice Wrocławskiej z młodzieżą co najmniej dwóch pokoleń, z pełnym uznaniem oceniam moich nauczycieli z liceum.





Profesor Kazimierz Gwóźdź wśród uczniów

W większości byli to ludzie dobrze przygotowani do pracy pedagogicznej. Nie kierowali się panującą modą na określone tematy (społeczne, polityczne itp.). Osobowość moich nauczycieli harmonizowała z deontologią typową dla przedstawicieli środowisk niepodległościowych. W swojej aktywności zawodowej dawali wyraz przeświadczeniu, że zawód nauczyciela zobowiązuje ich do realizacji wzniosłych norm moralnych. Swoją pracę traktowali jako misję, którą spełniają wobec niezależności polskiej kultury. Dbałością o te ideały i stanowczością głoszonych tez, obowiązkowością, systematycznością, gorliwością, nam, jako uczniom, niewiele miejsca zostawiali na młodzieńcze wybryki. Stąd też niepodporządkowanie się temu można było odczuć w częstotliwości wywołań do tablicy. Z perspektywy lat widać, jak w moim pokoleniu ten dydaktyzm zostawił trwały ślad i chyba spełnił swoją pozytywną rolę. Były jednostkowe przypadki, jak zresztą w każdej społeczności, gdzie nauczyciel swoją pozycję wykorzystywał do poniżania, dzielenia, hołubienia dzieci ludzi wówczas znaczących. Niezrozumiałym dla nas było zaniżanie ocen z danego przedmiotu osobom, które były w tym przedmiocie najlepsze w klasie czy porównywanie ich doskonałych opracowań z opracowaniami miernymi, ale



wykonanymi przez dzieci ludzi, o których względy zabiegano. Imponująca dla mnie była postawa uczniów, którzy wywołani po takim incydencie, mimo napisanych opracowań stwierdzali: „Nie mam zadania domowego”. To w konsekwencji odbijało się na ocenie końcowej, ale po latach stanowi udokumentowany fakt solidarności i głębi dezaprobaty dla tego typu poczynań, a jednocześnie oddaje ducha ukształtowanych w klasie osobowości. Społeczność uczniowska to z jednej strony zbiór utalentowanych, nieprzeciętnych indywidualności, ambitnych i pełnych temperamentu, z drugiej strony to również młodzież tryskająca różnorodnością i nie zawsze chętnie poddająca się kierownictwu. Jak to pisał Gałczyński: „Bo żywy uczeń to kłopot dziki...”. Co z tym robić? Myślę, że nic. Bo gdyby uczniowie stali się wzorowymi, grzecznymi, pokornymi, to chyba w murach szkoły zapanowałaby nuda nie do wytrzymania.

Z dumą zbliżam się do końca moich refleksji, w których przyświecał mi cel służenia szkole, w której się wychowałem. Szkole, która ukształtowała moją osobowość. Tą moją krótką refleksją chcę służyć kolejnym pokoleniom, bo wiem uważam, że dzieląc się doświadczeniami z przeszłości, doskonalimy siebie i innych dla przyszłości. I w ten oto sposób trwamy w kształtowaniu przyszłej rzeczywistości z poszanowaniem tradycji.

Wrocław, marzec 2000 r.



HALINA NIZIOŁEK

„Ona już doszła, my jeszcze biegniemy...”

wspomnienia o Marii Grek

To zdarzyć się nie mogło, a przynajmniej absolutnie nie powinno. A jednak się zdarzyło. Staliśmy nad trumną śp. pamięci Marysi Grek oniemiaли i sparaliżowani bólem – my, nauczyciele I Liceum Ogólnokształcącego w Dębicy, koledzy, przyjaciele.



Profesor Maria Grek

Nasza Marysia – bo ona był nasza, jej związek z I Liceum trwał ponad 30 lat – odeszła 18 listopada, tak nieodwołalnie, tak ostatecznie.

Nieśliśmy na ogołcony z liści, jesienny cmentarz – który na czas pogrzebu wyłocili się zimnym, późnojesiennym słońcem – nasze zaskoczenie, nasz żal, smutną refleksję o tragizmie ludzkiego losu i o tajemnicy śmierci, która – jak pisał filozof Leszek Kołakowski – „jest końcem

tej czasowości, w której byliśmy zanurzeni w życiu naszym i wejściem w inną czasowość, o której nic nie wiemy”.

Starożytny poeta rzymski Horacy pisał: „Non omnis moriar” – nie umrę cały. Te słowa niosą ze sobą iskrę nadziei. Po każdym człowieku zostają przecież jego dzieła i serdeczna pamięć.

Kilkanaście lat temu w czasie uroczystości w Dniu Edukacji Narodowej uczniowie naszego liceum przygotowali fraszki o nauczycielach, nawiązując do nazwiska i nauczanego przedmiotu. Naszą Marysię obdarzono fraszką: „Nie wiem czy „grecka” czy „niemiecka”. Wiem: nie ukrzywdzi żadnego dziecka”. Potem jeszcze powstał podobny limeryk:

„Pewna Marysia, choć „grecka”
A nawet trochę „niemiecka”,
To polska, swojska i nasza
Styl, elegancja i klasa.
Gdzie stąpnie, tam smutki rozprasza”.



Była bowiem Marysia człowiekiem niezwykle szlachetnym, życzliwym, łagodnym, pełnym optymizmu, pasji działania, gotowości do spieszenia z pomocą, człowiekiem ambitnym, poświęcającym się pracy dla innych.

Pełniła wiele odpowiedzialnych funkcji. Absolwentka naszego liceum, filologii germańskiej na Uniwersytecie Jagiellońskim i studiów podyplomowych z zarządzania oświatą, po uzyskaniu tytułu multiplikatora wykładała w Nauczycielskim Kolegium Języków Obcych w Tarnowie, pełniła funkcję nauczycielskiego doradcy języka niemieckiego w WOM w Tarnowie, przewodniczącej Komisji Języków Obcych w „Jagielle”, delegata na wiele konferencji germanistów. Współpracowała z ambasadą niemiecką oraz z Inter Nationes w Bonn. Od lat dziewięćdziesiątych współpracowała też z Instytutem im. Goethego w Krakowie. Od 2004 roku jako ekspert MENiS zdobyła uprawnienia do uczestnictwa w komisji kwalifikacyjnej dla nauczycieli ubiegających się o awans zawodowy. Od 1983 roku aż do emerytury była prezesem Oddziału ZNP w Dębicy, w latach 1984 – 2000 wiceprezesem Zarządu Okręgowego ZNP w Rzeszowie.

Za swoją pracę zawodową i działalność nauczycielską była wielokrotnie nagradzana Nagrodami Kuratora, a w 2004 roku – Ministra Oświaty, otrzymała odznaczenia: Brązowy, Srebrny i Złoty Krzyż Zasługi oraz Medal Komisji Edukacji Narodowej.

Jej szlachetne uczynki, ciepłe słowa, radosny uśmiech i serce zostaną z nami na zawsze. Pamiętamy przecież, jak – konsekwentna, ale łagodna dla swych uczniów – wielokrotnie ich broniła, jak chętnie rozmawiała o naszych troskach i wspierała nas nie tylko dobrym słowem i życzliwym uśmiechem. Po czarnobylskiej katastrofie zdobyła gdzieś – podawany tylko dzieciom – płyn Lugola i przyniosła do pokoju nauczycielskiego, byśmy też skorzystali z tego „antidotum”. W czasach największego kryzysu, gdy na sklepowych półkach był tylko ocet, wyprosiła gdzieś spod lady wielką bryłę masła, które – podzielone na kawałki – nieśliśmy do domu jak skarb. Inicjowała i organizowała wycieczki: do Nałęczowa, Lublina, Warszawy, Krakowa, w czasie których bywała przewodniczką i duszą towarzystwa. Wraz z Lidią Górską przygotowywała cudowne spotkania nauczycieli – Herbatka u Władka.

Marysia była kobietą wrażliwą, kochała ludzi, zachwycała się pięknem świata i łatwo się wzruszała. Podczas ubiegłorocznego spotkania nauczycieli-



emerytów dębickiego Oddziału ZMP, na którym czytano fragmenty mojej książki „Poła zielone, wciąż widzę je...”, wręczyła mi kwiaty ze łzami wzruszenia i serdecznymi życzeniami. Jej uśmiech i wzruszenie wciąż żyją we mnie.

Wielu z nas wiadomość o ciężkiej chorobie Marysi przyjęło z niedowierzaniem i niepokojem. Mając poczucie zupełnej bezradności, przesłaliśmy jej tylko „papierowe” życzenia i lukrowane odpustowe serduszek – naiwne i słodkie. I czekaliśmy – z nadzieją i niepewnością.

Śmierć zawsze przychodzi nie w porę. Zawsze za wcześnie, zawsze nieodwołalnie i ostatecznie. Ale jest przecież zdecydowanie wpisana w nasz los. Wszyscy umrzemy, a jak powiedział w homilii ksiądz proboszcz parafii Krzyża Świętego, Jacek Wątroba, wśród zgromadzonych tak licznie żałobników jest też ten, który będzie następny.

Spoglądając na zimne niebo nad cmentarzem, zastanawialiśmy się czy uwolniona od cierpienia śp. Marysia spogląda znad chmurki na nas – tak bezbronnych, tak mizernych, drepających wokół codziennych spraw, strwożonych nieprzewidywalną przyszłością.

Najważniejsze, jak mówi aktor Franciszek Pieczka: „Godnie przeżyć życie i po drodze nikogo nie skrzywdzić...”. Tobie, Marysiu, to się udało.

Wracając z cmentarza, zerkaliśmy ostatni raz na pokryty mnóstwem kwiatów i wieńców grób, a na usta cisnęły się nam słowa osiemnastowiecznego poety:

„Ona już doszła, my jeszcze biegniemy”.

Dębica, grudzień 2017 r.



HALINA NIZIOŁEK

„Lidka”

wspomnienia o Lidii Górskiej

„Pewna Lidka z Dębicy od rana
Zwykła czytać poezję Leśmiana.
A, że talent, chęć i serce ma złote,
I ocalić – to, co cenne – ma ochotę:
Pisze, zbiera – bo w swym mieście
Zakochana”.

Pamiętam, gdy zobaczyłam ją po raz pierwszy. Rozpoczyłam właśnie pierwszą lekcję języka polskiego w nowym roku szkolnym. Gromada dziewcząt – bo to była klasa żeńska – wpadła do klasy i rzuciła się do ławek. Każda chciała dopaść tej ostatniej, a przynajmniej jednej z ostatnich. A Lidka dostojnie wkroczyła gdzieś tam chyba przedostatnia i spokojnie, bez wahania usiadła w pierwszej – tej najbliższej mojego stolika. I choć nie była malutką, filigranową dziewczynką, pozostała wierna temu miejscu aż do matury. Jak wszystkie koleżanki karnie nosiła granatowy chałtat z przepisowym białym kołnierzykiem, jednak wyróżniały ją włosy: gęste, rudawe, lekko falowane, z bujną, niesforną grzywką i grubym, ciężkim warkoczem. Od razu też można było zauważyć, że interesuje ją literatura, a zwłaszcza poezja, że lubi lekcje języka polskiego i chętnie zabiera głos na temat omawianych utworów. Gdy więc pewnego razu daremnie próbowałam uzyskać od milczących uczennic informacje na temat poezji Leśmiana, wywołałam na środek Lidkę, będąc pewna, że jest, jak zawsze, świetnie przygotowana. Jednak to był chyba jakiś pechowy dzień. I Lidka, niestety, otrzymała, jedyną chyba ode mnie, ocenę niedostateczną. Zapamiętała ją na zawsze i nawet po latach ciągle wspominała tę swoją porażkę, choć zawsze wesoło nazywając ją „źródłem kompleksu wobec Leśmiana”.



Pani Lidia Górską



Pomaturze, w czasie której Lidka świetnie poradziła sobie z językiem polskim, na kilka lat straciłam z nią kontakt. Aż pewnego razu pojawiła się znowu – już dorosła, elegancka – choć wciąż nieśmiała – jako koleżanka zatrudniona w naszym liceum na stanowisku bibliotekarki. Serdecznie się przywitałyśmy – i to spotkanie właśnie mile wspominała. Lidka szybko pokochała swoje miejsce pracy, które stało się jej drugim domem. Zawsze witała każdego z życzliwym uśmiechem i radością. Uczniowie traktowali ją trochę jak kumpla, któremu można opowiedzieć o wszystkich kłopotach, my, nauczyciele, biegaliśmy do biblioteki na herbatę, którą ciągle komuś parzyła. Sama rzadko mogła usiąść na długiej przerwie, przysiadowała chwilę na brzegu krzesła: zawsze pogodna, życzliwa, miła, by za moment biec do swoich zajęć, do czekających uczniów czy innych interesantów. Jednym z nich był np. znany dębicki pisarz, Władysław Strumski, ciągle przychodzący do biblioteki. Bibliotekę zawsze zdobił przynajmniej jeden dorodny czerwony kwiat. Kiedy pytałam: „Liduś, co robisz, że ta róża tak ciągle kwitnie?” – śmiała się swoim charakterystycznym śmiechem i mówiła, że to z miłości do niej tak się odwzajemnia.



Lidia Górską w czasie obchodów 100-lecia szkoły



HALINA NIZIOŁEK

„Tu me serce pozostało...”

wspomnienia uczennicy i nauczycielki

Z dębickim liceum, które właśnie z dumą świętuje swoje 120. urodziny, związałam kawał mojego życia. Już jako dziecko widywałam ten dostojny gmach, przyjeżdżając czasem z rodzicami do Dębicy, ale był dla mnie tylko pięknym, starym budynkiem, jednym z największych w mieście. A gdy pewnego razu weszłam w jego mury, by odwiedzić starszą koleżankę Basię, wydał mi się ogromnym labiryntem, niemożliwym do opanowania, tajemniczym i groźnym. Uczucie lęku i zagubienia towarzyszyło mi również wówczas, gdy przyszłam zdawać tu egzaminy wstępne. Z niepokojem oczekiwałam na wyniki, więc z ulgą odczytałam swoje nazwisko na liście przyjętych. Zostałam szczęśliwą uczennicą liceum i mogłam z dumą przyszyć na swym szkolnym fartuszkowi czerwoną tarczę z napisem: LO.

Biedne, szare i smutne były to czasy, ponure lata przełomu lat 50/60. Ale byliśmy młodzi, pełni marzeń i życiowych planów, naiwnie wierzący w szczęśliwą przyszłość, ciekawi świata i gotowi na wyzwania. Choć w szkole było niekiedy bardzo trudno – zwłaszcza takim, jak ja, pochodzącym z małych, biednych wiosek – to powoli wdrażaliśmy się do panujących tu rygorów, poznawaliśmy wymagania profesorów, nawiązywaliśmy przyjaźnie, odkrywaliśmy radość ze zdobywania wiedzy i doświadczeń. Mieliśmy wspaniałych profesorów, którzy nas uczyli, wychowywali i kształtowali. Wymienię choćby niektórych: Helena Gałuszka, Stanisława Gawryś, Zdzisława Grundboeck, Irena Janda, Maria Nowak, Helena Oleńska, Jadwiga Pietrzykowska, Olga Sidorowicz, Zdzisław Czerny, Stefan Dziepak, Edmund Galas, Władysław Kulig, Andrzej Mol, Józef Nowak, Piotr Rybka, Czesław Surowiec, Józef Wiercioch.



Profesor Halina Niziołek
tuż po maturze





Profesor Olga Sidorowicz



Profesor Helena Oleńska

W roku zdawania matury wchodziliśmy akurat w dorosłość. Dumni, biegliliśmy do zakładu fotograficznego pana Prajsnera, by utrwalić na zdjęciach ten niezwykle moment swego życia. W starym albumie odnalazłam tę – oczywiście czarno-białą – fotografię, na której jako świeża absolwentka Liceum Ogólnokształcącego w Dębicy, z nadzieją spoglądałam w przyszłość. Chciałam być nauczycielką. Czytane w szkole lektury podsunęły mi budujące przykłady siłaczek, takich jak Stasia Bozowska czy Joasia Podborska. Życie trochę zweryfikowało moje plany.

Zawsze mówię o tej szkole: „moje liceum”. Wprawdzie po maturze na kilka lat opuściłam jego mury, ale wróciłam znów na początku lat 70. już jako nauczyciel języka polskiego i pozostałam mu wierna aż do emerytury. Wielu moich wspaniałych licealnych profesorów stało się wówczas moimi kolegami z pracy. Dlatego początki były dla mnie dość stresujące. Musieli przecież pamiętać moje uczniowskie błędy i psoty. Boże, myślałam, co będzie, gdy mnie zapytają o coś, czego nie umiałam na lekcji? Ale spotkałam się z wielką życzliwością, więc szybko poczułam się bezpieczna. Grono nauczycielskie – nie tak liczne jak teraz – było bardzo z sobą zżyte. Wspólnie sobie pomagaliśmy, wspieraliśmy się i przyjaźnili. Wiele z tych przyjaźni trwa do dziś...

Lubiłam swą pracę, lubiłam młodzież, z którą miałam zawsze świetny kontakt, lubiłam też swój przedmiot – język polski, choć tak naprawdę chciałam być nauczycielką biologii, tak jak uwielbiana przeze mnie profesorka, Helena Gałuszka. Niestety, biologów było zbyt wielu, więc zaproponowano mi polonistykę. No i okazało się, że poznawanie tajemnic wiedzy humanistycznej



i przekazywanie jej młodym ludziom stało się moim powołaniem i ciekawą przygodą życia. Najtrudniejszym zadaniem było wychowywanie młodych ludzi, kształtowanie ich.

Z wielkim szacunkiem myślę o kolejnych moich dyrektorach: Wiktorze Pietrzykowskim, Edmundzie Galasie, Stanisławie Kłoku czy Ryszardzie Pękali. Serdecznie wspominam obecnego dyrektora Wiesława Ostafina, z którym miałam przyjemność pracować, wszystkie koleżanki i kolegów, a zwłaszcza grono polonistek: Teresę Czyżowską, Helenę Golus, Bogusławę Kowal, Ewę Nowacką, Małgorzatę Pasek, Władysławę Prokop, Renatę Rydzy, Czesławę Ryszawę, Martę Sochę, Dorotę Stępień, Katarzynę Zasadną. Stanowiłyśmy zgraną paczkę, zawsze się wspierającą. Trudne wyzwania to była nasza specjalność.

Miałam okazję obserwować działalność liceum przez wiele lat. Śledzić zmiany, jakim podlegało i w tych zmianach uczestniczyć. A było ich wiele. Zmieniał się wygląd zewnętrzny szkoły i jej wnętrze, zmieniał się patron, zmieniali dyrektorzy i profesorowie, co roku witaliśmy nowych uczniów i żegnaliśmy maturzystów. Niekiedy ludzie związani z tą szkołą odchodzili na zawsze, a my stawialiśmy nad ich mogiłami, niepokodzeni z kolejną stratą...

Przez tamte wszystkie lata poznałam setki wspaniałych młodych ludzi. Patrzyłam, jak zalęknione, jak niegdyś ja, onieśmiałe dziewczynki i bardzo jeszcze dziecinni chłopcy zmieniają się, wyrastają, dojrzewają. Fascynujące było być świadkiem ich rozwoju, dojrzewania, uczyć ich, kształtować, pomagać odkrywać świat literatury i sztuki, rozbudzać zainteresowania i pasje. A potem nagle wyfruwali...

Absolwenci. Tylu ich było, że nie mogę zliczyć. Wielu wyruszyło w szeroki świat, ale też wielu zostało tu, w Dębicy. Spotykam ich czasem w urzędach, w sklepach, w kościele, w szpitalu. Zazwyczaj miło wspominają szkołę i lekcje języka polskiego, obdarowują uśmiechem, nie pamiętają przykrych uwag czy dwójek, choć przecież niekiedy się zdarzały. Wśród nich są też moi krewni i znajomi, których spotykam na co dzień, mój rodzinny lekarz zatroskany o moje zdrowie, a także profesorowie naszego liceum, których uczyłam i z którymi się przyjaźnię: Lucyna Bączek, Jadwiga Biernacka, Lidia Górską, Anna Lach, Anna Lis, Jolanta Pietrzyk, Lidia Pogorzelska, Marta Socha, Anna Wilczyńska. Ale oczywiście najważniejszymi absolwentami są moje dzieci i synowa Marta.



Bywam czasami zapraszana na klasowe spotkania po latach. Prawie nigdy nie pamiętam nazwisk dawnych wychowanków, ale prawie zawsze rozpoznaję ich twarze, choć pojawiają się srebrne nitki w ich włosach, czasem jakaś łysinka czy zmarszczki. Na tych spotkaniach dowiaduję się wielu ciekawych rzeczy o karierach byłych uczniów, o ich dzieciach, czasem wnukach, o radościach i życiowych sukcesach. Jest wtedy bardzo wesoło i tylko czasem wkrada się nutka żalu, gdy np. dowiaduję się, że ktoś już odszedł na zawsze...

Chociaż w ciągu kilkudziesięciu minionych lat zmieniały się funkcje szkoły, programy, lektury, ale zawsze była tu atmosfera solidnej pracy, obowiązkowości, rozbudzania ambicji, poczucia odpowiedzialności, wzajemnego szacunku, a także koleżeństwa. I zawsze w tych murach było coś trwałego, uroczystego, choć nieuchwytnego, co określam mianem „ducha wiedzy” – tworzącego niezwykłą atmosferę tego miejsca.

Dziś, gdy z dystansu patrzę na moją pracę w dębickim LO, myślę sobie – warto było! Szczególną przygodę związaną ze szkołą przeżyłam, będąc już na emeryturze, gdy ówczesny dyrektor, Leszek Klabacha zdecydował się wydać moją książkę „Pola zielone, wciąż widzę je...”. Nie tylko przyjął na siebie trud jej wydania, ale organizował w liceum spotkania promocyjne, umożliwiał sprzedaż, zachęcał do dalszego pisania.

Gdy mam czas, odwiedzam stare mury, by spotkać się z przyjaciółmi i przypomnieć sobie zapach minionych lat. Zresztą z wieloma koleżankami utrzymuję żywe kontakty. Dzwonimy, spotykamy się przy kawie, wspominamy, opowiadamy o radościach i smutkach, o wnukach, o dawnych czasach.

Zmieniła się nasza szkoła, zmienił się nasz kraj, świat i my. I choć dziś inna już jest młodzież i inni pedagodzy, to nasze liceum wciąż przyciąga nowych uczniów, wciąż cieszy się dużymi osiągnięciami, wciąż jest atrakcyjne i cenione. Cieszę się, że jest też trochę moje. Bo choć od odejścia na emeryturę minęło już prawie 20 lat, to w sercu coś zostało, co wciąż każe wracać, co napawa nostalgia i wzruszeniem...

Dębica, listopad 2019 r.



TADEUSZ OZGA

wspomnienia ucznia z lat 1926 – 1927

Naukę w gimnazjum rozpocząłem w roku szkolnym 1926/1927, po ukończeniu Szkoły Powszechnej w Dębicy przy ulicy Cmentarnej. Na egzaminie oblał mnie pan Klamut, ze śpiewu. Nie potrafiłem zdefiniować pojęcia gamy. Powiedział mi: „Nie umiesz bejdocku, gęsi paść, nie chodzić do szkoły, bejdocku”. I tak to się zaczęło.

Do szkoły chodziłem z Latoszyna, blisko siedem kilometrów, lato, zima, mróz czy słoneczny skwar. Często bez śniadania, na czczo wychodziłem z domu i głodno wracałem. Najgorszą jednak rzeczą w tym czasie było terminowe regulowanie czesnego. Pełna opłata wynosiła 55 złotych, zwolnienie 27 złotych. Uczniowie wyróżniający się wynikami w nauce mieli szansę zwolnienia z opłat o 50%, sieroty lub dzieci rodziców mało zarabiających przy dobrych wynikach nauki mogły być zwolnione całkowicie z płacenia czesnego. Były to kwoty bardzo wysokie, biorąc pod uwagę, że 100 kg żyta rolnik sprzedawał za 7 złotych, a jajko za 5 groszy. W tej sytuacji uczniowie, którzy nie opłacili czesnego w ustalonym terminie, musieli opuścić klasę szkolną i mieli prawo do ponownego przyjęcia po uregulowaniu stosownej opłaty. Były to tzw. wędrówki. W tym samym czasie z każdej klasy wędrowało od kilku do kilkunastu uczniów. Ja również do nich należałem, co najmniej dwa razy w roku. W tym czasie nauka odbywała się normalnie, programy były realizowane, a ci, którzy byli poza szkołą, mieli braki w wiedzy i umiejętnościach, „awans” na podwyżkę czesnego oraz duże szanse na powtórzenie klasy. Moja matka robiła co mogła, ale nie mogła za dużo, bowiem ojciec, inwalida wojenny z I wojny światowej, zmarł na gruźlicę w 1920 roku. Okresy wpłacania czesnego były dla mnie i dla mojej matki prawdziwą udramę.

Mimo wszystko moja szkoła pozostawiła mi szereg wspomnień, niejednokrotnie nawet miłych.

Mieliśmy wspaniałego dyrektora, którym był ks. Błażej Kotfis, człowiek dobry, szlachetny i sprawiedliwy. Często pomagał uczniom zdolnym, ale biednym. Niektórzy byli niemal na jego utrzymaniu. Jeden z nich był zdolny,



ale płatał różne figle. Kiedy dowiedział się o tym ks. Korfis, zapraszał go do swojego gabinetu na rozmowę w cztery oczy. Jako argumentu przekonującego używał Dyrektor „logi” lub rzemienia i słów „bycku”. Ale na pożegnanie wciśkał mu do garści kilkadziesiąt groszy na drobne wydatki i groził palcem. Sam byłem świadkiem takiego zajścia.

Ks. Korfis lubił porządek i chciał swoich chłopców „wyprowadzić na ludzi”. Kochał swoich uczniów. Traktował wszystkich po ojcowsku. Często używał słowa „bycku”, gdy był zdenerwowany. Uczniowie wiedzieli o tym, znali znaczenie wypowiedzanego słowa, na tej podstawie określali czy Dyrektor ma dobry humor.

Była w tym czasie w naszym gimnazjum moda noszenia przy czapkach rogatywkach długich skórzanych daszków. Nie podobało się to naszemu Dyrektorowi. Czapki przechowywane były na półce wieszaka w korytarzu. Dyrektor Korfis okresowo własnoręcznie oznaczał szerokość daszka, nacinając nożem miejsce, do którego daszek należy ukrócić. Nigdy jednak nie sprawdzał czy są one obcięte, ani nie wyciągał konsekwencji w stosunku do właścicieli długich daszków u czapek.

Był ks. Korfis również miłośnikiem muzyki. Orkiestra gimnazjalna to było jego „oczko w głowie”. Pokierował tak komitetem rodzicielskim, że zakupiono wszystkie potrzebne instrumenty dęte. Był też chór szkolny składający się z uczniów starszych klas. Jeden z kolegów otrzymał od Dyrektora flet i pikolę.

W każdą niedzielę w takt szkolnej orkiestry czwórkami maszerowaliśmy do kościoła i z kościoła, by pochód zakończyć defiladą na ulicy Słowackiego przed gronem nauczycielskim oraz przedstawicielami władz powiatowych i miejskich. Po zakończonej defiladzie orkiestra ustawiała się przed gmachem gimnazjalnym i odgrywała kilka utworów, a Dyrektor, z okna swojego biura, wysłuchiwał melodii z uśmiechem i zadowoleniem na twarzy.

W czasie okupacji na pozostawionych instrumentach i nutach grali niemieccy żołnierze, którzy na początku wojny kwaterowali w gimnazjum. Dawało to złudzenie, że nic się nie zmieniło, chociaż zmieniło się tak wiele.

W skład grona pedagogicznego w tym czasie wchodził nauczyciele, których dobrze zapamiętałem: Jan Piotrowski – uczył języka polskiego, Michał Staroń – historii, Aleksander Stisany, Stanisław Wiśniewski – języka niemieckiego, Marian Paluch – historii, Franciszek Rusinek – łaciny, Stanisław



Zaworski – biologii, Alojzy Buszko – historii, Alojzy Cygan, Jan Jaszan, Juliusz Komperda, Bronisław Nagawiecki – łaciny, ks. Wojciech Trytek – religii, inż. Władysław Zieliński – chemii i fizyki, Władysław Zieliński – robót ręcznych, Ludwik Kita – matematyki, Kazimierz Klamut – śpiewu, Michał Skiba – rysunków, Jan Szczerba – gimnastyki, Adam Zamirowski – języka polskiego, Stanisław Malecki – matematyki, Stanisław Skrzyszewski – języka polskiego, Jan Sztaudynger – języka polskiego, Henryk Żurowski – łaciny, Józef Cięciel – języka niemieckiego i Kazimierz Mazurkiewicz – biologii.

Większość nauczycieli wspominam z dużą sympatią i wdzięcznością jako ludzie życzliwych i szczerych przyjaciół młodzieży. I tu w szczególności wymienić należy Mariana Palucha, Alojzego Buszkę, Bronisława Nagawieckiego, obydwu Władysławów Zielińskich i Michała Skibę. Z pozostałymi nauczycielami nie nawiązałem bliższych kontaktów, a mój stosunek do nich był zwyczajny, lecz mniej sympatyczny. Było też kilka przypadków, w których miał miejsce konflikt natury profesor – uczeń skrzywdzony.

Wreszcie z wielkim żalem wspominam profesora Stanisława Zaworskiego. Był to człowiek chory, ze sparaliżowaną prawą połową ciała. Lekcje prowadził okresowo, kiedy lepiej się czuł. Prowadził z nami zajęcia z biologii z ćwiczeniami w zakresie oglądania pod mikroskopem preparatów roślin. Wypadło mi siedzieć przy pierwszym stoliku wraz z kolegami: Mahlerem, imienia już nie pamiętam, Józefem Michalskim i Marianem Piętą. Każda lekcja była dla nas makabrą. Na każdej lekcji bity był jeden z nas, ale najczęściej wszyscy czterej. Były to minuty grozy. Cała grupa była przestraszona, a bici przestraszeni i bezradni. Po każdej lekcji mieliśmy czoła posiniaczone i zapuchnięte. Sytuacja zmieniła się krańcowo po objęciu biologii przez profesora Kazimierza Mazurkiewicza. Nauka biologii toczyła się później w bardzo miłej atmosferze, a oceny z tego przedmiotu nie było niższej niż dobry. Przeważały oceny bardzo dobre. Profesor Mazurkiewicz zawsze jest mile wspomniany przez swoich byłych uczniów.

Bardzo dobrze zachował się w mojej pamięci nauczyciel łaciny, Henryk Żurowski. Był niskiego wzrostu, nosił szpiczastą bródkę i z powodu sympatycznego wyglądu nazywany był „Mefisto”. Zwracając się do ucznia, mówił siaaa. Miał specyficzną metodę nauczania łaciny, a mianowicie oprócz przerabianych tekstów, podał do zapisania ponad 30 przysłów. Przed każdą lekcją, po



jego wejściu do sali lekcyjnej, uczniowie mieli obowiązek wypowiadać po kolei te przysłowia, z tym, że raz zaczynano od pierwszej ławki z lewej strony, raz z prawej, a w następnych dniach z prawej lub lewej od tyłu. Był w klasie Stefciu Wesołowski z Sędziszowa, którego ta reguła nie obowiązywała. Jego przysłowiem zawsze było „Dum spiro spero” (Póki oddycham, nie tracę nadziei). Wzbudzało to zrozumiałą wesołość, profesor zdawał się jednak tego nie uważać.

Z dystansu tych około 50 lat wiele się zatarło, wyleciało z pamięci, a to, co pozostało, widzi się jeszcze inaczej i inaczej być może ocenia. Czynniki emocjonalny jest inny, a zwłaszcza u tych, którzy przeżyli wojnę i noc okupacji. Nie żyją już profesorowie, ale także zmarło wielu ich uczniów. Jedni zginęli w czasie walki na froncie, inni w walkach partyzanckich, w obozach koncentracyjnych lub zostali rozstrzelani przez hitlerowskiego okupanta. Bardzo niewielu nas już zostało.

Dębica, wrzesień 1979 r.



STANISŁAW OŻÓG

wspomnienia z lat 1920-1929

FRYWOLNE THEARTUM ZE WSPOMNIEŃ SZKOLNYCH – LAT „ZIELONYCH, GÓRNYCH I CHMURNYCH”

Napisane przez Stanisława Ożoga, który CELEREM nie był nigdy, natomiast dobrze celował piłką tenisową po rogach kortu, a nożną w bramkę, grał na skrzypcach i prowadził też chóry.

Miejsce i czas akcji: Gimnazjum im. Króla Władysława Jagiełły w Dębicy, lata 1920 – 1929.

Występują: ze względu na hierarchię i szacunek – zacytni Dyrektorzy i kochani (mniej lub więcej) Profesorowie, wszyscy z odpowiedzialnością „łatką”

- * Dyrektor Piotr Passowicz – dość surowy z wyglądu, faktycznie dobrotliwy człowiek.
- * Dyrektor ks. Błażej Kotfis – muzyk, skrzypek w sutannie, założyciel orkiestr smyczkowych prowadzonych przez niego osobiście. Rubaszny: „Ty bycku!”. Przebaczący drobne wykroczenia za pocałowaniem w mankiet, ale lagą także potrafił wyrównać większe zbytki uczniowskie.



Dyrektor Piotr Passowicz

Niektórzy profesorowie:

- * Józef Wyrobek – wspaniały wychowawca, człowiek skromny, asceta prawie. Uczył historii, ale także oszczędności i porządku osobistego. Samotny i smutny prawie zawsze. Znakomity pedagog: „Kropka znaczy wiele – zebrać a zebrać – to różnica!”. Zalecał za karę – „pół porcji obiadu”!
- * Ludwik Kita – matematyk. Surowy, wielki autorytet z długą, czarną brodą, często biadający nad słabymi wynikami uczniów: „Matka daje – ojciec pcha, a ty – nic!”.



- * Stanisław Zaworski – przyrodnik. Niezapomniane, wspaniałe lekcje w pobliskim terenie (łąka, las rzeka), bardzo wymagający. Ze względu na inwalidztwo, którego nabawił się podczas wojny, stawał się nieraz straszny w klasie: niezadowolony z odpowiedzi bił ucznia w głowę własną głową lub walił kikutem ręki bardzo boleśnie. Srogi, ale sprawiedliwy.
- * Stanisław Wiśniewski – łacinnik – „Titire, tu patulae, recubans...”. Ukochał starożytność i Owidiusza i wpoił nam poczucie piękna rzeźb Praksytelesa. Sam dość rubaszny, z sumiastymi wąsami, wspaniale prezentował się na defiladach w mundurze „Sokoła”. Istny Zagłoba.
- * Jan Piotrowski – uczył języka polskiego. Wymagał dobrych manier i całych ustępów poetyckich Mickiewicza i Słowackiego na pamięć. Wspólnie ze mną i Hajdukiewiczem wystawił, według własnej inscenizacji, „Dziady” w miejscowym „Sokole” i naszej szkole. Lokalny arystokrata. Nie wiem dlaczego nazywano go „Drzystek”.
- * Marian Paluch – geograf. Wymagał wymienienia ciurkiem na pamięć półwyspów, wysp, rzek, szczytów – co do dzisiaj pamiętam! Długoletni nasz wychowawca. W zasadzie łagodny, gdy jednak wpadał w gniew – biada było wszystkim. Góral ze Szczawnicy, umiłował Podhale i Tatry, wszczepił nam umiłowanie turystyki, organizując często wycieczki do „swoich” gór. Wspominam niezapomniany spływ przełomem Dunajca późnym wieczorem i wywrotkę łodzi ze śpiewającym na niej chórem: Gawryś, Lochman, Kłęczek, Hajdukiewicz, Leyko i Ożóg – tuż za „skokiem Janosika”. Ratowanie się, wyjście na brzeg po stronie słowackiej i – w towarzystwie czeskich strażników granicznych – kilkunastokilometrowy marsz do Szczawnicy, w mroźną listopadową noc, w zlodowaciałych po wierzchu ubraniach. Mimo to radośni i szczęśliwi z doznanej przygody, błogo zasypialiśmy z myślą, że obaj nasi opiekunowie także się zamoczyli.
- * Michał Staroń – historyk. Jeśli wykładał, co zdarzało się bardzo rzadko, to pamiętało się go długo. Przeważnie zaś: „Otworzyć książki – Mozer, a później Ożóg czytają od strony X do strony Y – ja po śniadaniu wracam”. Typowy arystokrata, pan na Gołęczynie. Wyniosły, ale i wyrozumiały. Rzadko komu (poza mną i Wojtkiem W.) zrobił krzywdę.
- * Władysław Zieliński – „Sztuc”, uczył fizyki. Umiął zdobyć sobie przychyłność i szacunek uczniów. Jeden z najdłużej uczących w tej szkole.



- * Władysław Zieliński – „Śpiący rycerz”. Uczył nowego wówczas przedmiotu, tzw. „slojdu”, czyli robót ręcznych i rysunków. Bardzo elegancki człowiek, dżentelmen.
- * Franciszek Rusinek – „Podskakiewicz”, uczył łaciny. Entuzjasta sztuk pięknych (mój rysunek „Widok z okna na kościół” szacował bardzo wysoko). Sam koncertowo gwizdał. Miał jednak przykro – drwiący sposób komentowania różnych rzeczy. Bardzo lubił dziewczęta.
- * Kazimierz Klamut – nauczyciel śpiewu i dyrygent chórów: męskiego i mieszanego oraz połączonych z Żeńskim Seminarium Nauczycielskim. Pogodny, jowialny. Drwiący w stosunku do „głuchmanów”: „Śpiwos, nie śpiwos?” albo „Krowy macie? gęsi macie? – Kup se bat, będziesz pasł gęsi i tam se pośpiwosz”. Potrafił postawić zespoły na wysokim poziomie, zaszcześcić w nas umiłowanie muzyki i śpiewu.
- * Stanisław Darłak – nauczyciel muzyki (równocześnie w Żeńskim Seminarium Nauczycielskim). Organizator i dyrygent orkiestry dętej i smyczkowej. Bardzo przez nas lubiany. Kompozytor. Wyszkołił masę uczniów na bardzo dobrych później muzyków (Z. Cholewę, Przyślaka, Gawryisia, Krzysztofa Pendereckiego – no i Ożoga, tj. mnie).
- * Jan Szczerba – nauczyciel wychowania fizycznego. Propagator nowego szwedzkiego stylu gimnastyki i koszykówki. Zaciekły wróg piłki nożnej. Później przekonany do niej obietnicą kolegi K. Gawryisia, że wygramy mistrzostwa w koszu z gimnazjum bocheńskim (co nastąpiło) – ustąpił i nie przeszkadzał nam grać w piłkę w klubie „Wisłoka”.
- * Aleksander Stiasny – który nie znosił przeciągów. Stąd uczniowie umyślnie otwierali okna przed jego wejściem do klasy, ażeby mieć uciechę z jego sakramentalnego: „Zamknij ten przeciąg”. Uczył języka niemieckiego.

Role epizodyczne:

- * Jan Żurawski – nauczyciel łaciny
- * Józef Cięciel – uczył języka niemieckiego
- * Stanisław Malecki – uczył fizyki oraz Stanisław Skrzyszewski – uczył matematyki (późniejszy Minister Oświaty i Minister Spraw Zagranicznych w Polsce Ludowej) – obaj wielcy przyjaciele młodzieży. Uczyli się od nas gry w tenisa.



- * Alojzy Buszko – uczył historii i języka niemieckiego z nadzwyczajną pedanterią.
- * Jan Sztaudynger – bardzo skromny, młody jeszcze wówczas nauczyciel języka polskiego.
- * Józef Ciurkot – woźny: „Ja... i pan dyrektor”.

W THEATRUM wspaniale prezentują się (wówczas):

Orkiestry:

- * dęta – umundurowana, z szarfami, dobrze prezentująca się w częstych niedzielnych przemarszach ulicami miasta i na uroczystościach państwowych. Ogólnie podziwiana.
- * smyczkowa – symfoniczna, początkowo prowadzona przez ks. Kotfisa, później przez St. Darłaka.

Obie stojące na wysokim poziomie artystycznym, słynące z koncertów w sąsiednich miastach – aż po Kraków.

Chóry:

- * męski i mieszany oraz połączony z chórem Żeńskiego Seminarium Nauczycielskiego. Wszystkie na bardzo wysokim poziomie z doborowym repertuarem koncertowym. Co to była za radość i satysfakcja móc występować w tych zespołach. Sam grałem w dętej na altówce, w smyczkowej jako pierwszy skrzypek, w chórach śpiewałem jako drugi tenor, później byłem zastępcą dyrygenta, profesora Klamuta.

Zespoły sportowe:

- * piłki nożnej – pod opieką piłkarza , profesora St. Nagawieckiego. W zespole byli też uczniowie grający w klubie „Wisłoka”.
- * tenisa ziemnego – w składzie: A. Stańko, bracia Wingertowie, K. Groch, a później St. Ożóg, Adam i Tadeusz Lejowie, W. Ryszkowski, Jan Głąb, K. Gawryś, St. Kobossowicz oraz panie do „Miksa”: Orłowska, Kemmerowa, Irena Penderecka, G. Gawrysiówna i Dziunia Grudzińska. Rozgrywano mistrzostwa Dębicy, Pilzna, Mielca – z bardzo dobrymi dla nas wynikami.
- * koszykówki – początkowo grano niechętnie, później zdobyto mistrzostwo szkół okręgu krakowskiego.



- * lekkoatletyki – z wybijającymi się reprezentantami Polski: Zdzisławem Nowakiem (bieg na 200 m i skok w dal), a także innymi, np. Zdzisławem Surowieckim (oszczep), K. Rozmysłowskim (biegi krótkie).
- * palanta – w różnych zestawieniach składu, przeważnie złożonych z wyżej wymienionych tenisistów.

W sumie byliśmy rozkrzyczaną i radosną masą chłopców, nierzadko zakochanych w pięknych (tu i ówdzie) dziewczętach, koleżankach „własnych”, ale głównie w uczennicach Seminarium Nauczycielskiego.

AKT I (MÓJ):

Egzamin wstępny (po czterech klasach szkoły powszechnej):

Kita: „A umiesz ty chłopcze rachować?”. „A powiedz, która jest godzina?”. Jeszcze po innych dość łatwych testach orzekł: „No, dobrze”.

Nagawiecki – język polski: Po obowiązkowym jakimś wierszu na pamięć: „Czytasz bardzo ładnie – jesteś przyjęty”.

Kandydat o mało nie podskoczył z radości, bowiem niełatwo dostać się do gimnazjum komuś z „plebsu”(matka krawcowa).

AKT II

W ciągu kilku lat: gimnazjalista umundurowany, w czapce rogatywce (już nie austriackim „denciaku”) i zmieniających się na kołnierzu paskach: srebrnych (od I do IV klasy) na złote (od V do VIII klasy). Raz „zastopowanym” (klasa VII), cóż! Bywało się zakochanym!

AKT III

Matura ustna. Ogromna trema, szczególnie przed matematyką, do którego to przedmiotu z miejsca zostałem wezwany. Po momentach krytycznych (srogі profesor Kita pozwolił łyknąć wody ze szklanki), reszta poszła składnie i gładko. Uśmiech profesora... i mój. Ulga...!

Język polski – profesor Piotrowski. „Mesjanizm” i recytacja z pamięci fragmentu Wielkiej Improwizacji. Wiedziałem, że będzie dobrze.



W końcu już śmiało wędruję z karteczką z tematem „Opis Polski od Tatr do Bałtyku – wzdłuż Wisły” do wychowawcy, profesora Palucha, całkowicie odprężony. Odpowiedzi bardzo dobre.

Aliści przewodniczący komisji, ks. Kotfis, kiwa za chwilę na mnie palcem i mówi z uśmiechem, mrugając charakterystycznie: „Stasek! Przydałbyś się jeszcze choć rok w szkole, w orkiestrze nie będzie miał kto grać!” Odpowiedziałem, że zobowiązuję się przez całe trzy lata studiów przyjeżdżać na koncerty orkiestry szkolnej. „Dobrze. To chciałem od ciebie usłyszeć, chłopcze”. Słowa dotrzymałem.

WIELKA PRZERWA – KURTYNA.

„... i rozbiegły się rozśpiewane radością istoty po całej Polsce i zagranicy, ba! – nawet po obu Amerykach – na długą, długą przerwę...”

EPILOG

Aliści po pięćdziesięciu latach od matury zwołali się na zjazd koleżeński niektórzy z pozostałych, na dzień 23 – 24 czerwca 1979 roku. Co za radość z niepoznawanych i poznawanych twarzy! Spotkanie w „starej budzie” z obecnym dyrektorem szkoły, panem Edmundem Galasem, zwiedzanie „swoich” sal, terenu modernizowanej szkoły i jakże innej już Dębicy, złożenie wiązanek kwiatów na grobach dyrektorów, wychowawców, profesorów, kolegów, a także na cmentarzu wojskowym, dla poległych na „swojej i obcej ziemi” – kolegów – bohaterów!...

Nie obeszło się, oczywiście, bez spotkania przy stołach w „Stomilance”, z życzeniami i łezką w oku – „Oby do następnego, miłego jubileuszu...”

Napisano w styczniu 1980 roku, w bezsenną noc, na jubileusz 80-lecia szkoły.



MAŁGORZATA PASEK

Profesorka Małgosia...

wspomnienie o Małgorzacie Pasek, która zmarła 21 maja 2006r.

Kończy się kolejny rok szkolny. To czas podsumowań, nadejścia upragnionych wakacji. Rozstajemy się na dwa miesiące, ale też żegnamy wychowanków najstarszych klas, Koleżanki i Kolegów odchodzących na emeryturę. Będą nas odwiedzać, wspominać wspólnie spędzony czas.

Są jednak w życiu bolesne rozstania na zawsze. 21 maja 2006 roku z grona osób związanych z naszą szkołą – I Liceum Ogólnokształcącym im. Króla Władysława Jagiełły w Dębicy – odeszła nieoczekiwanie nasza koleżanka, przyjaciółka, polonistka – mgr Małgorzata Pasek. Zmarła przeżywszy zaledwie 48 lat. Wiedza i życzliwy stosunek do uczniów zjednały Małgosi uznanie nie tylko dyrekcji i nauczycieli, ale, co dla pedagoga najważniejsze, rodziców i wychowanków.

Rozpoczęła pracę 24 lata temu, a z naszą szkołą związana była 22 lata. Wychowała wiele pokoleń młodzieży, którym potrafiła przekazać nie tylko wiedzę, ale i pasję do nauczanego przedmiotu. Otrzymała stopień nauczyciela dyplomowanego, uzyskała uprawnienia egzaminatora maturalnego. W ubiegłym roku w okresie matur pojawiły się kłopoty ze zdrowiem. W tym – bardzo chciała być obecna na maturze, planowała poprawiać prace. Już nie zdążyła.

Wszyscy czekaliśmy na Nią od miesięcy, dowiadując się o Jej zdrowie. Była także troskliwą matką dwóch synów i oddaną żoną. Dla zaprzyjaźnionych – osobą wesołą, towarzyską, kochającą życie.

W naszej pamięci pozostanie na zawsze jako życzliwa, gotowa pomóc w potrzebie koleżanka.

Małgosiu, będzie nam Ciebie bardzo brakowało.



Profesor Małgorzata
Pasek



ADAM PRZEWŁOCKI

„O ludziach i wydarzeniach z lat szkolnych”

wspomnienia z lat 1910 – 1919



Adam Przewłocki

OD SZKOŁY LUDOWEJ DO GIMNAZJUM

Gimnazjum zarówno w kształcie realnego, dostojnego, najokazalszego budynku w naszym małym mieście, jak i jakiejś mglistej abstrakcji, jakiegoś nieskonkretyzowanego wyobrażenia o drodze do zdobycia wiedzy, było przedmiotem marzeń dziesięciolatka, a zarazem lęku czy zdoła przekroczyć jego progi i co go w nim czeka. Takie było moje odczucie, a sądzę, że i większości moich kolegów, którzy brnęli przez nędzę ówczesnej, pierwszego dziesięciolecia XX wieku, szkoły ludowej.

Aby dzisiejszy czytelnik zrozumiał źródła tych odczuć, warto kilka słów poświęcić dębickiej męskiej szkole ludowej z 1910 roku.

Nasza klasa mieściła się w tzw. „starej szkole”, budynku wprawdzie murowanym, ale bezpośrednio przylegającym do śmierdzącej kloaki. Izby też ciasnej, jak na kilkudziesięciu, często niedomytych, a nawet bywało zawszonych wyrostków, których blisko połowa pochodziła z nieznannej dzisiaj biedoty żydowskiej, trudno nazwać klasą w porównaniu do obecnych naszych szkół. Trudno porównać do dzisiejszych błyszczących czystością i wyposażonych we wspaniałe pomoce naukowe sal i pracowni szkolnych. Jedynym wyposażeniem naszej nędznej klasy były drewniane ławki z pulpitemi, w których siedziało po kilku uczniów, żelazny, często kopający piecyk, na ścianach wieszaki, parujące w porze deszczowej mokrymi płaszczami, tablica, no i wreszcie stolik nauczyciela na podwyższeniu, zwanym gradusem.

W takich warunkach nauczyciele: panowie Pietruszewski i Skiba oraz katecheta ks. Krzemieniecki starali się różnymi metodami wtłoczyć w nasze głowy podstawy rachunków, trochę języka ojczystego i języka niemieckiego oraz katechizm. I chyba niewiele więcej nas nauczono. Główną i jedyną, oprócz tablicy i kredy, pomocą naukową była trzcina. W rękach pana Skiby (panami tytułowaliśmy nauczycieli) była ona gruba i krótka, bo walił nią w łapę



tak, że pozostawała krwawa pręga do wieczora. W rękach pocziwego pana Pietruszewskiego trzcina stawiała się cienka i długa. Raczej udawał on, że bije niż bił, ale za to kazał rozkładać się do tej operacji na gradusie i wystawiać tyłek. Co odważniejsi i przygotowani na taką operację, podkładali czapkę pod spodnie. Było to o tyle ryzykowne, że narażało delikwenta, w wypadku wykrycia podstępu, na podwójną porcję chłosty.

Do innych metod wychowawczych stosowanych przez nauczycieli należały kary piśmienne, polegały one na tym, że za jakiś postępek, uznany przez nauczyciela za przewinienie przeciwko dyscyplinie szkolnej, zadawał on karę wielokrotnego pisemnego składania przyrzeczenia, że więcej coś takiego się nie powtórzy. Dla przykładu podaję, że kiedy zimą 1909 roku spadł pierwszy śnieg, wypadliśmy całą gromadą w czasie przerwy na placyk przed szkołą i urządziliśmy bitwę na śnieżki. Oburzony tym „przestępstwem” pan Skiba zapędził nas z powrotem do klasy i za karę kazał napisać sto razy zdanie: „Nie będę bił się śnieżkami”. Do śmierci będę pamiętał, jak wieczorem po odrobieniu lekcji zadanych na następny dzień, kiedy po kolacji wszyscy domownicy poszli spać, w małym pokoju, przy naftowej lampie i wyziębionym piecu, zgrabiętymi palcami gryzmołem sto razy, już wtedy uznane przeze mnie za bezsensowną karę, to głupie zdanie. O tempora, o mores!

Dzisiaj z perspektywy blisko siedemdziesięciu lat nie dziwi mnie, że wychowany w takiej szkole i w tak prymitywnych warunkach, kiedy przechodziłem obok dostojnego gmachu gimnazjum, pragnąłem jak najprędzej znaleźć się w nim, że marzyłem na jawie i we śnie o tych jasnych salach, do których zaglądałem przez okna parteru, o ludziach, których tam spotkam i wśród których spędzę część mojego życia.

W tym miejscu chciałem poświęcić kilka zdań moim rodzicom, którym w przygotowaniu mnie do samodzielnego życia mam bardzo wiele do zawdzięczenia.

Rodzice moi to ludzie, tak najlepiej chyba byłoby to określić, zwyczajni, niczym niewyróżniający się wśród miejscowej tzw. społeczności inteligenckiej. Nie mieli, poza szkołą wydziałową, żadnego specjalnego wykształcenia. Ale posiadali wrodzoną inteligencję i osobistą kulturę. Byli dobrzy, bardzo pracowici, uczciwi i sprawiedliwi. Dużo czytali. Matka prenumerowała pismo kobiece „Bluszcz”, a ojciec „Nową Reformę” i „Czas”. Lektura tych pism, obok beletrystyki, przeważnie powieści historycznych, stanowiła ich szkołę dokształcającą.



Gospodarstwem domowym zajmowała się wyłącznie matka. W ciężkich pracach wyręczała ją tzw. pomoc domowa. Ojciec był kasjerem w Skarbie Dębickim hr. Raczyńskich i równocześnie przedstawicielem na okręg dębicki Krakowskiego Towarzystwa Wzajemnych Ubezpieczeń „Florianka”. Brał czynny udział w działalności miejscowych organizacji społecznych i gospodarczych. Jako członek zarządu pierwszej istniejącej w Dębicy spółdzielni pod nazwą „Składnica Kółek Rolniczych”, był wieloletnim aktywnym działaczem społecznym.

Mieszkaliśmy wówczas w dość obszernym domu przy wąskiej drodze wiodącej od Starego Rynku w kierunku cmentarza. W domu tym mieściła się kasa Skarbu Dębickiego hr. Raczyńskich i mieszkanie służbowe kasjera. Dom położony był w dużym ogrodzie, który był miejscem naszych chłopięcych zabaw. Naprzeciwko budynku, w którym mieszkaliśmy, stał uroczy dom z ganeczkiem rodziny Popławskich. Tadzio Popławski był od trzeciej klasy szkoły ludowej aż do matury moim serdecznym kolegą.

W 1911 roku przenieśliśmy się do naszego własnego domu przy ulicy Kolejowej. Nie był on ani taki wygodny, ani tak obszerny i zaciszny, jak poprzednia nasza siedziba, nie mieliśmy też tak wielkiego ogrodu, co dla nas, młodych, było dotkliwym brakiem. Dla rodziców jednak posiadanie własnego dachu nad głową było sprawą pierwszorzędną wagi.

Z domu rodzinnego wyniosłem staranne wychowanie i poczucie głębokiego patriotyzmu. Zanim jeszcze nauczyłam się czytać, ojciec uczył mnie historii, objaśniając kolorowe ilustracje w pięknym dwutomowym wydawnictwie „Wojsko Polskie”. Pierwszą piosenką, jakiej nauczył mnie ojciec, była „Warszawianka”, a pierwszym wierszykiem, którego nauczyła mnie matka, był Katechizm Młodego Polaka „Kto ty jesteś...”. Wierszyka tego uczyły matki swoje dzieci we wszystkich trzech zaborach: rosyjskim, pruskim i austriackim.

Matka moja, jak na owe czasy, kobieta bardzo postępową i odcytaną, uważała poznawanie kraju i teatr za ważne czynniki rozbudzania intelektualnych zainteresowań dzieci. Oszczędzając na wszystkim, na czym się dało i pracując w domu często ponad swoje siły, zbierała fundusze na coroczne wycieczki do Krakowa. Tam pokazywała nam zabytki, prowadziła do muzeów i teatru. Jako ośmioletni chłopiec zobaczyłem po raz pierwszy Teatr im. J. Słowackiego, a na jego scenie sztukę Anczyca „Kościuszko pod Racławicami”, a rok



później „Warszawiankę” Wyspiańskiego. Zachwyciły mnie postacie żywych polskich żołnierzy, których obraz nosiłem w sercu i w pamięci ze znanych mi pięknych, kolorowych ilustracji wydawnictwa „Wojsko Polskie”. W takiej atmosferze domowej wychowywałem się. Tak kształtowało się w pierwszych latach mojej młodości zrozumienie znaczenia słowa Ojczyzna i Polska.

To, czego nauczyli mnie moi wychowawcy, Skiba i Pietruszewski oraz dom rodzinny pozwoliło mi, po ukończeniu szkoły ludowej, z łatwością przebrnąć przez „ucho igielne” egzaminu wstępnego do gimnazjum. Gimnazjum to, w którym przeżyłem nie tylko chwile radości, ale i goryczy, pozostało na zawsze najjaśniejszym moim wspomnieniem.

Dzisiaj, kiedy stoję niemal u kresu moich dni, jeden z małej garstki pozostałych przy życiu absolwentów rocznika maturalnego 1919, przyjeżdżam do Dębicy rokrocznie, podchodzę przed mury tej szkoły, zaglądam w okna mojej klasy, aby podumać o tym, co za murami tymi przeżyłem, o ludziach, których poznałem i wydarzeniach, których byłem tam świadkiem.

CURRICULUM VITAE

Wreszcie nadszedł oczekiwany dzień egzaminu wstępnego, od wyniku którego zależała niemal cała dalsza moja życiowa kariera. Bo dostanie się do gimnazjum to nadzieja na przebrnięcie przez osiem klas i zdanie matury, to nadzieja na otwarcie się bram uniwersytetu. Czy moje myśli i pragnienia sięgały aż tak daleko? Chyba nie. Sądzę, że doraźnie pragnienia moje sprowadzały się jedynie do jak najrychlejszego wydostania się z dusznej atmosfery szkoły ludowej i do włożenia gimnazjalnego munduru, bycia studentem. Uczeń gimnazjalny w owych czasach nosił tytuł studenta, a nauczyciel gimnazjalny tytuł profesora.

Egzaminatorem moim, o ile pamięć mnie nie myli, był profesor Wyrobek, któremu chciałbym w dalszej części moich wspomnień poświęcić nieco więcej miejsca. Egzamin wstępny zaczynał się od napisania curriculum vitae. Zasiadało się w ławce w sali egzaminacyjnej, dostawało arkusz papieru kancelaryjnego i pod okiem profesora trzeba było napisać krótki życiorys obejmujący pierwsze dziesięć lat istnienia na tym „padole płaczu”. Pisanie życiorysu w ramach egzaminu było świetnie pomyślanym testem inteligencji kandydata na studenta i równocześnie kontrolą dotychczas zdobytych niektórych wiado-



mości z zakresu kaligrafii, ortografii oraz umiejętności gramatycznej budowy zdań. Ta część egzaminu była najtrudniejsza i wiele potu wyciekało na krótko ostrzyżone włosy dziesięciolatków. Egzamin z rachunków ograniczał się do przepytania tabliczki mnożenia. Reszta to już niewiele: czytanie i kilka pytań na temat tego, co się przeczytało. I jeszcze katechizm u katechety.

Egzamin ten, który przysporzył mi, obok egzaminu maturalnego, najwięcej emocji, zapamiętałem na całe życie.

BUDYNEK GIMNAZJUM

Niełatwo mi będzie opisać rozkład pomieszczeń w budynku naszego gimnazjum, gdyż brak mi notatek, a pamięć po ponad sześćdziesięciu latach od chwili opuszczenia murów szkoły nieco zawodzi.

Na parterze przy wejściu było mieszkanie stróża pełniącego również funkcję woźnego. W lewym korytarzu mieścił się gabinet fizyczny z audytorium urządzonym amfiteatralnie, biblioteka uczniowska i sala gimnastyczna. W prawym skrzydle parteru był gabinet rysunkowy, warsztaty studenckie, biblioteka profesorów, sala orkiestry i mieszkanie tercjana. Na pierwszym piętrze znajdował się gabinet dyrektora, poczekalnia, sala konferencyjna, stanowiąca równocześnie pokój nauczycielski, gabinet przyrodniczy, gabinet geograficzny, mieszkanie dyrektora i klasy lekcyjne. Na drugim piętrze mieściła się aula ze sceną, klasy lekcyjne i jakiś gabinet, chyba historyczny.

Dla mnie, dziesięciolatka, był to niemal pałac, nie budynek szkolny. Błądziłem po tych rozległych korytarzach jak po labiryncie. Z czasem jednak wszystko stawało się zwyczajne. Po prostu nie wyobrażałem sobie, aby w innym gimnazjum mogło być inaczej. Jak bardzo się myliłem. W owych latach nasze gimnazjum należało do najlepiej urządzonych i wyposażonych gimnazjów galicyjskich.

Na tle tego pięknego budynku utkwily mi w pamięci dwie postacie dbające o utrzymanie w nim ładu i wzorowego porządku. To postać stróża – woźnego i tercjana. Byli to pierwsi związani ze szkołą ludzie, jakich zobaczyłem, kiedy pierwszy raz przekroczyłem progi naszego gimnazjum. Ciekawe postacie, jakby zrosnięte z murami naszej szkoły. Obydwaj poważni, z godnością noszący swoje mundury: stróż skromniejszy, szaraczkowy, tercjan bogatszy, ciemnozielony, zawsze w czako ze złotym galonem, jak gdyby symbolem jego



władzy. Nigdy nie umiałem zrozumieć, na czym polegała pełnia jego władzy. Donośnym dzwonkiem dawał znak na rozpoczęcie lekcji i jej zakończenie. Po dzwonku na lekcję obowiązywała cisza, bez względu na to, czy profesor wszedł już do klasy, no i siedzenie w ławkach. Tercjan strzegł wejścia do dyrektora i pokoju nauczycielskiego. Oczywiście dokonywał też formalności meldowania osób pragnących wejść do gabinetu dyrektora. W czasie dużej przerwy w pogodne dni dozorca otwierał bramę wiodącą na dziedziniec szkolny, zastępujący nam boisko sportowe. Wypadaliśmy nań jak stado rozjuszonych koni. Wtedy oprócz profesora, tercjan swoim argusowym okiem baczył, czy nie jest gdzieś potrzebna jego interwencja. I to byłby jeszcze jeden, zauważony przeze mnie, atrybut jego władzy. Inne prerogatywy tercjana nie były mi znane, poza tym, że miał prawo prowadzenia skromnego bufetu, w którym zresztą oprócz bułek z kiełbasą nic nie można było kupić. Taka bułka kosztowała pięć centów.

Ci dwaj pracownicy, stróż i tercjan, stanowili w moich oczach cały personel techniczny i administracyjny naszego gimnazjum.

ZEUS NA OLIMPIE I PROFESORZY

Kiedy w dniu 28 września 1966 roku, podczas pobytu w rodzinnych stronach, odwiedziłem nasze gimnazjum, zobaczyłem w westybulu pierwszego piętra ustawiony na honorowym miejscu wśród wiązanek świeżych kwiatów, przepasany kirem, portret dyrektora Józefa Szydłowskiego. Była to czterdziesta ósma rocznica śmierci tego wspaniałego człowieka, wielkiego patrioty i doskonałego pedagoga. Wzruszyłem się niemal do łez, że nareszcie znalazł się gospodarz tej naszej szkoły, który uszanował jej wspaniałą historię.

Jako żywo stanął mi wtedy przed oczyma ów ponury jesienny dzień, kiedy odprowadzaliśmy na miejsce wiecznego spoczynku ciało drogiego nam dyrektora, który odszedł od nas przedwcześnie, w pełni sił twórczych. Rozbrzmiewała mi w uszach melodia marsza żałobnego Chopina, odśpiewanego przez chór gimnazjalny i słowa przemówienia wygłoszonego nad mogiłą dyrektora przez kolegę, Józia Denkiewicza, który w imieniu nas wszystkich żegnał cenionego wychowawcę i prawego człowieka.



Józef Szydłowski -
dyrektor Gimnazjum
w Dębicy w latach
1905-1918



Dyrektor Józef Szydłowski nie był człowiekiem łatwym. Nie zabiegał o tanią popularność czy fałszywą sympatię. Był człowiekiem pracowitym, wiele wymagającym od siebie i tyleż od grona nauczycielskiego oraz od swoich wychowanków. Był człowiekiem wyjątkowo sprawiedliwym i za to właśnie przez wszystkich wysoko cenionym.

Bezpośrednio zetknąłem się z dyr. Szydłowskim jako nauczycielem. Wykładał nam propedeutykę filozofii. Niestety, bardzo krótko. Choroba i śmierć przecięły ten cykl interesujących wykładów. Posiadał rzadki dar prowadzenia wykładu na tematy trudne w sposób niezwykle łatwy i zrozumiały. Niechaj kilka skromnych słów wspomnień będzie wyrazem czci dla tego prawdziwego Olimpijczyka.

Każdemu z naszych wychowawców i profesorów należałoby poświęcić nieco wspomnień. Byli wśród nich kochani przez nas doskonali pedagodzy, oddani całkowicie kochanemu zawodowi nauczyciela i wychowawcy. Byli ludzie o wszechstronnej wiedzy, której nie potrafili na nas przelać. Byli społecznicy, którzy przy całej posiadanej wiedzy nie mieli dość czasu na zajęcie się nami, gdyż absorbowały ich inne, ważne dla rozwoju miasta zajęcia, dające również dodatkowe dochody.

Nie sposób o wszystkich moich profesorach dziś pisać, bo i pamięć zawodzi i skromne ramy niniejszych wspomnień na to nie pozwalają. Ograniczę się tylko do tych, którzy swoją indywidualnością, szczególnymi zdolnościami pedagogicznymi lub też osobistym czarem i umiejętnością zjednywania sobie naszej sympatii, najsilniej wryli się w moją pamięć.

Pierwszym profesorem, z którym stykałem się niemal codziennie w pierwszej klasie, w roku szkolnym 1910/1911, był Józef Wyrobek. Był on gospodarzem naszej klasy. Wiele lat później bliżej go poznałem. Był to człowiek o niezwykle szerokich zainteresowaniach i wielkiej wiedzy. Trudno mówić o jakiejś jego specjalności. Wprawdzie domeną jego zainteresowań była przyroda, w równej jednak mierze interesowała go filozofia klasyczna, matematyka, geografia, a wreszcie historia, której poświęcił wiele studiów.



Józef Wyrobek - profesor
w Gimnazjum w Dębicy
w latach 1903-1924



Owoce jego historycznych zainteresowań był szereg opracowań, a przede wszystkim „Ważniejsze dokumenty z dziejów Dębicy” drukowane w sprawozdaniach gimnazjalnych i w specjalnych broszurach. Był to człowiek zamknięty w sobie, niezwykle skromny, wielki jałmużnik, opiekun nędzarzy, a wśród nich jednego żyjącego w Dębicy, w opłakanych warunkach, powstańca styczniowego z 1863 roku.

Najpiękniejszą cechą tego niezwykłego człowieka był jego głęboki patriotyzm. Umiłowanie ojczyzny i wiarę w odzyskanie niepodległości starał się, i od święta i na co dzień, wszczepiać w nasze serca, co nie było bez wpływu na kształtowanie się naszych charakterów i przekonań. Niechaj za to pamięć o profesorze Wyrobku trwa wiecznie.

Po wycofaniu się w 1915 roku okupacyjnych wojsk rosyjskich z Dębicy, jako jeden z pierwszych, zjawił się w gimnazjum w obdartym szynelu wojskowym, by ratować resztki szkolnego dobytku. Zamieszkał w jednej z klas, nie wiadomo z czego i czym się żywił. Widywałem go w owym czasie w kolejowej restauracji, gdzie zamawiał szklankę herbaty i szklankę wrzątku, pił to powoli, zagryzając suchym chlebem wyjmowanym z kieszeni szynela.

Profesor Wyrobek przyjaźnił się z moim ojcem. Odbywali razem długie spacerunki za miasto. O czym mówili, co ich zbliżyło do siebie, trudno mi zgadnąć. Przypuszczam, że umiłowanie przyrody, głęboki patriotyzm i zainteresowania historyczne, chociaż bardzo nierówne. Profesor Wyrobek był naukowcem, a mój ojciec zaledwie namiętym czytelnikiem powieści historycznych.

W czasie pierwszej wojny światowej, kiedy wojska austriackie zwolniły nasz dom, zamieszkał w nim na kilka miesięcy. W jego pokoju stało tylko łóżko i krzesło. Nad łóżkiem wisiała kuchenna lampka naftowa. Przy jej nikłym świetle czytał on do późnych godzin nocnych. Nigdy nie rozstawał się z książką. Ciągle robił jakieś notatki. Po 1919 roku nie widywałem już profesora Wyrobka, gdyż przenieśliśmy się z rodziną do Tarnowa.

Niestety wśród nas, 10 – 12-letnich wyrostków, profesor Wyrobek, który był naszym nauczycielem, jakoś nie umiał wyrobić sobie autorytetu. Wykorzystywaliśmy złośliwie jego niezwykłą dobroć i pobłażliwość. Przy każdej okazji staraliśmy się dokuczać temu mądrymu, wartościowemu i bardzo nieszczęśliwemu człowiekowi. Krzywdziliśmy go. Pragnąłbym, aby, te dzisiaj skreślone słowa, były ekspiacją naszych szczenięcych przewinień.



W owym czasie gimnazjum dzieliło się na niższe: od pierwszej do czwartej klasy, którego odznaką były srebrne paski na mundurowej bluzie i wyższe: od piątej do ósmej klasy, kołnierze mundurów uczniów tych klas zdobiły złote paski. Wśród filozofów klasycznych wyróżnialiśmy szczególnie profesora Michała Kalitowskiego i Antoniego Migdała. Wyróżnialiśmy ich nie dlatego, że byli lepszymi nauczycielami od innych. Do takiej oceny nie byliśmy zdolni. Ale było tak dlatego, że profesor Kalitowski, poza filozofią klasyczną, był zapalonym majsterkowiczem i prowadził warsztaty szkolne, zwane wtedy szumnie ze szwedzka „slojdem”, a profesor Migdał był oficerem rezerwy, oberlejttnantem – porucznikiem pułku piechoty w c.k. armii austriackiej i prowadził ćwiczenia wojskowe z drużyną strzelecką.

O profesorze Kalitowskim krążyła plotka, że z nieukami rozprawiał się karami cielesnymi. Plotka ta pochodziła stąd, że kiedy zapisywał któremuś z uczniów dwójkę, zapowiadał mu, że następnym razem dostanie na slojdzie łątą drewnianą po tyłku. Ale jakoś nigdy nie spotkaliśmy dwójkarza, na którym taka egzekucja zostałaby wykonana. Wszystko, zdaje się, kończyło się na groźbach.

Profesor Migdał imponował nam, kiedy prowadził przez miasto w wojskowym szyku starszych uczniów z karabinami na ramieniu na strzelnicę, która znajdowała się w pobliskim lesie zwanym Borkiem. W 1914 roku, w pierwszym dniu wybuchu wojny, został on zmobilizowany i mianowany komendantem dworca kolejowego w Dębicy. Paradował wtedy z różowymi wyłogami swojego pułku. Miał świetną postawę, którą zachował do późnej starości. Spotykałem go często po wojnie w Krakowie, gdzie został przeniesiony bodaj w 1922 roku.

Pragnę napisać jeszcze o jednym nauczycielu, z którym łączą się moje wspomnienia od pierwszej klasy aż po dzień matury. To nasz nauczyciel śpiewu i równocześnie dyrygent gimnazjalnego chóru, profesor Kazimierz Klamut. Był nie tylko nauczycielem śpiewu, ale krzewicielem kultury muzycznej we wszystkich dębickich szkołach, czynnym organizatorem towarzystw śpiewaczych niemal do ostatnich dni swojego długiego życia. Uczył nas, zaczynając od pisania i czytania nut aż do odtwarzania trudnej muzyki Gounoda. Mieliśmy bowiem w repertuarze naszego chóru jeden utwór tego kompozytora, a mianowicie mszę na cztery głosy męskie z towarzyszeniem organów.



Na tym kończę moje wspomnienia o profesorach pierwszego okresu nauki w naszym gimnazjum, który to okres przerwał w 1914 roku wybuch pierwszej wojny światowej.

WOJNA

Wojna. Ewakuacja. Dębica częściowo spalona. Dom nasz zajęty przez wojska rosyjskie, potem przez austriackie. Znajdujemy schronienie najpierw u rodziny w Krakowie, potem w domu mojej babki w Tarnowie, gdzie w jednym roku kończę czwartą i piątą klasę, a w drugim szóstą. Do naszego gimnazjum w Dębicy wracam w roku szkolnym 1917/1918, gdzie kończę siódmą i ósmą klasę i zdaję w 1919 roku maturę. Dalsze wspomnienia o moich profesorach łączyć się będą już z tym okresem, kiedy byłem uczniem ostatnich klas i dojrzewającym młodzieńcem.

Najbliższym mi i kochanym był profesor Jan Leśniak, polonista. Był to człowiek niezwyklej szlachetności, rozmiłowany w swoim zawodzie, świetny znawca poezji romantycznej i młodopolskiej, nie tylko nauczyciel języka polskiego, ale nauczyciel miłości do poezji. Znał nas wszystkich doskonale. Znał nasze zainteresowania, umiał te najwartościowsze rozwijać i pogłębiać. Zawsze cichy, spokojny, nawet smutny, trawiony chorobą, prowadził swoje świetne wykłady w sposób niemal studencki. Człowiek skromny i biedny. Bywałem w jego domu, który do dziś stoi przy ulicy Ogrodowej. Dom pochylił się i nieco zapadł w ziemię, ale rosnący przed nim olbrzymi, wspaniały dąb, pomnik przyrody, trwa niezmiennie, potężny i majestatyczny. Ocienia i ochrania tę chatę, jak za tamtych lat. W domu tym, oprócz najprostszych drewnianych łóżek, kuchennych stołów, takich samych krzeseł i półek pełnych książek, nie było nic więcej. Ale w tym domu biło najlepsze, gorące serce. Największym zaszczytem i radością dla mnie było zaproszenie mnie do tego domu na rozmowy o twórczości Stanisława Wyspiańskiego. To właśnie profesor Leśniak wszczepił we mnie miłość do twórczości Wyspiańskiego, która przetrwała po dziś dzień.

A profesor Leśniak potrafił łączyć piękne z pożytecznym, niech posłuży temu przykład wycieczki do Odrzykonia, którą zorganizował dla małej grupy uczniów na wakacjach 1918 roku. Dojechaliśmy pociągiem do jakiejś małej stacji pomiędzy Rzeszowem a Krosnem. Stamtąd poprowadził nas profesor



przez pola jakimiś tylko jemu znanymi ścieżkami na przełaj do wioski Odrzykoń. Tam w małej chatce na podzamczu odpoczywaliśmy, a kiedy zapadła noc i wyrzął księżyc, poprowadził nas do ruin zamkowych, wśród których wygłosił nam krótki, ale świetny wykład o „Królu zamczyska” Goszczyńskiego.



Wycieczka do Odrzykonia - rok 1918

Aby charakterystyka tego nieprzeciętnego człowieka była pełniejsza, muszę wspomnieć o niemającym precedensu w naszej szkole wydarzeniu i pełnej ofiarności postawie, jaką zajął wówczas profesor Leśniak. Na rok szkolny 1918/1919 otrzymał on urlop dla podratowania zdrowia. Na zastępstwo wyznaczony został przybyły do naszego gimnazjum polonista. Niestety, brak wyrobienia i często lekceważący i obraźliwy ton w stosunku do uczniów, wywołał nasz sprzeciw. Zastosowaliśmy coś w rodzaju strajku. Pytani wstawaliśmy, ale zachowywaliśmy grobowe milczenie. Taki stan nie mógł trwać długo. Interwencje gospodarza klasy, którym był profesor Turosz, nie dawały żadnego rezultatu. Wyjaśniliśmy tylko istotę powstałego konfliktu i poprosiliśmy o zmianę nauczyciela. Dyrekcja i rada pedagogiczna miały dwa wyjścia:



rozwiązać klasę albo zmienić nauczyciela. Rozsądnie, dzięki pełniącemu obowiązki kierownika zakładu, prof. Staroniowi, wybrano to drugie wyjście. Uproszony profesor Leśniak, pomimo przebywania na rocznym urlopie zdrowotnym, zgodził się przyjść na kilka godzin lekcyjnych tygodniowo i doprowadził nas do matury. Miała ona odbyć się za pół roku, już w wyzwolonej z przeszło stuletniej niewoli, ojczyźnie.

Oto może nieudolnie nakreślony, ale chyba wierny, portret duchowy naszego kochanego profesora i mistrza, Jana Leśniaka.

Do cenionych i lubianych nauczycieli w klasie przedmaturalnej należał wspomniany już profesor Wojciech Turossz, późniejszy dyrektor gimnazjum w Krakowie. Był to przezacny człowiek i dobry pedagog, który nam, nastawionym na wykształcenie humanistyczne, potrafił w sposób przystępny i popularny dać podstawy nauki fizyki i nadrobić zaległości z lat poprzednich.

Równie cenionym i lubianym, choć wymagającym, był profesor Henryk Lilien, a także profesor Marek Goldschlag. Profesor doktor Lilien, filozof klasyczny, nauczyciel łaciny, mniej nauczył nas języka, natomiast więcej znajomości kultury antycznej, za co wdzięczny mu pozostałem na całe życie. To bowiem, czego mnie nauczył, wpłynęło wybitnie na rozwój moich zainteresowań kulturalnych.

Profesor doktor Goldschlag, germanista, pracowicie przerabiał z nami „Marię Stuart” Schillera i „Fausta” Goethego. To studium prowadzone przez profesora, może na zbyt wysokim poziomie, jak na naszą znajomość języka niemieckiego, zmuszało jednak do uzupełnienia naszych w tym zakresie braków i wpoilo nam zrozumienie wartości arcydzieł niemieckiej poezji. Słusznie jednak zwykł on mawiać do jednego z kolegów, który przez rok mieszkał w Wiedniu i tam poduczył się języka niemieckiego : „Inter caecos monokulus rex est” (Między ślepcami jednooki jest królem).

Wspominam wreszcie młodziutkiego profesora Mariana Palucha, który pierwszy z naszych nauczycieli historii prowadził systematyczny, piękny wykład. Słuchaliśmy go zawsze z prawdziwą przyjemnością, nie wyczekując na dzwonek oznajmiający koniec lekcji. Traktował nas poważnie. Zawsze mówił do nas per pan. On jedyny z grona nauczycielskiego wziął udział w naszym komersie pomaturalnym. Uważaliśmy go niemal za starszego kolegę.

Nie można pominąć w tych wspomnieniach ciekawej, aczkolwiek bardzo kontrowersyjnej postaci w gronie nauczycielskim, katechety, ks. Błażeja Kot-



fisa. W dzisiejszym moim odczuciu był on prekursorem laicyzacji zawodu kapłańskiego. Lepiej prezentował się w mundurze kapelana wojskowego niż w sutannie. Brał czynny udział w świeckich organizacjach społecznych, jak np. „Sokół”. Był organizatorem i prefektem bursy studenckiej, współorganizatorem Żeńskiego Seminarium Nauczycielskiego. Wymagania jego jako nauczyciela były minimalne. Wystarczyło coś niecoś wydukać z historii Kościoła, aby dostać notę dobrą lub bardzo dobrą. Innych not w zasadzie nie stawiął. Umiał łągodzić konflikty. Natomiast poza szkołą był postrachem. Niepotrzebnie zbyt interesował się życiem prywatnym młodzieży. Odbывał wieczorne „rajdy” inspekcyjne po ulicach Dębicy, zwłaszcza na trasie sąd – dworzec kolejowy. Nachodził też prywatne stancje studenckie. Umieliśmy jednak unikać niepożądanych spotkań z nim.

Wszyscy spośród naszych wychowawców i nauczycieli zasłużyli na podziękę za wiedzę przy ich pomocy zdobytą, za przygotowanie nas do dalszych studiów. Ograniczam się tylko do tych, którzy byli mi najbliżsi lub z innych względów zasługują na uwagę.

Oczywiście, że wśród naszych profesorów byli i słabi pedagodzy lub tacy, których stać było na więcej, jednak lekceważyli sobie powierzone im obowiązki nauczyciela – wychowawcy. O nich lepiej milczeć. Czyż wszystko na tym naszym świecie jest dobre?

KOLEDZY

Nie było wśród nas, używając słów Stanisława Wyspiańskiego: „bohaterów i karłów”. Wszyscy byliśmy równi, normalni. Nie było wśród nas konfliktów klasowych czy wyznaniowych, choć mieliśmy kilku kolegów wyznania mojżeszowego. Antysemityzm w tamtych czasach w naszym środowisku nie istniał. Poziom umysłowy był równy. Mieliśmy kilku uczniów celujących. Byli średniacy i słabi, ale jedni nad drugich nie wywyższali się, lepsi uczniowie nie korzystali ze specjalnych przywilejów. Nie istniała wówczas instytucja prymusów. Stanowiliśmy zwarty, prawdziwie koleżeński kolektyw. Lepsi pomagali słabszym. To wszystko.

Nasza pierwsza klasa, podzielona na dwa oddziały A i B, liczyła ponad pięćdziesięciu uczniów. Z tej licznej gromadki tylko połowa zasiadła w 1919 roku do matury. Z tej naszej trzynastki pozostało przy życiu do 1977 roku tylko pięciu.



Z dumą muszę w tym miejscu powiedzieć, że niemal wszyscy spośród tej grupy ukończyli wyższe studia, wszyscy, jak mawiało się za naszych czasów, „wyszli na ludzi”. Nikt nie splamił honoru Polaka i naszego gimnazjum. Wielu spośród moich kolegów, zwłaszcza starszych, było wybitnych, wyróżniających się zdolnościami i talentami poetyckimi, muzycznymi i malarskimi. Nie czuję się na siłach pisać o wszystkich, gdyż sylwetki ich zatarty się nieco w mojej pamięci. Ograniczę się tylko do niektórych.

Szczególnym talentem poetyckim obdarzony był Władysław Łukasik, który już jako uczeń ósmej klasy wydał w 1914 roku w Bibliotece im. Andrzeja Zamoyskiego, nakładem i drukiem Zygmunta Jelenia z Tarnowa, pierwszy tomik poezji pt. „Wiosko, moja biedna wiosko...”. Witold Bełza, autor słowa wstępnego, słusznie nazwał Łukasika poetą – chłopem i jakże pięknie napisał o wierszach skreślonych jego piórem: „Wyśpiewało je gorące serce polskie, co w zadumie o niewoli Ojczyzny i własnej szło szukać pokrzepienia na tych bezkresnych łąkach polskich, kędy słońcu kłaniają się „zboża rozmaite”, kędy w wieczornym zmierzchu osiada smutek i pieści ciszą duszę starganą aż do ukojenia...”

Władysław Łukasik, syn chłopca, mieszkał w Zawadzie, skąd codziennie pieszo wędrował siedem kilometrów do gimnazjum. Według zebranych przeze mnie informacji u starszych kolegów i jego rodziny, Łukasik w czasie pierwszej wojny światowej służył w wojsku austriackim. Pod koniec wojny przebywał wraz z naszym starszym o dwie klasy kolegą, Wincentym Dołżyckim, w wojskowym szpitalu w Dębicy. Po zakończeniu wojny wstąpił do wojska polskiego, w którym jako oficer zawodowy dosłużył się stopnia kapitana. W czasie okupacji hitlerowskiej przebywał w obozie jenieckim na Litwie. Po drugiej wojnie światowej osiedlił się w Słupsku, gdzie początkowo był redaktorem miejscowego dziennika, a następnie inspektorem szkolnym. Zmarł na gruźlicę w Słupsku w 1972 roku.

Wielu kolegów muzykowało i to z powodzeniem. Pierwszego wymieniam Ludwika Wasilkowskiego, najstarszego wiekiem, bo kiedy ja chodziłem do pierwszej klasy, on był ósmoklasistą. Miał już wtedy ukończoną szkołę czy też instytut muzyczny, klasę fortepianu w Krakowie, ale grał też na wielu innych instrumentach. Był wieloletnim dyrygentem i instruktorem naszej gimnazjalnej orkiestry. Wielu kolegów muzykowało w dużej orkiestrze smyczkowej i kwartetach, między innymi mój klasowy kolega, Józef Denkiewicz.



Jeden z kolegów w czasie studiów na Wydziale Filozoficznym UJ ukończył konserwatorium muzyczne. Był to ociemniały Stanisław Mitka, który doradczo udzielał lekcji muzyki. Był on pierwszym nauczycielem znanego dziś Krzysztofa Pendereckiego, syna naszego młodszego kolegi, Tadeusza Pendereckiego.

Pięknym głosem i talentem muzycznym był obdarzony Wincenty Dołżycki, tenor liryczny, solista chóru gimnazjalnego. Grywał również na fortepianie.

Talentem malarskim obdarzony był kolega klasowy Aleksander Dołżycki. Uprawiał on przede wszystkim malarstwo batalistyczne.

Żaden jednak z wymienionych kolegów nie poszedł drogą swoich zainteresowań artystycznych. Wasilkowski, Denkiewicz i Wincenty Dołżycki studiowali prawo. Wasilkowski został adwokatem w Krakowie. Józef Denkiewicz do dzisiaj jest adwokatem w Tarnowskich Górach, a Wincenty Dołżycki był ostatnio radcą prawnym w „Społem” w Dębicy. Stanisław Mitka po ukończeniu studiów na UJ był nauczycielem gimnazjalnym. Zresztą, bardzo krótko, gdyż w młodym wieku całkowicie utracił wzrok. Aleksander Dołżycki wybrał zawód inżyniera leśnictwa. Do ostatnich dni swojego życia nie przestawał malować. Zarobkowo talenty muzyczne przez pewien czas wykorzystywał tylko dwóch kolegów. Stanisław Mitka i Wincenty Dołżycki po maturze grali w miejscowym, wówczas niemym, kinie, które założył mistrz kominiarski, Kubisztal. Mitka grał na skrzypcach, Dołżycki na fortepianie. Dołżycki bodaj w 1921 roku przeniósł się do Krakowa. Śpiewał tam w chórze operetki Pilarskiego, która mieściła się w dawnym kinie „Nowości” przy ulicy Starowiślniej.

Ja też minąłem się z wszczepionymi mi przez profesora Leśniaka zainteresowaniami. Po zdaniu matury studiowałem prawo na Uniwersytecie im. Jana Kazimierza we Lwowie oraz w Wyższej Szkole Handlu Zagranicznego. Raczej drogą przypadku niż wyboru stałem się bankowcem i ubezpieczeniowcem, by po czterdziestu blisko latach w tych zawodach przejść na zasłużoną emeryturę jako dyrektor i doradca naczelnego dyrektora Powszechnej Kasy Oszczędności.



W GIMNAZJUM I POZA NIM

Wszystkie niemal zajęcia szkolne odbywały się w klasach lekcyjnych. Jedyne wykłady fizyki i chemii, na których były przeprowadzane jakieś doświadczenia, odbywały się w gabinecie fizycznym. Dzięki amfiteatralnym urządzeniom audytorium z każdego miejsca była doskonała widoczność tego, co odbywało się na stole przeznaczonym do doświadczeń. Lekcje rysunków odbywały się wyłącznie w sali rysunkowej, usytuowanej w północnym skrzydle budynku, dzięki czemu mieliśmy tam jak najbardziej prawidłowe oświetlenie. No i wreszcie na lekcje gimnastyki, które zawsze odbywały się po południu, mieliśmy do dyspozycji świetnie wyposażoną, jak na owe czasy, salę gimnastyczną.

Budynek gimnazjum nie służył tylko nauce wynikającej ściśle z programu nauczania. Był równocześnie kuźnią rozbudzającą nasze zainteresowania kulturalne w szerokim zakresie.

Pierwszą biblioteką i równocześnie wypożyczalnią, zanim powstała w Dębicy Biblioteka Towarzystwa Szkoły Ludowej, była nasza biblioteka gimnazjalna. Wypożyczalnia, obsługiwana przez uczniów klas wyższych pod nadzorem dyżurującego profesora, czynna była raz w tygodniu. Dzień ten, zawsze oczekiwany, był pełen emocji dla nas, „konusów” pierwszej i drugiej klasy. Czy uda się zdobyć jakąś książkę Karola Maya? Dla nas, dziesięciolatków, była to najbardziej fascynująca lektura. Sprawa nie była łatwa. Egzemplarzy było niewiele, a amatorów cała gromada. Kto pierwszy, ten lepszy. Zdobyty „May” krążył potem wśród kolegów, co powodowało scysje z wypożyczającym, gdyż termin zwrotu książki do biblioteki był ściśle określony.

Nie był to mój pierwszy kontakt z książką. W domu moich rodziców było kilka książek, a przede wszystkim „Wojsko Polskie”, dwa wielkie tomiska, zdaje się Wydawnictwa Bondego w Wiedniu. Ograniczam się do kilku tylko zdań wspomnień na ten temat. Mam nadzieję, że historia bibliotek i czytelnictwa w Dębicy i w regionie doczeka się specjalnej monografii. Rozbudzone w latach najwcześniejszej młodości umiłowanie książki i nawyk czytelnictwa przetrwał chyba u wszystkich wychowanków naszego gimnazjum na całe życie.



TEATR

Tej artystycznej instytucji bardzo brakowało w naszym gimnazjum i w naszym mieście. Nie mieliśmy nigdy stałego szkolnego teatru amatorskiego. A istniały ku temu warunki. Mieliśmy dwie dobre orkiestry, dętą i smyczkową. Mieliśmy doskonałego nauczyciela śpiewu i niezłe wyszkolony chór. Sporo było dobrych recytatorów. Wszystko to prezentowaliśmy na wszelkiego rodzaju uroczystościach rocznicowych czy wieczorkach poświęconych wielkim poetom epoki romantyzmu. Na pewno znalazłoby się wiele talentów aktorskich. Brak więc było, moim zdaniem, siły organizatorskiej, zwłaszcza w pierwszym dziesięcioleciu istnienia szkoły, bo w następnych latach wojna przekreśliła wszelkie artystyczne poczynania. „Inter arma silent Musae” (Pośród szczęku broni milczą muzy).

Nasze zajęcia pozaszkolne zależały wyłącznie od naszej inicjatywy. Odrabianie lekcji, lektura, a poza tym pustka, która wypełnialiśmy według własnych zainteresowań. Uprawianie sportu, jako zorganizowanej formy uprawiania kultury fizycznej w naszych czasach szkolnych nie istniało. Ówczesny sport to „długodystansowe” spacery albo w lecie kąpiele w Wisłoce, nad brzegami której, jak dzicy ludzie, nago, spędzaliśmy całe popołudnia. Do tego celu mieliśmy ustronne miejsce, przez nikogo nieodwiedzane, położone jeden kilometr od mostu kolejowego w górę rzeki. Sterczał tam w poprzek koryta czarny



Rozlewiska
Wisłoki
w Dębicy



dąb, który nam służył za słupek startowy do zawodów. W czasie wylewów Wiśłoki urządzaliśmy sobie zawody w przepływaniu rozlewisk. Miejscem startu był wtedy zwykle wysoki brzeg rzeki na tzw. „Szteinchofówce”, za koszarami kawalerii. Meta znajdowała się po drugiej stronie rozlewiska przy drzewach, które wystawały ponad lustro wody. W zimie atrakcją była ślizgawka na stawie kolejowym i saneczkarstwo na pobliskich górkach.

I to już cała nasza zaprawa sportowa. Ale z drugiej strony chyba nie taka zła, skoro Józek i Stefan Denkiewiczowie do dziś wspinają się w wysokich Tatrach, ja dopiero mając 65 lat życia musiałem rozstać się ze sportem narciarskim, kiedy odpowiedzialna i nerwowa praca zmogła moje serce.

ZWIĄZKI GIMNAZJUM Z MIASTEM

Były bardzo ściśle. Gimnazjum promieniowało kulturalnie na całe społeczeństwo miasta. W dniu 3 Maja czy też przy innych okazjach aula gimnazjalna wypełniała się nie tylko uczniami naszej szkoły, ale i mieszkańcami miasta. Nasi profesorowie brali czynny udział w działalności miejskich organizacji społecznych, a przede wszystkim w Towarzystwie „Sokół” i Związku Strzeleckim. Profesor Staroń był wieloletnim społecznym dyrektorem Składnicy Kółek Rolniczych, a potem dyrektorem urzędującym tej spółdzielni. W latach międzywojennych zamienił szkolną katedrę na fotel burmistrza miasta. Drugi profesor, Ludwik Kita, był jednym z założycieli i dyrektorem Spółdzielni Rolniczo – Handlowej „Żniwo”.

Wyliczenie i scharakteryzowanie wszystkich powiazań gimnazjum ze społeczeństwem Dębicy wykracza znacznie poza ramy niniejszego wspomnienia, dlatego ograniczam się tylko do tej krótkiej wzmianki.

MIASTO DĘBICA

Dębica w latach 1910 – 1918 była małą mięściną. Mieszkała w niej w większości biedota żydowska utrzymująca się z drobnego handlu, żyjąca w nędzy nieznannej naszej dzisiejszej rzeczywistości. Oczywiście, że wśród tego morza nędzy było kilka zamożnych rodzin żydowskich, jak Wurclowie, Kernerowie, Hakerowie czy Brosowie. Ale różnice klasowe między jednymi i drugimi były nie do przebycia. Łączyły ich tylko więzy wyznaniowe.



Wśród pozostałej ludności największą grupę stanowili kolejarze. Dębica już wtedy była stacją węzłową z dużą parowozownią i przyległymi do niej warsztatami do drobnych napraw taboru. Na ogół byli to pracownicy dość dobrze płatni, ludzie solidni, oszczędni. Większość z nich posiadała własne domki jednorodzinne. Dzieci kolejarzy kształciły się w dużej liczbie. Jednym słowem kolejarze stanowili ważną i znaczną część społeczeństwa dębickiego.

Drugą dość liczną grupę stanowili rzemieślnicy zrzeszeni w cechu, którego przewodniczącym był przez długie lata znany piekarz, Roztoczyński. Do tej grupy należeli też kupcy. Wszystko to byli ludzie pracowici, zapobiegliwi i oszczędni. Dzięki ich inicjatywie powstała w Dębicy Kasa Oszczędności, której za mojej pamięci, dyrektorami byli: Hubicki, a po jego śmierci Berger. Kupcy żydowscy mieli swój bank.

Wreszcie trzecią grupę stanowili nauczyciele, urzędnicy i bardzo wtedy nieliczni przedstawiciele wolnych zawodów: zaledwie trzech adwokatów, jeden notariusz, czterech lekarzy i jeden dentysta.

W tej grupie, bardzo zróżnicowanej branżowo ludności, najliczniej reprezentowane było nauczycielstwo. Następnie dość liczni byli urzędnicy kolejowi. Sąd zatrudniał kilku sędziów i nieliczny personel pomocniczy, Magistrat, Urząd Skarbowy, Kasa Oszczędności – po kilku pracowników, a Urząd Pocztowy kilkunastu pracowników. Kierownicy tych instytucji czy urzędów w naszych oczach byli ludźmi bardzo dostojnymi. Czy takimi byli w rzeczywistości, trudno mi dzisiaj ocenić.

Charakteryzowanie całej tej grupy ludności czy poszczególnych jej przedstawicieli przekracza ramy niniejszych wspomnień, chociaż niejedna postać, niepowtarzalna już w obecnej rzeczywistości, godna byłaby upamiętnienia.

Była jedna postać, na poczcie, o której koniecznie muszę opowiedzieć. Był to funkcjonariusz najniższego szczebla, jednak niezwykle popularny i cieszący się ogólną sympatią i szacunkiem aż w dwóch miastach, tj. w Dębicy i w Pilźnie – pocztylion Godek. Miał on małeńki domek z zabudowaniami gospodarczymi i ogrodem na rogu ulicy Kolejowej i Krótkiej, małego konika, dwa pojazdy: wózek bez resorów i na zimę z saneczkami, którymi bez względu na pogodę, jak rok długi, przewoził w drewnianej skrzyni obitej blachą pocztę z Dębicy do Pilzna i w drodze powrotnej z Pilzna do Dębicy. Z Dębicy wyjeżdżał we wczesnych godzinach rannych, wracał z Pilzna po południu. Człó-



wiek ten chyba nigdy nie miał urlopu, nigdy nie chorował. Przejazdy odbywał ze wzorcowa regularnością. List wrzucony do skrzynki pocztowej w Krakowie, następnego dnia doręczony był w Pilźnie. I odwrotnie, wrzucony w godzinach rannych w Pilźnie, następnego dnia doręczony był w Krakowie. Ani deszcz, ani rozmokła szosa, ani zasy py śnieżne nie stanowiły dla pojazdu pana Godka przeszkody. Tak w obydwu miasteczkach, jak i na szlaku, był ogólnie znaną postacią. Kiedy przyjeżdżał swoim wózkiem czy saniami, nie mówiło się, że jedzie poczta, tylko jedzie Godek. Kiedy ktoś przysiadł się na „ekwipaż”, nie mówił, że jedzie wózkiem pocztowym, ale, że jedzie z Godkiem. Jeśli ktoś spóźnił się z wrzuceniem listu do skrzynki, a Godek ruszył już w drogę, mógł mu wrzucić list i być pewnym, że przesyłka doręczona zostanie przez właściwy urząd pocztowy.

Jednym słowem Godek był symbolem solidności i punktualności poczty. Takich „Godków” w różnych zawodach było wówczas wielu. Dzięki nim miasto się rozwijało... Godek nie doczekał motoryzacji, nie dożył do obecnego rozkwitu miasta. Przetrwała jednak do dzisiaj tradycja niezawodności i punktualności dębickiej poczty. Corocznie spędzam wakacje w leśnym domku we wsi



Rynek w Dębicy



Połomia, osiem kilometrów od Pilzna. List wrzucony do skrzynki pocztowej w godzinach rannych w Krakowie lub Lublinie, następnego dnia jest doręczany motocyklem przez uśmiechniętego doręczyciela. To bardzo miły poranny gość. Oby poczta dębicka i pilzneńska służyły nadal dobrze ludziom i były przykładem dla innych.

Droga do gimnazjum w Dębicy wiodła przez rynek, który był głównym punktem handlowym dla całego miasta. Tam w każdym niemal domu mieścił się jakiś sklepik, a w dni jarmarków rynek zamieniał się w wielkie targowisko zatłoczone kramami i chłopskimi furmankami. Można tam było kupić wszystko, co zaspakajało nasze skromne uczniowskie potrzeby, poczynając od książek, przyborów szkolnych, słodyczy i wody sodowej z sokiem, a kończąc na brykach do łaciny i greki, znaczkach do naszych zbiorów filatelistycznych i wreszcie „Jacku Teksasie” i „Sitting Boulu”, zeszytach wychodzących bodaj raz na miesiąc, a opisujących przygody niezwykłych bohaterów Dzikiego Zachodu. W te atrakcyjne dla nas artykuły zaopatrywaliśmy się w sklepie – kiosku z gazetami, mieszczącym się w drewnianym domu z gankiem, który był własnością B. Fetta, starego Żyda z długą brodą. Dom ten położony był na zakręcie ul. Kolejowej przed jej wylotem do rynku. B. Fett ma pewne zasługi dla historii miasta. Wydał bowiem własnym nakładem kartę pocztową przedstawiającą dębicki dworzec kolejowy pełen żołnierzy austriackich i niemieckich tuż po wycofaniu się z miasta wojsk rosyjskich.

Swoistą atrakcją dla mieszkańców i przygodnych widzów były dni targowe, a zwłaszcza moment, kiedy około południa wkraczał na rynek dobosz, policjant miejski, jeden z trzech czy czterech podkomendnych komisarza Hornuga (w owych czasach miasto miało nie tylko własną policję, ale i areszt miejski). Na odgłos wybijanego przez dobosza werbla, rynek cichł. Wówczas przedstawiciel władzy miejskiej donośnym basem ogłaszał aktualne zarządzenia Magistratu. Takie bębnienie i ogłaszanie zarządzeń powtarzane było czterokrotnie na rogach rynku. Przedstawicielowi władzy miejskiej towarzyszyła zwykle gromada łobuzów, którzy podpowiadali doboszowi jeszcze jedno ogłoszenie: „Podaje się do publicznej wiadomości: kto zjadł mięso, nich zje kości”. Za to podpowiadanie niejeden łobuz oberwał srogie cięgi od obrażonego dobosza.



Ten pozornie śmieszny zwyczaj werbalnego informowania ludności o sprawach miejskich miał słuszne, wobec istniejącego jeszcze wówczas analfabetyzmu, uzasadnienie. Niech ta dygresja od spraw poważnych będzie przyczynkiem do obrazu życia naszego miasta.

Kiedy dzisiaj po ponad siedemdziesięciu latach siadam w upalny dzień letni wśród zieleni i kwiatów na skwerze, który wyrósł na miejscu dawnego brudnego targowiska, kiedy patrzę na te schludne domy, które zajęły miejsce dawnych ruder i brudnych kramów, zamykam na chwilę oczy, aby je potem otworzyć i jeszcze raz się upewnić, że to prawda, nie złudzenie, że nie poszedł na marne trud i walka dwóch pokoleń, że ta Ojczyzna „zdobyta krwią i blizną..”, jak mówiły słowa wiersza, którego nauczyła mnie jeszcze moja kochana matka, rośnie i pięknieje.

WOJNA

Zamordowanie arcyksięcia Ferdynanda Habsburga w Sarajewie i wybuch wojny w pierwszym miesiącu wakacji 1914 roku przerwały nasze niemal bez troskie bytowanie, spokój i ciszę miasta. Początkowo wszystko, na co patrzyłem i w czym brałem udział, raczej mnie bawiło niż niepokoiło. Ruch wojsk w mieście i zatrzymujące się na naszej stacji kolejowej transporty wojsk zmierzające na wschód, moja praca w dworcowej placówce Czerwonego Krzyża, wszystko to było ciekawe i podniecające.

Wzruszające było pożegnanie pierwszej grupy trzydziestu starszych kolegów, członków „Strzelca”, którzy pod wodzą profesora Tadeusza Gawrysia odjeżdżali w sierpniowy wieczór do Krakowa, by dołączyć do Legionów organizowanych przez Józefa Piłsudskiego. Kwiaty, uściski, pocałunki. Hymn narodowy. Wielu z odjeżdżających nie wróciło już nigdy do bliskich.

Parę miesięcy później na szlakach bojowych Legionów poległo bohaterską śmiercią trzynastu: profesor Tadeusz Gawryś (29 X 1914 roku pod Mołotkowem (prof. T. Gawryś nie zginął w bitwie pod Mołotkowem, tam został ranny. Został wzięty do niewoli i zmarł w szpitalu Czerwonego Krzyża w Stanisławowie – przyp. aut.), uczniowie i maturzyści: Marian Boczoń – 28 X pod Nadworną, Henryk Guzy pod Łowczówkiem, Kazimierz Jurczyński – miejsce nieznane, Jakub Mielecki – pod Nadrówną, Władysław Morbitzer – pod Kulkami, Piotr Nykiel – w Karpatach, Antoni Pietruszka – w Karpatach, Józef



Popławski – w Karpatach, Stefan Schon – pod Nadrówną, Józef Szybis – pod Krzywopłotami i Władysław Walawski – w Karpatach.

Niewiele dni po pożegnaniu pierwszej grupy kolegów wtoczył się na stację kolejową pierwszy pociąg sanitarny wiozący rannych w bitwach stoczonych przez wojska austriackie z wojskami rosyjskimi na Wschodzie. Był to pociąg luksusowy, złożony z samych pulmanów i wagonów sypialnych, jedyny tego typu pociąg, jaki widziałem tej wojny. Następne pociągi były już złożone z wagonów towarowych, w których na słomie leżeli często konający, ciężko ranni lub chorzy żołnierze. Ratowaliśmy ich bez względu na to, w jakich byli mundurach, austriackich czy rosyjskich, w ramach naszych skromnych możliwości stacyjnej placówki Czerwonego Krzyża. Ciężko rannych i chorych, będących nieraz w agonii, transportowaliśmy na prostych noszach do wozów taborowych, które przewoziły ich do szpitali urządzonych w większych budynkach, jak np. nasze gimnazjum. Nieraz wynosiliśmy z wagonów zwłoki żołnierzy, którzy zmarli w czasie transportu.

Wśród członków Czerwonego Krzyża znaleźli się wszyscy ludzie dobrej woli, a wśród nich cała nasza rodzina: ojciec, matka i moja starsza siostra. Rodzice przypłacili tę pracę zdrowiem – ojciec czerwonką, z której dzięki silnemu organizmowi szybko się wykaraskał. Matka, która miała tymi i innymi przeżyciami wojennymi wyniszczony organizm, po czterech latach zmarła. Całą grozę tej straszliwej wojny, która obydwie walczące strony kosztowała morze krwi, uświadomiłem sobie, kiedy zobaczyłem uciekające w popłochu tabory i rozbite oddziały cofających się wojsk.

Równocześnie nastąpiła ewakuacja miasta. Cała nasza rodzina odjechała ostatnim pociągiem. Zamierzaliśmy pozostać w mieście na dolę i niedolę, ale zmusiła nas do wyjazdu choroba ojca, który zresztą bardzo dzielnie się trzymał. Ani jednego dnia nie leżał. Wyjechaliśmy tak, jak wstaliśmy od obiadu. Matka nawet w kuchennym fartuchu, do którego zgarnęła srebrne sztućce. Każde z nas zarzuciło na ramiona zimowe okrycia, a do ręki wzięło niewielką walizkę lub tobołek. I to stanowiło całe dobro, z którym wracaliśmy po blisko rocznej tułaczce. Dom nasz zastaliśmy zajęty przez kwaterującą w nim komendę etapową i całkowicie „wyszabrowany” z wszelkiego dobytku.

Z ewakuacyjnego pociągu, który kierowany był w głąb Austrii, udało nam się wysiąść w Krakowie i dostać do miasta, gdzie zamieszkaliśmy u rodziny.



Tam przerwałem oblężenie Krakowa i kilka późniejszych miesięcy, kiedy ofensywa austriacka odpierała wojska rosyjskie na wschód. Po słynnej bitwie pod Gorlicami i wycofaniu się wojsk rosyjskich z Tarnowa, natychmiast tam wyjechaliśmy, aby być bliżej domu w Dębicy, w którym jednak nie mogliśmy zamieszkać, gdyż był zajęty przez jakąś wojskową komendę.

Miasto nasze przedstawiało wtedy żałosny widok. Wiele domów było zrujnowanych, rynek niemal całkowicie zniszczony (spalony).

Rok szkolny 1915/1916 i 1916/1917 spędziłem w Tarnowie. Tam w II Gimnazjum ukończyłem klasy od czwartej do szóstej. Dopiero w roku szkolnym 1917/1918 wróciłem do naszego domu w Dębicy, do „mojego” gimnazjum, kolegów i jakże bliskich profesorów. Znowu wśród swoich. Odnowiły się dawne związki koleżeńskie i przyjaźnie datujące się jeszcze od szkoły ludowej, z których niejedna przetrwała po dziś dzień.

Ale wojna trwa nadal. Mordercze walki toczą się na wszystkich frontach. Rosję carską rozsadza rewolucja. Echa tych wydarzeń, które zmieniły mapę Europy, powaliły trony i zadecydowały o losach świata, docierały do naszej świadomości. Ale zajęcia tak szkolne, jak i pozaszkolne płyną pełnym torem, bez zakłóceń. Tyle, że czasami chłodno i głodno. Wszyscy oczekujemy niecierpliwie końca wojny i wyzwolenia Ojczyzny.

Ostatnie miesiące roku szkolnego 1917/1918, a więc klasy siódmej, mnożą napięcia. Niektórzy z nas wstępują do Polskiej Organizacji Wojskowej. Odbywają się tajne ćwiczenia władania bronią. Tak mijają wakacje i pierwsze miesiące roku szkolnego 1918/1919. Nadchodzą pierwsze dni listopada 1918 roku, dni upadku monarchii austriackiej i wyzwolenia Polski. Na terenie Galicji padają orły austriackie, ich miejsce zajmuje orzeł biały, godło wyzwolonej i niepodległej Polski.

Dla nas wojna jeszcze się jednak nie skończyła. Trzeba bronić niepodległości młodego państwa polskiego. Tworzy się Armia Polska. W jej szeregach wступujemy nie tylko my, członkowie POW, ale tysiące ochotników, a wśród nich i nasi koledzy. Ja ze szwadronem IX pułku ułanów ruszam w ponury listopadowy dzień na front. Niedługo jednak trwa ta moja „wojaczka”. Kontuzjowany w jednej z pierwszych potyczek z oddziałem nacjonalistycznych wojsk ukraińskich pod Kresowicami dostaję się do szpitala w Dębicy, skąd zwolniony jako mały letni, wracam w styczniu 1919 roku do ławy szkolnej.



MATURA

W takich oto warunkach zbliżał się dzień, który miał zakończyć okres naszych „szczenięcych lat”. Dzień egzaminu, który w zależności od wyników dawał świadectwo dojrzałości potrzebne do studiów uniwersyteckich.

Za moich czasów egzaminu tego nie poprzedzała żadna uroczysta studniówka. Nie poprzedzała go kampania prasowa zapowiadająca ilu to w kraju abiturientów zasiądzie przy stole maturalnym. Egzamin ten poprzedzała tylko nasza zdwojona praca, solidny trud nieprzespanych nocy, spędzonych nad książką. Nie było żadnych specjalnych konsultacji. Jediną pomocą bywała wspólna nauka w jednym z pokoi w mniejszym budynku bursy, w którym zwykle mieszkali uczniowie wyższych klas. Organizatorem tej wspólnej nauki był Dolcio Gątarz, mieszkaniec tego skromnego pokoiku w bursie. Role instruktorów w czasie wspólnej nauki spełniali najlepsi uczniowie naszej klasy: Józiu Denkiewicz i Staszek Wałaszkiewicz, który zginął przed kilku laty tragiczną śmiercią w nurtach Wisłoki.

Egzamin dojrzałości składał się z egzaminu pisemnego i ustnego. Ani postępy osiągnięte w okresie nauki, ani napisanie wypracowania egzaminacyjnego na bardzo dobry nie zwalniało z egzaminu ustnego.

W czasie zdawania egzaminów nikt na nas nie chuchał i dmuchał. Nie było suto zastawionego przez komitet rodzicielski (instytucja taka wówczas nie istniała) stołu śniadaniowego. Kto przyniósł ze sobą kawałek chleba w kieszeni, zjadł go i popił wodą z konewki stojącej na korytarzu, kto zapomniał o posiłku, zdawał egzamin „na głodnego”.

Pisemne egzaminy trwały trzy dni, od 5 do 7 maja 1919 roku. Przy egzaminie nie wolno było używać jakichkolwiek pomocy naukowych, jak np. słowników, encyklopedii.

Pierwszego dnia pisaliśmy wypracowanie z języka polskiego. Były trzy tematy do wyboru:

1. Związek literatury polskiej z dolą i niedolą narodu.
2. Geneza, rozwój i znaczenie sejmów w Polsce.
3. Słowa Asnyka „Nie pomogą próżne żale...

Ból swój niebu trzeba zlecić –
A samemu wciąż wytrwale
Trzeba naprzód iść...i świecić!”

Jako zasada w życiu prywatnym i społecznym.



Wybrałem temat trzeci. Józek Denkwicz, o ile mnie pamięć nie myli, drugi.

Drugiego dnia pisaliśmy tłumaczenie z języka łacińskiego fragmentu z „Historii” Tacyta, a trzeciego dnia tłumaczenie fragmentu „Odysei” Homera.

W latach 1918 i 1919 szeregi naszej klasy stopniały na skutek poboru do wojska starszych roczników. Do matury w terminie letnim zasiadło nas zaledwie trzynastu. Matura ustna dlatego trwała zaledwie trzy dni: 30 czerwca oraz 1 i 2 lipca. Ustny egzamin dojrzałości składaliśmy z czterech przedmiotów: z języka polskiego, historii, łaciny albo greki (do wyboru, jeśli wypracowania pisemne z tych przedmiotów otrzymały jednakową ocenę), względnie z tego języka, z którego wypracowanie otrzymało lepszą notę i z matematyki. Przewodniczącym komisji egzaminacyjnej był inspektor krajowy, dr Alfred Jahner.

Pytania z języka polskiego i historii były ciekawe, często wymagające szerokiej znajomości przedmiotu. Dziś nie potrafię już przytoczyć tych pytań całkiem dokładnie, choć pamiętam dobrze ich treść. Jedno z pytań z języka polskiego brzmiało: „Wyspiański – wieszcz narodu”. Z historii również miałem bardzo ciekawe pytanie: „Napoleon a sprawa polska”. Temat ten, jak wówczas się mawiało, leżał mi, gdyż epoką napoleońską zawsze żywo się interesowałem. Przy egzaminie z łaciny tłumaczyłem jakiś fragment z mowy sycylijskiej Cycerona.

Przewodniczący komisji, dr Jahner był nie tylko obserwatorem, ale sam, przerywając odpowiedź abiturienta, zadawał dodatkowe pytania. W ten sposób „spalił” jednego z kolegów, któremu przy egzaminie z historii kazał wyliczyć kolejno wszystkich królów rzymskich. Delikwent speszył się tym pytaniem, zaplatał się w wyliczaniu tych królów i został poproszony za pół roku.

Mnie dr Jahner przy odpowiedzi z języka polskiego, kiedy mówiłem o dyskusji Dziennikarza ze Stańczykiem w drugim akcie „Wesela”, przerwał i zapytał, gdzie widziałem Stańczyka. Odpowiedziałem, że na obrazie Jana Matejki i na scenie Teatru im. Juliusza Słowackiego w Krakowie. Dr Jahner powiedział: „Dziękuję” i na tym skończyła się i tak dość długa moja tyrada. Przypuszczam, że tego rodzaju niespodziewane rzucanie pytań przez pana Jahnera było wynikiem jego złośliwości. Zza okularów w złotej oprawie z oczu dobrze mu nie patrzyło.



I to byłyby w wielkim skrócie moje reminiscencje ze składanego w 1919 roku egzaminu maturalnego.

Lata wojny i tuż po wojnie nie sprzyjały urządzaniu szumnych komersów. Nasz był zwykłym spotkaniem trzynastki absolwentów z profesorem Paluchem w domu moich rodziców. Dostaliśmy skromne przekąski i trochę wina. Tańczyliśmy z koleżankami. Do tańca przygrywała nam na fortepianie moja starsza siostra. Było to wzruszające pożegnanie.

Plany wakacyjne. Przyrzeczenia, że będziemy się spotykać w tym samym składzie. Niestety, nigdy już nie doszły do skutku. Także indywidualne kontakty zrywały się powoli i w miarę upływu czasu.

Przez wszystkie burze życia i długie lata przetrwała po dziś dzień moja przyjaźń z Józkiem Denkiewiczem. Tak zakończył się pierwszy etap mojego życia – lata szkolne.

Warszawa – Połomia, czerwiec – lipiec 1977 r.



JULIAN ROZTOCZYŃSKI

wspomnienia szkolne z lat 1917 – 1925

Z tego też czasu wyniosłem w pamięci przelotny pobyt w Dębicy arcyksięcia Karola Habsburga, późniejszego cesarza monarchii austro-węgierskiej. Było to w dniach odwrotu armii austriackiej po przełamaniu przez Rosjan frontu pod Kraśnikiem 1914 roku. Arcyksiążę przechodził w towarzystwie generalicji jedynym wówczas chodnikiem miasteczka od strony sądu ku stacji kolejowej. Za nim kroczył tłumek złożony w większości ze starozakonnych wznoszących okrzyki: „Niech żyje arcyksiążę Karol”, a nie brakło także okrzyków: „Niech żyje cesarz”. Sam arcyksiążę w skromnym polowym mundurze, w płaszczu, w okrągłej, sztywnej czapce czarnego koloru, dziękował wytwornym salutem podnoszonej całej dłoni do daszka czapki.

Dla zrozumienia powyższych nastrojów należy pamiętać, że z monarchią austro-węgierską ówczesne społeczeństwo Galicji łączyło ideę zjednoczenia narodowego i polską myśl wyzwolenczą. Galicja przecież w odróżnieniu od pozostałych zaborów cieszyła się najszerzej pojętą kartą wolności. Wyposażona ona była w autonomię, miała swoją reprezentację narodową w postaci Sejmu Krajowego we Lwowie, Koła Polskiego w parlamencie austriackim, gdzie zaprawiali się do życia publicznego: Wincenty Witos, Ignacy Daszyński, Stanisław Głąbiński i inni. Miała też prawo swobodnego posługiwania się językiem polskim w szkołach i urzędach, prawo obsady Polakami stanowisk w sądownictwie i administracji bez ograniczeń, a nawet swobodę organizowania związków, stowarzyszeń paramilitarnych (drużyny strzeleckie, Towarzystwo Gimnastyczne „Sokół” i inne), które z wybuchem wojny ukształtowały się w formacje legionu jako realnego symbolu siły zbrojnej mającej wskrzesić i wywalczyć niepodległość.

Pierwsza klasa gimnazjalna, w której znalazłem się w 1917 roku i z którą doszedłem do matury w 1925 roku, charakteryzowała się tym, że była to ostatnia klasa oparta na dawnym staroklasycznym programie nauczania pochodzącym z czasów austriackich, podług którego kształciły się rzesze



poprzednich generacji, a także pierwsi maturzyści naszego gimnazjum. Był to więc program niezmienny od dziesiątek lat. Miało to tę dodatnią stronę, że podręczniki nie zmieniały się z roku na rok, co można było zaobserwować w późniejszych latach, lecz przechodziły z generacji na generację. Uczyłem się z podręczników, na których widniały podpisy i daty z odległej przeszłości. Na trzytomowym podręczniku „Historii Powszechnej” Zakrzewskiego widniał podpis ucznia, Rogala Rozwadowski, z datą wypisaną przy nazwisku, 1905 rok. Był to syn inżyniera Rozwadowskiego, który po sobie zostawił w Dębicy piękny pałacyk wybudowany z wieżyczką w kształcie baszty z przyległym ogrodem.

Specyfiką powyższego programu nauki było to, że w jego poczet wchodziły dwa języki antyczne, łacina od pierwszej klasy i greka od trzeciej klasy, nadto język niemiecki prowadzony już od pierwszej klasy szkoły ludowej, gdzie w tejże trzeciej klasie uczono pisowni gotyckiej w tym języku. Klasa, do której uczęszczałem, była ostatnią o tym programie nauczania. Byliśmy niejako pogrobowcami austriackiego programu nauczania.

Języki antyczne odgrywały wówczas rolę przodującą w gimnazjach klasycznych w odróżnieniu od tzw. gimnazjów realnych o matematyczno-przyrodniczym kierunku. O znaczeniu tych języków w nauczaniu i ich egzekwowaniu mogło świadczyć to, że pedagodzy uczący tych języków wybijali się na swą pozycję na konferencjach kwalifikacyjnych. Zaznaczało się to i za moich czasów, kiedy greka była prowadzona w trzeciej klasie przez profesora Tyrana, a już w następnych klasach przez profesora Dorożyńskiego, będącego zastępcą dyrektora. Zaś po jego śmierci przez dyrektora Passowicza, następcy na fotelu dyrektorskim po dyrektorze Szydłowskim, pierwszym dyrektorem dębickiego gimnazjum. Zmarł on, gdy byłem w drugiej klasie.

Zakres przerabianych w czasie lekcji języka greckiego podręczników i utworów literackich był szeroki. Już w piątej klasie przerabialiśmy „Anabasis” Ksenofonta, w szóstej i siódmej klasie do półroczna „Iliadę” i „Odyseję” Homera, następnie między innymi „Apologię Sokratesa” Platona. Inwokację z „Iliady” musieliśmy znać na pamięć, jak i opis tarczy Achillesa. Co do greki istniał dość przedziwny przywilej, o ile tak to można nazwać, polegający na tym, że uczeń w trzeciej klasie mógł się zwolnić z greki jako przedmiotu nauczania, ale wówczas mógł ukończyć tylko czwartą klasę gimnazjalną.



I w naszej klasie byli tacy zwolnieni, którzy już po ukończeniu czwartej klasy uzyskiwali posady nauczycieli na Kresach czy w administracji, w sądzie lub na kolei (urzędników ruchu).

Dla szybszego zdobycia chleba niektórzy uczniowie kończyli swą edukację także już w szóstej klasie, ciągnąc na posady na Kresach.

Dzięki wzmiankowanej powyżej stałości podręczników mógł się rozwinąć swoisty dział wydawnictw księgarskich, a mianowicie produkcja bryków z centralą w Złoczowie w księgarni Zuckerkandela, nabywanych w jedynej wówczas księgarni w Dębicy u Fetta.

Dzisiejsi czytelnicy na pewno nie rozumieją, co to były bryki i jaką rolę odgrywały. Były to broszurki zawierające poprawne tłumaczenia tekstów łacińskich i greckich wraz z zasobem słówek i komentarzem. Były też bryki streszczające i komentujące arcydzieła literatury pięknej. Nie można pominąć znaczenia bryków w procesie kształcenia.

Z grona profesorskiego we wdzięcznej pamięci zachowuję profesora Kitę, obowiązkowego, dobrego wykładowcę, który w pierwszej klasie uczył nas historii i geografii, a w następnych, od piątej do ósmej, uczył nas matematyki i fizyki. Zewnętrznie przywdziewał minę srogą i poważną, lecz w sercu był przedobrym przyjacielem młodzieży, aczkolwiek był wymagający.

Doskonałym wykładowcą, obdarzonym niezwykle darem umiejętności przekazywania uczniom w sposób dostępny i zrozumiały zagadek i rozwiązań matematycznych, był profesor Stachnik. Niestety tak on, jak i drugi onego czasu wybitny polonista, profesor Leśniak, zgaśli przedwcześnie powaleni nieuleczalną chorobą płuc, zbierającą podówczas liczne śmiertelne żniwo.

Nawet te ułamki lekcji i wykładów, które wyżej wymienieni pedagodzy, z przerwami powodowanymi chorobą, poświęcili uczniom, zjednały im uznanie i wdzięczność, a uczuciom tym towarzyszył żal, iż nie było im dane wypełnić misji pedagogicznej i wychowawczej, do której byli predystynowani swym, jakże rzadko spotykanym, darem przyrodzonym.



Profesor Jan Leśniak



Choroba płuc pochłonęła też niezwykle utalentowanego ucznia naszego gimnazjum, później znakomitego adwokata, dr. Józefa Sadę, niepospolitego mówcę i obrońcę sądowego. Miedzy innymi bronił on aresztowanych chłopów biorących udział w tzw. rozruchach chłopskich w okresie sanacji. Pozostawił on u potomnych sobie niezatarte wspomnienie wystawianych i przez niego reżyserowanych sztuk teatralnych, jak: „Zaczarowane koło” i „Jasełka” Rydla, „Horsztyński” Słowackiego, „Noc Listopadowa” Wyspiańskiego i inne.

Uświetniał uroczystości narodowe przemówieniami odznaczającymi się dogłębnie przemyślaną treścią, ujętą w artystyczną szatę słowną. Wygłoszone one były jako słowo wstępne na tzw. akademiach, które odbywały się w salach gmachu należącego do Towarzystwa Gimnastycznego „Sokół” w Dębicy przy ulicy Wilusza. Na dalszą artystyczną część składały się występy chóru gimnazjalnego, orkiestry gimnazjalnej oraz odegranie przez koło dramatyczne uczniów jakiejś sztuki teatralnej, jak wybrane sceny z „Kordiana” J. Słowackiego, „Dziadów” Mickiewicza i innych.

Ze sprawozdań gimnazjalnych, które przed wojną w pełnej swej kolekcji były w moim posiadaniu, można było dowiedzieć się, że temuż J. Sadzie już od czwartej klasy gimnazjalnej powierzano wygłaszanie przemówień na uroczystościach i obchodach gimnazjalnych, co przeważnie stanowiło monopol uczniów klasy najwyższej. Jego sposób wystawiania się używany nawet na co dzień w spotkaniach, dysputach i polemikach przygodnych, był wysokiego lotu, a bynajmniej nie sztuczny. Ubóstwiał Słowackiego, był aktywnym działaczem PSL „Piast”. Bezlitosne fatum przecięło jego nić żywota w wieku 44 lat.

Większość naszych profesorów wypełniała swoje obowiązki pozytywnie i pracowicie, nie marnowała godzin lekcyjnych. Jednemu tylko profesorowi nie mogę wybaczyć marnotrawstwa cennego czasu spędzonego w szkole i to w zakresie przedmiotów, ku którym odczuwałem szczególną skłonność i zainteresowanie, a mianowicie historii, geografii i nauk społecznych. Prowadzący z nami te przedmioty profesor od trzeciej do ósmej klasy stosował w swej dydaktyce jeden i ten sam wzorzec (podobnie zresztą jak w innych klasach) polegający na czytaniu z podręcznika nowej lekcji, którą posuwał za każdym razem o kilka stron naprzód. I tak przez wszystkie godziny trwało czytanie bez przerwy aż do znużenia i zaklejania się powiek. Co jeden skończył, drugi zaczynał od początku już z własnej inicjatywy, a profesor jak błędny rycearz krążył po klasie



wokół ławek i tylko od czasu do czasu uderzeniem sygnetu w ławkę zaznaczał swoją obecność. Podobne „nic” wypełniało egzaminowanie klasy przed każdą konferencją. Przepytywanie dokonywało się w jednej godzinie „a la minute”. Pierwszy uczeń wywołany poczynał odpowiadać na zadany temat i ten uczeń ponosił ryzyko wywiązania się z tematu, bo reszta odpowiadała na wywołanie „dalej”. To „dalej” powtarzające się kolejno i alfabetycznie jak echo – każdy z uczniów przygotowywał sobie na gorąco z podręcznika pod ławką.

Równocześnie – co z wyróżnieniem podkreślam – był to człowiek obdarzony przez naturę wszechstronnymi zdolnościami, wybijający się dużą mocą krasomówczą. Będąc historykiem, przemawiał często na uroczystościach obchodzonych w gimnazjum, płodził ze znakomitą swadą i dykcją przemówienia okolicznościowe, imieninowe, pogrzebowe i inne. Nigdy nie posługiwał się kartą czy zapiskami. Podówczas nie spotykało się tego zwyczaju tak modnego i nagminnego, co jest zaprzeczeniem żywej i sugestywnej mowy, gdyby nawet uprzednio myślowo przygotowanej, to jednak z iskrą twórczą kształtowania treści i formy w tym wygłaszaniu.

Próbką jego kunsztu i polotu mówniczego może być fragment jego mowy pogrzebowej w związku ze śmiercią profesora Dorożyńskiego wygłoszonej, zachowanej we fragmencie w sprawozdaniu gimnazjalnym. Niezaprzeczoną jego chlubą pozostanie, iż uczniom swoim wskazał na własnym przykładzie wzór cycerońskiej retoryki klasycznej i jako taki – „Non omnis moriar”. A cały sześćoletni okres nauczania tenże profesor tylko jeden raz urządził nam wykład o wojnach krzyżowych i to przez pełną godzinę. Do chwili obecnej wykład ten oddziałuje na mnie ówczesnym wrażeniem, słuchało się go z zapartym tchem – jako wykładowca pokazał swój lwi pazur. Tym bardziej żał duszę ścisnął, że takiej uczty dla intelektu nie było nam dane już więcej przeżyć.

O jego możliwościach i umiejętnościach pedagogicznych można było mieć wyobrażenie na lekcjach pokazowych w przypadku nalotu wizytatora. Zawsze należał do grupy zdobywającej palmę pierwszeństwa – tak potrafił wzbić się wysoko w pokazówkach, zwanych wówczas lekcjami wzorowymi.

Nie był wolny od pewnej snobistycznej pięty Achillesa. W przypływie wylewności głosił w zamkniętym kółku swojej konfraterni, że nazwisko jego wywodzi się z wytrącenia i redukcji dwu zgłosek w jego herbie „Starykoń”. Pośrednio dawał temu wyraz w klasie, mieniając ucznia ulubionym zwrotem „ty stary koń...”.



Tą szlachecką aureolą przyozdobił parę wyjazdowych koni, którymi sam powoził w urządzanych wycieczkach, majówkach i kuligach do zakupionej włości złożonej z kilkuset morgów lasu w Gębiczynie – Połomii z wiejskim domkiem na polanie u pobrzeża bukowego lasu, przetykanego dębina, rozciągającego się stromym pagórem, u którego dołu szumiął krystaliczny źródło. Ze wsząd okalała dzika natura, bo brak było nawet drogi poza wyboistą skarpią, w czasie opadów nieprzejezdna.



Profesor Jan Piotrowski

Profesor Staroń wykazywał zalety wszechstronne, był burmistrzem, był dyrektorem Kółka Rolniczego, był wojewodą, a nawet znakomitym wodzirejem, tylko lekcje historii serdecznie go nudziły.

W wyższych klasach przejął wykłady z literatury w naszej klasie profesor Piotrowski. Punktem ciężkości ówczesnej nauki literatury polskiej był okres romantyzmu z wyróżnieniem trzech wieszczów. Przechodziło się niemal wszystkie dzieła wieszczów, czy to w czasie godzin szkolnych poświęconych ich rozbirowi, czy też lektur domowych, poczynając w klasie czwartej od „Pana Tadeusza”, w klasie piątej wierszy młodzieńczych A. Mickiewicza, potem „Ballady i romanse”, „Konrad Wallenrod”, „Grażyna”, „Dziady”, „Księgi Pielgrzymstwa”, w szóstej „Anelli” Słowackiego, „Grób Agamemnona” (na pamięć), „Ojciec Zadżumionych” (na pamięć), „Kordian”, „Fantazy”, „Beniowski”, w ósmej klasie „Irydion” i „Nieboska Komedia” Krasińskiego, opatrzona w motto budzące w nas grozę przeczuc: „Już się ma pod koniec starożytnemu światu...”. Doświadczaliśmy tych strasznych wróżb w czasie barbarzyństwa wojny i okupacji srożącej się ludobójstwem.

Na ekranie mych wspomnień z czasów gimnazjalnych zanotowało się na zawsze kilka niezatartych wydarzeń. Do takich należały wakacje po skończeniu trzeciej klasy, a więc rok 1920. Nadciągała burza ze Wschodu. Pojawiły się apele i odezwy najwyższych czynników nawy państwowej, między innymi prezydenta Rady Ministrów, Wincentego Witosa, dowódcy armii ochotniczej, gen. Hallera i naczelnego wodza, marszałka J. Piłsudskiego – wzywające do zaciągnięcia się pod ochotnicze sztandary wojskowe dla obrony kraju zagrożonego drugim potopem w historii.



Dużo młodzieży naszego gimnazjum odpowiedziało aktywną deklaracją i czynnym udziałem, z naszej klasy kol. A. Steinhof i Feliks Wingert. Byli oni 2-3 lata starszymi od reszty swoich kolegów o wieku zbyt młodym, bo jak na czwartą klasę przystało 13 – 14 lat. Choć nie brakowało wśród najmłodszych również uniesionych animuszem patriotycznym – zostali oni odrzuceni, obowiązywało bowiem ukończenie 16 lat. Mieliśmy pretensje do losu, że nie urodził nas pod wcześniejszą gwiazdą. Uczniowie wyższych klas naszego gimnazjum wzięli także udział w zaciągu ochotniczym, między innymi dwaj w przyszłości moi szwagrowie: Tomasz Kuroś, późniejszy profesor Akademii Górniczo-Hutniczej w Krakowie oraz Wojciech Wojdon, późniejszy sędzia i notariusz w Lesznie Wielkopolskim.

Werbunek odbywał się w ten sposób, że na ówczesnym rynku zjawiał się werbunkowy oficer lub podoficer, odczytywał odezwę i zgłaszających się na gorąco odprowadzał w czwórkach do koszar kawaleryjskich. Koszary te były wybudowane sumptem hr. Raczyńskiego, właściciela dóbr ziemskich z ośrodkiem administracyjnym w zamku w Zawadzie. Uległ on spaleniowi w czasie I wojny światowej, a pozostało tylko jedno skrzydło z basztą o kształcie wieżycy, a w obrębie parku wybudowano pałac. Za czasów austriackich w koszarach wynajmowanych od tegoż hrabiego przez rząd austriacki stacjonował pułk dragonów. Mundury ich były barwne: niebieskie bluzy, amarantowe spodnie, buty z cholewami, kurtki niebieskie z barankowymi kołnierzami i dragonem z tyłu, od święta szyszaki na głowach.

Byliśmy świadkami i radość budziła nasze serca, jak właśnie w Dębicy formował się pułk ułanów, później nazwany IX Pułkiem Ułanów Małopolskich pod dowództwem ppłk. Józefa Dunin-Borkowskiego. Pułk ten przeniesiony został potem do Żółkwi i Czortkowa, a wreszcie do Trembowli, skąd w 1939 roku wyruszył na wojnę i walczył pod Wschową, atakował pod Brochowem nad Bzurą i bohatersko przebił się przez Wólkę Węglową do Warszawy. Ułani mieli na czapkach amarantowe otoki, a proporczyki amarantowo - białe.

Obchodziliśmy żałobę na pogrzebie założyciela tego pułku płk. J. Dunin-Borkowskiego, gdy nad Horyniem w dniu 3 lipca 1920 roku zabłąkana kula ugodziła go w szyję. Młodzież gimnazjalna uczestniczyła w pogrzebie i warto przypomnieć, że pułkownik leży na wojskowym cmentarzu w Dębicy.



O tym Horyniu prorocstwo Wernyhory niosło, że Polska powstanie, gdy Turek napoi konia w Horyniu. Miałem wtedy 10 lat, gdy w 1916 roku jechali Turcy przez Dębicę nad Horyń i całe tłumy dębiczian ciągnęły na stację, by ich oglądać. Jechali w wagonach towarowych, ubrani w czerwone hajdawery, tańczyli dzikie tańce przy ognisku rozpalonym w wagonie, a ja otrzymałem od nich pieniędzy turecki. Wszystkich ogarniała radosna duma, że hasło Wernyhory było bliskie spełnienia.

Ale zanim dywizja turecka wysłana przez Bałkany dla wspomagania słabnącego oręża austriackiego mogła koleją pojechać na front nad Horyniem, odbudowany został na przełomie 1915/16 roku most kolejowy na Wisłocze, na „linii Karola Ludwika”, bo tak nazywała się magistrala kolejowa z Krakowa do Lwowa.

Z wydarzeń gimnazjalnych zbulwersowało opinię i uderzyło gromem w spokojnie płynący nurt życia młodzieży – karne rozwiązanie piątej klasy i zarządzenie nowych wpisów. Była to klasa, do której uczęszczałem. Wydarzenie to było brzemiennie w skutkach dla całej klasy, a szczególnie dla kolegów, którzy popełniony wybryk odpłacili relegowaniem (potocznie mówiło się wyrzuceniem) z tejże klasy i to przy zaostreniu kary „wilczym biletem”. Przed uczniem tak wyróżnionym inne zakłady szkolne w kraju miały zamknięte podwoje.

Jak do tego doszło? Pod wpływem podszeptów i nawoływań ze strony niektórych kolegów i ich oddziaływania na resztę uczniów zgodnie z pryncypiami znanymi z psychologii tłumu, zwołaliśmy pewnej soboty z dwóch ostatnich lekcji, w tym z godziny języka greckiego profesora Dorożyńskiego. Wywołało to natychmiastową reakcję tegoż profesora, równocześnie pełniącego funkcję zastępcy dyrektora. Zapadła w trybie doraźnym (z pominięciem zwołania konferencji) nieoczekiwana, sroga kondemnata: rozwiązanie klasy i zarządzenie nowych wpisów przy obecności rodziców.

W poniedziałek, gdyśmy pojawili się w normalnym nastroju, by wziąć udział w lekcjach, na drzwiach zamkniętej klasy odczytaliśmy fatalne zarządzenie. Drzwi szkoły zatrzasnęły się za nami. Powstała panika. Zebraliśmy się przed gmachem szkoły w gromadkę i udali w stronę Łysej Góry. Tam samorzutnie urządziliśmy wiec i po gorącej dyskusji podjęliśmy uchwałę mającą sparaliżować i zbojkotować zarządzenie dyrekcji, a mianowicie, by nie zgłaszać o zaistniałym incydencie rodzicom i wstrzymać się od wpisów, boć przecież, jak ja dowodziłem, gimnazjum nie może funkcjonować bez klasy i musi



być ona reaktywowana. Złożyliśmy zwyczajem spiskowców solenne, jedno-myślne przyrzeczenie i to każdy z osobna, że podporządkujemy się zapadłej uchwale i zachowamy przed rodzicami milczenie. Oczywiście, że ta tajemnica nie mogła się na dłuższą metę utrzymać. Wieść rozniosła się szybko. Rodzice ze swoimi pociechami pospieszyli do wpisów. Trzech kolegów wydano z surową klauzulą „wilczego biletu”.

Ja z matką zgłosiłem się dopiero po dziesięciu dniach, bo werdykt mojej matki był nie mniej surowy, a opiewał, że nie wrócę do szkoły, a zapisze mnie do rzemiosła. Opóźnienie zgłoszenia się do dyrektora uratowało moją zagrożoną egzystencję i przyjęcie powrotne do klasy, bo doszło już do opadnięcia początkowej temperatury wrzenia. Gorzała na mnie czapka jako tego, który odegrał niepoślednią rolę przy narzucaniu koncepcji o wyżej wskazanej treści na owym nieszczęsnym wiecu na Łysej Górze, na którą, wedle kursującej wśród miejscowej ludności klechdy, zjeżdżały na miotłach czarownice, „kiedy księżyc wszędzie nowy”, by warzyć w kotle jadowite mikstury i lubczyki.

Na marginesie powyższych wypadków uważałem i dziś mój sąd podtrzymuję, że zastosowana przez dyrekcję represja za iście młodzieńczą dziecinadę, była drakońska. Decyzja ta mogła zawisnąć fatalnie na osobistych losach skazańców. Zawołanie: „O tempora, o mores” byłoby i tu niepozabawione racji. Nawet złoczyńca po raz pierwszy karany ma prawo do złagodzenia wyroku. Ówczesny kodeks szkolnych środków wychowawczych był też rogiem obfitości, z którego można było zaczerpnąć poprzez gradację od obniżenia zachowania czy też naganę za pośrednictwem rodziców, aż po najsurowszy środek tych czasów, skazanie na karcer polegający na zamknięciu w klasie poza godzinami lekcyjnymi czy nawet w dni świąteczne, co łączyło się jednak z tą korzyścią, że na ucznia nakładano obowiązek wypracowania pisemnego na podyktowany temat lub przygotowanie lektury.

Utkwiła mi też w pamięci postać dyrektora Szydłowskiego jako męża sprawiedliwego. I jeszcze o jednym profesorze słów kilka, ale przepojonych sympatią dla niezwykle szlachetnej i prawej postaci, jaką reprezentował profesor Wyrobek. Był on autorem dzieła wydanego w czterech tomikach, obejmujących zbiór wszystkich zachowanych dokumentów i przywilejów dotyczących miasta Dębicy, pisanych przeważnie w języku łacińskim. Wśród cytowanych przywilejów znajdował się również przywilej królewski na pergaminie



z wiszącą woskową pieczęcią, a wydany dla cechów rzemieślniczych miasta Dębicy, udostępniony profesorowi przez mego ojca, Henryka Roztoczyńskiego, jako cechmistrza (taka była na owe czasy nomenklatura). Profesor Wyrobek był to człowiek najlepszej woli, ale w swej misji nauczycielskiej pełen osobistego dramatu. Nosił się niezwykle biednie (pensję całą wysyłał żonie, która zabrała ze sobą syna i opuściła go), w szynelu wojskowym noszonym przez żołnierzy rosyjskich w pierwszej wojnie światowej, w butach komyśnych – już samym tym ubiorem nie mógł budzić u studenterii szacunku. Był słusznego wzrostu, o twarzy pełnej szlachetności, owiany jak najlepszymi intencjami wobec młodzieży. Cóż z tego, kiedy uczyniono z niego ofiarę bez jakiegokolwiek autorytetu w szkole. Wina leżała po stronie młodzieży i niestety jego własnej. Dobrze, że to pasmo udręki profesora – męczennika było przerywane jego urlopami zdrowotnymi i przydzielaniem mu lekcji później tylko w niższych klasach.

To, co piszę, piszę z żałością i smutkiem, bo sam profesor był człowiekiem ze wszech miar godnym najwyższego szacunku. Był wielkim patriotą. Błądził często po cmentarzyskach, zbierał epitafia nagrobkowe i rozmawiał z mogiłami jemu tylko wiadomym językiem. W dni zaduszne zawsze wypowiadał się publicznie przy grobie Żuławskiego. Sławił zrywy i triumfy oręża polskiego, bolał nad męką niewoli, budził nadzieję na „szklane domy” w odrodzonej Polsce. Spoczął na cmentarzu ziemi dębickiej.

Nie sposób pominąć roli, jaką w opisywanym czasie w systemie wychowawczym młodzieży gimnazjalnej, odgrywały sale gmachu należące do Towarzystwa Gimnastycznego „Sokół”, którego powszechnie nazywano „Sokołem”. Był to jedyny reprezentacyjny obiekt ze sceną i fortepianem, gdzie odbywało się wszystko, co było przejawem kultury: wszelkie imprezy, akademie, przedstawienia, bale i zabawy, koncerty i wiece polityczne. Gmach otoczony był ogrodem pociętym alejkami, schludnie utrzymanymi, kortem tenisowym i kręgielnią. Dożywoćnim niejako, bo wybieranym z roku na rok, prezesem tego towarzystwa był profesor Stanisław Wiśniewski, uczący łaciny.

Podobnie długoletnim gospodarzem „Sokoła” był pan Jan Zarytkiewicz, występujący często na scenie ze swoimi improwizowanymi skeczami własnego układu, krakowiakami o satyrycznym wydźwięku i piosenkami żartobliwymi i dowcipami o posmaku kabaretowym. Był on też corocznym, etatowym



św. Mikołajem. Drzewa jeszcze dzisiaj rosnące w ogrodzie – parku dawnego „Sokoła” sadziliśmy z profesorem Wiśniewskim w trybie, jakby to dzisiaj ochrzczono, uczniowskiego czynu społecznego.

Nie można również pominąć znaczenia bursy z jej długoletnim prefektem, ks. dyrektorem Błażem Kotfisem. Bursa obejmowała dwa budynki przy ulicy Wielopolskiej, z których większy, piętrowy zwany był Dużą Bursą, a mniejszy, parterowy, Małą Bursą. Bursa była jedynym internatem, gdzie uczniowie mogli znaleźć mieszkanie i utrzymanie przy zapewnieniu opieki i pomocy w nauce.

Bursacy rekrutowali się wyłącznie ze wsi, a wśród nich wielu z biedoty wiejskiej, niedysponującej pieniędzmi nie tylko na opłatę czesnego, a tym bardziej na koszty utrzymania. Ci trzymani byli w bursie za darmo lub za pół darmo. Za to chłopcy wywodzący się z zamożniejszych kręgów włościańskich płacili też zrównoważone, ale znacznie wyższe stawki, bo ks. prefekt Kotfis wyrównywał w ten sposób nierówności społeczne i majątkowe.

W każdej z obu burs sprawował opiekę cenzor wyposażony we władzę karania i prawo różgi, którą zastępował pasek od spodni w odniesieniu do krnąbrnych lub opieszłych w nauce studentów. By nie być gołosłownym przytoczę, że korzystającym z benefisu darmowego, poza innymi, był sierota przygarnięty do bursy, niejaki Przyślak, jeden z tych, którzy wyróżniali się zdolnościami muzycznymi i praktycznie opanowali instrument, a wydało ich nasze gimnazjum. Grał na flecie i poświęcał się zawodowo muzykowaniu. Mieszkał później w Warszawie. Nie tylko mieszkańcy bursy korzystali wydatnie z zapomóg ks. Kotfisa, co umożliwiło im ukończenie gimnazjum i nie powinno to pójść w zapomnienie.

Sam ks. dyr. Kotfis był na miarę wielkiego humanisty, nic co ludzkie nie było mu obce i obojętne. Miał szczere spojrzenie na świat i ludzi, nie zamykał się tylko i wyłącznie w suchej doktrynie dogmatycznej. Swoje obowiązki katechetyczne wypełniał nienagannie. Nie zamykał się w izolacji i odosobnieniu. Udzielał się i uczestniczył w życiu kulturalnym miasta. Był typowym duchowym świeckim. Nie opuścił nigdy bału czy zabawy akademickiej. Bynajmniej jednak nie angażował się w tany ani wysiadywał przy bufecie, przy którym za owych czasów nie dochodziło do nadużywania napojów wysokowych. Był serdecznym i przystępnym. Na młodzież szkolną i jej zbytki patrzył przymrużonym okiem.



W klasie gimnazjalnej, do której chodziłem, towarzyszył niezwykle wysoki odsiew, w rozumieniu wykruszania się jej stanu liczbowego, w czasie ośmioletniej drogi. W pierwszej klasie było nas dwa oddziały liczące po trzydzieści kilku uczniów. W czwartej klasie zredukowano nas do jednego oddziału. W wyższych klasach dołączyło kilku kolegów z Kolbuszowej, gdzie istniało gimnazjum, ale obejmujące tylko sześć klas. Poza tym przybyło dwóch kolegów z gimnazjum mieleckiego. Wszystkich razem przystąpiło nas do matury dwudziestu dwóch oraz cztery koleżanki. Z rachunku tego wynika, że z rodzimej pierwszej klasy o dwóch oddziałach doszło nas do ósmej klasy i do matury czternastu i trzy koleżanki. W czym tkwiła przyczyna tego stanu? Obszerne i trudne do opanowania materiały, co powodowało duży odsiew uczniów i w czasie roku szkolnego i na końcu roku w następstwie klasyfikacji, muszę zaznaczyć, sprawiedliwie. Największy odsetek uczniów odpadał z dwu języków antycznych, zwłaszcza greki, a nadto z języka niemieckiego. Ten ostatni prowadzony w naszym roczniku już od trzeciej klasy szkoły ludowej, nastęczał uczniom znaczących trudności.

Sprawdzianem powyższego mego osądu była już następna po nas klasa, której z programu wyeliminowano grekę, jak również wprowadzono język niemiecki dopiero od pierwszej klasy gimnazjalnej. Jej uczniowie dojrżeli już do matury w dwu oddziałach i w podwójnej liczbie uczniów w porównaniu do naszej klasy.

Gimnazjum w Dębicy z tych lat gromadziło w swych murach także młodzież z rejonu ropczyckiego, pilzneńskiego, radomyskiego i sędziszowskiego, gdzie nie było w ogóle szkół średnich albo, tak jak w Kolbuszowej, tylko sześć klas.

SZTUKI PIĘKNE KULTYWOWANE W GIMNAZJUM W DĘBICY ORKIESTRA

Muzy Euterpe i Polihymnia upodobały sobie młodzież dębickiego gimnazjum, która ze swej strony odwzajemniała się kultem ich sztuk. Życie muzyczno-wokalne gimnazjum w Dębicy koncentrowało się wokół dwu ośrodków: orkiestry i chóru, których ramy ogarniały także młodzież akademicką i tych, którzy wyfrunęli już z rodzinnego gniazda i pracowali zawodowo, lecz nie zatracili więzi z kulturą muzyczno-wokalną zaszczerpioną im w gimnazjum i zachowali nadal z nią kontakt. Zaznaczyło się to czynnym uczestnictwem



w imprezach kulturalnych przygotowywanych przez gimnazjum z występami orkiestry i chóru. Gimnazjum nasze promieniowało w tych dziedzinach sztuki na zewnątrz, nie tylko na Dębicę, lecz i na sąsiednie miasteczka, jak: Ropczyce, Pilzno, Sędziszów, Radomyśl Wielki i inne.



Orkiestra gimnazjum. W środku siedzą (od lewej): prof. Kazimierz Klamut, dyr. ks. Błażej Kotfis i prof. Stanisław Darłak

Należy uświadomić sobie, że kaganek oświaty gimnazjum dębickiego szerzył się podówczas na wszystkie powyższe miejscowości i ich okolice.

Opiekunem, jak i protektorem orkiestry i chóru, był ks. katecheta i późniejszy dyrektor, Błażej Kotfis.

Gimnazjum dębickie miało już na tym polu poza sobą tradycje sprzed I wojny światowej, o czym poza ustnym przekazem świadczyło dziedzictwo po tamtych czasach złożone z przechowywanego zbioru instrumentów oraz bogatego repertuaru nutowego grywanych utworów. Był to kamień węgielny pod odbudowę orkiestry. Wskrzeszenie orkiestry nastąpiło w początkach roku szkolnego 1920, gdy uczęszczałem do klasy IV.

Owego czasu stacjonował w Dębicy pułk ułanów. Miał on orkiestrę dętą prowadzoną przez kapelmistrza w randze rotmistrza, nazwiska jego już nie



pomnę. Kapelmistrza tego uproszono o zorganizowanie orkiestry gimnazjalnej i jej prowadzenie. Tak się też stało. Sporządzono spis chętnych do wstąpienia do tej orkiestry, obejmujący uczniów do klasy VI włącznie. Po przejściu kursu teoretycznego zapoznania się z pismem nutowym, którego także kapelmistrz był dobrym wykładowcą, porozdzielał on poszczególne instrumenty. Na potrzeby orkiestry i opłatę kapelmistrza – dyrygenta utworzono specjalny fundusz czerpany ze składek miesięcznych wszystkich uczniów. Były to składki niewielkie, bo w wysokości ceny ówczesnej gazety „Ilustrowanego Kuriera Codziennego”. W skład rozdzielonych instrumentów muzycznych wchodziły: tzw. blacha (trąby różnego rodzaju) i drzewo (flety, klarnety i inne). Mnie wprawdzie pominięto w przydziale instrumentów, bo te obsadzono przeważnie uczniami starszymi z V i VI klasy, ale z kursu wyszedłem ze znajomością czytania nut, co przydało mi się później w śpiewie i przy nauce gry na skrzypcach.

W niespełna trzy miesiące orkiestra wystąpiła z pierwszymi dwoma marszami i kolędami granymi na pastercie w kościele parafialnym na Boże Narodzenie. O tej porze nocnej maszerującej orkiestrze na trasie z gimnazjum do kościoła towarzyszyło nieprzeliczone mrowie studentów oraz czereda ciekawskich. Siarczyście wygrywane na ulicach marsze rozpraszały ciszę miasteczka, mimo mrozu otwierano okna, gapiono się i wiwatowano na cześć orkiestry. Była to wielka atrakcja dla miasteczka, a okazywany entuzjazm dowodził, jak obywatele miasta byli związani uczuciowo z młodzieżą i jaka ich przepełniała duma z tak widocznych osiągnięć.

Do tego wczesnego wyjścia na świat orkiestry przyczyniło się wstąpienie w jej skład dwu uczniów – braci, którzy wrócili z Ameryki wraz z rodzicami reemigrantami, a grali już w sposób zaawansowany, prowadząc melodię pierwszym i drugim głosem.

Po wymienionym wyżej kapelmistrzu przejął batutę orkiestry prof. Stanisław Darłak. Grał on bardzo dobrze na skrzypcach, chociaż w orkiestrze wojskowej głównym jego instrumentem była trąbka. Sam kontynuował naukę gry na skrzypcach u prof. Wysockiego w konserwatorium w Krakowie. Znajomość ich wywodziła się z powyższej legionowej orkiestry wojskowej, gdzie obaj muzykowali. Profesor Darłak miał też wszechstronne rozeznanie w innych instrumentach orkiestrowych, na których uczył elewów. Prowadził on orkiestrę gimnazjalną w ciągłości aż do wybuchu wojny, a nadto orkiestrę



kolejową oraz w Seminarium Nauczycielskim Żeńskim uczył gry na skrzypcach, co było obowiązkowym przedmiotem nauczania.

Po drugiej wojnie próbowano odnowić orkiestrę i chór w założonym Towarzystwie Muzycznym, ale w oderwaniu od gimnazjum czy późniejszego liceum, kiedy już powiały inne prądy, bo sportowe, a amatorskie tradycje muzyczno-wokalne zamarły snem wiecznym, już nie odżyły.

Orkiestra dęta nie była jedynym tworem ogniskującym zapędy i zamiłowania muzyczne młodzieży. Istniała też orkiestra mieszana. W jej skład wchodziły smyczki, przez co rozumiało się skrzypce, altówki, wiolonczele i kontrabasy. Repertuar obejmował różne uwertury.

Dalszym wyrazem zafascynowania muzyką był kwartet smyczkowy muzyki kameralnej. W skład kwartetu wchodził: prof. Darłak – pierwsze skrzypce, Julian Roztoczyński – drugie skrzypce, Stanisław Ożóg – altówka oraz Aleksander Wolff (po wojnie zmienił nazwisko na Wolski) – wiolonczela, a po nim Stanisław Mitka. Wolff (Wolski) na naszym ówczesnym wymiarze darzony był mianem cudownego dziecka. Przyszedł on do siódmej klasy z Nowego Sącza, gdzie mu się niezbyt wiodło, bo poświęcał się bez reszty grze na wiolonczeli. Ściągnął go ks. Kotfis i umieścił w bursie. Występował on też z recitalami solowymi. Po wojnie był koncertmistrzem Filharmonii Śląskiej przez kilkanaście lat. Był to talent samorodny, nie uznawał profesorów, odznaczał się wybujałą indywidualnością muzyczną nieznoszącą żadnych dyscyplin.

W wystąpieniach publicznych kwartetu grywaliśmy przeważnie Mozarta i Beethovena. Próby odbywaliśmy u mnie w mieszkaniu, także gdy już byłem na studiach prawniczych. Były to cudowne wieczory poświęcone sobie i muzom.

Panującym instrumentem w owych czasach wśród uczniów były skrzypce. Gra na fortepianie była wyjątkową umiejętnością, bo i sam instrument był rzadkim przedmiotem posiadania ze względu na wysoką jego cenę. Był to instrument sfer zamożnych. Prywatną szkołę gry na fortepianie w Dębicy prowadziła Maria Rypniewska. Ona też akompaniowała przy wszystkich solowych wystąpieniach, a później zastąpił ją w tym jej wychowanek, Ryszkowski. Też często korzystałem z jej akompaniamentu przy grze na skrzypcach.

Filarem nauki gry na skrzypcach był urzędnik ruchu PKP, Rausch, o charakterystycznej postawie, bo znacznej tuszy. Wykszałcił on wśród młodzieży wielu skrzypków tak, że można było mówić o szkole Rauscha. Doskonalił on



u uczniów technikę lewej ręki, ale usterką jego systemu nauki było to, że nie rozwijał prawej ręki, tj. sztuki wodzenia smyczkiem. Stąd uczniowie jego po pewnym rozwoju zatrzymywali się w martwym punkcie. Sam był doskonałym, wysoko zaawansowanym skrzypkiem i często miewał solowe występy przy akompaniamencie wspomnianej pani Rypniewskiej. Po jego opuszczeniu Dębicy i przeniesieniu się do Krakowa – berło nauki gry na skrzypcach przeszło do rąk St. Darłaka.

O ówczesnej powszechności gry na skrzypcach może świadczyć to, że w orkiestrze klasowej przeze mnie założonej w VII i VIII klasie – było aż siedmiu skrzypków na dwudziestu jeden uczniów, a wśród nich także Tadeusz Penderecki, ojciec kompozytora Krzysztofa Pendereckiego. Grywaliśmy, odbywając próby w godzinach popołudniowych w klasie. Dobieraliśmy sobie klarncistów z klasy o jeden stopień niższej, Józefa Rogowskiego, późniejszego dyrektora Szkoły Podstawowej w Ropczycach. Wynykaliśmy się, naruszając rygory szkolne, do gry na zabawach ekskluzywnych. Zapraszano nas też do domów prywatnych, radio nie było jeszcze rozpowszechnione. Profesorom w dniu imienin urządaliśmy serenady pod oknami. Po odbyciu części oficjalnej koncertowaliśmy pod oknami wybranek serca, w których orkiestranci durzyli się. Żelazną pozycją wieszczów serenadowych było okienko Zosi Bergerówny, ówczesnej narzeczonej, a później małżonki Tadzia Pendereckiego, przez niego już od szóstej klasy gorąco adorowanej.

W jednej z takich wędrówek nabawiliśmy się i strachu, bo znaleźliśmy się w Gawrzyłowej nad rzeczką Kawęczynianką, płynącą na dalszym odcinku koło klasztoru. Na ścieżce gliniastej, a była to pora obfitych opadów i rzeczka toczyła mętne fale – poślizgnął i zapadł się w płynącą w stromym wąwozie topiel kontrabasista naszej orkiestry, Wł. Jarosz, późniejszy proboszcz w Dulczy koło Radomyśla. Wyratował się z tej opresji tylko dzięki basetli, na której płynął niczym arce Noego, bo nie umiał pływać.

Grywaliśmy na zabawach młodzieżowych w Pilźnie, gdzie równocześnie odbywały się występy aktorskie gimnazjalnego kółka dramatycznego. Wystąpiliśmy też jednego razu na zabawie w Radomyślu Wielkim na zaproszenie wyżej wymienionego kolegi Jarosza, którego rodzice mieli koło Radomyśla mająteczek. On też był swego rodzaju impresario, który zaangażował nas po raz pierwszy „za wynagrodzeniem”. Było to w zapusty z wtorku na środę



popielcową. Graliśmy tam na zabawie popielcowej aż do rana. Wypita ponad umiar winna latorośl, tak wesoło nas usposobiła, że po drodze, już rankiem w środę popielcową, odwożeni furmanką, graliśmy ludowe gonione i dreptane, jak to wówczas było w zwyczaju na weselach wiejskich w drodze do kościoła, który to zwyczaj wyszedł już obecnie z użycia. Skoczne rytmy wywabiały z chat na poły zaspany ludek, spośród którego niejeden, mimo memento środy popielcowej, „że w proch się obrócisz”, przytupywał do taktu, a nawet porywał dziewczuchę w tany na przyzbie. Spóźniliśmy się na „dziewiątkę”. Ksiądz Kotfis zwykł był odczytywać i sprawdzać obecnych przy ustawianiu się w czwórkach u bramy gimnazjum. Tak liczna absencja ósmaków zaskoczyła go. Miał on spojrzenie światowida na wszystkie cztery strony świata, bo miał swój wywiad i był zorientowany w naszych eskapadach, ale pomijał to milczeniem, bo dla muzyków topniało mu serce i uciekał mars z czoła.

Raz tylko zbeształ nas za serenadę urządzoną pewnej mężatce (jeszcze jedna prywatna szkoła miłości), bo palący się z zazdrości mąż tej żony poskarżył się na basałyków, którzy „diabelską muzyką” uwodzą i sprowadzają mu żonę z drogi cnoty. Wezwał mnie ksiądz dyrektor do raportu i zesforował: „Żeby się to byczki – jego ulubiony zwrot – więcej nie powtórzyło”, a mógł on wiele zaczerpnąć z kołczanu pocisków kar szkolnych, bo był przecież dyrektorem.

Często zwalniał mnie z godzin nawet u innych profesorów i odkomenderowywał do domu do pisania nut. Sam grał pięknie na skrzypcach, brał udział w występach orkiestry mieszanej w partii skrzypcowej, a nieraz chwycił za batutę i dyrygował. Zawsze natomiast prowadził orkiestrę pod swoją batutą na amatorskich przedstawieniach teatralnych wystawianych w „Sokole”. Otrzymywał stąd dobrowolną ofiarę na cele i potrzeby orkiestry i bursy. Grywany wówczas repertuar w antraktach przedstawienia składał się z popularnych marszów i walczyków. Nieśmiertelnym numerem zawsze na wstępie był marsz „Obóz cygański” lub „Tęsknota za Ojczyzną” oraz walce „Aniela” i „Oczy czarne”, a z innych – walc „Pod mostem Warszawy”, „Picador” i inne. Wszystkie te melodie, poza romansem cygańskim „Oczy czarne”, zapadły już dzisiaj w smutek zapomnienia i nigdy już potem nie słyszałem ich ani w radio, ani nawet w występach orkiestr salonowych czy ludowych.

Ksiądz Kotfis grywał na skrzypcach z lubością. Na jednej z akademii poświęconej występom muzyczno-wokalnym porwany nastrojem chwili



wystąpił z nieprzewidzianym w programie recitalem. Występ jego przyjęto niemilknącymi oklaskami, a jego entuzjaści wtargnęli na scenę i unosili go w górę „pod niebiosy”. Grywał na swoich, jak mawiał, „gęślikach”, skrzypcach zakupionych w Wiedniu jeszcze za czasów austriackich. Metryczka umieszczona w tych skrzypcach obwieszczała: „Joan. Udalricus Ebell fecit Pragae 1738”. Był to wyróżniający się lutnik narodowości niemieckiej, osiadły w Pradze, uznawany za pierwszego charakterystycznego przedstawiciela szkoły praskiej. Skrzypce jego o nienagannej formie, wspaniałym drzewie i wykonaniu, odznaczały się pięknym tonem.

Profesor St. Darłak przez długi czas nie miał skrzypiec, które by go zadowalały. Dopiero na kilka lat przed wojną nabył za pośrednictwem prof. Wysokiego z Krakowa skrzypce wykonane przez prof. F. J. Kocha w Dreźnie, z jego własnoręcznym podpisem na metryczce. Zapłacił za nie niebagatelną przed wojną cenę – 1800 zł. Był to instrument dobrze wykonany, jednakże jego lakier szybko się ścierał, tworząc blizny, a ton nie był dość metaliczny. Po wysiedleniu, mieszkając w Borowej, skrzypce te utracił.

Oprócz orkiestry, równorzędną placówką o istotnym znaczeniu dla rozbudzania i kształtowania zamiłowań oraz zainteresowań muzyczno-wokalnych, był chór gimnazjalny. Dzięki niemu surowy materiał głosowy adeptów wokalistyki ulegał oszlifowaniu i uszlachetnieniu, dochodząc u niektórych kolegów do wirtuozerii salonowej, u innych zaś wzmocnienia organu głosowego, a przede wszystkim zdobycia czystej intonacji melodycznej.

Do tych efektów kontynuowania śpiewu chóralnego należy dodać wartości kulturalne wynikłe z poznania obfitego zasobu kompozycji z przeznaczeniem do śpiewu chóralnego i solowego. Otarcie i obcowanie za pan brat z kompozycjami takich autorytetów jak: Moniuszko, Gall, Szymanowski i inni, zapoznanie z bogatym zbiorem pieśni ludowych w różnych opracowaniach, a wśród nich z eposeją pieśni góralskich o Janosiku i pieśni patriotycznych z różnych okresów – dawało odczucie duchowej biesiady oraz radości istnienia i przeżywania.

Wszędzie gościła pieśń intonowana przez studentów, gdziekolwiek zebrała się grupka czterogłosowa. Czy wracaliśmy z prób, czy wyruszali w przestrzeń na godzinę gimnastyki, czy w wędrówkach, czy na wycieczkach, wszędzie niosła się z nami i za nami... pieśń.



Chór gimnazjalny znajdował się pod świetną batutą profesora Klamuta, który prowadził go przez wiele generacji młodzieży gimnazjalnej. Sam prof. Klamut był wszechstronnie utalentowanym muzykiem i wokalem. Grał w orkiestrze na kontrabasie lub altówce, w zależności od braków w ilościowej obsadzie. Próby chóru prowadził, poddając tonację i melodię oraz kontrolę czystości intonacji na fisharmonii należącej do inwentarza szkoły. Dysponował głosem tenorowym o niezwyklej rozpiętości skali, od najniższych basowych do najwyższych tenorowych tonów. Obdarzony był naturalnym klejnotem głosu o skali górnej dochodzącej do fenomenu wysokiego, metalicznego „d-dis”. Aby ocenić ten niezwykły dar głosu, należy uzmysłwić sobie, że najwyższe wymagania dla tenorów, kompozytorzy stawiają na wysokim „c”, na którym nawet wielu wielkich przewraca się i tnie „koguty”.

Pewność jego batuty polegała również na absolutnym słuchu, co łącznie z woluminem głosu, pozwalało mu wpadać w trakcie wykonywania utworu w każdy głos i wyprowadzać go, przy ewentualnej wpadce, ze zdetonowania. Stąd też nigdy nie zdarzyło się, by chór „przewrócił się” lub poszczególny głos zszedł na manowce.

Prawo wstępu do chóru uzyskiwali chłopcy po przejściu mutacji, co z reguły następowało na przełomie 15 – 16 roku. Ja wpisałem się na listę chórzystów w szóstej klasie, na początku roku, kiedy to następował zaciąg do chóru. Nie miałem jeszcze ukończonych lat 16. Wszedłem w poczet pierwszych basów.

Występy chóru uświetniały nabożeństwa szkolne, tzw. dziewiątki, bo rozpoczynające się w kościele o godz. 9.00. Na mszy tej gromadziła się też inteligencja i cały światek ówczesnej Dębicy rozmiłowany w śpiewie. Przedmiotem wykonania chóru była w zasadzie msza śpiewana. Repertuar chóru obejmował kilka mszy o różnej melodyce.

Chór występował również z pieśniami żałobnymi w razie śmierci któregoś z pedagogów lub uczniów, a nawet weselnymi przy ślubach. Wówczas żelaznym numerem był polonez z „Halki” Moniuszki. Występy chóru były też częścią składową programu akademii urządzanych z okazji obchodów świąt państwowych i uroczystości związanych z rocznicami powstań listopadowego i styczniowego, a już szczególnie ze świętem 3 Maja. Prym wówczas wiodła pieśń „Witaj majowa jutrzeńko”.



W czasie specjalnych koncertów urządzanych przez gimnazjum, chór i orkiestra były zasilane przez młodzież akademicką, a także starszych kolegów pracujących zawodowo. Tak wzmocniony chór był rzeczywiście potężny.

Profesor Klamut był wybitnym dyrygentem. Znamienną jego cechą było to, że pod czarodziejską mocą jego pałeczki dyrygenckiej chór nie popadał nigdy w chorobę „przetrenowania”, czerpiąc z nazewnictwa sportowego, a stąd występy chóru zawsze były pełne świeżości i temperamentu. Ukoronowaniem występów chóru mieszanego, zespolonego z połączenia gimnazjalnego męskiego i seminaryjnego żeńskiego, była specjalna akademicka, na której program składały się wyjątki z opery „Halka” i „Verbum nobile” Moniuszki. Jako soliści występowali wówczas prof. Klamut w roli Jontka, Jan Trycha (student wydziału leśnictwa) w roli Górala, Stefan Denkiewicz (student prawa) jako baryton w roli Janusza oraz Topij (urzędnik poczty), a nadto pani Paluchowa, żona profesora, w roli Halki, pani Sadowa, nauczycielka oraz seminarzystki: Krogulska – sopran i Bauerówna – alt. Program ten wraz z występem orkiestry wypełnił cały wieczór koncertowy specjalnej akademicki.

Młodzież gimnazjalna tego czasu to nie tylko wysoki lot ideałów z „Ody do młodości”, to również ludzie z krwi i kości.

Przez cały okres uczęszczania do wyższych klas zadzierały się sekretne myśli i romantyczne fluidy pomiędzy gimnazjalistami a piękniejszą częścią rodzaju ludzkiego, który reprezentowało Żeńskie Seminarium Nauczycielskie w Dębicy. Koleżanki gimnazjalne, których ilość była znikoma, mniej zaprzętały zmysły, a więcej umysły we wspólnym przygotowywaniu lekcji na pauzach. Rozgrywała się ta sama, powtarzająca się od wieków sceneria spojrzeń, zalotów, umizgów, flirtów, adoracji i hołdów wyrażanych także w przesyłanych wierszykach i fiołkowych liścikach. Tłem tych godów były cudowne gaiki w okolicach Łysej Góry, Wolicy i Latoszyna, a również spotkania na nabożeństwach, zwłaszcza różańcowych i majowych, nad którymi tradycyjny już Mefisto roztaczał swój czarodziejski płaszcz. Kojarzyły się nawet narzeczeńskie pary, ślubujące sobie wieczną miłość. W większości była to wieczność psujących się wiecznych piór, niektóre jednak pary wstąpiły później na ślubny kobierzec.

Zdarzył się także pojedynek, wprawdzie bezkrwawy, jednak przy użyciu rękoczynów, pomiędzy ósmoklasistą osłoniętym peleryną i czatującym na oficera, który adorował obiekt jego uczuć.



Niebotyczna przeszkodą w towarzyskim obcowaniu obojga płci była u chłopców nieumiejętność tańców. Dyrekcja gimnazjum, zgodnie z ówczesnie panującym prądem edukacyjnym, nie pozwalała na prowadzenie kursów nauki tańca.

Na arenie towarzyskiej znalazłem się po raz pierwszy dopiero w ósmej klasie, zaproszony na prywatkę urządzoną przez kółko seminarzystek z piątego kursu. Nie umiejąc tańczyć, czułem się nieswojo. Nie byłem też zbyt zainformowany z urokami flirtu. Dopiero w czasie prowadzenia zabaw towarzyskich prysnęły lody i pojawił się nastrój. Onieśmielony, zmuszałem się do bohaterkich czynów przy listonoszu lub „gaszeniu zapałki”. Wówczas to, „przy listonoszu”, zaznałem pierwszych wrażeń „na ust koralu”. W kilka dni potem na nadesłany mi zew za pośrednictwem jednego z kolegów ze strony jednej z uroczych listonoszek, udałem się na pierwszą randkę, gdzieżby, jak nie nad strumyk przepływający przez „bukowy, święty gaj” u podnóża Łysej Góry.

I TAK TO SIĘ ZACZĘŁO...

Niektórzy pedagodzy nieprzychylnym okiem darzyli ciągotki młodzieży do tak niewinnych rozrywek jak łyżwy, saneczki czy kąpiel w Wisłoce, wówczas jeszcze u chłopców praktykowana „na nagusa”. Uprawianie dyscyplin sportowych w gimnazjum było nieznane. Trzeba się było kryć z marnotrawstwem cennego czasu na takie głupstwa, bo w przypadku przyłapania na gorącym uczynku, oczekiwała nazajutrz dwója. Jednak chłopcy wyłamywali się, mimo tej bojaźni bożej, zwłaszcza w wyższych klasach, szczególnie co do najatrakcyjniejszej zabawy sportowej, jaką była piłka nożna.

Kino było też owocem zakazanym. By obnażyć X Muzę z jej tajemniczości, czyniliśmy wyprawy aż do Tarnowa i to dopiero w ósmej klasie, z dwoma kolegami również trawionymi gorączką poznania. Na obcym gruncie byliśmy nieosiągalni dla argusowego oka dyscypliny szkolnej.

W Dębicy mieściło się kino w budynku Kubisztala, grano tylko w soboty i w niedziele. Napotkanie tam gimnazjalisty skończyłoby się dla niego wylaniem z budy lub co najmniej obniżeniem obyczajów i konferencją z rodzicami delikwenta. Filmy były nieme, z ilustracją muzyczną wykonywaną przez dobrany zespół kameralny. Ówczesny totalny zakaz uczęszczania do kina był stawiany na równi z indeksem ksiąg zakazanych.



Każda klasa miała swoją wydzieloną, odrębną biblioteczkę. Ogólnej biblioteki szkolnej nie było. Wybór książek był wielce ograniczony. Kopalnią, z której do syta czerpaliśmy książki, była biblioteka Towarzystwa Szkoły Ludowej, gdzie zasięg i dobór książek, i to w różnych dziedzinach, był nawet obfity.

W niższych klasach wśród kolegów krążyły wydawnictwa broszurowe takich dziełek, jak „Sitting Bull-e” opiewające czyny i przygody bohaterskiego wodza plemienia Siuksów, „Jack Teksasy”, sławiące, na odwrót, bohatera białych twarzy w walkach z czerwonoskórymi, dalej – epizody wojenne z pierwszej wojny światowej oraz kalendarze. Jeden z kolegów w drugiej klasie miał zbiór kalendarzy w ilości ponad trzydzieści, toteż promieniał w ich blasku, jako posiadacz tak sporej kolekcji, ku naszej zazdrości. Ambicją ucznia było mieć swój własny zbiorek, nazywany dumnie biblioteczką. Śledziliśmy ilościowe wzbogacanie się naszych zbiorów, oglądaliśmy z radością nowo uzyskane nabytki, jak „Chata wuja Toma”, dzieła podróżnicze Maya czy Verne'a.

Pierwszą nabytą przeze mnie książką, za własne uciulane pieniądze, było dziełko „W krzyżackich szponach”. Uczęszczałem wówczas do pierwszej klasy gimnazjalnej, a szczytem mojej odwagi było to, iż podjąłem decyzję kupna samodzielnie, bez uświadamiania matki, o której zgodę, co do wydatków, zawsze pytałem. Ze wzruszeniem wyniosłem tę książkę z księgarni Fetta. Jej cena wynosiła 1,20 korony. Książeczka ta stała się kamieniem węgielnym tworzenia własnej biblioteki, która później, w czasie wojny, przechodziła różne koleje.

Raz tylko, co do jednej książki dokonałem samosądu, rzucając w pastwę płomieni „Sennik egipski”. Tego aktu inkwizycji dokonałem w trzeciej klasie gimnazjalnej po odbyciu spowiedzi i żalu za grzechy, wśród których wyznałem „wiarę w sny i zabobony” oraz wspomniałem spowiednikowi o tejsze biblii pauperum, zatruwającej atmosferę religijnego domu. Nie przyznałem się nigdy do tego droźnego postępku, bo ściągnąłbym na siebie nieutulone gniewy ze strony mojej matki i jej kumoszek, które wciąż łamały sobie głowę, gdzie też się podział ten złoty klucz do rozwiązywania i wyjaśniania sennych zjawisk. Sennik ten był swoistym produktem epoki. Nie natknąłem się już nigdy na niego, nawet na objazdowych kramach odpustowych. Tym więcej boleję nad jego utratą, bo byłby dzisiaj rarytatem i po jego powieleniu dostarczyłbym poniektórym niewyczerpanych wątków w towarzyskim obcowaniu, gdzie wedle ogólnych utyskiwań sztuka rozmowy i dialogu zamiera z winy brydża i telewizora.



Wybiła godzina matury... Podniecenie, napięcie nerwów, strach... Trzech kolegów padło, w tym dwóch z greki. Prolongowano im zdawkę maturalną po wakacjach...

I wreszcie po wszystkim... Ostatni uścisk ręki z profesorami. Pierwszym moim odruchem było zerwanie złotych pasków z kołnierza. Z jaką lekkością wyskoczyłem z budy z żelaznym postanowieniem, by więcej tam nie wracać. Ślubu tego, jak i wielu innych w życiu, nie dochowałem.

W miarę dzielących mnie coraz dalszych czasowych, a i przestrzennych odległości od dębickiej „budy”, wracałem do niej zawsze myślą i uczuciem. Stała mi się ona symboliczną spójnią przymierza tych wszystkich pokoleń przesuwających się rok za rokiem przez jej progi, jak niepowrotne fale, ale zjednoczone duchem idei płonących cudnym zniczem mądrości, wiedzy i sztuk pięknych, po wsze czasy nieśmiertelnych.

(archiwum szkolne)



Prof. dr hab. **LESZEK STARKEL**

List na 30-lecie zdania matury w 1949 roku

DRODZY NAUCZYCIELE, KOLEŻANKI I KOLEDZY!

Gdy otrzymałem wiadomość o spotkaniu, przepełniłem się radością, choć czułem się winien nieutrzymywania kontaktów przez wiele lat z większością z Was. Gdy wpadłem czasem do Dębicy, wracałem do kątów wspólnych, obchodziłem wkoło budę, zaglądałem na cmentarz, starałem się podtrzymywać tę więź... a równocześnie ta dręcząca świadomość, jak daleko się rozbiegliśmy, jak może zapomnieliśmy wspólnego języka, a może wspólnych ideałów, które nas przenikały...

Pożeglować 30 lat wstecz, zobaczyć tych, z którymi się było razem, co za wspaniała chwila... Czekałem na 2 czerwca. Ale inne zdarzenie przysłoniło nasz jubileusz, zdarzenie innej rangi i skali, na które również wielu z nas czekało z utęsknieniem. Trzeba było przenieść datę jubileuszu na 16 czerwca. Niestety, wcześniej zaplanowany wyjazd do Barcelony jako konsultant badań nad rzeźbą górską, nie pozwala mi być z Wami. Ale tej soboty jestem wśród Was, wracam wraz z Wami do tych chwil gorących i trudnych, gdy zdobywaliśmy wiedzę, gdy wykuwaliśmy zręby naszej odrodzonej Ojczyzny i naszych charakterów. Gdy nasi nauczyciele wpajali w nas prawo, dobro i miłość...

Są momenty, których się nie zapomina, które się nosi gdzieś głęboko w sercu, które się kryje przed intruzami, które chciałoby się wskrzesić... i przeżyć na nowo.

Listopad 1944 roku, zimna noc, śnieg. Drogą od Sędziszowa ku Ropczycom zdążamy przy pomruku dział, by uczyć się w dębickim gimnazjum króla Władysława Jagiełły na wysiedleniu. By nieść w torbie parę zeszytów, w których przyrastają notatki z fizyki, historii, literatury, bo nie ma podręczników. Pasja niespotykana u starych i młodych, woła trwania.

Styczeń 1945 roku. Jeszcze w Ropczycach. Jasełka szkolne. Pamiętam, mówię wiersz napisany przez moją matkę. Dziecina w stajni, w żłobie leży, a my po strychach i stajniach rozsiani... niedługo ruszy ofensywa...



Koło Organizatorów przy Samorządzie Uczniowskim – wolno pisać do szkolnej gazetki! Wolno śpiewać w chórze! Wolno grać w orkiestrze i zespole sportowym! Wszystko to nasze, wszystko musimy osiąść. Nie chce mi się uczyć języków obcych czy grać na fortepianie. Pracujemy po południu. Tworzymy nową kulturę, odrabiamy zaległości.

Gdy klasa mat.-fiz. gra „Pana Jowialskiego”, my, humaniści, „Damy i huzaury”. Co za wyborne role Murki, Krysi, Tadzia, Edka, Zbyszka! Ja skromniutko grałem kapelana: „O, na honor, nie uchodzi”. Kiwa się głowa poczciwego wychowawcy, kiwa głowa znajomego fryzjera – charakteryzatora, gdy po północy wracamy ciężarówką z Kolbuszowej. Chłodem ciągnie, więc wynajęci z innej klasy artyści, Mr Huk czy Mr Preneta, otulają ramieniem swe przysze małżonki...

A potem kto nie pamięta zwiedzania Ziem Zachodnich za własne pieniądze, uczciwie zarobione! Od Świnoujścia po Karkonosze. I opera „Faust” w Katowicach. I „Noc Walpurgii” w schronisku szkolnym w wykonaniu Olka Koraba.

Lata lecą, przetrzebiły się nasze szeregi, coraz częściej trzeba grać nauczycielom i kolegom ostatni sygnał... I choć właśnie siedzę gdzieś pod rozgwieżdżonym niebem Hiszpanii i cedzę powoli chłodne wino – myśl moja biegnie do Was. I czuję wielki żal, że nie możemy uścisnąć swoich dłoni, wyczuć się, powspominać... Chciałem zabrać ze sobą trochę przeźroczy ze wspólnych wędrówek. Z Syberii, Mongolii, Indii, Afganistanu... Obiecuję przyjechać jesienią i wszystkich, którzy mogą, zapraszam na przeźrocza, a potem do Kiciowej na ciastka (o ile się nie popsuły...). I o ile Zdzisiu Czerny lub kto inny zorganizuje salę... Proszę jeszcze o podpisy na załączonej kartce i o fotografię.

Gdy będziecie śpiewać sto lat, stukać się kielichami, wirować w tańcu – pamiętajcie, że ja jestem też, choć nie za wiele (raczej symbolicznie) pijący, choć tancerz od siedmiu boleści, choć po chorobie krtani niemogący się wydierać tak, jak 30 lat temu...

Życzę Wam wszystkim dużo radości, dużo serca, dużo zadumy, a obecnym i nieobecnym naszym Nauczycielom i rodzicom kłaniam się nisko w podzięce.

Kraków, czerwiec 1979 roku (w miejscu pierwszej wizyty Jana Pawła II w kraju)



Prof. dr hab. **LESZEK STARKEL**

„Droga do szkoły przez Wesołą”

Obrazki wojenne (z młodych lat)

Śnieg padał i padał... Puchowe płatki śniegu pokrywały całą ziemię... Błyszczały jak gwiazdy, mieniały się wszystkimi kolorami tęczy... Widnokręgu nie było widać... Wokół żywej duszy nie było... Pojedyncze przydrożne drzewa, wyznaczające szlak szosy, ugięły się pod ciężarem okiści śnieżnych. Co chwila lekki wiatr spędzał nagromadzony śnieg z gałęzi. Szelest ten był podobny skradającym się widmom...

Kawałek drogi dalej majaczył gnojnicki folwark. Wyglądał jak pałac z bajki. Ośnieżone, na wpół zawalone dachy wyglądały jakby budowle z cukru, a fragmenty sterczących ścian jak polukrowane pierniki... I żywego ducha nie wypatrzysz...

Nie darmo ten pusty, 5-kilometrowy odcinek drogi ludzie przezywają Wesołą... – pomyślał Franek. Szedł do szkoły do Ropczyc, do dębickiego gimnazjum otwartego na wysiedleniu...

Szedł te siedem kilometrów pustą drogą, bo kochał naukę, kochał pracę... A w jego klasie różni byli. Byli i tacy, co szli z daleka, aby jeno dokazywać i dwóje zbierać... a Franek chciał się uczyć. W chałupie były aż dwie rodziny wysiedleńców z Dębicy i gospodarze. I dwie izby i sień. Izby zajęte przez oficerów sowieckich. Spać chodziło się na strych... ciężko było. Ale bliźniego trzeba było przytulić...

Franek przeszedł już 5 kilometrów. Po prawej rysowały się kontury witkowskiego dworu... Do Ropczyc jeszcze dobre dwa kilometry... Śnieg dalej sypał...



Prof. dr hab. **LESZEK STARKEL**

Spóźniona rocznica

Nie byłem na naszym spotkaniu – 30 lat po zdaniu matury. W tym czasie przecinałem lśniące w słońcu stoki katalońskich Pirenejów. Po wagarach i symposium wróciłem wreszcie do Krakowa 16 lipca. Postanowiłem wigilię lipcowego święta i sam 22 lipca spędzić w Dębicy. To też rocznica. 40 lat od wybuchu wojny, 35 lat od wyzwolenia Dębicy, 30 lat od matury, 25 lat od ukończenia studiów, 20 lat od doktoratu. Same rocznice, te trzy pierwsze związane z Dębicą. Splotły się razem ze sobą we mnie, w Was chyba też, przyzywają nas swymi zdarzeniami i każą – jak zwykle 50-latkom – spoglądać w przeszłość.

Przyjechałem o 13:00 do Dębicy. Na ulicy Kolejowej mieszka Brodacki, nasz były prezes samorządu, z Tereską, jeden z głównych mistrzów ceremonii. Wpadam, by zamówić się na później. Ruch, właśnie pakują ubrania i stos konserw do przyczepy kempingowej. Jutro ruszają do Włoch. Dorosłe dzieci pomagają. Jesteśmy już starzy! „Ty jeździsz służbowo za granicę – mówią – a my musimy na to uciułać”. Jest i druga strona medalu. Ja muszę się pocić na zebraniach, wy pływacie w morzu... Kiedyś, po odstawieniu Fredrowskich komedii, jechaliśmy w ścisku razem oglądać Ziemię Odzyskane...

Kupuję kwiatki i szlakiem czerwcowych kolegów ruszam na cmentarz. Po drodze dębicka fara, radosny głos organów. Ślub. I wreszcie las drzew i krzyży. Bogatszy niż przed miesiącem, bo przyjął ciało naszego wychowawcy, profesora W. Zielińskiego. Stoję i dumam przed płytą grobową. Jeszcze brzmiały w uszach jego przestrogi ostre, a równocześnie z nutą ojcowskiej dobroci. On, tu leżący, i my! Przeszłość i przyszłość się splata, póki my żyjemy. W jednym rzędzie, przy murze, leżą inni moi wychowawcy. Piotr Klamut, pierwszy mój nauczyciel w pierwszej klasie podstawowej, członek ZWZ, więzień obozów, przyjaciel ojca. Dalej profesor Christoff – na wysiedleniu w Ropczycach uczył nas przyrody (może i on zaszczerpił we mnie pęd do poznawania jej tajemnic). Idę dalej... Drugi profesor Zieliński, uczący robót ręcznych, ks. Zawada – katecheta ze szkoły podstawowej, profesor Fladerer – łacinnik i filozof. Wreszcie groby



moich babek i dziadka, który, jak nikt inny, potrafił opowiadać bajki i pierwsze wędrówki po świecie odbywałem z nim właśnie. Opodal grób znajomego krawca, co szył ojcu i mamie ubrania i rodziców koleżanki, pomordowanych w 1945 roku. Dalej pomnik rozstrzelanych w 1940 roku, wśród nich syn woźnego naszej szkoły, który ukrył sztandar biało-czerwony na strychu... Idę na cmentarz wojskowy. A w głębi dwa groby otoczone przez dębiczian kiedyś specjalną troską: Jerzego Żuławskiego – legionowego poety i Walerii Szalay-Groele – autorki powieści historycznych dla dzieci.

Wychodzę ze spotkania z przeszłością jakoś pełniejszy i wzbogacony. Pogadałem sobie z przeszłością, jak Wy w czerwcu. I stawiałem sobie pytanie: Co uroniłem, a co zachowałem z tego przekazu pokoleń? Złożyłem jeszcze dwie wizyty, obok, na ulicy Wielkiego Proletariatu: wdowie i córce naszego wychowawcy i naszemu katechecie. W klasztorze Sióstr Służebniczek ksiądz profesor Dec był szczerze wzruszony. Pokazywałem przeźrocza z krakowskich Błoni – skończyło się spotkaniem z całym klaszturem, nowicjuszki odśpiewały mi radosne podziękowanie, jakbym był co najmniej biskupem sufraganem. Muszę się przyznać, że zarobiłem na tym spotkaniu, unosząc w kieszeni medal z Janem Pawłem II.

Niewiele więc zostało czasu na spotkanie u Brodnickich. Mówiliśmy o udanej imprezie, opowiadaliśmy o swoich kolegach. Wielu z nich to dziś tzw. szychy, dyrektorzy, pułkownicy. A mimo to wciąż została, wszyscy wrócili „z paryskiego bruku” i czuli się znów mali i młodzi. Jak dobrze wracać do młodości, nieobarzonej kłopotami ani winami i zwichnięciami późniejszych lat...

Niedzielę zacząłem od obejścia starych kątów. Nasza buda już nie króla Władysława Jagiełły (za mało postępowe i efektywne było widać, zdaniem niektórych, zwycięstwo pod Grunwaldem), ale pisarza Jana Wiktora, wybitnego ucznia naszej szkoły. I szkoła podstawowa, gdzie przed wojną i aż do 1943 roku mieszkałem z rodzicami. Te same wysokie schody, te same, choć starsze, wierzby nad potokiem, między szczytami których więzły puszczone przeze mnie latawce... A obok szkoły miłe spotkanie z panem Baranem, który niegdyś jeździł z nami jako fryzjer i charakteryzator, gdy graliśmy Fredrę... Niestety, rozmowę przerwała nam żona, każąc mu zająć się wnuczką. Biedny dziadzio!

O 11:00 msza św. w byłym kościele klasztornym, gdzie niegdyś byłem ministrantem i przed figurą Marii zbieraliśmy się na rekolekcje. Nie ma już



drewnianego ołtarza. Madonna wzniosła się kilka metrów nad wiernych i patrzy na nas bardziej z góry... Nikogo ze znajomych... Dębica rozrosła się bardzo, same nieznane twarze...

Co robić? Do krewnych iść nie chciałem, szukać kolegów w porze obiadowej też nie. Bo ja wiem, na jakie ich małżonki natrafie? I przypomniały mi się tamte rocznice, początku i końca wojny. I bezwiednie ruszyłem ku ulicy Gawrzyłowskiej, gdzie w czasie frontu, latem 1944 roku, nocowaliśmy u Wojciecha Kłoca w stodole... Poznawałem z pewnym trudem miejsca, gdzie wtedy byłem i gdzie raz ostatni w 1951 roku, jako student, robiłem mapę geomorfologiczną do pracy dyplomowej. Wreszcie, gdy przeszedłem kładkę na potoku, poznałem ten dom, a obok niego piwnicę, w której kryliśmy się w czasie nalotów. I ślad po stodole, w której cała rodzina spała pokotem. Zostały stare drzewa... Za nimi, na wzgórku stały katusze, ziejąc ogniem w sierpniu 1944 roku. A za potokiem głębokie parowy lessowe z kępami drzew, gdzie w pamiętną noc frontową wszyscy kryli się z dobytkiem, grzebiąc schrony w ziemi... I widok ze wzgórza na szlak, którym uciekaliśmy z miasta w 1939 roku, na ścianę lasu – gdzie siedzieli akowcy pełni wiary i poświęcenia i na bezkresne równiny Kotliny Sandomierskiej. Stąd późną nocą z ojcem patrzyliśmy na płonący Pustków i Dębicę, gdy Armia Czerwona forsowała wody Wisłoki. Tej Wisłoki, za którą związała się moja działalność naukowa, z której wyrosła idea badań osadów polodowcowych z czarnymi dębami, którą udało mi się zarazić innych, najpierw w kraju, a potem za granicą. Stałem i patrzyłem w przeszłość, Waszą i swoją.

Czekają mnie jeszcze popołudniowe wizyty rodzinne. Ale nie chcę opuścić tego zaczarowanego koła rocznic, chcę przeżyć je sam, ale zarazem w łączności z Wami. Taka to dialektyka mojej myśli, szkoła profesor Hołubowicz! Dlatego wróciłem autobusem z Gawrzyłowskiej... Zjadłem prosty obiad w barze mlecznym i piszę te słowa, siedząc na ławce, na dębickim rynku, otoczony oceanem soczystej zieleni. W tej części, gdzie, jak sięgam pamięcią, przed 40 laty, mama kupowała w piątek u starozakonnych tłuste karpie, pluskające w cebrzykach. Nie ma już starozakonnych, nie ma pyzatyh ropczyckich przekupiek sprzedających wieńce złocistej cebuli... Zamiast tego rynek zdobią dziś łopoczące sztandary, symbol milowego kroku, który przebyliśmy również my, dębiccy absolwenci z 1949 roku.



Prof. dr hab. **LESZEK STARKEL**

PREFEKT TEOFIL



Ksiądz Teofil Dec

Ksiądz Teofil Dec był młodym kapłanem, gdy w latach trzydziestych został prefektem w Gimnazjum i Liceum Ogólnokształcącym im. Króla Władysława Jagiełły w Dębicy. Do wielu spraw miał podejście pryncypialne, ale równocześnie społeczne i opiekuńcze w stosunku do młodzieży. Stąd jego opieka nad bursą dla ubogiej młodzieży i różne funkcje, jak kapelana ZHP, organizatora Sodalicji Mariańskiej, a przez kilka lat zastępcy dyrektora dębickiego gimnazjum. W czasie okupacji brał udział w tajnym nauczaniu. Spotkałem się z nim w ropczyckim kościółku Marii Panny, gdzie z końcem października 1944 roku, pierwszy raz w roli prefekta, celebrował mszę św. na rozpoczęcie roku szkolnego dębickiego gimnazjum na wysiedleniu. Dębica i cały

pas przyfrontowy zostały na okres 5 miesięcy wysiedlone, większość nauczycieli gimnazjum i mieszkańców Dębicy znalazła się w rejonie Ropczyc. Po powrocie w lutym 1945 roku do Dębicy, ksiądz Teofil włączył się aktywnie do odbudowy zniszczonego budynku, poranionego przez bomby i zamienionego w czasie okupacji na siedzibę starostwa. Pracował ramię w ramię z dyrektorem gimnazjum Franciszkiem Sadowskim. Obydwaj się uzupełniali. Dyrektor nie hamował działań prefekta w odbudowie ZHP, a potem Sodalicji Mariańskiej.

Z boiska gimnazjalnego w czasie świąt maszerowała młodzież ze sztandarem na mszę św. do kościoła klasztornego. Ksiądz Dec miał jasne spojrzenie na życie i moralność. Uczył zasad postępowania, jak należy być dobrym Polakiem, co to znaczy prawda i honor, jak odróżnić dobro od zła. Tępił alkoholizm i palenie papierosów. Natomiast wyrozumiały był dla młodych, którzy czuli coś do siebie. Nie dziwił się pierwszym przyjaźniom i miłościami, tym bardziej, że w pierwszych powojennych latach wiele było młodzieży zapóźnionej, wielu było chłopców i dziewcząt, którzy mieli już po 20 lat i byli już w partyzantce.



Pozornie sprawy sercowe bagatelizował i parodiował, a mówiąc o nich używał określeń: „serce to tylko kawał mięsa”. W 1948 roku rozpoczęła się rozgrywka komunistów z opozycją. Został zwolniony dyrektor Sadowski, ustąpił też ksiądz Dec z funkcji wicedyrektora.

Przyszła pani Zofia Hołubowicz, zafascynowana marksizmem i postacią Stalina. Nastąpiła zasadnicza zmiana kierunku wychowania, urwała się szeroka działalność artystyczna i kulturalna młodzieży. Zaczęły się rządy „jedynej słusznej” organizacji – ZMP i podporządkowanego mu samorządu. Pleniło się donosicielstwo. Ksiądz Dec miał jeszcze wciąż lekcje religii, a na mszach św. w kościele klasztorным gromadziła się nadal młodzież i większość grona pedagogicznego. Po wyjeździe dyrektora Sadowskiego z Dębicy stał się mimowolnie największym autorytetem i świadkiem dawnej tradycji szkoły.

Będąc równocześnie kapelanem Sióstr Służebniczek i rektorem kościoła klasztorного, został w latach pięćdziesiątych usunięty wraz z siostrami z pomieszczeń klasztorных i przeniesiony do budynku zastępczego. W późniejszych latach grono starych profesorów wykruszało się, ksiądz Dec, mimo słabego zdrowia, dalej głosił homilie w kościele klasztorным, mówił o potrzebie postępowania w prawdzie i miłości. Wiem, że go odwiedzali dawni uczniowie, że spotykali się z nim dawni koledzy. Ostatni raz spotkałem się z księdzem Decem w 1990 roku na 90-lecie dębickiego liceum. Był przez wszystkich otoczony szacunkiem i przyjmowany z honorami. Nawet przez tych, którzy w latach minionych go unikali. Cieszył się, że nastąpiły zmiany. Był dumny ze swoich uczniów, którzy poszli w świat i wykazali hart ducha, służąc krajowi i ludziom. Wyraźnie był dumny, że nie zapomnieliśmy o wartościach, które on w nas wpajał w szkolnych latach.

DYREKTOR SADOWSKI

Niski, krępy i siwiejący pan, stukający laską o posadzkę, wędrujący przez długie, z łukowatymi sklepieniami, korytarze dębickiego Gimnazjum im. Króla Władysława Jagiełły, założonego w 1900 roku, jednego z najstarszych w regionie. Pozornie niewyróżniający się niczym, ale budzący respekt i szacunek każdego, z kim się spotkał. Konkretny w rozmowie, podejmujący przemyślane i nieodwołalne decyzje i dobry gospodarz, potrafiący się pochylić nad każdym w potrzebie.



Dyrektor Franciszek Sadowski



Takim zapamiętałem dyrektora mojej dębickiej szkoły, Franciszka Sadowskiego. Przybył z Kieleckiego w latach trzydziestych, wygrywając konkurs na dyrektora i objął stanowisko po ks. Kotfisie, założycielu bursy dla biednej młodzieży. Sam uczył matematyki, był członkiem PPS-u, co mu nie przeszkadzało w bliskiej współpracy z młodym prefektem, ks. Teofilem Decem, którego powołał na swojego zastępcę.

Dyrektora Sadowskiego poznałem w czasie wojny. Państwo Sadowscy i moi rodzice dość często się spotykali, a nawet przyjaźnili. Nie wiedziałem wówczas, że załatwiali równocześnie sprawy służbowe związane z tajnym nauczaniem. Dyrektor Sadowski kierował tajnymi kompletami klas gimnazjalnych i licealnych oraz przewodniczył komisjom tajnych matur. Mój ojciec był członkiem 3-osobowej powiatowej komisji oświatowej – tajnego inspektoratu szkolnego. Rodzice kilkakrotnie mnie ze sobą zabierali i jako 10 – 12-letni chłopak oglądałem wspaniałe książki popularnonaukowe, encyklopedie i atlasy. Mapy przyciągały mnie szczególnie. W domu miałem tylko mały atlas szkolny. Sadowski wypożyczał mi duży atlas geograficzny E. Romera, nad którym potrafiłem ślęczeć całymi godzinami. Trzymałem go dwa lata do zakończenia wojny, aż niektóre karty zaczęły wypadać i ostatecznie zaginął on w czasie działań wojennych w 1944 roku.

Gdy ludność położonej na linii frontowej Dębicy była niemal przez pół roku wysiedlona, inspirował założenie w Ropczycach liceum dębickiego na wysiedleńcu, a po powrocie do Dębicy razem z całym gronem i młodzieżą prowadził odbudowę siedziby i społeczności. Gmach gimnazjum był podziurawiony bombami, otwory okienne bez szyb i futryn, stopy śmieci zamiast ławek, biurek i tablic, brak podręczników i biblioteki. Grono nauczycielskie trzeba było skompletować od nowa, początkowo uczyli profesorowie z Wielkopolski i Łodzi, którzy po kilku miesiącach wyjechali, wracali ludzie z obozów i z Anglii. Niemieckiego i filozofii uczył, cudem uratowany, Żyd prawnik... A obok tego 600 uczniów, młodzieży często już przedwcześnie dorosłej, mającej pięcioletnią przerwę w nauce, wracającej z lasu... Nauka odbywała się nawet na trzy zmiany, niektóre klasy liczyły po 6 równoległych oddziałów, organizowano tzw. klasy przyspieszone, realizujące w jednym roku program dwuletni.

Kulejący i łysiejący człowiek krzątał się wśród tego tłumu, rozdzielając role, pilnował realizacji. Młodzież sprzątała sale, kompletowała meble, chodziła po całym mieście i zbierała podręczniki, książki, często znajdowała na nich stare



pieczętki gimnazjalne. Równocześnie dyrektor Sadowski popierał wszystkie inicjatywy, szczególnie dotyczyło to eksplodującego po wojnie życia kulturalnego. Klasy rywalizowały ze sobą, grając sztuki Fredry, Moliera. Wystawialiśmy jasełka wojenne, w których u żłóbka spotykali się polscy żołnierze ze wszystkich frontów – spod Tobruku, Monte Cassino, Lenino, powstańcy warszawscy i ludzie z lasu... Powstała orkiestra, chór, koło sportowe, gazetka szkolna... Świętowaliśmy rocznice narodowe, organizowaliśmy gimnazjalnego św. Mikołaja. Niestety w grudniu, chyba 1946 roku, Mikołaj przyszedł po raz ostatni... Było to jeszcze przed połączeniem PPR i PPS... Wieczorowa klasa najstarszych uczniów przygotowała wielki prezent dla dyrektora, długi na ponad dwa metry! Były to szczudła dla kaleki...

W 1948 roku rozpoczęła się czystka polityczna, straszenie i zwalnianie pedagogów, tworzenie ZMP. Dyrektor Sadowski był zmuszony odejść z dyrektury, przeniósł się do Krakowa. Na jego miejsce przyszła komunistka wykonująca rozkazy władz, skończyła się spontaniczna działalność kulturalna młodzieży. Każdej klasy pilnował jeden zaufany uczeń – donosiciel... Dyrektor Sadowski przetrwał tylko we wspomnieniach starszych absolwentów.

ZDZISEK CZERNY

W dębickim liceum uczyliśmy się ze Zdziskiem w tym samym czasie, zdawaliśmy w tym samym czasie maturę w 1949 roku, spotykaliśmy się często przy okazji szkolnych zajęć, zawodów, uroczystości, wycieczek. Nie znaliśmy się jednak zbyt dobrze, gdyż on chodził do klasy matematyczno-fizycznej, a ja do klasy humanistycznej. Byłem dość chorowity i udzielałem się tylko w samorządzie, Zdzisek zaś w ZHP. Już w okresie naszej nauki w gimnazjum i liceum, gdy zaraz po wojnie

ekspłodowało w małych miastach życie artystyczne, obaj występowaliśmy na scenie: nasza humanistyczna klasa grała „Damy i huzary” Fredry (ja grałem kapelana), a klasa Zdziska „Pana Jowialskiego”. W soboty i niedziele jeździliśmy z tymi przedstawieniami do sąsiednich miasteczek (Pilzna, Mielca, Ropczyc, Kolbuszowej), a potem za zarobione



Pochód 1-majowy w 1973 r. - w środku prof. Zdzisław Czerny



pieniądze obie konkurencyjne klasy wybrały się razem pociągiem na 10-dniowy objazd Ziem Odzyskanych, od Świnoujścia po Karkonosze i Górny Śląsk.

Zdzisek, od dziecka kochał muzykę i grał na akordeonie. W 1946 roku nasza klasa wpadła na pomysł odnowienia po wojnie tradycji kolędniczych. Zespół był męski, nasz wspaniały wychowawca, prof. Zieliński, nie zgodził się na udział naszych koleżanek, które jedynie przed naszą wędrowką po domach, przebiebrały nas i charakteryzowały. Największy kłopot miały z malowaniem i fryzurą anioła. W zespole byli oczywiście pasterze, król Herod, diabeł, anioł, żołnierze, Żyd... Ja zaś szczupły i wysoki, okryty prześcieradłem i z kosą, grałem śmierć. Brakowało nam tylko muzykantów, których wypożyczyliśmy z sąsiedniej klasy. Skrzypka i harmonistę. Chór śpiewał. Zdzisek wygrywał na harmonii kolędy i obok obrotnego diabła był duszą zespołu. Co wieczór obsługiwaliśmy inną ulicę. Cel nie był zarobkowy, chodziło o wskrzeszenie tradycji. Ludzie otwierali nam chętnie mieszkania, ugaszczali... Staraliśmy się nie omijać nikogo. Pamiętam, jak pracownik Urzędu Bezpieczeństwa sypnął groszem...

Nie wiedzieliśmy o sobie, że pociąga nas otaczająca przyroda, że wybierzemy obaj studia geograficzne. To było coś wrodzonego, bo raczej nie mieliśmy szczęścia do nauczycieli geografii. Ja zacząłem studia na Uniwersytecie Jagiellońskim, a Zdzisek ukończył Wyższą Szkołę Pedagogiczną. Ja wybrałem kierunek naukowy, Zdzisek wrócił do rodzinnej Dębicy i podjął pracę w naszym liceum, gdzie przepracował 35 lat. Oddał cały swój czas ukochanej młodzieży, poza zajęciami prowadził krajoznawcze wycieczki, a obok tego kochał muzykę i działalność artystyczną. Był w liceum ulubieńcem młodzieży. W opublikowanym w prasie pośmiertnym wspomnieniu społeczność liceum tak go scharakteryzowała: „Lubili go wszyscy – zawsze wesoły, pełen temperamentu, przyciągał do siebie ludzi. To z nim kojarzy się akordeon, wesołe piosenki, dowcipy. Był nieprzeciętnym nauczycielem i wychowawcą. Prowadził młodzież na lekcjach geografii na dalekie wędrowki po mapach świata i na wycieczki po kraju... Szkoła dawała mu możliwość samorealizacji... Do końca swoich dni był aktywny społecznie. Skarbnica wiedzy o Dębicy, zawsze życzliwy dla swojej szkoły...”.

Potrzebni są tacy, którzy chcą i potrafią po studiach wrócić do swego gniazda i służyć tej lokalnej społeczności, po części zarazem spłacając jej dług wdzięczności.



Prof. dr hab. **LESZEK STARKEL**

wspomnienia absolwenta z 1949r.



W październiku 1944 roku w pobliskim miasteczku, Ropczycach, zostało otwarte dębickie gimnazjum na wysiedleniu i tam właśnie na uroczystym opłatku deklamowałem wiersz specjalnie na tę okazję napisany przez moją mamę. Kończył się słowami:

„Dziś serca nasze wszystkie lgną do Ciebie,
Serca nękane wojny zawieruchą.
A tym, co z dała, też serce kolebie,
Chcieliby z nami tu być w tę noc głuchą...”

Przeżycia wojenne i ja również próbowałem przelać na papier i w następnych dwóch latach napisałem kilka wspomnień i poetyckich wizji.

Na przełomie stycznia i lutego 1945 roku wysiedlona ludność Dębicy zaczęła wracać do zniszczonych i splądrowanych domów bez drzwi, okien, do zapluskwionych mebli..., a dzieci i młodzież do szkół bez ławek, książek, pomocy szkolnych. Piękny budynek gimnazjum im. Króla Władysława Jagiełły, podziurawiony pociskami, wymagał remontu, okna pozbawione szyb, a tu jeszcze była mroźna zima... Młodzież, kierowana przez wspaniałych, przedwojennych nauczycieli, odbudowywała nasza szkołę i wyrzucała sterty niemieckich formularzy i dokumentów, gdyż w gimnazjum mieściło się starostwo Generalnego Gubernatorstwa. Do atrakcyjnych znalezisk należały natomiast pudła z metalowymi kolczykami, które rolnicy musieli zakładać za kontraktowanemu bydłu i świniom. Piękna biblioteka szkolna zniknęła, zrobiliśmy więc zbiorówkę książek, chodząc z domu do domu. Część książek z pieczętkami dawnej biblioteki jednak później się odnalazła.

Zarówno nauczycieli, jak i nas, młodych, ogarnął trudny dziś do opisania zapał do nauki i odbudowy różnych dziedzin życia kulturalnego. Trzeba też



pamiętać, że uczniami w znacznym procencie była młodzież już dojrzała, w pełni samodzielna, niekiedy zaangażowana w AK, która dopiero teraz nadrabiała stracone lata edukacji. Ja należałem do najmłodszych, bo ani roku w czasie wojny nie zmarnowałem. Nauka w szkole odbywała się od rana do późnego wieczora. W drugiej połowie lat 40. łączna liczba uczniów sięgała 600.

Aktywnie działał wówczas samorząd uczniowski i kółka zainteresowań, istniała gazetka ścienna, powstała też orkiestra, chór i zespoły sportowe. Rozpoczęło się współzawodnictwo, na przykład artystyczne, pomiędzy klasami, jak też rywalizacja z dwoma średnimi szkołami zawodowymi: mechaniczną i handlową, a nawet współzawodnictwo między gimnazjami sąsiednich miast. Trudno opisać całokształt tej działalności, mogę jedynie wymienić to, w czym sam uczestniczyłem.

Byłem w redakcji gazetki ściennej samorządu, grałem w przedstawieniach, pisałem teksty do jasełek, należałem do chóru szkolnego, wygłosiłem referat naukowy o powstaniu styczniowym. Niemal codziennie przychodziłem po lekcjach na obiad do domu, a potem znów znikąłem aż do wieczora. Rodzice czasem pytali: „Kiedy ty się właściwie uczysz?”. Ale nigdy nie wnikaliby w szczegóły, widząc, że przynoszę świadectwa z całkiem niezłymi notami.



8 listopada 1019 r. - w auli szkoły



Jasieńka wojenne

napisane w 1946 roku przez ucznia klasy III A
Gimnazjum w Żelbicy pod kierunkiem ^{ojca} prof. Jasulę

Scena III

SAD NAD POLAKAMI (napisane kłosek, Startek i Tadeusz Repulka)

-miejsce: pokój mieszkalny (jak w scenie II)
Niemcy siedzą na stolem. Niemiec II sprząta pod krawatem miłego chłopaka.
Ojciec siedzący przy stole ogarnia gościa tym spojrzeniem (N1)
Nie kieszat da? (jak się nazywasz?)
niemiec -
chłopak: Sisko Kłator
N1: jaki taki zewód?

Cieszę, po chwili odpowiadz: Przed wojną chodziłem do szkoły...
N1: A teraz? ... Schnell! - wyjmuj z kieszeni rewolwer...
N1: Albo... rozrywa bawle się pedałtem...
N1: Ile masz lat?
SW: Osiemnaście
N1: Coś ci zrobi tu w tym pokoju?
SW: Były imieniny kolegi...
N1: Ja, imieniny... - szuka po kieszeni i wyjmuje

złoty kwiatek gwazy
N1: Was lat das? Co to jest? Schnell! - rozrywa się

Chłopiec patrzy się mu prosto w oczy i rozrywa wargi...
N1 zbliża się do niego i pyta z ironią:
N1: Was? Coś mi nie odpowiadasz, polnische Schwein!

chłopak go za ramię i uderza w twarz...
N1: Papier, ja wiem że to papier! Wzy tu tenjacja spiska!
Kto jeszcze należał do waszej organizacji, ha?
Schneller!
SW: Nie wiem...
N1: Rulig! Maul halten! Nie puszcz?
SW: Nie wie wiem...

Niemiec chwycił za rewolwer i przygląda do strony
N1: Mówisz czy nie!
SW: Nie...

Niemiec bity rewolwerem pro głowie i kaptu. Chłopiec wskazuje na siebie...
Tę dalej go kaptu i rozrywa krawca się do żołnierza (N2): Raus, heraus gehen!
Chwycił za ramię i podnosi... Chłopak śmiały, pokornie i ciępy śmiało się...
Żołnierz pozyna kłosek i wyprawa go...

KURTYNA



W następnym roku wspinała polonistka, profesor Jandówna, podsunęła naszej klasie propozycję napisania i wystawienia jasełek wojennych. Przygotowaliśmy więc sztukę składającą się z epizodów z okresu okupacji (życie domowe, w partyzantce i na froncie), a zakończoną sceną spotkania artystów i żołnierzy z wszystkich frontów II wojny światowej wraz z pasterzami i trzema królami u żłóbka. Każdy fragment spektaklu opracowywał dwu – trzyosobowy zespół. Razem z Tadzim Rompałą opisaliśmy przesłuchanie przez gestapo (część I, scena III: Sąd nad Polakami). Potrzebne były rekwizyty: mundury, hełmy i karabiny. Tych pierwszych wiele było w okopach niedaleko Dębicą, a karabiny załatwił dyrektor Franciszek Sadowski w Urzędzie Bezpieczeństwa. Z dwoma kolegami odebraliśmy je z wyjętymi zamkami. Impreza była firmowana przez cały samorząd.



Przedstawienia szkolne

W tym samym roku klasa wyższa, dojrzałszej młodzieży, porwała się na wystawienie „Skąpca” Moliera. Był to naprawdę sukces. Dwie niższe klasy postanowiły pójść tym samym tropem, tym bardziej, że marzyliśmy o uzbieraniu pieniędzy na wyjazd na Ziemię Odzyskane. Równoległa klasa zaczęła próby z „Panem Jowialskim” Fredry, a my wybraliśmy „Damy i huzary”, gdyż mieliśmy w naszym gronie kilka urodziwych koleżanek. Mnie w tej sztuce przypadła w udziale rola kapelana dbającego o morale wojska. Jeździliśmy z naszym spektaklem nawet do odległych miejscowości, takich jak Mielec czy Kolbuszowa, autem ciężarowym udostępnionym bezpłatnie przez zakłady opon „Stomil” albo przez znane wówczas dębickie przetwórnictwo mięsne. A potem obie klasy ruszyły, aby przez 10 dni zwiedzać Ziemię Zachodnie od Bałtyku po Karkonosze i Górny Śląsk.





Wyjazd na Ziemię Odzyskanę





Zwiedzanie Ziem Odzyskanych



Istotny wpływ na mnie wywierało otoczenie, w którym wzrastałem i ono po części uformowało mój punkt widzenia świata, przekonania oraz poglądy. Poza pierwszorzędą atmosferą domu, ważną, kształtującą rolę odegrało środowisko szkolne i kościelne, a później akademickie. W latach gimnazjalnych i licealnych znaczące było wychowanie patriotyczne, a wychowawcy kładli nacisk na obchodzenie świąt narodowych. Dbali też o pielęgnowanie tradycji rodzinnych i religijnych. Przychodził więc do nas święty Mikołaj i urządzano tę uroczystość zbiorowo, dla całego gimnazjum, dopóki kulawemu dyrektorowi najstarsi uczniowie nie ofiarowali szczudeł (co spotkało się z oburzeniem całej społeczności). Również działalność artystyczna, często inspirowana przez nas samych, spełniała istotną rolę kształtującą nasze podejście do życia. W czasie nadobowiązkowych zajęć humanistycznych kładziono nacisk na historię Polski, dyskutowano – jeszcze otwarcie – wymieniając nieraz nasze różniące się poglądy. Zachował się tekst referatu, jaki przedstawiłem w 85. rocznicę wybuchu powstania styczniowego, w którym dokonałem krytycznej oceny jego przebiegu. Czytając go dziś stwierdzam, że nie zmieniłbym nic z wyrażonej wówczas opinii. Ważne zadanie spełniały też w gimnazjum wycieczki na Ziemię Odzyskaną, a także działalność ZHP, choć do niego, ze względu na częste kłopoty ze zdrowiem, niestety, nie należałem.

W pierwszych latach po wojnie zaangażowanie polityczne młodzieży naszego gimnazjum było niewielkie. W 1948 roku do Związku Walki Młodych przy PPR należało kilka osób, do OM TUR przy PPS kilkanaście, a do „Wici” ponad 30 członków. W tym czasie społeczeństwo Dębicy i okolic miało jeszcze powiązania z Armią Krajową i PSL-em.

O wychowanie religijne i społeczne w szkole troszczył się nasz prefekt, ks. Teofil Dec, który miał duży mir wśród młodzieży. Co niedzielę rano maszerowaliśmy na wspólną mszę świętą w kościele klasztornym. Ksiądz Dec potrafił dyskutować z nami, a także organizował wyjazdy kolonijne w ramach „Caritasu”. Dzięki takiej kolonii mogłem zwiedzić piękne Pieniny i część Beskidu Wyspowego.

Atmosfera zaczęła stopniowo psuć się w 1948 roku. Raz zjawił się nasz wychowawca, profesor Władysław Zieliński, z gorącą prośbą, aby prawie cała klasa wstąpiła do jednej z młodzieżowych organizacji politycznych, gdyż w przeciwnym razie mogą go wysłać na wieś jako złego pedagoga.



Prawie wszyscy więc wstąpiliśmy. Było to rok przed maturą. Efekt działań partii przedstawiał się mizernie. Tylko liczba członków „Wici” wzrosła do około 150. Po niecałym roku zostaliśmy jednak wszyscy włączeni do ZMP. Dwie koleżanki „niezorganizowane” miały kłopot z dostaniem się potem na studia.

Wybierając kierunek studiów, miałem jeszcze pewne wahania, czy na pewno pójdę na geografię czy może na historię. Rodzice bali się geografii, gdyż przed samą maturą, po grypie, dostałem zapalenia stawów i część wakacji spędziłem w łóżku. Przekonałem ich jednak, że marksistowskiej historii nie będę się uczył, a potem nie będę jej wykładał. Przemówiło to do nich – obojga nauczycieli. Ostatecznie zostałem więc przy geografii, ale zajmowałem się potem przez całe życie głównie badaniem historii środowiska przyrodniczego. Grzebanie w przeszłości jest jednak fascynujące!

Tak więc mój światopogląd, ukształtowany w domu i szkole, nie uległ już w późniejszym czasie żadnym zasadniczym zmianom. Ubolewania partyjnej historyczki z liceum, wówczas dyrektorki gimnazjum, wypowiedziane w klasie niedługo przed maturą, spełniły się. Kiedyś bowiem po mojej celującej odpowiedzi z westchnieniem powiedziała: „Oj, Starkel, Starkel, jeszcze byliby z ciebie ludzie, gdybyś tylko nie chodził z tacą po kościele!”. Na co Tadzio, mój sąsiad z ławki, odezwał się: „Pani Dyrektor, on nie chodził z tacą, ale ze świecą!”. I miał rację, bo ja bywałem ministrantem na mszach szkolnych, gdy ksiądz prefekta zbierającego ofiary na tacę poprzedzał zwykle ministrant z długą, zapaloną świecą.

L. Starkel, Drogi mojego życia, Kraków 2019, s.24-29.



CZESŁAW SUROWIEC

Wiktor Pietrzykowski – dyrektor, który zapoczątkował sukces dębickiego liceum.

Wiktor Pietrzykowski urodził się 5 lutego 1919 roku w Zduńskiej Woli w rodzinie o tradycjach patriotycznych. Jego dziadek za udział w powstaniu styczniowym został zesłany na Sybir. Z domu wyniósł poglądy lewicowe związane z PPS Piłsudskiego. Do szkoły podstawowej, a następnie gimnazjum uczęszczał w Zduńskiej Woli. W roku 1937 ukończył gimnazjum i rozpoczął studia na filologii klasycznej Uniwersytetu Warszawskiego. Podczas wojny przebywał w wsi Ostrowce u wuja nauczyciela. Wieś leży na obrzeżach Puszczy Kampinoskiej i podczas okupacji mieszkańcy tej wsi, jak również jego wuj, byli zaangażowani w działalność podziemną. Uczestniczył w niej również Wiktor, należał najpierw do ZWZ, a następnie do Batalionów Chłopskich, pełniąc funkcję łącznika. Uważał udział w działalności podziemnej za swój obowiązek i nawet najbliższe otoczenie dowiadywało się o tym z publikacji, a nie z Jego osobistych relacji.

Po wojnie ukończył studia, uzyskując tytuł magistra filozofii. Od 1 kwietnia 1945 roku zaczął pracować jako nauczyciel w Liceum Pedagogicznym w Zduńskiej Woli, a przez ostatnie dwa lata pracy pełnił funkcję dyrektora. Od 1 września 1952 roku objął funkcję dyrektora Liceum Ogólnokształcącego w Sokołowie Małopolskim, swojej rodzinnej miejscowości i wówczas po raz pierwszy nasze drogi życiowe skrzyżowały się, ponieważ byłem uczniem klasy dziesiątej tego liceum.

Poznałem Go wówczas jako znakomitego nauczyciela, który uczył mnie języka polskiego, matematyki i logiki. Posiadał olbrzymią wiedzę, wybitny umysł, był bardzo wymagający wobec uczniów, ale jednocześnie był ich przyjacielem i wychowawcą. Wysoko cenił szczerłość i solidarność, zwalczał donosicielstwo. Miał poglądy lewicowe, ale nie narzucał ich uczniom ani nauczycielom, zgodnie z tym, co powiedział na pierwszej radzie pedagogicznej. W tych trudnych czasach szanował nauczycieli, którzy mieli inne poglądy i starał się przekazać młodzieży prawdę. Do nich należała polonistka, uwielbiana przez uczniów, mgr Helena Pisarkowa, którą życie ciężko doświadczyło, ponieważ jej brat i mąż zginęli w Katyniu.



Od koleżanki pracującej w Kuratorium w Rzeszowie dowiedziała się, że wpłynął na nią anonim, że na lekcjach polskiego uczy elementów religii. Oczekiwała, że będzie za to ukarana. Dyrektor nie rozmawiał z nią na temat donosu, a po kolejnej hospitacji zajęć wysoko ocenił jej pracę i powiedział: „Proszę nadal tak pracować”. Podczas rozmowy z nią w ubiegłym roku zostałem zachęcony do napisania tego artykułu, ponieważ, jej zdaniem, zasłużył On na pamięć nauczycieli i uczniów.



Dyrektor Wiktor
Pietrzykowski

Troszczył się również o biedną młodzież, organizując dla niej dożywianie, przyznając pomoc materialną, a zamiejscowej młodzieży miejsce w internacie, bo były to trudne czasy. W ciągu tych dwóch lat w Sokołowie dał się poznać jako świetny organizator i pedagog, przyczynił się znacznie do zwiększenia poziomu nauczania, dzięki czemu nie mieliśmy trudności w przyjęciu na studia.

Jemu zawdzięczam wybór zawodu, a jego żonie, Jadwidze, wspaniałej nauczycielce fizyki, wybór kierunku studiów.

W roku 1954 został powołany na stanowisko wizytatora Kuratorium w Rzeszowie. Nauczyciele i uczniowie liceum oraz mieszkańcy Sokołowa żegnali Go z żalem i wysoko oceniali Jego dokonania.

Z okazji 50-lecia liceum i 40-lecia matury, podczas pobytu w sokołowskim liceum, w gronie kolegów wspominaliśmy o kłopotach, jakie sprawialiśmy dyrektorowi i po tylu latach byliśmy w stanie docenić życzliwość, z jaką nas traktował oraz jaki wpływ wywarł na nasze życie. Mimo zaproszenia, nie mógł uczestniczyć w naszym spotkaniu ze względu na stan zdrowia, jednak mile wspominał swoją pracę w Sokołowie.

Po krótkiej pracy w kuratorium objął stanowisko dyrektora Liceum Ogólnokształcącego w Dębicy. O dokonaniach dyrektora w latach 1954-1964 w dębickim liceum informowali mnie: Piotr Rybka – niedawno zmarły nauczyciel chemii oraz Edmund Galas, który pełnił funkcję zastępcy dyrektora Pietrzykowskiego, a po jego śmierci pełnił przez 12 lat funkcję dyrektora. Byli oni absolwentami tego liceum. Piotr Rybka pracował również wówczas, kiedy funkcje dyrektorów pełnili jego dwaj poprzednicy i był wybitnym nauczycielem, którego uczniowie osiągali sukcesy, nie tylko w olimpiadach krajowych, ale byli również laureatami olimpiad międzynarodowych.



Dyrektor Pietrzykowski przywrócił dębickiemu liceum wysoki poziom nauczania, jaki prezentowało w okresie międzywojennym. Przywrócił w szkole dyscyplinę i nie zgadzał się na angażowanie nauczycieli i uczniów w akcje propagandowe w godzinach nauki, jak miało to miejsce za poprzednich dyrektorów. Nie pozwalał na ingerowanie w życie szkoły władz miejskich i partyjnych, zapewniając szkole i nauczycielom niezależność. Zatrudniał nauczycieli posiadających wysokie kwalifikacje zawodowe, doświadczenie pedagogiczne i wkład pracy, oceniając ich na podstawie wyników, nagradzając ich każde osiągnięcie. Posiadał duże doświadczenie pedagogiczne, bardzo starannie przygotowywał się do hospitacji i potrafił wyłowić każdy błąd metodyczny i merytoryczny nie tylko w przedmiotach humanistycznych, ale również ścisłych. Podczas omawiania lekcji dyrektor starał się na początku wymienić to, co było dobre w zajęciach, a następnie wskazywał to, co było niewłaściwe, ale robił to w sposób uprzejmy. Działania te po kilku latach dały efekt, ponieważ już w 1958 roku uczeń Władysław Kuliga – nauczyciela matematyki – Mieczysław Rękas został pierwszym powojennym laureatem olimpiady matematycznej. Szkoła zajmowała czołowe miejsca w województwie rzeszowskim w wynikach nauczania i zaczęła odnosić sukcesy w olimpiadach.

W dębickim liceum odbywały się organizowane przez kuratorium narady dyrektorów szkół średnich. Na jednej z nich prezentowany był dorobek kółka fizycznego i chemicznego w postaci pokazu ciekawych doświadczeń. Pomyśłem dyrektora było włączenie do pracy w kółkach przedmiotowych zdolnych uczniów szkoły podstawowej. Zaowocowało to później w ten sposób, że Piotr Golicz, uczeń klasy ósmej Szkoły Podstawowej nr 2 w Dębicy uczęszczający na zajęcia kółka fizycznego, które prowadziłem w liceum, zakwalifikował się do finału olimpiady fizycznej i był jego najmłodszym uczestnikiem, wzbudzając sensację w prasie i radiu.

Po raz drugi nasze drogi życiowe spotkały się w 1961 roku w Rzeszowie, gdzie uczyłem fizyki po skończonych studiach i wówczas zaproponował mi pracę w dębickim liceum. Propozycję przyjąłem z radością, chociaż w tym czasie proponowano mi pracę asystenta na organizującej się w Rzeszowie Wyższej Szkole Inżynierskiej. Podobnie jak On mieszkalem w budynku szkolnym i brałem udział w prowadzeniu zajęć pozalekcyjnych i świetlicowych. Była to kontynuacja działalności prowadzonej w Sokołowie. Udało się stworzyć



w liceum niepowtarzalną atmosferę wzajemnej życzliwości, która sprzyjała osiągnięciu wysokich wyników nauczania. W 1964 roku, pod koniec roku szkolnego, było już wiadomo, że dyrektor odchodzi z liceum, dlatego w czasie akademii w części artystycznej odtworzono piosenkę: „Do widzenia profesorze”. Żegnając się z nauczycielami i uczniami, prosił, aby zgodnie z jego słowami starali się żyć uczciwie i mądrze.

Po odejściu dyrektora Pietrzykowskiego z Dębicy został na jego miejsce mianowany Edmund Galas. W rozmowie ze mną dyrektor Galas stwierdził, że współpracując z Nim przez blisko siedem lat, dużo się nauczył i starał się kontynuować Jego działalność. Przyniosło to znakomite wyniki, gdyż dębickie liceum w latach osiemdziesiątych było najlepszym w województwie w uzyskanych wynikach nauczania, w ilości ubiegających się o przyjęcie na studia i przyjętych oraz w ilości finalistów i laureatów olimpiad krajowych i międzynarodowych. Zaliczało się również do krajowej czołówki liceów.

W roku 1974 było siedmiu laureatów i 13 finalistów olimpiad przedmiotowych. W roku 1999 było 3 laureatów i 5 finalistów olimpiad, a jednocześnie ilość uczniów podwoiła się. Największy udział w wynikach uzyskanych w tym roku w olimpiadach miała klasa IV autorska fizyczno-matematyczna, której byłem wychowawcą i dla której opracowałem program autorski z fizyki, realizowany w latach 1994- 1999. Z tej klasy w tym roku szkolnym zakwalifikowało się do zawodów okręgowych 4 uczniów z fizyki, 3 uczniów z matematyki, 3 z chemii oraz jeden z geografii. Do finału olimpiady zakwalifikowali się: Szymek Fidziński z geografii i nautologii, Jarek Duda z matematyki, Tomek Jurkowski z chemii. Laureatami olimpiady zostali: Szymon Fidziński (zajmując pierwsze miejsce w kraju) z geografii oraz Jarek Duda z matematyki. Obydwaj byli również laureatami olimpiad międzynarodowych. Sukcesem krajowym tej klasy było również zajęcie przez pięcioosobową drużynę III miejsca w Ogólnopolskim Turnieju Młodych Fizyków w Katowicach, powtórzyli oni w ten sposób sukces z roku poprzedniego. Gdyby uczniowie pozostałych ośmiu klas maturalnych uzyskali w sumie taki sam wynik, to sukces z roku 1974 byłby powtórzony.

Wiktor Pietrzykowski od 1 września 1964 roku objął funkcję dyrektora Liceum Ogólnokształcącego w Piotrkowie Trybunalskim, którą pełnił przez dwa lata. Następnie przeniósł się do Konstantowa koło Łodzi, gdzie najpierw



pełnił funkcję dyrektora liceum, a następnie szkoły podstawowej. Po przejściu na emeryturę przez pewien czas pracował jako bibliotekarz. Dwukrotnie odwiedził dębickie liceum, ostatni raz w roku 1995, za każdym razem witany serdecznie przez nauczycieli, którzy z nim pracowali.

Zmarł nagle 11 października 1996 roku podczas pobytu w sanatorium. Pogrzeb, co było znamienne, odbył się w Dniu Nauczyciela, 14 października. W mszy żałobnej i uroczystościach pogrzebowych uczestniczyła najbliższa rodzina, współpracownicy, kombatan ci ze sztandarem, uczniowie i liczni mieszkańcy Konstancyna. Słowa pożegnania wygłosił proboszcz parafii i przedstawiciele szkół, w których pracował. Uroczystościom pogrzebowym towarzyszył smutek, łzy i żal, że nie będzie Go wśród nas, nie będzie nas już uczył, jak mądrze i godnie żyć, nie tylko słowami, ale i własnym przykładem. Prawie 50 lat swojego bardzo pracowitego życia poświęcił pracy pedagogicznej i kierowaniu pracą szkół, osiągając znakomite wyniki. Dla tych, których uczył i dla współpracowników pozostanie niedoścignionym wzorem wychowawcy, nauczyciela i dyrektora.

100-lecie dębickiego liceum jest okazją do uczczenia pamięci tych dyrektorów, którzy mają największy wkład w jego sukcesy przez umieszczenie w murach szkoły tablic poświęconych ich pamięci. Zasłużył sobie również na nią Wiktor Pietrzykowski.

(archiwum szkolne)



ANNA SZCZEPANIK

wspomnienia uczennicy

Pani Maria Grek, moja wspaniała wychowawczyni, którą darzyłam zawsze największym szacunkiem, odeszła zbyt wcześnie. Trudno jest mi uwierzyć, że dziś nie ma Jej wśród nas. To wielka strata!

Miałam szczęście, że oprócz czterech lat ogólniaka, kontaktowałyśmy się przez wiele lat na niwie zawodowej z racji mej kierowniczej funkcji pełnionej w dębickiej placówce oświatowej i Jej działalności w Związku Nauczycielstwa Polskiego.

Wspominając wspaniałą postać Pani Profesor, wracam myślami do pierwszych miesięcy po ukończeniu przeze mnie dębickiego liceum. Będąc już studentką uczelni pedagogicznej w Krakowie, w sposób szczególnie chciałam wyrazić



Profesor Maria Grek



wdzięczność mojej wspańskiej nauczycielce i pedagogowi, którą spotkałam na swej drodze i z którą bardzo blisko przez cztery lata współdziałałam jako przewodnicząca klasy. Pragnęłam okazać wyjątkowej, osobliwej i niezwykle wychowawczynie szacunek i wyjawić mą niezależną już wtedy wdzięczność za wszystkie lata wspańskiej edukacji i wychowania. Będąc na pierwszym roku studiów, gdy nadszedł, mówiąc zgodnie z ówczesną terminologią, Dzień Nauczyciela, nie mogłam oprzeć się potrzebie złożenia Pani Profesor Marii Grek życzeń, które byłyby nietuzinkowe i które by choć trochę wyrażały moje ówczesne myśli i uczucia. Jako nieco zagubiona dziewiętnastolatka, w małym akademickim pokoju napisałam nieporadny, ale pełen emocji wiersz, który wysłałam do mojej niezwyklej Pani Profesor, z nadzieją, że sprawi on Jej radość i wywoła uśmiech na twarzy. Oto fragment życzeń przesłanych tradycyjną pocztą z Krakowa 11 października 1980 roku:

(...)

I z tej okazji chcę złożyć życzenia

Zdrowia, radości , szczęścia, powodzenia.

To, o czym Pani marzy, życzę, by się spełniło,

A to, co Pani kocha, życzę, by z Panią było.

I dzień słoneczny i nocy mijanie

Niech uczniów niesie wierność, szacunek i oddanie.

Jakież było moje zdziwienia, a zarazem satysfakcja, gdy dwadzieścia lat później, na uroczystych obchodach zdania matury, podczas spotkania klasowego w murach dębickiego liceum, Pani Profesor wspomniała mój okolicznościowy wiersz i wyraziła swój osobisty, pochlebny i serdeczny stosunek do tego wydarzenia.

Pani Profesor Maria Grek była osobą niezwyklej, profesjonalną i empatyczną, zawsze odpowiedzialną i ciepłą, wrażliwą i wspaiałomyślną i taką pozostanie w mej życzliwej i wdzięcznej pamięci.

Dębica, październik 2019 r.



WOJCIECH SZMAJDA

„Piętnaście lat + 1 rok...”

wspomnienia pułkownika z lat 2002-2018

4 października 2002 roku, godz.20.10. telefon – „Wojtek, jest potrzeba w I LO uczyć, przez chwilę, przedmiotu przysposobienie obronne. Jesteś gotów? – jutro 8.00 u dyrektora”.

I zaczęło się. Krótka rozmowa z panem Dyrektorem, przedstawienie warunków i pierwsze zajęcia już o godz.9.40. Mały szok, trudności w odczytaniu skrótów i symboli w podziale godzin, gdzie jest sala nr 4, co i gdzie wpisać w dzienniku lekcyjnym? Pomylenie panów Stanisławów (tego od geografii i tego od po). Fajnie – znowu wszystko od początku, jak młody rekrut.

Grono nauczycieli przyjęło moją osobę różnie. Jedni bardzo serdecznie, inni trochę z dystansem. Byli i tacy, którzy próbowali być uszczypliwi, chyba ze względu na to, że byłem emerytowanym wojskowym. Z czasem przekonali się, że „nie taki diabeł straszny, jak go malują”, a z facetem można pogadać i pracować. Po kilku miesiącach byłem ich. Wspólna praca, wyjazdy integracyjne, organizacja różnych imprez, bale studniówkowe, wycieczki klasowe wypełniały naszą codzienność szkolną.

Szybko dogadaliśmy się ze Stanisławem (tym właściwym), czego i jak będziemy uczyć. Uzgodniliśmy podręczniki, formy lekcji, ocenianie i wspólne zajęcia. Wprowadziliśmy nowe tematy, np. Symbole narodowe i Strzelectwo sportowe. Zakupiliśmy nowe pomoce szkoleniowe. Maksymalnie staraliśmy się uatrakcyjnić nasze zajęcia. Jak się później okazało, były to strzały w dziesiątkę. Jeżeli chodzi o pana Dyrektora, to muszę powiedzieć, że to wyjątkowy człowiek. Urodzony pedagog i przełożony. Mało mówiący, niekiedy zbyt mało, ale jakże wyraziście. Każdy wiedział, co i kiedy ma robić. Zadania stawiał problemowo, nie szczegółowo, co powodowało, że mieliśmy dużo swobody w ich realizacji. To mi osobiście szczególnie odpowiadało. Trudno było cze­gokolwiek odmówić takiemu przełożonemu.



Profesor Wojciech Szajda



Uczniowie... – można napisać o nich epopeję. To wspaniali młodzi ludzie w najpiękniejszym swoim okresie życia. To wielkie znajomości, pierwsze zauroczenia, a może miłości. Chwile spędzone z nimi były pełne wzruszeń, szczęścia i radości. To most zakochanych i kłódki we Wrocławiu, osiemnastki na Gubałówce, zabawy basenowe, boleści na szlakach turystycznych i zagubienie we Lwowie. To pompki nakazane przez pana Leszka i moje bandażowanie obolałych nóg i rąk wycieczkowiczek. To podziw dla Edyty i Kamili za ich wdzięk. Paulina! – taki polonez nie ulega zapomnieniu. Piękne chwile spędzone z harcerzami, na czele z Kasią, Kamilą, Magdą i wieloma innymi. Zasady i umiejętności, którymi kierowały się na pewno zaowocowały w ich dorosłym życiu. Potrafiły uczyć się, udzielać społecznie i służyć w organizacji mundurowej. To tragiczna śmierć kol. Lidki, którą wszyscy pamiętamy...

Niezwykłe rad jestem, że podczas mojej pracy w I LO, potrafiłem „zarazić wojskiem” Jarka i młodzież szkolną. Poprzez reaktywację Związku Strzeleckiego „Strzelec” w Dębicy umożliwiliśmy uczniom poznanie służby wojskowej od wewnątrz. Oczywiście było to wszystko na trochę innym poziomie, ale dawaliśmy z siebie wszystko, na co było nas stać. Dumni jesteśmy ze strzelców, którzy w piękny sposób demonstrowali swoje zaangażowanie i poczucie dumy z tego, że są Polakami. Wielokrotnie organizowaliśmy i uczestniczyliśmy w uroczystościach o charakterze patriotycznym i religijnym, dając świadectwo zdyscyplinowania i patriotyzmu. Reprezentowaliśmy naszą szkołę podczas uroczystości, np. na Cmentarzu Orłąt we Lwowie. O poległych tam Polakach pamiętali nasi uczniowie podczas wycieczek szkolnych, składając kwiaty i zapalając symboliczne znicze. To były piękne dni...

Razem przeżywaliśmy śmierć Prezydenta RP i osób towarzyszących. Były wśród nich osoby, z którymi miałem przyjemność osobiście współpracować. Już następnego dnia, w niedzielę, zorganizowaliśmy kącik pamięci, znicz i posterunek honorowy. Jakże wspaniałe było zachowanie uczniów przychodzących do szkoły.

Na długie lata utkwiły w mojej pamięci reakcje uczniów, szczególnie dziewcząt, podczas strzelania z broni palnej na strzelnicy. Dzielne dziewczyny – chciałyby się powiedzieć – byłyście wspaniałe. Miło było potrzebować na strzelającą dziewczyny i ponosić wysiłek organizacyjny. Nie przeszkadzał im huk, odrzut broni czy zapach prochu. Wszystko wynagradzała radość z osiągniętego wyniku – „Jest dycha, ja p...”.



Do łez wzruszają mnie słowa, które moja 3a, napisała w pięknym, ręcznie robionym albumie, który otrzymałem na zakończenie ich nauki w szkole:

„Za pełne zaangażowanie i poświęcenie. Za traktowanie nas jak dorosłych i odpowiedzialnych ludzi. Za wojskowy „reżim”, za każde „walczyć”, głośne „nie poddawaj się”. Za wspaniałe wycieczki, chwile radości, zabawy i uśmiechu. Za niesioną nam pomoc, niezależnie od sytuacji, a przede wszystkim za to, że przez trzy lata naszej nauki mogliśmy zawsze na Pana liczyć!”

Czyż to nie jest piękne? Czy może istnieć lepsza nagroda niż taka wdzięczność młodzieży. Twierdzą, że nie.

Szkoła to nie tylko nauka, zarówno dla uczniów, jak i dla nauczycieli. Potrafiliśmy wszystko pogodzić. Super bawiliśmy się na spotkaniach integracyjnych, wyjazdowych radach pedagogicznych, na studniówkach i półmetkach. Wylewaliśmy pot na zawodach w piłkę siatkową. Stworzona przez pana Dyrektora atmosfera w pełni temu służyła.

Podziwiam i pozdrawiam serdecznie waleczne nauczycielki: Magdę, Ewę, Lucynę, Anetę, Martę, Beatę i inne. To dzięki takim jak Wy jest obecnie tak, jak jest. Szacunek za walkę.

Ta szkoła zasługuje na wyjątkowy szacunek. Nieważne, czy jesteś tu 20 lat czy tylko 20 minut. To kawał historii i dobrej roboty. Królu Jagiełło – prowadź! Przybyłem tu tylko na chwilę, a pozostałem przez 15 lat plus 1 rok. Dziękuję.

Dębica, sierpień 2019 r.



JAN SZTAUDYNGER

Wieczór w Dębicy...

Pierwszą moją posadę miałem w Dębicy w roku 1928. W gimnazjum im. Króla Władysława Jagiełły.

Dyrektorem był ks. Kotfis. Jedyny z moich dyrektorów, którego całkiem dobrze wspominam. Facet pocziwy z kośćcami, kochający uczniów. Nigdy nie doznałem od niego najmniejszej przykrości. Ale dość zagłębiania się w przeszłość.

Ze dwa czy trzy lata temu zaprosiło mnie to moje dawne gimnazjum na wieczór autorski. Pojechałem wzruszony. Wspomnienia, wspomnienia. Pierwsza posada nauczycielska.

Spotkanie odbyło się 14 października (...). Stanąwszy przed młodzieżą zaznaczyłem, że pierwszą rzeczą, którą zrobiłem na nowej posadzie, było zesta-

wienie listy dojeżdżających. Trudno było od młodzieży, która szereg godzin traciła na dojazd, marnując czas i energię, wymagać tyle, co od stałych mieszkańców Dębicy. W tym miejscu zerwała się z miejsca



Zofia i Jan Sztaudyngerowie - 1935 rok, Zakopane



Zofia i Jan Sztaudyngerowie - 1930 rok, zdjęcie ślubne



nauczycielka i pokazując palem na kolegów wykrzykiwała: „A co, a co, a nie mówiłam wam?”. Ta pani to była polonistka z gimnazjum im. Władysława Jagiełły.

Odczytałem fraszki, wiersze i zakończyłem wieczór. I tu nastąpiła dla mnie wielka niespodzianka, bo oto uformowało się w kolejce kilkadziesiąt młodych dziewcząt i każda kładła na katedrze przede mną bukiet kwiatów. Nigdy i nigdzie nie dostałem tylu kwiatów naraz. Dyrektor odkomenderował dwie dziewczynki (miedzy innymi swoją córkę), bo po prostu problemem było uniesienie tych naręczy kwiatów. Wszyscy troje, tonąc w kwiatach, znaleźliśmy się na dworcu.

Czułem się doprawdy szczęśliwy, gdy nadszedł pociąg i gdy moje towarzyszki o uroczych dziewczęcych twarzyczkach sunęły za mną z naręczami kwiatów. Nazajutrz miałem gotowe prezenty dla cici Jadzi i dlatego tak dobrze zapamiętałem sobie datę tego wieczoru. Poza tym odszukałem moją dawną uczennicę z Dębicy i podzieliłem się z nią dębickimi kwiatami.

Morze kwiatów tak mnie oszołomiło, że zamieniło gorycz wspomnień na słodycz uznania. Chytrze mi zabroniono opłakiwać dawną, minioną przeszłość.

Anna Sztaudynger-Kalisiewicz, Chalipięta,
czyli rozmowy z tatą, Wyd. Łódzkie, 1973, s. 379.



ZBIGNIEW SZUREK

„Trzy dekady w Jagiellie, 92 lata w Dębicy i dla Dębicy”

wspomnienie o Zdzisławie Grundboeck



Profesor Zdzisława Grundboeck
z okresu pracy w liceum

Zdzisława Grundboeck (1919 – 2011) – dębiczanka. Nazwisko prawdopodobnie pochodzenia szwedzkiego, co w tłumaczeniu znaczy płytki strumień. Przez całe życie była związana z Liceum Ogólnokształcącym w Dębicy, najpierw jako uczennica, później nauczycielka. Jej dom graniczy ze szkołą.

PISAŁA, GRAŁA W ORKIESTRZE...

Gdy była w siódmej klasie szkoły podstawowej, zmarł jej ojciec. Był nauczycielem, później pracował w sądownictwie. W latach 1933 - 1939 uczęszczała do gimnazjum o profilu humanistycznym. Była bardzo zaangażowana w Związek Harcerstwa Polskiego, pełniła funkcję kronikarki drużyny i drużynowej zastępów. Pisała do gazetki szkolnej „U nas”, śpiewała w chórze pod batutą profesora Kazimierza Klamuta, grała na skrzypcach w orkiestrze prowadzonej przez profesora Krzysztofa Christoffa.

Jej pasją jednak była organizacja pod nazwą Przystosowanie Obronne Kobiet. Na obozach zdobywała szlify instruktorskie.

W maju 1939 roku zdała egzamin dojrzałości jako jedna z pierwszych abiturientek Państwowego Liceum w Dębicy. Po maturze, jak każdy absolwent, myślała o dalszej nauce, ale pamiętna jesień przekreśliła marzenia.

POMAGAŁA JUŻ WE WRZEŚNIU

We wrześniu 1939 roku przystąpiła do Polskiego Czerwonego Krzyża. Działała w punkcie sanitarnym i żywnościowym na stacji PKP w Dębicy, wraz z nią obsługiwały go między innymi: Wanda Dąbrowska, Stefania Towarnicka, Helena Pudłowska, Zofia Dwornik, Danuta Strusieńska, Helena Stopa.

Pani Zdzisława pomagała także jeńcom w koszarach V Pułku Strzelców



Konnych, gdzie zorganizowano obóz przejściowy dla polskich żołnierzy. Dowoziła im chleb, przekazywała wiadomości.

KWESTY Z LOGO PCK

Od maja 1940 roku pracowała jako sanitariuszka w ambulatorium PCK w Miejskiej Szkole Handlowej (obecny Ekonomik), którego kierownikiem początkowo był Kazimierz Gradziński, a następnie, po powrocie z niewoli, dr Stefan Zdanowski. Obsadę sanitariuszek uzupełniały: Gizela Appel, Genowefa Bełtek, Stefania Towarnicka i Krystyna Jarecka.

W maju 1941 roku pani Zdzisława przeniesiona została do biura PCK, którego kierownikiem była Maria Śnieżek. Dokumentowała korespondencję otrzymaną od Polaków przebywających w Kazachstanie i na Syberii. Rejestrowała wysiedlonych z Poznańskiego i ze Śląska oraz terenów wschodnich. Ponadto pomagała przygotowywać paczki dla uchodźców. Z pracownikami oddziału PCK kwestowała po domach i zbierała datki do puszek z symbolem czerwonego krzyża.

Z KSIĘŻNĄ JABŁONOWSKĄ

Po likwidacji przez Niemców terenowych oddziałów PCK, Zdzisława Grundboeck od czerwca 1941 roku pracowała w Polskim Komitecie Opiekuńczym. Była to powiatowa komórka Rady Głównej Opiekuńczej, instytucji utworzonej za zgodą i pod nadzorem okupanta w celu niesienia pomocy ludności cywilnej. Prezesem delegatury RGO na powiat dębicki była księżna Helena Jabłonowska.

Po przeszkoleniu na kursie zielarstwa w Krakowie, przy pomocy parafii, dworów i szkół, organizowała ona zbieranie ziół leczniczych. Na podstawie kwitów z punktu skupu można było w Arbeitsamcie uzyskać kartę zatrudnienia, co chroniło od wywózki na przymusowe roboty do Rzeszy.

PO NIEMCACH DOM ZAJĘŁO NKWD

Zdzisława Grundboeck zaangażowana była także w konspirację. Działała jako łączniczka Armii Krajowej w placówce Tarnów. W maju 1942 roku wraz z sąsiadami została wyrzucona ze swojego domu przy ulicy Wermachtstrasse, gdyż okupant na tym obszarze tworzył dzielnicę niemiecką. Zamieszkała w trudnych warunkach nieopodal, na ulicy Wielopolskiej.



Od września 1943 roku, przez rok, pracowała jako księgową w Spółdzielni Rolniczo- Handlowej.

Po wejściu wojsk sowieckich do Dębicy 23 sierpnia 1944 roku, rodzina Grundboecków została wysiedlona. Okres zatrzymania się frontu przeżyli w Jarosławiu. Po powrocie w marcu 1945 roku do Dębicy, pani Zdzisława nie mogła zamieszkać we własnym domu, gdyż zajęło go NKWD. Udało jej się zatrudnić w Liceum Ogólnokształcącym, gdzie również pokątnie pomieszkiwała. Uczyła wychowania fizycznego i przysposobienia wojskowego.

33 LATA PRZY SŁOWACKIEGO

W 1946 roku rozpoczęła studia w Wyższej Szkole Wychowania Fizycznego w Poznaniu, po ukończeniu których, w latach 1950-55, nauczała kolejno w liceach w Sanoku, Rzeszowie i Piłźnie.

W roku 1955 wróciła do dębickiego liceum i prowadziła lekcje wychowania fizycznego, a w Szkolnym Klubie Sportowym sekcje piłki siatkowej, ręcznej i lekkoatletyki. Przez parę lat opiekowała się również Kołem PCK.

Rok 1987 był ostatnim rokiem jej pracy. W czasie blisko 40 lat nauczania, w tym 33 w dębickim liceum, uzyskała między innymi Krzyż Kawalerski Orderu Odrodzenia Polski, Złoty Krzyż Zasługi, wpis do Księgi Zasłużonych dla Dębicy.

W TYM ROKU ZAKWITNĄ BEZ NIEJ

Jako pracownik LO w Dębicy, Panią Zdzisławę Grundboeck pozdrowiałem często, kiedy chodziła po swoim skromnym ogródku lub wyglądała przez okno. Pomogła mi ogromnie w uzupełnieniu historii PCK na Ziemi Dębickiej, szczególnie w okresie okupacji hitlerowskiej. Często do mnie dzwoniła, gdy sobie coś nowego przypominała ze swojego życiorysu. Miała znakomitą i szczegółową pamięć. Była bardzo życzliwa i pogodnego ducha. Gdy ją odwiedzałem, nuciła sobie czasem: „Świat nie jest taki zły, niech no tylko zakwitną jabłonie...”.

W tym roku nie doczekała zakwitnięcia pierwszych kwiatów, zmarła 13 marca, w niedzielę.

Dębica, 2011 r.



JAN SZYMASZEK

wspomnienia z lat 1928-1932

Mój pierwszy kontakt z Państwowym Gimnazjum im. Króla Władysława Jagiełły w Dębicy datuje się od początku roku szkolnego 1928/29.

Uprzednio uczęszczałem do Gimnazjum w Pleszewie (województwo poznańskie) do klasy IV włącznie. Po przeprowadzeniu się rodziców do Dębicy, musiałem również zmienić szkołę. Ze świadectwem ukończenia klasy IV zgłosiłem się do dyrekcji gimnazjum, gdzie zostałem przyjęty przez sekretarza, profesora Alojzego Buszkę. Po załatwieniu wstępnych formalności, zostałem wprowadzony do gabinetu dyrektora, ks. Błażeja Kotfisa. Zadawałem sobie pytanie: „Jakie będzie to moje pierwsze spotkanie z dyrektorem?”.

Przed moimi oczami przewijały się jeszcze obrazy z ostatnich dni pobytu w poprzedniej szkole. W świeżej pamięci miałem jeszcze pożegnanie z dyrektorem, w uszach dźwięczały pożegnalne słowa zachęcające do solidnej i wytrwałej nauki. Nowy dyrektor w sutannie okazał się osobą o łagodnej, uśmiechniętej twarzy, a spokojny i łagodny głos spowodował, że moje onieśmienie minęło. Zostałem przyjęty do szkoły i przydzielony do klasy V A. Spodziewałem się, że, jak każdy nowy uczeń, będę przyjęty do grona uczniowskiego z pewną rezerwą, co wydawało mi się zupełnie naturalnym. Nie omyliłem się. W najbliższych dniach przechodziłem różne „próby”, a niektórzy koledzy niedwuznacznie wykazywali, że brakuje mi wiele, aby im dorównać. Tak było na początku. Wkrótce wszystko się zmieniło, kolegów przybywało, a ja starałem się unikać scysji z „dowcipnisiemi”.

Lojalnie przyznać muszę, że niełatwo jest rozpocząć rok szkolny w nowym środowisku, z nieznanymi dotąd kolegami i nowym gronem nauczycielskim. Dla wszystkich byłem wielką niewiadomą. Dopiero sprawdzanie wiadomości mogło dać odpowiedź na pytanie – ile wart jest ten „nowy” i co z niego wyrosnąć może? Starałem się przygotowywać na bieżąco na wszystkie lekcje, ale często, chociaż byłem przygotowany – na przeszkodzie stawała moja chorobliwa wtedy nieśmiałość w swobodnym wypowiedzianiu się na



tematy z różnych dziedzin. Dlatego nie zostałem „orłem”, ale też nie zaliczałem się do gorszych uczniów. Poza nauką szkolną obowiązkową miałem jeszcze sporo czasu na czytanie lektur. Pasję czytania wyniosłem z poprzedniego gimnazjum i miałem za sobą wiele przeczytanych książek.

Język polski nie sprawiał mi najmniejszego kłopotu. Nieco gorzej miałem opanowany język niemiecki, co wynikało z faktu, że nauczycielka ucząca nas niemieckiego, była jednocześnie wykładowczynią języka francuskiego. Często więc, na naszą prośbę, zamieniała lekcje i zamiast niemieckiego, przerabialiśmy lekcje z języka francuskiego.

Gimnazjum w Dębicy było w tym czasie typowo męskie. Pojedynczo spotykane dziewczęta uczęszczały na prawach eksternistek. Miało to swoje dobre strony, bo staraliśmy się być rycerskimi wobec dam, ale z drugiej strony nie umieliśmy bliżej poznawać psychiki dziewcząt. Z zainteresowaniem zerkaliśmy przez okna na dziedziniec szkolny, gdzie często przebywały uczennice z sąsiadującego Seminarium Nauczycielskiego. Rozdzielność płci była powodem, że kontynuowano piękny zwyczaj gry na mandolinach dla przekazywania tęsknoty młodzieżowych nastrojów.

Nauka trwała. Przerwywnikami były niedziele z przemarszem młodzieży do kościoła na wspólną szkolną mszę. Potem następował powrót przed budynek gimnazjalny, aby przy dźwiękach uczniowskiej orkiestry maszerować przed dyrektorem gimnazjum.

Ucząc się, obserwowaliśmy kolegów ze starszych klas, szczególnie z klas maturalnych. Zadawaliśmy sobie pytanie, ile trzeba jeszcze się uczyć, ile trudu pokonać, aby dobrnąć do mety.

Wspomnieć muszę, że z uwagi na znaczną ilość młodzieży szkolnej, istniały dwie równorzędne klasy: A i B. Podział ten był powodem pewnej rywalizacji między klasami, ale bliższego zżycia się między kolegami z równorzędnych klas nie było. Dodatkowym momentem braku pełnej konsolidacji między uczniami był fakt, że wielu kolegów dojeżdżało do szkoły z rejonu Sędziszowa (ci trzymali się razem), inni koledzy, pochodzący spoza Dębicy, mieszkali w bursie, względnie prywatnie, na stancjach. Różnie układały się warunki poszczególnym kolegom, ale stwierdzaliśmy niejednokrotnie, że najlepiej byli przygotowani uczniowie mieszkający w bursie. Tam nauka odbywała się pod nadzorem starszych kolegów.



Czas upływał i po dwóch latach nauki znalazłem się w klasie VII A. Wypada mi przedstawić grono profesorów naszego gimnazjum z tego okresu. Języka polskiego uczyli mnie w różnych klasach: prof. Józef Marcinkowski – pedagog bardzo wymagający, ale sprawiedliwy, później przez pewien czas uczyła polskiego nauczycielka Hermina Gaszczykówna, a w ostatnim roku mojego pobytu w szkole uczył j. polskiego prof. Jan Piotrowski. Wszyscy starali się przekazać nam piękno mowy ojczystej oraz dorobek literatury narodowej. My zaś, doceniając trud nauczycieli, uzupełnialiśmy naszą wiedzę lekturami.

Prof. Marian Paluch, ucząc geografii, wszczepił nam umiłowanie kraju, zapoznał nas z pięknem przyrody, a owocem jednej wycieczki w Pieniny połączonej ze spływem Dunajcem, było zaszczepienie mi bakcyła turystyki, której niewolnikiem stałem się na długie lata.



Pieniny, rok 1935, wycieczka młodzieży liceum z profesorem Marianem Paluchem

Wiadomości z języka niemieckiego przekazywał nam początkowo prof. Leon Bard, po jego odejściu przejął nas prof. Józef Cięciel, który jednocześnie był wychowawcą klasy. Nastroszony wąs profesora sprawiał pozory srogoci, w rzeczywistości był nauczycielem wymagającym, ale bardzo życzliwym. Przed wystawieniem noty czasem zastanawiał się, potem wypowiadał zdanie „Du must mehr lernen”. Wiedzieliśmy, że odpowiedź nie była właściwa, a uczeń musiał przysiąc fałdów.

Łaciny uczył nas początkowo prof. H. Żurawski. Był człowiekiem o wielkiej dobroci i gołęmbim sercu. Czasem tej dobroci nadużywaliśmy, ale taka jest młodzież. Profesor starał się nauczyć nas różnych cytatów, względnie przysłów,



dla utrzymania nas w ryzach zalecał nam recytowanie tych przysłów z chwilą wejścia profesora do klasy. Kolejno więc recytowaliśmy zapamiętane cytaty. Po odejściu profesora Żurawskiego, kolejno łaciny uczyli: prof. Grzegorz Bobak, który był nadzwyczaj wymagającym pedagogiem, kolejnym wykładawcą był prof. Stanisław Wiśniewski, wreszcie w klasie maturalnej uczył nas prof. Stanisław Spytkowski.

Fizyki i chemii uczył nas jeden z młodszych w tym czasie profesorów. Był nim inż. Władysław Zieliński. Był wspaniałym pedagogiem. Umiejętnie wprowadzał nas w tajniki fizyki i chemii. Przekazane nam wiadomości z tych przedmiotów były ogromnie przydatne w czasie późniejszych studiów.

Profesor Jan Szczreba był nauczycielem ćwiczeń cielesnych i jednocześnie opiekunem hufca szkolnego. Chociaż nieraz dawał nam „w kość”, zachowaliśmy go we wdzięcznej pamięci.



Profesor Jan Szczreba
(w mundurze harcerskim)
i skautki (1926 rok)

Profesorowie Alojzy Buszko oraz Michał Staroń przekazywali nam wiadomości z historii średniowiecznej i nowożytnej oraz współczesnej, zachęcali nas jednocześnie do pogłębiania tych wiadomości w domu.

W tajniki matematyki wprowadzał nas prof. Adolf Fink. Po jego odejściu zostaliśmy uczniami prof. Ludwika Kity. Nauczył nas myślenia matematycznego. Przedmiot ten był trudny dla tych, którzy mieli słabe podstawy, dla lepiej wtajemniczonych był lżej strawny.

Inżynier Stanisław Zaworski, inwalida wojenny z I wojny światowej, uczył nas przyrodznawstwa. Całym sercem oddany był młodzieży, która nie zawsze umiała docenić swojego profesora.



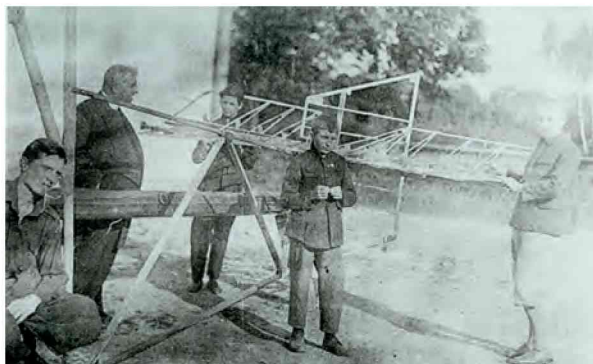
Naukę religii wpajali nam ks. Wojciech Trytek, a po jego odejściu ks. Wilhelm Boczek. Często dyrektor Błażej Kottfis zaszczycał nas swoją obecnością i kontrolował zasób posiadanych wiadomości.

Przedmiotów nadobowiązkowych uczyli: śpiewu – prof. Kazimierz Kłamut, który ponadto był jeszcze dyrygentem chóru szkolnego, rysunków nauczał prof. Michał Skiba, który wytrwale wpajał nam zasady perspektywy, a modelami stosowanymi w czasie rysunków były zbiory przyrodnicze, wnętrza kościoła, względnie domy. Roboty ręczne były domeną prof. Władysława Zielińskiego seniora.

Wspomnieć należy również lekarza szkolnego, Fryderyka Pollaschka, który wiele lat troszczył się zdrowie młodzieży gimnazjalnej.

Nie można pominąć również długoletnich woźnych, szczególnie Józefa Ciurkota oraz jego pomocników: Michała Malinowskiego i Józefa Maduzię.

Z pobytu w klasie VII zachowałem w pamięci pewne fakty, które warto wspomnieć. Dla pogłębienia swoich wiadomości oraz dla wyżycia się w ramach swoich zainteresowań, uczniowie mogli należeć nadobowiązkowo do istniejących przy gimnazjum kół. Między innymi istniało Szkolne Koło Ligi Ochrony Powietrznej i Przeciwwgazowej (LOPP), którego opiekunem był prof. Adolf Fink, jego zastępcą natomiast był Władysław Zieliński senior. Z tego koła została wyłoniona sekcja szybowcowa, do której miałem przyjemność należeć i w której przez pełen rok brałem czynny udział. W gronie współpracujących kolegów byli: Józef Gnacek i Władysław Wasilewski z klasy VI A, Eugeniusz Czauderna, Władysław Osiecimski, Franciszek Wójtowicz i Tadeusz Ozga z klasy VI B oraz Adam Jabłoński i Stanisław Pięta z klasy III.



Ksiądz profesor Błażej Kottfis z młodzieżą w trakcie budowy szybowca



Po rocznej pracy mieliśmy wykończony całkowicie kadłub szybowca z obudową, obydwie płyty nośne oraz lotki. Ze względu na przejście do klasy maturalnej, zaprzestałem działalności na tym odcinku.

Moje czytanie i zamiłowanie do książek zostało zauważone przez nauczycieli polonistów, wobec czego zostałem zaangażowany do pracy w bibliotece uczniowskiej. W charakterze bibliotekarza spędzałem wiele czasu, aby w czasie przerw między lekcjami wypożyczać kolegom potrzebne im książki. Jeden katalog, dostępny do wglądu uczniów w czasie wypożyczenia, nie ułatwiał nikomu zadania. Często, mimo najlepszych chęci z mojej strony, nie wszyscy koledzy mogli otrzymać żądane książki. W tym czasie zrodził się pomysł, by sporządzić taki katalog, który byłby dostępny dla wszystkich kolegów bez tłoczenia się w małym pomieszczeniu biblioteki. Porwałem się z przysłowiową motyką na słońce. Chciałem własnoręcznie taki katalog napisać. Za wiedzą i aprobatą prof. Herminy Gaszczukówny uzyskałem zezwolenie na korzystanie z maszyny do pisania w godzinach popołudniowych. W tej dziedzinie byłem samoukiem. Metodą palcową wybierałem litery, by po kilku mozolnych dniach nabrać wprawy. Katalog został napisany na arkuszach papieru kancelaryjnego w kilku egzemplarzach. Jeden egzemplarz został naklejony na arkuszach papieru pakunkowego, całość została przytwierdzona na ścianach korytarzy szkoły. W czasie przerw uczniowie mogli przystawać przed tym spisem, zapoznawać się z numerami interesujących ich książek. Od tego czasu sama praca w bibliotece odbywała się bardzo szybko. Z akcji tej wyniosłem pewne korzyści, gdyż nabrałem zamiłowania do pracy dla drugich oraz znajomość pisania na maszynie, co bardzo przydało się w mojej pracy zawodowej i społecznej. Poza biblioteką byłem jeszcze zatrudniony w czytelni uczniowskiej. Do moich obowiązków należało wypożyczanie gier i zabaw oraz dbanie o porządek.

W ostatnim roku pobytu w szkole nastąpiło połączenie obydwu oddziałów, tak, że uczniowie z klasy VII A i VII B znaleźli się w jednej klasie. Okazało się wtedy, że przez pewien czas trzeba było się „docierać”, a czasu nie było wiele, bo matura tuż, tuż...

Początek roku szkolnego 1931/32 zapisał się w mojej pamięci bardzo nieprzyjemnym incydentem, gdyż nasz kolega Stefan Bochnia po scysji z prof. Michałem Staroniem na lekcji historii, targnął się na swoje życie. Klasa maturalna wymagała od nas całkowitego skoncentrowania się na nauce,



szczególnie na tych przedmiotach, które miały być wybrane przez nas do zdawania na maturze. Odpadły wszystkie zajęcia nadprogramowe. Matura miała być podwójnym egzaminem, nas uczniów oraz nauczycieli, którzy mieli zbierać owoce wieloletniego siewu. Nadszedł ten oczekiwany czas. Egzaminy pisemne z j. polskiego, łaciny i fizyki zdałem pomyślnie i byłem zwolniony z obowiązku zdawania tych przedmiotów przy egzaminie wstępnym.

Z tego okresu zapamiętałem pewien humorystyczny moment. Egzamin ustny z języka niemieckiego zdawał nasz kolega Heniu Siedliskier, wyznania możeszowego. Kiedy Henio przebywał na sali egzaminacyjnej, jego ojciec niespokojnie biegał wokół budynku szkolnego, szukając kogoś czy czegoś. Zapytany przez nas, czemu tak niespokojnie biega, odpowiedział: „Mój Herszek zdaje niemiecki”. „Przecież on dobrze zna niemiecki” – stwierdziliśmy. Na to Siedliskier senior mówi: „Un? Un zno niemiecki, ale całkiem inacj”. Na takie stwierdzenie parsknęliśmy śmiechem. Egzamin jednak wypadł pomyślnie dla naszego kolegi.

Termin mojego egzaminu ustnego przypadł na dzień 4 czerwca 1932 roku. Wielu kolegów miało egzamin już za sobą, ja do niego miałem dopiero przystąpić. Była to sobota, godziny popołudniowe. Miałem zdawać z kolegami: Edwardem Nowakowskim i Marianem Piętą. Oni mieli zdawać po cztery przedmioty, mnie pozostała jedynie historia. W czasie egzaminu rozszalała się burza z piorunami, było ogromnie parno, a my dodatkowo pociliśmy się z emocji. Po zapoznaniu się z treścią pytań stwierdziłem, że mam całkowi-tą pustkę w głowie. Od czego zacząć, co mówić i ile mi wystarczy wiadomości na wyczerpanie tematu? Poproszony do stołu egzaminacyjnego, usiadłem i odnalazłem w pamięci pierwsze zdanie, które uznałem za możliwe do wstępnego omówienia tematu. Potem nastąpiła zaskakująca mnie rzecz. Nie wyczerpawszy tematu, otrzymałem kolejne pytanie, by po dwóch zdaniach odpowiedzi otrzymać kolejne pytanie. Pytań tych było bardzo dużo. Najbardziej zdumiony był chyba sam prof. Marian Paluch. Podszedł zresztą do mnie po egzaminie i mówi: „Mówiłeś, że niezbyt dobrze jesteś przygotowany do egzaminu, a tymczasem śpiewałeś jak z nut”. Racja była jednak po mojej stronie, bo przecież łatwiej jest odpowiedzieć na pewne problemy „po łebkach” niż wyczerpać temat dogłębnie. Liczyło się jednak to, co komisja słyszała z moich ust przy egzaminie. Po tym wysiłku myślowym, jakim było przeżycie na sali



egzaminacyjnej, powoli przychodziłem „do siebie”. Z sali egzaminacyjnej wyszedł przewodniczący komisji, wizytator Władysław Horbacki, pogratulował mi wiadomości i zadał jeszcze jedno pytanie następującej treści: „Proszę pana, jak pan po egzaminie? Czy zgodziłby się pan przyjść w poniedziałek rano, aby dowiedzieć się o egzaminie?”. Nie przeczuwając niczego podchwytliwego w zadanym pytaniu, odpowiedziałem twierdząco. Wizytator z uśmiechem na ustach odpowiedział: „Złapałem pana na złej odpowiedzi. Komisja egzaminacyjna musi się zebrać tego samego dnia po przeegzaminowaniu wszystkich zdających bez względu na porę i tego samego dnia winna ogłosić wynik”. Ponieważ pytanie, na które odpowiedziałem nieprawidłowo było zadane „poza konkursem”, odpowiedź nie wpłynęła na ostateczną ocenę. Zdałem historię z wynikiem bardzo dobrym.

Skończył się jeden etap życia. Co miałem dalej robić? Miałem warunki domowe tego rodzaju, że nawet nie mogłem głośno pomarzyć, kim chciałbym zostać. Z pomocą przyszedł mój wychowawca, prof. Józef Cięciel. W lipcu, względnie sierpniu, zapytał mnie, co mam zamiar dalej robić. Odpowiedziałem zgodnie z prawdą, że nie widzę przed sobą żadnych możliwości dostania się na studia wyższe. Wspomniałem jedynie o służbie wojskowej. Profesor zapytał mnie chytrze czy nie chciałbym się dostać na medycynę. O tym kierunku studiów nigdy nie myślałem, ale odpowiedziałem, że same chęci nie wystarczą, gdyż trzeba znać właściwą drogę, by dostać się na uczelnię. Wyraziłem jednak zgodę. Od profesora otrzymałem list polecający, zgłosiłem się pod wskazanym adresem i zostałem przyjęty na Wydział Lekarski Uniwersytetu Jagiellońskiego, bez egzaminu, bo w tym czasie obowiązywał jeszcze konkurs matur.

Kiedy wracam wspomnieniami do lat szkolnych spędzonych w dębickim gimnazjum, widzę przed oczyma przesuwaną się szereg moich starszych i młodszych kolegów, a więzy przyjaźni zawiązane w szkole przetrwały wiele prób, tak w czasie wojny i okupacji, jak w czasie późniejszym. W pamięci zachowałem wszystkich moich profesorów, którym tak wiele zawdzięczam, a zaciągnięty w szkole dług wdzięczności mogłem później niejednokrotnie, chociaż w części, spłacić, pełniąc swoje obowiązki zawodowe. Mój kontakt z gimnazjum nie skończył się z chwilą uzyskania dyplomu maturalnego. Tak się złożyło, że w latach 1946/47 mogłem pełnić obowiązki lekarza szkolnego.



Było to w okresie, kiedy dyrektorem szkoły był Franciszek Sadowski. Ponownie w 1949 roku, za czasów dyrektury pani Zofii Hołubowicz, przez szereg miesięcy byłem znowu lekarzem szkolnym.

Dodać mi wypada, że w okresie przed II wojną światową gimnazjum w Dębicy ukończył również mój młodszy brat Edward. Zaś w latach powojennych moich troje dzieci: Tadeusz, Jadwiga i Jerzy. Zdawali matury w tym samym budynku, ale już sztyl szkoły był inny, bardziej złożony, bo gimnazjum i liceum.

Tyle lat minęło, tylu kolegów ubyło, z profesorów mnie uczących nie ma już żadnego w Dębicy. Ostatni odszedł prof. inż. Władysław Zieliński. Tyle zmian w Dębicy – mija wiele rocznic, a wspomnienia szkolne trwają jak żywe. Łza się w oku kręci...

Dębica, 19 września 1979 r.



BOLESŁAW TABAS

wspomnienia ucznia z roku 1922

Urodziłem się w Dębicy 12.12.1911 roku w rodzinie kolejarskiej, tzn. dziadek, ojciec, stryjawie, wujowie, no i ja, byliśmy kolejarzami.

W siódmym roku życia zacząłem uczęszczać do szkoły powszechnej, która liczyła siedem klas. Jej dyrektorem był wtedy pan Pietruszewski, a opiekunką klasy pani Paluchowa i jej pomoc, pani Sadowa, które do dnia dzisiejszego bardzo mile wspominam. Gdy spotykam panią Paluchową, to wracają w pamięci dawne, dobre czasy, lata beztrioski. A było to w roku 1919.

Po ukończeniu szkoły powszechnej (czterech klas) zdałem do pierwszej klasy Gimnazjum Państwowego im. Władysława Jagiełły w Dębicy. Nadmienię jeszcze, że w tym czasie w Dębicy była tylko jedna szkoła powszechna i jedno gimnazjum. Gimnazjum liczyło 800 uczniów.



Dyrektor Piotr Passowicz

Do pierwszej klasy gimnazjum w Dębicy zdałem w 1922 roku. Dyrektorem szkoły w tym czasie był Piotr Passowicz, który mieszkał w budynku gimnazjalnym na pierwszym piętrze, od strony południowo-zachodniej, a obok znajdowała się nasza klasa I B. Dyrektor zawsze przechodził obok naszej klasy, idąc rano do biura.

Za moich czasów było trzech dyrektorów: Piotr Passowicz, ks. Błażej Kotfis i Franciszek Sadowski. Pierwsi dwaj rozumieli młodość i mieli dla niej czas i zrozumienie. Obaj zapisali się w mojej pamięci jako ludzie godni szacunku.

Z profesorów najserdeczniej wspominam inżyniera Władysława Zielińskiego, a więź, która narodziła się między nami w latach gimnazjalnych, przetrwała do ostatnich lat życia profesora.

Do gimnazjum w Dębicy uczęszczałem tylko do siódmej klasy, gdyż zmuszony byłem przenieść się do Państwowego Gimnazjum im. Stanisława Konarskiego w Mielcu.





Profesor Władysław Zieliński

Dziś z dawnej paczki uczniów z klasy pozostało nas niewiele, kilku zabrała wojna. Z pozostałymi kontakty się pozrywały. Ci najserdeczniejsi odeszli, reszta rozproszyła się po świecie i milczy. Czasem dochodzą tylko wieści, że ten czy inny odszedł z naszego grona na zawsze.

Dębica, wrzesień 1979 r.



MICHAŁ WŁADYSŁAW URBANEK

wspomnienia z pobytu w dębickim gimnazjum w latach 1900-1908

w roli ucznia i w latach 1944-45 w roli nauczyciela

W czerwcu 1900 roku ukończyłem pięć klas szkoły powszechnej. Kończyłem lat czternaście. O dalszej nauce w gimnazjum w Tarnowie lub w Rzeszowie mowy być nie mogło z powodu ubóstwa rodziców. Ponieważ byłem słabowity, marzyli oni dla mnie o jakiejś lekkiej pracy, np. pisarczyka w biurze, z perspektywą stanowiska kancelisty. Ale było to marzenie ściętej głowy. Miejsc takich w Dębicy było mało i z reguły zajmowali je synowie mieszczan. Ja byłem „wsiakiem”, bo pochodziłem ze wsi Kawęczyn, okalającej Dębicę.

Czekał mnie więc wieloletni termin w jakimś zawodzie rzemieślniczym (szewca, krawca, murarza, stolarz, itd.), ale uśmiechnęło się do mnie szczęście. Z początkiem lipca nadarzył mi się świetny zarobek, a mianowicie akordowa praca przy oczyszczaniu z zaprawy murarskiej cegieł ze zburzonego magazynu kolejowego. Z entuzjazmem podjąłem się tej pracy. Wstawałem o świcie i pracowałem od piątej rano do siódmej wieczorem z jednogodzinną przerwą obiadową. Dziennie mogłem oczyścić do siedmiuset cegieł i zarobić siedem „sztówek”, za które można było kupić kopę jaj. Zarobek wysoki! Byłem dumny, że zarabiałem więcej niż oboje rodziców. Nic to, że paliło słońce, że pot oblewał całe ciało, że ręce drętwiały, że pył tamował oddech i wywoływał kaszel; myśl o zapłacie wieczorem wynagradzała wszystko. Pokochałem tę pracę i marzyłem o tym, by zostać murarzem.

Nagle z końcem sierpnia gruchnęła wieść, że w Dębicy od pierwszego września ma być otwarte gimnazjum. Gdy wróciłem po pracy do domu dowiedziałem się, że ks. prałat (ks. Eugeniusz Wolski, proboszcz dębickiego kościoła św. Jadwigi) i mój nauczyciel Pietruszewski zaproponowali rodzicom, by mnie zgłosili do egzaminu. Rodzice byli bardzo zadowoleni, że ich marzenia o nauce dla mnie się spełniają, ja zaś rozpaczałem, że muszę pożegnać się z luksusowym zarobkiem i z upragnionym zawodem. Ale wola rodziców była dla mnie święta. Egzamin zdałem bez trudności. Rodzice uszyli z szemiotu ubranie ze stojącym kołnierzykiem, a na nim srebrny pasek i stałem się w wieku 14 lat uczniem pierwszej klasy gimnazjum.



Gimnazjum było błogosławieństwem dla Dębicy, zapewniało jej rozwój kulturalno-oświatowy i gospodarczy. Gimnazjum stawało się ważnym ośrodkiem oświaty i kultury obok dotąd istniejących – szkoły powszechnej i kościoła oraz ważnym czynnikiem wyrównywania różnic społecznych. Miało charakter rozwojowy, tzn. co rok przybywała nowa klasa. Umożliwiało ono nie tylko młodzieży dębickiej, ale i z okolicznych miasteczek i wsi dalsze kształcenie się w szkołach średnich i wyższych. Do pierwszej klasy zdało egzamin pięćdziesięciu jeden uczniów z Dębicy, Pilzna, Ropczyc, Sędziszowa, Mielca, Tarnobrzega i okolicznych wsi.

Początki gimnazjum były trudne. Tymczasowy budynek gminny nieduży, bez odpowiedniego podwórza i sali gimnastycznej. Środowisko o niskiej kulturze i zacofanych poglądach społecznych. W mieście brak księgarni, sklepu papierniczego, jakiś lokali rozrywkowych. Cały prymitywny handel znajdował się w rękach biedoty żydowskiej.

W szkole brak było podręczników, jakichkolwiek pomocy naukowych, a co najważniejsze brak było nauczycieli.

Rok szkolny rozpoczął się pierwszego września uroczystym nabożeństwem w kościele parafialnym. Mszę św. odprawił prefekt gimnazjalny, ks. Szablewski. Kazanie wygłosił ks. Prałat Eugeniusz Wolski, który podziękował władzom za pozwolenie otwarcia gimnazjum, zaś komitetowi organizacyjnemu (do którego sam należał) w osobach burmistrza Henryka Zauderera i adwokata Sydona Friedberga za starania o otwarcie. Nas uczniów wezwał do sumiennego



Dyrektor Józef Szydłowski
wraz z nauczycielami i uczniami
przed nowym budynkiem szkoły



wypełniania obowiązków i szacunku dla rodziców i nauczycieli. Właściwa uroczystość odbyła się po nabożeństwie w „auli” budynku szkolnego.

KLASA I

Mieściła się na parterze, w sali od podwórza. Liczyła pięćdziesięciu jeden chłopców. Byli to przeważnie chłopcy starsi, czternastoletni, dziesięciolatków było zaledwie czterech.

Nauczycieli było tylko trzech. Dyrektor Józef Szydłowski objął naukę języka łacińskiego. Był to człowiek młody, ok. trzydziestoletni, blondyn, średniego wzrostu, twarz uśmiechnięta, pociągająca, oczy jasne, pogodne. Przyjaciel młodziem i wybitny pedagog. Z miejsca zyskał sobie naszą sympatię i zaufanie. Umiał zainteresować przedmiotem. Przy uczeniu słówek i gramatyki nawiązywał stale do jakiegoś szczegółu ze starożytności. Równocześnie więc z nauką o języku, zdobywaliśmy wiadomości z kultury i historii rzymskiej.

Religii uczył nas ks. Szablewski, prawdziwy wychowawca, wyrozumiały i sprawiedliwy, zasługujący na uznanie i szacunek.

Gimnastykę prowadził nauczyciel szkoły powszechnej, Jan Rąb.

Wychowawcą klasy i nauczycielem reszty przedmiotów był Feliks Tobiżyk. Nie grzeszył przystojnością. Wargi grube, górna zajęcza, rysy ostre, oczy żywe, bystre, palące, bujna, ciemna czupryna. Gdy się rozgniewał, wyglądał wprost groźnie. Mimo to lubiliśmy go i przywiązaliśmy się do niego. Był wymagający. Np. z geografii ogólnej, której uczył na ślepej mapie, na każde pytanie trzeba było „wyśpiewać” odpowiedź z pamięci i następnie pokazać wszystko na mapie. A jednak nie narzekaliśmy. Lekcje geografii były dla nas zabawą, rodzajem dzisiejszej „zgaduj zgaduli”. Wszyscy wpatrzeni byliśmy w nauczyciela, staraliśmy się odgadnąć jego myśli zanim padło pytanie. Do dziś wiele z tych wiadomości pozostało w mojej pamięci.

Ale największą ochotę do nauki rozpałił we mnie nauczyciel przyrody. Poznałem wówczas chyba wszystkie motyle i ćmy występujące w naszym mieście i okolicy. Śledziłem ich rozwój od jajka, poprzez gąsienicę, poczwarkę do motyla. Poznałem mnóstwo owadów, miejscowe gady, płazy i ptaki, ich rozwój i sposoby życia, zapoznałem się również dokładnie z miejscową florą, a wszystko dzięki temu, że awansowałem do rangi asystenta profesora. Moim obowiązkiem było dostarczać na lekcje wszystkie potrzebne okazy, możliwie żywe.



Często towarzyszyłem profesorowi wcześniej rano przed lekcjami w poszukiwaniu „łupu”. Oglądaliśmy pnie drzew, kopaliśmy ziemię przy ich nasadzie, myszkowaliśmy pod murami, śledziliśmy życie fauny w stawach, w rzekach i zazwyczaj z bogatą zdobyczą wracaliśmy do domu.

Drugim moim obowiązkiem była konserwacja zdobytych okazów fauny i flory. Wspólnie z kol. Józkiem Klimaszewskim przygotowaliśmy szereg oszklonych gablotek z wzorowo spreparowanymi i przyszpilonymi ćmami, motylami, owadami. Gablotki te – obok kilku map – były jedynymi pomocami naukowymi w klasie pierwszej.

KLASA II

Mój entuzjazm do przyrody i zamiar (naiwny) napisania wskazówek do zbierania i konserwacji motyli i owadów zgasił za jednym zamachem w klasie drugiej nauczyciel botaniki nazwiskiem Ogonek, podobno nieukończony medyk, zupełne przeciwieństwo pedagoga z prawdziwego zdarzenia, Tobaczyka – zarówno pod względem metod nauczania, jak i stosunku do uczniów. Gdy ofiarowaliśmy się przynieść potrzebne do lekcji okazy, zraził nas pytaniem: „A to po co?”. I rzeczywiście nie było po co. Nauczyciel bowiem zadawał się jedyną do botaniki pomocą naukową, jaką był jaskier ostry z plastiku z możliwością rozkładania, by poznać budowę kwiatu. Poza tym niczego nie wykładał, niczego nie wyjaśniał, niczym się nie interesował. Zadawał z podręcznika: odtąd – dotąd, odpytywał na następnej lekcji, itd. Nie zyskał sobie u nas ani szacunku, ani autorytetu, ani uznania.

Historii i geografii (jeden przedmiot) uczył nas w klasie II Petryński, Rusin, przeniesiony z Galicji Wschodniej czy za karę, czy ze względów politycznych. Przeniesienie to wytrąciło go z równowagi. Stał się dziwakiem, a nawet pośmiewiskiem. W klasie zachowywał się jakby był w półśnie. Na początku lekcji zwracał się zwykle do klasy z pytaniem, jaki temat mamy opracowywać. Potem siadał i nieraz długo milczał wpatrzony w jakiś punkt nieokreślony, nie bacząc, co się dzieje w klasie. Czasem schodził z katedry, rzucał pytanie w swoistej wymowie: „Prosięś ciebie – tu padało nazwisko – powiedz mi...”, podchodził do okna i obrócony tyłem do klasy, z rękami w kieszeniach spodni stał nieruchomo, zapominając o pytaniu i pytanym. Uczeń, korzystając z podręcznika czy podpowiadania, recytował odpowiedź dwa i trzy razy, wreszcie



znudzony zwracał się do profesora z uwagą: „Panie profesorze już skończyłem”. Profesor jakby ze snu ockniony, obracał się, patrzył na ucznia, zapisywał w notesie notę i pytał dalej.

Z tego zamyślenia profesora korzystali nieraz „wybij-okna” klasowe i robili mu ubliżające jego autorytetowi psikusy. Wtedy profesor wpadał w pasję, z wściekłością rzucał się na winowajcę, chwycił go za kark i wyrzucał za drzwi. Sypały się kary karceru, obniżano noty z zachowania, co równało się utracie zwolnienia z chesnego, a Wojtek Bitomski został nawet na pół roku wydalony ze szkoły. Ale te kary nie ratowały autorytetu nauczyciela. Nie pamiętam, po roku czy dwóch, wrócił on w swoje ojczyście strony i może tam odzyskał równowagę ducha. Typ pożałowania godny, ale zasługujący raczej na współczucie niż lekceważenie.

Nauka w klasie pierwszej i drugiej nie sprawiała mi trudności, mimo ciężkich warunków, w jakich żyłem. Mieszkaliśmy w dwóch małych stancyjkach. Miałem pięcioro młodszego rodzeństwa. Rodzice byli bardzo lubiani, stąd zawsze było u nas pełno sąsiadów. W zimie mieszkanie nasze zmieniało się w samorodną świetlicę. Śpiewano, opowiadano niestworzone rzeczy, czytano, grano w durnia, mariasza kiksa, domino. Było tłoczno i gwarno. Zebrania kończyły się normalnie koło północy. W tych warunkach w zimie o nauce nie mogło być mowy, w lecie można było uczyć się na polu.

Była u nas jeszcze jedna stancyjka, której mieszkało trzech moich kolegów. Trzy łóżka, stolik i ława stanowiły całe umeblowanie. Pożywienie przywozili im rodzice, w naturze również płacili rodzicom za mieszkanie, gotowanie i obsługę. Tak mniej więcej wyglądały wszystkie stancje. Upychano uczniów zamiejscowych gdzie się dało. Nic dziwnego, że lokatorom stancji było nieraz głodno i chłodno, a warunki do nauki zawsze marne. U nas było niewiele lepiej, choć matka dokładała wszelkich starań, by chłopcy nie byli głodni.

Często zaglądałem do nich i pomagając im w lekcjach sam się douczałem. A czasu na naukę było mało. W lecie w klasie pierwszej i drugiej pasłem krowę, stale dopomagałem rodzicom w zajęciach domowych i już w klasie pierwszej uczyłem kolegę z Pilzna, za dwa reńskie miesięcznie. Że w tych warunkach i przy tym braku czasu uchodziłem za jednego z najlepszych uczniów, to chyba zawdzięczam swojej obowiązkowości, punktualności, pilności, dobrej pamięci, a może i zdolnościom.



KLASA III

W klasie trzeciej zmian wiele. Nowe przedmioty: mineralogia, greka i fizyka. Mineralogii uczył nas prof. Bobiak, Rusin. Człowiek bardzo sympatyczny, nauczyciel sumienny, wymagający, ale odstręczający nas metodą wyłącznie pamięciową, oschłą, niebudząca najmniejszego zainteresowania.

Fizykę objął prof. Stachnik, syn chłopa z Pierzykowej. W tym przedmiocie wszystko dla nas było nowe, ciekawe i interesujące: i magnetyzm i elektryczność. Do nauki pogładowej początkowo było bardzo mało pomocy. Ale bawiło nas i wytwarzanie prądu przy pomocy laseczek kauczukowych i zachowanie się naelektryzowanych kuleczek zawieszonych na nitkach i wędrowki opiłków żelaznych za magnesem... A gdy z czasem zjawiała się jeszcze maszyna (Wintera) do wytwarzania prądu i zobaczyłem iskrę przebiegającą do kondensatora, byłem zachwycony i oszołomiony. Zakochałem się w fizyce, jak w klasie pierwszej i drugiej w przyrodzie. Marzyłem i pragnąłem sam robić doświadczenia. Niestety, do przyrządów mieli dostęp wybrańcy: Władek M., siostrzeniec prałata i Sydon F., syn adwokata. A gdy profesor dowiedział się o moim pragnieniu, odparł brutalnie: „Wykluczone! Ojciec dziad, to kto zapłaci, gdy coś się uszkodzi?”. Zabolało mnie to bardzo, ale entuzjazmu do fizyki nie straciłem, tylko że na lekcjach fizyki przeżywałem męki.

Do nauki religii przyszedł ks. Kotfis z Tarnowa. Młody, przystojny, z lekkim zezem, układny, towarzyski, stał się wkrótce ulubieńcem kobiet i elity dębickiej. Ale w naszej klasie daleko mu było do zdobycia zaufania, a nawet sympatii, przynajmniej, jeśli chodzi o nas starszych. Przeżywaliśmy bowiem w tym czasie „Sturm un Drang Periode”, okres przełomu. Zaostrzał się krytycyzm, rodził się bunt przeciwko rzeczywistości, przeciw wszelkim dogmatom, nawiedzały nas myśli światoburcze. Czytaliśmy Darwina „O pochodzeniu gatunków w przyrodzie” (oczywiście nie wszystko rozumieliśmy), prowadziliśmy dyskusje na temat powstania świata, życia i tematy religijne. Często o wyjaśnienie wątpliwości zwracaliśmy się do katechety. Rzadko z wyjaśnień byliśmy zadowoleni, bo nie mogło nas zadowolić kategoriyczne twierdzenie: „Wierz, to nie będziesz wątpił”. A kiedy byliśmy nieustępliwi i pytania nasze stawały się coraz śmielsze i bardziej natarczywe, katecheta ratował się wyłapywaniem nieobecnych na egzortach czy w kościele, czy sypaniem dwój lub obniżaniem stopni z religii, co i mnie się zdarzyło i to w klasie ósmej za czytanie



dzieła „O celowości w przyrodzie”. Wymagał od nas podczas mszy w niedzielę i święta klęczenia od Sanctus do Agnus Dei i modlenia się z książeczek – oczywiście do nabożeństwa. I stale nas kontrolował. Buntowaliśmy się (w duszy) przeciw temu przymusowi, obwiniając go o poniżenie naszej godności osobistej. Klęczeć trzeba było i trzeba było trzymać książeczki w ręce, gdy katecheta nadchodził. Ale z modleniem się było rozmaicie. W klasach wyższych np. zamiast książeczek do nabożeństwa pojawiły się miniaturowe wydania poezji, zamiast modlitwy czytaliśmy półgłosem erotyki, hymny do nirwany, itp. Odbywało się to wśród wzdychań i zawodzeń, co nawet najpoważniejszych z bliskiego otoczenia pobudzało do śmiechu. Podobne skutki wywoływał przymus spowiedzi i komunii. Ta walka jawna i ukryta z przymusem trwała do matury.

Z czasem ks. Kotfis miał się zmienić zupełnie. Na stanowisku dyrektora, które zajął po śmierci uwielbianego przez młodzież dyrektora Szydłowskiego, grzeszył taką pobłażliwością, że doprowadził szkołę do zupełnego rozprężenia.

Naukę łaciny objął nowy nauczyciel, Zygmunt Skórski. Młody, przystojny, postawny, z rudawym wąsikiem, zawsze gustownie i elegancko ubrany. Chodząca powaga. Nie umiał się śmiać. Śmiały się tylko jego oczy, a na ustach pojawiał się wtedy nieokreślony grymas. Mimo młodego wieku, budził wśród nas wielki szacunek. Chodził po klasie wolno, mówił wyraźnie, z rozważą, jakby się zastanawiał nad każdym słowem. Ta jego powaga, ten jakby wstyd przed uśmiechem i głęboka wiedza zmuszały do milczenia i uwagi. Czy w klasie, czy poza klasą zachowywał dystans między sobą a uczniami. Nie miał beniaminków, nie uznawał różnic klasowych. W każdym calu pedagog. Lubiliśmy go i szanowali. Chętnie uczyliśmy się łaciny, bo umiał zainteresować przedmiotem, umiał w tekstach uwypuklić wzory do naśladowania. Taki np. Epaminondas – wzór patrioty. Do dziś pamiętam jego słowa, jakie wypowiedział śmiertelnie ranny po zwycięskiej bitwie pod Mantineą: „Satis visi, invictus enim moriar” (Dosyć żyłem, umrę bowiem niezwyciężony). Wśród wielu zalet chyba na czoło wybija się sprawiedliwość profesora. Dzięki niej podbił nasze serca i zyskał u nas miano Arystydesa. Z prawdziwym i głębokim żalem żegnaliśmy go, gdy po czterech latach odchodził do Lwowa.

Osobna wzmianka należy się poloniście. Był nim Jan Szufa. Niski, szczupły blondyn, noszący głowę stale pochyloną na prawo. Bigot, klerykał, konserwatysta, wiernopoddańczy wobec rządu austriackiego. Podręcznik był dla



niego alfa i omęga. Uczył nas przez lat cztery, ale budził odrazę do języka polskiego. Współczesność dla niego nie istniała, postęp podlegał krytyce. Myśli postępowe w naszych zadaniach domowych określał jako „światoburcze” i obniżał za nie noty. Wykład prowadził suchy, metodę miał nudną, schematyczną, przy wygłaszaniu z pamięci nie zwracał uwagi na dykcję, akcenty, przestankowanie. Nudziliśmy się przy streszczeniu „Pana Tadeusza”, „Ogniem i mieczem” z opuszczeniem scen erotycznych. Prawdziwe nudy narodowe. Brak było nawet wzmianki o wartościach wychowawczych i artystycznych. Ważna była sucha treść, bez analizy i komentarzy. Podobnie wyglądała literatura niepodległej Polski. Lektury trzeba było wkuwać z podręcznika na pamięć.

Jednakowo były ważne życiorysy pisarzy i ich dzieła, jak i dzieła niezwiązane z epoką. A jednak i lekcje języka polskiego przynosiły pewne korzyści. Profesor wymagał, aby zadania, zwłaszcza domowe, pisane były możliwie kaligraficznie i by zeszyty klasowe były idealnie czyste. Inną korzyścią było pamięciowe przyswajanie sobie dowolnie wybranych wierszy. Na stopień dobry trzeba było na każdy okres wyrecytować z pamięci najmniej pięćdziesiąt wersów, na bardzo dobry sto. Muszę jednak stwierdzić, że profesor Szufa był przez naszą klasę powszechnie nie lubiany. Jego rutyniarstwo, skostniałość odstręczały od przedmiotu, którego uczył, odpychały od jego osoby. Jemu jednemu uczniowie z zemsty wybili szyby w mieszkaniu i ostatecznie zmusili go do opuszczenia Dębicy.

KLASA IV

Do języka niemieckiego przyszedł młody, przystojny profesor Danecki. Greki tylko przez jeden rok uczył profesor Kołodnicki, który często sam o sobie mówił z ironią: „Rusin z czarnym podniebieniem”. Był to człowiek w średnim wieku, przystojny, tryskający zdrowiem, wybitnie inteligentny, kulturalny, dobry pedagog. Przejmował się przedmiotem i umiał nim zainteresować. Patriota ruski, ale chyba bez nienawiści do narodu polskiego. Zorganizował w naszej klasie kurs języka ruskiego. Języka wprawdzie nas nie nauczył, ale zapoznał nas z życiem i twórczością uwielbianego przez siebie poety Szewczenki, a przy tej sposobności z niektórymi przedstawicielami literatury ruskiej.

Historii uczy nas w tej klasie profesor Józef Wyrobek, znawca przedmiotu, wytrawny pedagog, wielki patriota. Dzięki głębokiej wiedzy i zapałowi, jaki towarzyszył każdemu jego wykładowi, zyskał sobie u nas prawdziwy szacunek i uznanie.



Pod jego wpływem stałem się entuzjastą historii. Pewne zastrzeżenia budził u nas jego lojalizm wobec rządu austriackiego. Ideałem władcy był dla niego „najmiłościwiej panujący cesarz Franciszek Józef I”, a dynastia habsburska uosobieniem wszelkich cnót. Ze wzruszeniem rozwodził się nad koligacjami Piastów i Jagiellonów z Habsburgami. Raz całą lekcję poświęcił Ernestowi Żelaznemu i Cymburce i stąd przydomek „Cymburka”, jaki nosił w języku uczniowskim. I przytoczę jeszcze jeden przykład lojalizmu kochanego profesora. Co roku Trzeci Maja obchodziła szkoła bardzo uroczyście. Dzień był wolny od nauki. Rano odbywała się msza św. z patriotycznym kazaniem, a wieczorem pochód wszystkich uczniów z muzyką gimnazjalną przez miasto do jakiejś kapliczki lub figury. W pochodzie brała udział cała Dębica. Jeden z kolegów z naszej klasy wygłaszał przemówienie patriotyczne, ocenzone uprzednio przez szkołę. W jednym roku ja miałem być mówcą. Gdy przedłożyłem opracowane przeze mnie przemówienie profesorowi Wyrobkowi, skreślił zdanie potępiające Rosję, Prusy i Austrię za rozbiór Polski. A kiedy odmówiłem wygłoszenia tego przemówienia, wstawił zdanie: „Austria została zmuszona do wzięcia udziału w rozbiórce, by osłabić Rosję i Prusy”. Taki prąd był popularny wśród mniej oświeconych mas oraz galicyjskiej administracji i nie kolidował z patriotyzmem.

Dowodem patriotyzmu profesora były lekcje poświęcone historii Polski. W rozkładzie godzin miały one nazwę: historia kraju rodzinnego. Lekcja ta, jedyna w tygodniu, w podziale godzin znajdowała się zawsze na ostatniej godzinie nauki i była nadobowiązkowa. Oczywiście zapisywaliśmy się na nią wszyscy i nie było wypadku, by ktoś się z niej zwalniał. Historii Polski uczyliśmy się sumienniejsz niż innych przedmiotów i staraliśmy się zdobyć jak najlepsze stopnie. Zachęcały nas do tego wykłady profesora, w które wkładał nie tylko wiedzę, ale i uczucie, nie tylko myśl, ale i serce, serce odczuwające tragedię narodu i przeczuwające jego odrodzenie. Opowiadano mi, że pogrzeb profesora stał się wielką manifestacją, w której wzięły udział rzesze młodzieży i tłumy dębiczan. A przy słowach księdza: „Requiescat in pace” (Spoczywaj w pokoju) rozległ się powszechny szloch.

W tej klasie była wycieczka do Krakowa. Pamiętam, jak wstrząsające wrażenie wywarło na nas zbezczeszczenie Zamku Królewskiego na Wawelu przez kwaterujące w nim wojsko. Widok ten utrwalił w nas nienawiść i do trzeciego rozbiory – Austrii.



Nauka w tej klasie nie sprawiała mi trudności. Mimo wielu zajęć w szkole i coraz liczniejszych lekcji prywatnych, w ciągu dwóch miesięcy „połknąłem” całą „Trylogię” i zakochałem się w Sienkiewiczu. Swoim entuzjazmem zaraziłem i starsze pokolenie. W ciągu zimy przeczytano ją u nas, w naszej samorodnej świetlicy. Czytano do późna w nocy z udziałem wszystkich sąsiadów. Po lekturze każdego rozdziału odbywała się żywa, zacięta dyskusja na temat bohaterów i zdarzeń.

KLASA V

Nowością wśród nauczycieli był przyrodnik Schirnboeck. Nazwisko niemieckie, ale był dobry, szczerzy Polak, również dobry pedagog, ludzki, wyrozumiały, cieszący się sympatią wszystkich. Chromał na nogę i chodził skrzywiony.

Natomiast w zachowaniu się klasy, w jej poglądach religijnych, moralnych i politycznych zaznaczyły się poważne zmiany. To, co kiełkowało dotąd w klasie, zaczęło owocować. Stało się to pod wpływem kolegów nowicjuszy przybyłych z pobliskich gimnazjów, a nawet z Jarosławia, z Chyrowej. Najczęściej powodem tej emigracji było palenie się gruntu pod nogami. Gimnazjum dębickie stawało się jakby azylem dla rozmaitych niebieskich ptaków, oportunistów, spryciarzy, kombinatorów rozumujących, że w gimnazjum rozwojowym, niemającym tradycji, łatwiej jest „bujać” profesorów, za nos wodzić kolegów, naciągać naiwne gospodynie na stancjach i prowadzić swobodne życie poza szkołą. Przybyli więc Rusini: Sapelak i Cichowlas, przybył Franek Uchniał po odsłużeniu trzyletniej służby wojskowej w ułanach, przybył Majewski i Krzyżak, Władek Pełdak, a chyba dopiero w następnej klasie Machowicz. Przybysze kuci na cztery nogi, bo z niejednego pieca chleb jedli – wzięli „rząd dusz” w swoje ręce. Zaczęło się od wzmożenia walki z przymuszaniem religijnym, czego przejawem stały się ucieczki z egzort i nabożeństw, uchylanie się od spowiedzi i komunii św., czytanie książek antyreligijnych, „maltretowanie” ks. Kotfisa pytaniami, na które nawet wybitny teolog nie znałby odpowiedzi. Wszelkie represje ze strony szkoły były bezskuteczne. Ustanowiono godzinę policyjną: w lecie – dziewiątą, w zimie – ósmą. Zabroniono pokazywania się na ulicy z jakąkolwiek kobietą, nawet z rodziny, wymagano zezwolenia na chodzenie na ślizgawkę, saneczki, tenis, na zabawy koleżeńskie. Zareagowano na to śledzeniem prywatnego życia katechety i „szpiegami” profesorów.



Wiadomości zdobyte rozmaitymi drogami stawały się podstawą do urabiania opinii publicznej.

Zaczęły się wyjazdy do domu publicznego w Tarnowie. Kolportowano książki i fotografie pornograficzne. Bomba wybuchła, gdy przyłapano dwóch kolegów późnym wieczorem u młodej żony pocztowca. Przyłapani zbiegli przez okno. Śledztwo nie dało rezultatów. Kolega Krzyżak, lat 21, dobry uczeń i kolega, musiał opuścić szkołę, gdy ujawniono, że miał dwoje dzieci z córką gospodyni, u której mieszkał, panną o piętnaście lat starszą. Przyjął posadę na pocztę i ożenił się z nią. Wykryto też romans Machowicza z młodą żoną sędziego. Romans doprowadził do rozbitcia szczęśliwego małżeństwa. Machowicz przeniósł się z uwiedzioną do Krakowa i tam ją porzucił.

Obmyślony i zorganizowany atak przypuszczono na prof. Szufę. Atak, to znaczy wybijanie szyb, trwał bez przerwy kilka miesięcy, mimo ochrony mieszkania przez straż i policję. Mszczono się nie tylko za niesprawiedliwe (zdaniem uczniów) noty, ale za szpiclowanie, za donosy, za miażdżenie indywidualności i samodzielności, za dławienie wszelkiej postępowej i wolnej myśli, za klerikalizm i służalczość wobec władz rządowych. Nauczyciel wreszcie skapitulował, ale czy w Sokalu zmienił swoje postępowanie?

Poza tymi żakowskimi (ocena społeczna) wybrykami konflikty naszej klasy ze szkołą uwydatniły się i na innym tle. Przychwycono mianowicie kolegów na kolportowaniu „Naprzód”, „Teki” i „Reformy”. Od razu na całą Dębicę poszła fama, że w gimnazjum szerzy się socjalizm, że młodzież jest wywrotowa, buntuje się przeciwko religii, klerowi i państwu, propaguje poglądy rewolucyjne. A kiedy jeszcze dowiedziano się o tajnym zebraniu u Rudka Lipy zorganizowanym przez siódmoklasistę z Tarnowa (choć na zebraniu dyskutowano o powołaniu do życia kółka naukowego o charakterze postępowym) opinia publiczna orzekła, że delegat z Tarnowa przyjechał szerzyć zgniliznę. Kolporterzy dostali po piętnaście godzin karceru, co pociągało za sobą utratę zwolnienia z czesnego, ale myśli postępowej w klasie nie zduszono.

Ponieważ większość z nas wyszła z biedy, niektórzy ocierali się o głód, czy więc popełnili zbrodnię, że dopominali się o awans społeczny? Ja np., żeby zrobić na siebie i pomóc rodzicom, chodziłem na lekcje od godziny drugiej do siódmej i dłużej, lekcje bardzo trudne i marnie opłacane. Kolegom pomagałem bezinteresownie. Uchodziłem już wtedy za najlepszego korepetytora.



KLASA VI

Ferment trwał jeszcze i w tej klasie, ale na ogół klasa zaczęła przybierać poważniejszy charakter. Przyszli nowi nauczyciele. Do języka niemieckiego przybył prof. Miller (później zmienił nazwisko na Dąbrowski). Inteligentny znawca przedmiotu, życzliwie do nas ustosunkowany. Próbował zmienić dotychczasową filologiczną metodę nauczania na nowożytną, zmierzającą do swobodnego mówienia po niemiecku. Jednak zwyciężyło przyzwyczajenie.

Do historii przyszedł Michał Staroń, przygotowujący się do egzaminu nauczycielskiego na Uniwersytecie Jagiellońskim. Od początku zrobił na nas niesympatyczne wrażenie swoją zarozumiałością („znam ja Kraków”). Wyróżniał uczniów z „lepszych domów”, sucho traktował „wsioków”. Choć od niektórych z nas był niewiele starszy, na wszystkich patrzył z góry, uważał nas za smarkaczy. Mieliśmy wątpliwości co do jego wiedzy, bo w czasie wykładów nie opuszczał katedry i patrzył w otwarty podręcznik jak sroka w kość, dodając sobie fantazji wkładaniem kciuków pod kamizelkę i lawirując resztą palców jakby grał na fortepianie. W ocenach był surowy. Baliśmy się go, ale nie szanowali.

Przeciwnieństwem jego był nasz nowy wychowawca, nauczyciel matematyki i fizyki – Michał Radomski. Szatyn, twarz smagła, inteligentna, wąs pokręcony, oczy śmiejące się, nawet wtedy, gdy udawał gniew. Był bardzo przystępny i bardzo pobłażliwy. Wymagał szczerości, pilności, systematyczności i punktualności, bo sam był punktualny, jak dobrze chodzący zegarek. Dla jego charakterystyki warto przytoczyć scenkę, którą do dziś zachowałem w pamięci. Niepoprawnym spóźniałskim w klasie był kol. Małek, nasz komik klasowy. Wyprowadzony z równowagi wychowawca zagroził mu, że jeżeli jeszcze raz się spóźni, obniży mu stopień z zachowania, co pociągnie za sobą utratę zwolnienia z chesnego. Oczywiście za tydzień czy dwa Małek znowu się spóźnił. Na widok otwierającego drzwi Małka, twarz profesora spochmurniała, wąsy to z jednej, to z drugiej zaczęły się podnosić, wargi drgać. Nadchodziła burza. W klasie cisza. Napięte oczekiwanie. Nawet winowajca na widok groźnego profesora stracił zwykłą fantazję, stał przy drzwiach jak wryty, z zawiązanymi sznurkiem książkami pod pachą lewej ręki i czapką nerwowo miętą w prawej. Milczenie przedłużało się. Spodziewaliśmy się gromów. I wreszcie z zaciśniętych ust wychowawcy wyrwały się gniewne, drżące słowa: „Małek... znowu!”, „Nie, panie profesorze...”, „Proszę się nie tłumaczyć, bo...”, „Nie, naprawdę...



zegar...”, „Słyszałem to już setki razy. Dość tych krętaactw!”, „Nie, panie profesorze...Dziś...”, „ No więc, co dziś... co dziś...?”. Małek oprzytomniał. Profesor pozwala mu się wytłumaczyć. I już spokojnie mówi: „Naprawdę, panie profesorze, dziś coś nadzwyczajnego”. „No więc co?” – padło pytanie wciąż gniewnego profesora. „No bo dziś to już nie ja , ale pan profesor winien”. Ryknęliśmy śmiechem, a profesor zdumiony krzyknął: „Jak to ja? Proszę mówić całą prawdę”. „No właśnie chcę powiedzieć. Dlaczego pan profesor wyszedł dziś tak późno do szkoły?” „Jak to, dlaczego? Zaciałem się paskudnie przy goleniu i nie mogłem krwi zatamować”. „No właśnie- mówi skruszony winowajca- my zawsze wstajemy, gdy zobaczymy przez okno pana profesora. Szybko jemy śniadanie i jeszcze na czas zdążymy do szkoły. A dziś czekamy, czekamy...”. „A bodaj Małka...Przecież i mnie może coś się zdarzyć”. „No i widzi pan profesor, że dziś...”. „Dosyć już, dosyć” – przerywa udobruchany wychowawca – „Tym razem jeszcze...”. „Dziękuję bardzo, panie profesorze”.

Ta scena charakteryzuje świetnie dobroć i wyrozumiałość wychowawcy. Pokochałem go, bo mi zawsze okazywał dużo serca i bolał nad tym, że mam w domu tak ciężkie warunki pracy i że zabijam się za lekcjami. Dzięki niemu matematyka i fizyka stały się moimi ulubionymi przedmiotami i najwięcej lekcji miałem właśnie z tych przedmiotów. A musiałem rzeczywiście coś umieć, skoro w siódmej klasie podczas dwumiesięcznej choroby – angina z nawrotem malarii – rozwiązałem wszystkie zadania z podręcznika Kranza na klasę siódmą i ósmą.

KLASA VII

Klasa spoważniała. Bo wiek był po temu. Ponad dwudziestu kolegów ukończyło dwadzieścia jeden lat, stanęło do poboru wojskowego i zostało uznanych za zdolnych do służby wojskowej, a między nimi ja. Po zdaniu matury mieliśmy prawo do jednorocznej służby. Mnie przydzielono do pułku pierwszego Ochrony Narodowej w Wiedniu.

Nie bez znaczenia dla naszej poważniejszej postawy było odejście z klasy kilku warchołów – prowodyrów, którzy nigdzie miejsca dłużej zagrzeć nie mogli. Najważniejszym jednak czynnikiem był chyba zbliżający się egzamin dojrzałości ze wszystkich przedmiotów maturalnych.

Po odejściu Szufy, język polski objął prof. Zasowski. Łysy, szpakowaty, choć miał dopiero około trzydziestu lat. Esteta i entuzjasta przedmiotu. On dopiero



zaczął wprowadzać nas w tajniki piękna i głębi myślowej utworów Mickiewicza. Dzięki jego wykładom i analizie utworów dojrzelśmy w Mickiewiczu światłego geniusza. Miłość do Maryli zajaśniała w najczudniejszych blaskach i kształtowała nasze pojęcia o miłości. Patriotyzm Mickiewicza urastał do jakiejś tytanicznej siły, która pochłaniała wszystkie uczucia i myśli człowieka, nad którą nie ma nic piękniejszego na świecie, dla której warto żyć i umierać. On dopiero ukazał nam głębię problematyki i nowatorstwa „Dziadów” oraz wprowadzał nas w krainę piękna „Pana Tadeusza”. Profesor porывał nas swoimi wykładami, były one dla nas źródłem żywej wody po nudziarstwach Szufy. Żywiliśmy więc wielką wdzięczność dla nowego profesora, a równocześnie współczuliśmy mu, bo całymi godzinami kuł do egzaminu nauczycielskiego, który miał zdawać na Uniwersytecie Jagiellońskim już po raz trzeci. Od pomyslnego wyniku tego egzaminu miał zależeć jego ślub z Zosią Kazanowską, córką inżyniera zatrudnionego przy regulacji Wisłoki.

Łacinę objął z powrotem nasz ukochany dyrektor Szydłowski, a grekę i logikę – prof. Antoni Migdał. Trochę dziwak. Przy tym chodził po klasie z rękami w kieszeniach marynarki. Młody, przystojny brunet. Wymagał niezwyklej ścisłości, pamięciowego opanowania lekcji, zrozumienia tekstu. Marginesowo tylko i rzadko dotykał walorów artystycznych i kulturalnych utworu. Gorzej było z logiką, a w klasie ósmej z psychologią. Dyktował z pamięci i wymagał dokładnego recytowania. Gdyśmy prosili o wyjaśnienia i dyskusję, zamykał nam usta stwierdzeniem, że skoro skończył uniwersytet, to nie po to, by go uczniowie uczyli, jak ma uczyć. W nauczycielach pragnęliśmy widzieć wzory postępowania. Niestety, takie wzory należały do wyjątków. Nawet nauczyciele uchodzący za dobrych byli urzędnikami, przekazującymi nam lepiej lub gorzej przepisana programem wiedzę. Nie byli natomiast wychowawcami. Nie znali młodzieży, nie liczyli się z jej zainteresowaniami, krępowali jej samodzielność. Kiedyśmy się dowiedzieli o śmierci Wyspiańskiego, klasa złożyła pieniądze na wieniec i pragnęła wysłać delegację na pogrzeb wielkiego poety. Grono odmówiło pozwolenia. Delegatem naszym na udział w pogrzebie był Janek Szczerbiński. Czy to nie dowód skrajnego konserwatyzmu?

W gronie w tym czasie zaczęło się dziać niedobrze. W willi Wilusza, nowego notariusza i burmistrza Dębicy, zaczęły odbywać się zebrania towarzyskie urozmaicone grą hazardową w karty. W zebraniach brało udział kilku członków grona. To rzuciło cień na szkołę, która dotąd była beniaminkiem



społeczeństwa dębickiego. A kiedy jeszcze nadeszła wiadomość, że Rada Szkolna Krajowa przeniosła ze Lwowa do gimnazjum dębickiego w drodze dyscyplinarnej za szerzenie w szkole zbyt postępowych poglądów prof. Michała Janika (Ministerstwo uchyliło tę decyzję Rady) na tle tego wydarzenia mówiono o gimnazjum jako o kolonii karnej.

W tym roku nastąpiło poświęcenie nowego gmachu gimnazjum wybudowanego przez miasto. Poświęcenie nabrało charakteru manifestacyjnej uroczystości, w której wzięła udział cała elita dębickiej inteligencji, a zaszczycił ją również najwyższy dygnitarz Galicji, namiestnik Andrzej Potocki. Po uroczystym nabożeństwie poświęcenia gmachu dokonał ks. biskup Wałęga z Tarnowa. Następnie goście zebrali się w auli. Nas, najstarszą klasę, ustawiono na podwyższeniu. Nastrój był wyjątkowo podniosły. Po oficjalnych przemówieniach głos zabrał namiestnik. Podkreślił znaczenie gimnazjum jako najważniejszego w Dębicy ośrodka oświaty i kultury, a kończąc przemówienie, zwrócił się do grona z wezwaniem, by po ojcowsku, ale surowo i bez pobłażania odnosiło się do młodzieży. Te ostatnie słowa przyjęliśmy pomrukiem i szuraniem nogami. Na sali konsternacja. Dyrektor i nauczyciele pobledli. Obawialiśmy się usunięcia dyrektora i rozwiązania klasy. Na szczęście skończyło się tylko na strachu. Widocznie potraktowano to jako podświadomy odruch lub żakowski wybryk smarkaterii.

Mnie spotkał niebywały zaszczyt. Jako reprezentant młodzieży wzięłem udział w przyjęciu, jakie wydał ks. prałat Wolski na cześć biskupa Wałęgi. Biskup, poinformowany na pewno przez ks. Kotfisa, że po maturze zamierzam iść na teologię, pochwalił moje zamiary, obiecywał wysłanie do Rzymu i zajęcie się moją osobą. Podziękowałem, choć tych pobożnych życzeń spełnić nie mogłem. Uważałem bowiem, że ksiądz powinien być ideałem człowieka, świętym, a mnie do świętości było daleko.

A jak się układały moje stosunki w domu i w szkole, właśnie w tej klasie? W domu chyba było gorzej: pięcioro rodzeństwa i stały przepływ gości uniemożliwiały jakkolwiek pracę umysłową. Zresztą i ja w domu właściwie byłem gościem. Przed południem w szkole, o drugiej po obiedzie wychodziłem na lekcje i wracałem zwykle po godzinie dziesiątej. W nocy mogłem tylko odraabiać zadania pisemne. Nie dosyślałem. Lekcje męczyły mnie. Wymagały i wysiłku i zdolności. A odmówić było trudno, bo to przyjaciele z tej samej klasy, bo



Rudolfowi groziło pozostanie na drugi rok, gdyż w pierwszym półroczu leżał chory na gruźlicę, bo Zosia K., narzeczona prof. Zasowskiego, chciała zdać egzamin z klasy szóstej przed ślubem, bo trzeba było pomagać coraz więcej rodzicom, itd. I mimo tych wszystkich trudności, mimo słabnącego zdrowia, wybiłem się na najlepszego ucznia w całej szkole. Na końcowym świadectwie ze wszystkich przedmiotów miałem stopień celujący, tylko z niemieckiego bardzo dobry. Wprawdzie od klasy pierwszej trzymałem się w czołówce, ale o wybicie się na pierwsze miejsce nie marzyłem. Zawdzięczam to widocznie i zdolnościom i obowiązkowości i wyjątkowej pamięci. Nie zazdrościli mi kole-dzy, bo żadnemu z nich nie odmawiałem pomocy, a niektórym dawałem lekcje za darmo lub prawie za darmo.

KLASA VIII

I znowu zmiana na stanowisku polonisty. Przyszedł młody brunecik z bródką i wąsikami, dynamiczny, ruchliwy jak żywe srebro. Duża kultura literacka. Systematyczność, jasność, zwięzłość, rzeczowość – tych cech wymagał od nas w odpowiedziach Marcel Prószyński, ludowiec. A więc w analizie utworów Słowackiego i Krasińskiego uwydatniał nie tylko ich piękno i patriotyzm, ale i pierwiastki postępowe, demokratyczne. Tym chwycił nas za serca i budził dla siebie uznanie. Na tych utworach skończyła się szczegółowa analiza literatury. Sienkiewicza, Prusa, Konopnicką zbywano ogólnikami. Dla Młodej Polski nawet ogólników brakło. Te brakujące wiadomości uzupełnialiśmy sobie już sami odpowiednim doбором lektur, jakie zgłaszaliśmy do matury.

Matura, to centralny w tej klasie problem, który zaprzętał nasze myśli. Zgodnie z prawdą muszę stwierdzić, że nie było w klasie ani jednego kolegi, który nie zmieniłby swojego stosunku do nauki na pozytywny. Koledzy, uczący się dotąd w kratkę, lenie, wagarusy stali się na lekcjach uważni, wzorowi, ślęczeli po nocach, by nadrobić zaległości, oblegali mnie na każdej przerwie, prosząc o rady, wskazówki, nieraz czekali na mnie aż do powrotu z lekcji, by pomóc im przy pisemnych zadaniach domowych. Nikt się nie skarżył, nie narzekał, bo byliśmy w tym wieku, że każdy krytycznie umiał popatrzeć na siebie, ocenić dotychczasowe swoje błędy i starał się poprawić. Gdyby matura się nie powiodła, to nie tylko strata roku, ale i perspektywa trzyletniej służby wojskowej. Wszyscy więc uczyli się jak na wyścigi. Finiszowali.



Ja kręciłem się jak w ukropie. Narzucono mi jeszcze dwie lekcje. Matematyki i fizyki uczyłem kolegę Tyrchę, siostrzeńca ks. Kotfisa, a wszystkich przedmiotów kolegę Romka Seipelta, brata ciotecznego prof. Staronia. Przed śmiercią wezwała mnie do siebie matka Romka i błagała, bym się nim opiekował po jej śmierci. Nic dziwnego, że zdrowie moje pogarszało się. Chodziłem stale wyczerpany, podniecony, zdenerwowany. Straciłem apetyt, spać nie mogłem. Popsuł się mój stosunek do ks. Kotfisa, od chwili, gdy się dowiedział, że się nie wybieram na teologię, a ze Staroniem wszedłem w poważny konflikt.

A było to tak. Pewnego dnia na lekcji historii powiedział, że będzie pogłębiał historię Polski wiadomościami z jej ustroju i wiadomości tych będzie wymagał przy maturze. Zapowiedzią tą ucieszyliśmy się. Pogłębianie zaczęło się od następnej lekcji. Wykład zaczęliśmy skrupulatnie notować, ale profesor zabronił notowania, a kiedy prosiliśmy go, by nam podał nazwisko autora podręcznika, odmówił. W klasie zaczęło się zakłopotanie, gdy profesor zaczął odpytywać wkładanych wiadomości i sypać dwóję za dwóją. Na prośbę kolegów postanowiliśmy z Jankiem Szczerbińskim im pomóc. Ukradkiem więc notowaliśmy fragmenty wykładu, a w domu odtwarzaliśmy całość i te dwa egzemplarze pożyczaliśmy kolegom. Oczywiście nie wszyscy mogli z nich korzystać, bo nie starczyło czasu. Po naradzie podano wniosek powielenia naszych zeszytów w tylu egzemplarzach, ilu jest uczniów. Po wykładzie więc schodziliśmy się z Jankiem, przygotowywaliśmy tekst i oddawaliśmy do powielenia kluczownikowi w sądzie z prośbą o tajemnicę. W międzyczasie Romkowi Seipeltowi udało się w domu przechwycić podręcznik brata. Okazało się, że jest to „Historia ustroju Polski” Stanisława Kutrzeby. Natychmiast Janek wyjechał do Tarnowa i zakupił podręcznik w księgarni. Odtąd pracę mieliśmy ułatwioną. Ponieważ profesor odczytywał dosłownie wykład z książki, opuszczając tylko niektóre partie, ja albo Janek wykreślaliśmy z podręcznika opuszczone partie i wykład mieliśmy gotowy. To trwało jakieś dwa miesiące. Profesor cieszył się z pojętności uczniów, a uczniowie cieszyli się z pozytywnych stopni. Niestety jednak chciało, że profesor wśród książek Romka znalazł swoje powielone wykłady i dowiedział się o ich autorach. Bomba pękła. Zaraz na następnej lekcji napadł na nas i nazwał nas plagiatorami, złodziejami cudzego mienia, zagroził oddaniem sprawy do sądu. Po naradzie z klasą udaliśmy się z Jankiem do dyrektora, szczerze przyznaliśmy się do wszystkiego, zaznaczyliśmy,



że nie poczuwamy się do winy, bo działaliśmy dla dobra klasy i poprosiliśmy o obronę. Dyrektor obiecał rozpatrzyć sprawę. Skończyło się na tym, że profesor przerywał wykład, a nas z Jankiem nie pytał w klasie, lecz raz na kwartał wzywał nas, dawał po trzy pytania i na tej podstawie ustalał noty. Niestety, tylko bardzo dobre.

A tymczasem czas leciał, zbliżała się matura, trudna bariera nawet dla uczniów pilnych i zdolnych. Pierwsza matura w gimnazjum w Dębicy! Więc i dyrektorowi i gronu nauczycielskiemu zależało na tym, by wypadła jak najlepiej. Dzięki temu mobilizowano nas do nauki przez cały rok. Tymczasem w kwietniu nadeszła wiadomość, że matura będzie zreformowana i ograniczy się do egzaminu z języka polskiego i historii oraz do wyboru: fizyka lub matematyka, greka lub łacina, a do zadań pisemnych z języka polskiego, greckiego i z matematyki świadectwa maturalne będą miały tylko dwie ogólne noty: „Złożył egzamin dojrzałości” i druga: „Złożył egzamin dojrzałości z odznaczeniem”. Zapanała w klasie ogólna radość, szczególnie wśród słabeuszy.

Matura rozpoczęła się końcem maja. Zasiadło do niej czterdziestu trzech uczniów. Przewodniczył znakomity filolog, autor słownika łacińskiego, najzdolniejszy wizytator, radca szkoły, Emanuel Dworski. Za wszystkie zadania otrzymałem stopień celujący. Wybrałem łacinę i matematykę. Egzamin ustny zdałem czwartego czerwca. Wypadł jak najlepiej, chyba nawet z historii, bo zdałem z odznaczeniem. Pytania z historii były bardzo trudne. Oto one:

1. Okres konstytucyjny Austrii od roku 1859 do 1867.
2. Królowie pruscy od Wilhelma III z datami ich panowania.
3. Geneza państwa Wielkomorawskiego i jego upadek.

Ciosem dla klasy było to, że czterech kolegów „spalono” przy maturze. Wywołało to powszechne wśród nas oburzenie, bo uważaliśmy to za krzywdę nie tylko dla czterech nieszczęśliwców, ale i za krzywdę klasy. Zapadła więc uchwała, że nie weźmiemy udziału w uroczystym odegraniu i odśpiewaniu hymnu państwowego. Na uroczystym nabożeństwie dziękczynnym znalazła się chyba cała Dębica. W stallach obok wielkiego ołtarza zasiadł starosta, dyrektor gimnazjum i przedstawiciele władz dębickich – wszyscy w mundurach. Podczas mszy grała na chórze orkiestra gimnazjalna pod batutą kolegi Sydona Friedberga i śpiewał nasz chór. Kazanie wygłosił nasz katecheta, dając w nim krótki rys rozwoju szkoły. Po oficjalnym nabożeństwie miał być – jak



zawsze – odśpiewany przez chór i całą młodzież hymn państwowy: „Boże wspieraj, Boże chroń cesarza i nasz kraj”. Dwukrotnie stary organista podawał ton hymnu na organach, ale za każdym razem milczał chór i milczała cała młodzież. Za trzecim razem sam organista odśpiewał dwie zwrotki hymnu i na tym skończyła się uroczystość kościelna. Podobno w stalach podczas tego incydentu zapanowała wielka konsternacja. Po nabożeństwie goście zaproszeni zostali do auli, by wziąć udział w uroczystym rozdaniu świadectw maturalnych. My zebraliśmy się w naszej klasie. Kiedy zjawił się nasz wychowawca i zaprosił na aulę, oświadczyliśmy mu, że świadectwa pragniemy otrzymać w klasie dla zaprotestowania przeciw krzywdzie, jaka spotkała przy maturze czterech naszych kolegów. Na wszelkie argumenty i przekonywania klasa pozostała głucha. Wtedy zjawił się dyrektor. Stał przed nami. Był blady jak trup. Zdawało nam się, że zmałał. Na jego widok zapanowała śmiertelna cisza. Czekaliśmy na gromy. A tymczasem usta dyrektora zaczęły drżeć, w oczach zabłyśły łzy. Po dłuższej chwili milczenia z drżeniem zapytał: „Czy ja zasłużyłem sobie na to, byście deptali mój autorytet, kompromitowali mnie wobec władz i społeczeństwa? Czy to ma być nagroda za to, że w ciągu tych ośmiu lat ojcem, przyjacielem i opiekunem byłem dla was?”. A wtedy i niektórym z nas w oczach pojawiły się łzy i ruszyliśmy parami za naszym ukochanym przyjacielem i wychowawcą na uroczystość w auli. Szlachetnym więc buntem zakończył się żywioł gimnazjalny naszej klasy.

A jak ocenić nasze ośmioletnie osiągnięcia? Bez wątpienia pozytywnie. Wynieśliśmy ze szkoły poważny zasób rzetelnej wiedzy. Nie cackano się z nami, więc nauczyliśmy się samodzielnie walczyć, bez podpórek, z trudnościami, przeszkodami i pokonywać je. Ni rodzice, ni krewni, ani żadne komitety nie miały wstępu do szkoły. Nikt nie mógł interweniować w naszych sprawach. Sami więc byliśmy odpowiedzialni za nasze postępowanie. Robiliśmy dobrze, to nas chwalono, robiliśmy źle, to nas surowo karano. Siła nasza polegała na solidarności naszej klasy, choć różniliśmy się wiekiem i zdolnościami, poglądami i zainteresowaniami. Kiedy raz jedyny odważył się złamać solidarność i to w klasie ósmej kolega B., zmusiliśmy go do opuszczenia szkoły. W oparciu o tę solidarność nauczyliśmy się odwagi cywilnej, tak ważnej cnoty obywatelskiej. Metoda paznokciowa i brak wskazówek, jak się uczyć zmuszały do samodzielnego kształcenia się. Uczeń sam musiał zgłębiać problemy,



borykać się z tekstami, posługiwać się słownikiem, wybierać i opracowywać lektury, opanowywać pamięciowo mnóstwo wiadomości, korzystać umiejętnie z podręcznika. Buntowaliśmy się przeciwko tępieniu wszelkiej wolnej, śmiałej myśli, postępowych poglądów, wyróżnianiu kolegów pochodzących z tzw. sfer wyższych. Wszyscy uważaliśmy się za patriotów, żyliśmy w organizowaniu „Wieczoru trzech wieszczów”, w urządzaniu pochodów trzeciomajowych, w przykładaniu się do nauki historii polskiej, w potępieniu lojalizmu i służalczości wobec rządu austriackiego i „najmiłościwiej nam panującego Franciszka Józefa I”, marzyliśmy o odzyskaniu wolności, ale w tym wszystkim za mało było bojowości i aktywności.

W każdym razie żegnaliśmy się ze szkołą bogaci w wiedzę i doświadczenie życiowe. Pewni, że damy sobie w życiu radę, gotowi do podjęcia wyższych studiów, względnie pracy zawodowej. Wyższe studia ukończyła ponad połowa uczniów naszej klasy i na stanowiskach adwokatów, inżynierów, księży, farmaceutów, nauczycieli włączyła się do budowy podwalin Polski Odrodzonej, a ci, którzy przeżyli okupację, do odbudowy i rozbudowy Polski Ludowej. A wszyscy zachowali pamięć o kochanej szkole, ale i wdzięczność, że umożliwiła im awans społeczny i ukształtowała ich osobowość, dzięki czemu mogli z pożytkiem pracować dla dobra Ojczyzny i szczęścia osobistego. Chłopcy doceniali wagę sytuacji. Siedzieli po całych nocach, by wykończyć materiał. To też matura wypadła pomyślnie. Pożegnanie maturzystów było wzruszające.

W ROLI NAUCZYCIELA W OKRESIE POWOJENNYM

Solidnie pracowali uczniowie, ale chyba jeszcze solidniej pracowali nauczyciele. Mimo trudnych warunków mieszkaniowych i bytowych dawali z siebie wszystko. Poświęcali nie tylko siły, ale i zdrowie, bo nauka odbywała się na dwie zmiany w ciasnocie i bez żadnych pomocy naukowych. Ale i uczniów i nauczycieli przewyższał pracą Dyrektor. Był wzorem, ideałem dla jednych i drugich. Był wszędzie, dwoił się i troił, aby sprostać obowiązkowi. Na rękę szły mu wojskowe władze radzieckie, które nie tylko pomagały w organizowaniu szkoły, ale i w zdobywaniu wielu rzeczy potrzebnych do jej prowadzenia. Dzięki tym władzom otrzymaliśmy zaświadczenie, że pokoje przez nas zamieszkane wolne są od zakwaterowania. Dyrektor interesował się gorliwie losem uczniów i nauczycieli i pomagał w czym mógł. Podnosił na duchu, zachęcał



do przetrwania, wskazywał szczęśliwsze jutro. Był duszą szkoły, jej mózgiem i kręgosłupem. I sam wiele mu zawdzięczam, że mnie z rodziną wyrwał z nędzy i uratował od utonięcia w błocie, które mieszać musiałem codziennie w dziurawych butach, dochodząc na wieczorne lekcje do szkoły. Dzięki jego staraniom uzyskałem w Ropczycach z końcem listopada mały pokój, do którego ściągnąłem żonę z trojgiem dzieci ze strychu.

Z młodzieżą we wszystkich latach pracowało mi się znakomicie. Postępowałem z nią po ojcowsku, po przyjacielsku darzyłem ją pełnym zaufaniem, interesowałem się jej losem w szkole i poza szkołą. Odczuwała to młodzież i spowiadała się przede mną ze wszystkich trosk, zmartwień i przeżyć. By wygładzić, uzupełnić, pogłębić materiał z języka polskiego do matury, zorganizowałem dodatkowe lekcje, które się odbywały w niedzielę od godziny 10 do 13 w mieszkaniu Bursztynówny. W lekcjach brała udział większość klasy. Przychodziło na nie nawet w najcięższe mrozy kilka uczennic spoza Sędziszowa. Nic dziwnego, że ich matura wypadła zupełnie zadawalająco. Praca moja, nieraz ponad siły, przynosiła owoce. Nie tylko bowiem uznanie młodzieży, rodziców, ale i Dyrektora i Grona Nauczycielskiego, z którymi żyłem się, jakbyśmy żyli i uczyli razem już całe lata. Najwyższym jednak dla mnie osiągnięciem było uratowanie od utraty wiary w ideały i wiary w siebie kilku wykolejeńców. Przyznali mi się do tego, składając mi podziękowanie po maturze. Karciarstwo, pijaństwo, zatrucie się nikotyną, hulanki nocne – to był ich chleb codzienny. Błagania, zaklinania rodziców puszczały mimo uszu. Dopiero atmosfera szkolna, prawdziwie rodzinna, przyjacielskie stosunki z kolegami, indywidualne rozmowy zawróciły ich z pochylni prowadzącej do zgnilizny. Jedna z matek, dziękując za opiekę nad synem, właśnie takim wykolejeńcem, wyznała mi, że syn ze świadectwem maturalnym w ręce, przypadł jej do kolan i wśród łkań błagał ją, by mu przebaczyła jego chuligańskie wybryki, jego brutalne postępowanie wobec niej i przyrzekał, że jej wynagrodzi wszystko w dalszym życiu, które zaczyna, jako cudownie uzdrowiony i odrodzony dzięki szkole i jej wychowawcom.

Praca moja w szkole znalazła i szerszy oddźwięk, bo wszedłem do zreorganizowanego zarządu oddziału ZNP i powierzono mi funkcję przewodniczącego dębickiego koła Polskiego Związku Zachodniego. Nie skorzystałem natomiast z propozycji znanego mi kolegi Redlicha, który przybył do Ropczyc, jako



wysłannik Rządu Lubelskiego dla werbowania nauczycieli do obejmowania stanowisk na terenach opuszczonych przez Niemców. Nie skorzystałem po pierwsze dlatego, że nie chciałem dezorganizować pracy w szkole, zorganizowanej na froncie z tak wielkim trudem i przynoszącej cenne owoce, po drugie dlatego, że chciałem wrócić nad morze do tak ukochanego przeze mnie Gdańska, bo wierzyłem niezłomnie, że nadchodzi czas spełnienia się przepowiedni Mickiewicza: „Miasto Gdańsk niegdyś nasze, znowu będzie nasze”.

Przełamanie frontu niemieckiego przez wojska radzieckie nad Wisłą spowodowało również cofnięcie się frontu przebiegającego przez Dębicę, którą w styczniu 1945 roku opuściły wojska niemieckie. Dyrektor postanowił przerwać naukę w Ropczycach i przenieść się do Dębicy. Ale budynek gimnazjum dębickiego był poważnie uszkodzony. Część dachu i kilka sal drugiego piętra od strony zachodniej leżały w gruzach. Nie przeraził się tym Dyrektor, lecz natychmiast przystąpił do roboty. Nie czekając na decyzję i pomoc władz, przy pomocy rodziców, sposobem gospodarczym w przeciągu kilku tygodni przeprowadził remont i cały gmach doprowadził do porządku. Nauka więc mogła się zacząć w nieco lepszych warunkach lokalowych, a uczniowie znaleźli się wreszcie w normalnych warunkach mieszkaniowych. Ja z rodziną przeniosłem się z początkiem lutego. Z powodu przesiedlenia straciliśmy resztki naszego mienia. Majątkiem naszym było to, cośmy mieli na sobie. A na moich barkach spoczęła nie tylko odpowiedzialność przygotowania blisko stu uczniów z czwartej gimnazjalnej i drugiej licealnej do zbliżającej się matury, ale i praca społeczna jako referenta kulturalno-oświatowego w Organizacji Młodzieżowej Towarzystwa Uniwersytetów Robotniczych i przewodniczącego Koła Polskiego Związku Zachodniego. Zadaniem moim, jako przewodniczącego, było ułatwienie przesiedleńcom z Poznańskiego i Pomorza powrotu do ich miejsc zamieszkania i pracy dla objęcia opuszczonych stanowisk. Wśród najcięższych warunków udało mi się w ciągu maja i czerwca uzyskać od władz radzieckich kilkanaście wagonów i zapewnić kilkuset rozbitkom, z resztkami mienia, upragniony powrót.

Część rodziny odesłałem do Sopotu, by zajęła jakieś mieszkanie, sam postanowiłem zostać ze względu na dobro młodzieży. Wśród maturzystów licealnych było kilku urzędników, kilku żonatych, którzy błagali mnie, bym pozostał, dowodząc, że moja obecność ułatwi im zdanie matury. Cóż było robić?



Mimo że z Sopotu otrzymywałem wezwania do objęcia rozmaitych stanowisk, że mi zarezerwowano w radzie miejskiej stanowisko radnego, jako delegata ZNP, że mi żona donosiła o obrabowaniu naszego mieszkania z najcenniejszych mebli – zwyciężył obowiązek pedagogiczny – postanowiłem zostać. Wyczerpany do ostatnich granic pracą pedagogiczną i społeczną nie przeżyłem tak silnie, jak myślałem, kapitulacji Niemiec i zakończenia wojny. Może to i dlatego, że nawet w najcięższych chwilach w czasie okupacji byłem pewny załamania się i klęski Niemiec i odrodzenia się Polski, a w marzeniach Polski jeszcze potężniejszej niż przed wojną. Nic dziwnego. Byłem zapamiętałym marzycielem, romantykiem i w tym wypadku słabym politykiem. Zbliżanie się matur, których termin wyznaczono na koniec czerwca, ścigało mnie z nieba na ziemię i romantyka przeobrażało w realistę.

Młodzież po powrocie do Dębicy wpadła w szalę pracy przedmaturalnej przeciągającej się do późna w noc. Pracowała przeważnie w grupkach przedmiotowych pracujących pod kierunkiem najzdolniejszych koleżanek i kolegów, którzy – w razie potrzeby – zasięgaliby rad swoich wychowawców. Bódcem do pracy było pragnienie, by nie tylko zdać, ale i zdać jak najlepiej. Ta pasja uczenia się, ta gorączkowa, wytężona praca porywała nawet leniuchów, nawet jednostki wykolejone i zupełnie zrezygnowane.

Takiego zbawczego wpływu szkoły, takiego cudownego przeobrażenia się wykolejenców i rozbitków życiowych dotąd nigdy nie przeżywałem. Widać i oni z gruntu byli dobrzy. Widać ich słaba wola nie oparła się zgubnym wpływom okupacji. Dopiero w zdrowej atmosferze otoczenia, gorliwej opiece wychowawców, uświadomili sobie swoje błędy i zawrócili na właściwą drogę. Młodzież, jak wspominałem, żyła szkołą i dla szkoły, ale nie jedynie. Gdy stanęła przed nią konieczność podjęcia jakiejś ważnej, nieodzownej pracy społecznej, nie uchylała się od niej, podejmowała ją ofiarnie i z zapałem. Na dowód jeden fakt.

Z początkiem maja 1945 roku na mojej lekcji w czwartej klasie gimnazjum, której byłem opiekunem, zjawił się oficer z żołnierzami i zapytał, kto z uczniów chciałby zgłosić się do rozminowywania pól w Pustyni. Zadrżałem na myśl o niebezpieczeństwie tej pracy. Ale oficer objaśnił, że uczniowie na miejscu będą tak dokładnie pouczeni, jak należy się z minami obchodzić, a on, jako instruktor bierze odpowiedzialność za ich bezpieczeństwo. Zgłosili się



wszyscy chłopcy i wszystkie dziewczęta. Oficer był zaszokowany i wzruszony. Podziękował dziewczętom za ich odwagę i dobre chęci, ale oświadczył, że na razie nie może skorzystać z ich gotowości. Chłopcy nazajutrz przy rozminowywaniu spisali się znakomicie.

Matury w tym roku wypadły wyjątkowo pomyślnie. W liceum nie przepadł ani jeden uczeń, a z języka polskiego większość not była dobra i bardzo dobra. Matury przeciągnęły się przez pierwszą dekadę lipca, tak, że dopiero w połowie lipca mogłem pomyśleć o powrocie. Ze wzruszeniem żegnałem się z Gronem Nauczycielskim i z uczniami. Jeszcze raz pragnę stwierdzić, że wyjątkowo dobra była młodzież. Charakterystyczną bowiem cechą naszego narodu było, że w wyjątkowych chwilach na wyjątkowe zdobywamy się wysiłki i wyjątkowe osiągamy wyniki. Wraciałem zadowolony po wypełnieniu, moim zdaniem, w gimnazjum dębickim „dobrej roboty”, wracałem, bo choć wiedziałem, że mnie tam czeka praca w nowo zorganizowanym szkolnictwie polskim i że tam, gdzie pracowałem już od 1929, praca moja jest potrzebniejsza.

Sopot, 1972 r.



ANTONI WOZOWICZ

Moje wspomnienia z blisko czterdziestoletniej pracy w szkole związane są przede wszystkim z uczniami, których setki, a pewnie i więcej, miałem przyjemność i zaszczyt uczyć fizyki i astronomii. Byli to mądrzy, wspaniali ludzie, których praca zawodowa i kariery są dla mnie, poniekąd, osobistą dumą, satysfakcją oraz nagrodą za trud i wysiłek włożony w ich edukację.

Cieszę się, gdy dowiaduję się jak ułożyli sobie życie, jakie mają kłopoty i osiągnięcia, bo nadal traktuję ich jak swoich uczniów.

Dębica, luty 2020 r.



Profesor Andrzej Mol, profesor Teresa Berka, profesor Antoni Wozowicz



WOJCIECH WÓJCIK

wspomnienia z lat 1920-1928

Niewiele mogę odtworzyć faktów z mojej pamięci bez pomocy archiwalnej. Ale przecież przeżywalismy poważnie tę naszą edukację przez osiem lat. Lecz co pamiętam, spróbuję opisać.

Mgłiście wyobrażam sobie już dyrektora Szydłowskiego. Dostojny pan. Następnie dyrektorem był Piotr Passowicz, który został wkrótce wizytatorem. Też dostojny pan. Mieszkał z rodziną w budynku gimnazjum, a wejście do mieszkania dyrektora było z zewnątrz od strony południowej. Miał syna. Wysportowany młodzian. Grał on w piłkę nożną.

Był wtedy też profesor Dorożyński, a pozostał w naszej pamięci, bo miał córkę, z którą powiązana była wielka miłość jednego z poważnych, starszych studentów. Pamiętam tę parę. On był wysokim przystojnym młodzieńcem. Nazywał się chyba Galas. Chodził w ćwikierach. Takie bogate okulary dodawały mu pewnej powagi. Wstąpił później do wojska.

Studenci wyższych klas, którzy nosili złote paski na kołnierzach, często byli już poważni, dorośli ludzie, co chyba miało związek z tym, że było niedługo po pierwszej wojnie światowej i musiały występować zaległości w kształceniu młodzieży.

Pamiętam profesorów:

* profesor Kita – matematyk.

* profesor Piotrowski – polonista. Bogaty pan. Miał w posagu dwie kamienice. Zięc dostojnych patrycjuszy dębickich – Hubickich.

Lubiany przez uczniów Marian Paluch.

Profesor Zaworski – botanik. Uporczywie uczył nas wszystkiego, co dotyczyło piękna przyrody naszej ziemi ojczystej. Zakładaliśmy zielniki roślin i kwiatów. Mnie bardzo się podobały zasuszone zbiory jesiennych liści – dębów, jaworów, klonów... Inwalida wojenny. Zaworski służył jako ochotnik w legionach. Dostawał on często napady prawie szaleństwa, zwłaszcza gdy



wspominał przeżycia wojenne. Miał piękną żonę i malutkie dzieci, więc ze swoją bezwładnością prawej połowy ciała i chyba reumatyzmem, czuł się nieszczęśliwym, tym bardziej, że jako uczciwy człowiek i Polak, nie umiał korzystać z przywilejów, których inni nadużywali. Na częstych wycieczkach nauczył nas ponadto wielu patriotycznych pieśni.

Fizyki uczył nas profesor Zieliński. Mieliśmy pracownię fizyczną. Musieliśmy znać doskonale przedmiot nauk fizycznych i chemii w ówczesnej granicy wiedzy, gdy atom był najmniejszą, niepodważalną cząstką materii. Ja do matury wybrałem fizykę. Nawet w późniejszych latach dawałem lekcje z tego przedmiotu. Ten profesor przeżył wszystkich innych.

Łaciny uczył nas profesor Wiśniewski. W tym czasie profesorowie gimnazjum to byli ludzie zamożni, dobrze sytuowani, niezależni. Profesor Wiśniewski miał piękny dom z ogrodem. Lubił się zabawić. Dla niego najlepszą zabawą na rautach lub innych imprezach było sąsiedztwo beczki z piwem i dobrane towarzystwo. Opiekun młodzieży. Mecenaz klubu sportowego. Szczytem naszej wiedzy z języka łacińskiego było gramatyczne określenie tekstów Owidiusza i Horacego. Mnie jakoś łatwo było skandować wiersze łacińskie. W czasie okupacji pan Wiśniewski był zastępcą burmistrza.

Języka niemieckiego uczył nas profesor Stiasny. Jowialny, miły pan z brzuszkiem, który często gładził, zwłaszcza, gdy opowiadał ucieśzające anegdoty z lektur, np. „Szli dwaj Bawarczycy na targ do oddalonego od ich wioski miasta. Wiadomo, że są oni małowówni. A więc rozmowa ich wyglądała następująco. Idąc w tamtą stronę, jeden z nich mówi: „Das Hafer ist schon”. Gdy wracali przed wieczorem z miasta mówi drugi: „Die Weize ist auch”. Wszyscy w klasie śmiali się serdecznie, a najbardziej pan profesor, głaszcząc się z uciechy po swoim brzuszku. Syn profesora, Zbyszek, chodził do naszej klasy i dlatego może pan Stiasny był dla nas bardziej względny.

Religii uczył nas ksiądz Trytek. Miał on zawsze taką dużą chusteczkę, którą trzymał na piersiach pod sutanną, dlatego, że męczył go ciągły kaszel. Musieliśmy chodzić do kościoła na trzecią mszę. Spowiedź wielkanocna też była obowiązkowa. Biedny był ten student, którego ksiądz katecheta złapał wieczorem w towarzystwie jakiejś dziewczyny, co nie było takie trudne, z uwagi na to, że niezależnie od tego, że w każdej klasie było kilka koleżanek, to przecież w Dębicy było Żeńskie Seminarium Nauczycielskie. A ileż to



pięknych dziewcząt z okolicy uczyło się na nauczycielki! Więc często odbywały się tragedie niejednego śmielszego studenta. I właśnie później ze strony innego księdza młodzież miała swojego obrońcę. Był nim dyrektor gimnazjum, ksiądz kanonik Błażej Kotfis. Jego rękawy, zwłaszcza tuż przy dłoniach, były całe zatłuszczone od pocałunków winowajców i innych, którzy mieli jakieś sprawy do ks. dyrektora. A był też prefektem bursy studenckiej i miał wielu podopiecznych. Kanonik trochę się zacinał w mowie, ale bardzo wyraźnie zawsze wypowiadał: „Ty bycku...”. W późniejszym czasie, pełniąc obowiązki służbowe, spotkałem pewnego pana na wysokim, kierowniczym stanowisku w Krakowie, który między innymi zapytał mnie, czy znałem księdza Kotfisa z Dębicy, bo ma dla niego wielkie uznanie jako do muzyka wysokiej klasy. Otóż ksiądz kanonik był wielkim miłośnikiem muzyki i pod jego protekcją i z jego inicjatywy rozwinęła się w naszym mieście kultura muzyczna. Bo przecież na dobrym poziomie była gimnazjalna orkiestra dęta. Przy jej taktach szliśmy zawsze w każde święto i w każdą niedzielę do kościoła. Była też orkiestra symfoniczna, ale już raczej złożona z wychowanków gimnazjum. Grali w orkiestrze symfonicznej tacy wybitni skrzypkowie, jak ociemniały Mitka, profesor muzyki Stanisław Darłak, Jan Tyrcha, Roztoczyńscy. Czyż pamiętam wszystkich? A zawsze wśród najlepszych był ksiądz kanonik. Też grał na występach. Był też chór męski i mieszany. Szczególnie, gdy pojeżdżali się na święta zainteresowani. Otóż ksiądz Kotfis miał przyjaciół w Krakowie i tutaj w zespołach kameralnych udzielał się muzycznie z zamiłowaniem i wielkim znanstwem.

Jeszcze bardziej zżyty z muzyką był w naszym gimnazjum profesor Kazimierz Klamut. On nas uczył od najmłodszych lat śpiewu. Pamiętam jak jeszcze w trzeciej klasie szkoły powszechnej wybrał mnie do chóru chłopięcego, bo dobrze zaśpiewałem pieśń kościelną „Ludu, mój ludu...”. Występowały w tej pieśni jeden czy dwa bemole, obniżenie tonu i nie każdy potrafił poradzić sobie z zaśpiewaniem czysto tej pieśni. Tych, którzy nie mieli słuchu, pan Klamut odsyłał do kowala, by sobie przekuli uszy. Myślę, że nie było chyba polskich pieśni, których byśmy nie śpiewali. A przecież w tej poezji śpiewu był wielki patriotyzm. Galicja chlubiła się zawsze względną swobodą nauki i wychowania. Tak więc można śmiało powiedzieć, że byliśmy wychowani w wysokiej kulturze muzycznej.



Był jeszcze sport i wychowanie fizyczne. Profesor Szczerba dokładał starań, by młodzież była wygimnastykowana. Piłka nożna stała na wysokim poziomie. A na przerwach i wolnych zajęciach pan Szczerba lansował grę w palanta.

Początkowo profesor Skiba, a później profesor Władysław Zieliński, „śpiący rycerz”, uczyli nas robót ręcznych.

Chciałem jeszcze wspomnieć o wielkim pedagogu i przyjacielu młodzieży, profesorze Wyrobku, który za naszych czasów był już w podeszłym wieku. Profesor Wyrobek ubierał się biednie. Pamiętam go w starym, lichym płaszczu. Prawdopodobnie wspomagał biedotę miejską. Wiem, że pisał na temat historii Dębicy i okolicy. Był dziwakiem, samotnikiem, na pewno ciekawą indywidualnością.

W siódmej i ósmej klasie uczył nas propedeutyki filozofii młody wówczas profesor Stanisław Skrzyszewski, absolwent francuskiej Sorbony. Uczył nas też wielu innych rzeczy: matematyki, przerobił z nami cały materiał od podstawowych twierdzeń do równań i logarytmów. Przerabiał też z nami ćwiczenia z języka łacińskiego. Przez dwa przedmaturalne lata wpoił nam całą energię młodego zapaleńca, wiele pojęć i poglądów. Zdobył duży wpływ na młodzież, by w końcu okazać się wielkim propagatorem idei komunistycznych.

Rysunków uczył nas przez kilka lat profesor Komperda. Był niski, miał zawsze starannie przyczesane włosy. Był specjalistą od malowania wnętrz kościołów. Wyglądał na artystę. Chodził między ławkami, poprawiając rysunki. Przymrużając jedno oko, ołówkiem trzymany jak przymiarkę uczył nas stosowania perspektywy na rysunku. Uczył nas też operowania cieniami, a nie wyraźnymi liniami. Ja najchętniej rysowałem profile siedzących w pierwszych ławkach koleżanek.

Przez rok czy dwa uczył nas języka polskiego profesor Michał Asanka – Ja-
poł. Pisał jakąś powieść i chodził w zamyśleniu.

fragment książki „Zapach dymu”



inżynier **STANISŁAW ZAWORSKI**

wspomnienie o profesorze gimnazjum

Dnia 24 sierpnia 1931 roku zmarł w Krakowie profesor inżynier Stanisław Zaworski, nauczyciel przyrody w dębickim gimnazjum. Śmierć jego okryła głęboką żałobą gimnazjum, którego zmarły był uczniem i profesorem.

Świętej pamięci prof. inż. Zaworski urodził się 23 lutego 1894 roku w Latoszynie. W Dębicy uczęszczał do gimnazjum i po ukończeniu tegoż w roku 1912 zapisał się na Wydział Rolniczy Uniwersytetu Jagiellońskiego.

Kiedy zaczynają się organizować legiony, śp. Zaworski staje pierwszy w szeregach, by pod komendą Józefa Piłsudskiego walczyć o niepodległość Ojczyzny. Wyrusza na front i tam zostaje sparaliżowany od kuli. Wraca z pola walki, ten dawniej przystojny i energiczny student, jako kaleka, ofiara walki o niepodległość – wraca inwalidą. Mimo kalectwa udaje się do Krakowa i tam kończy studia, uzyskując dyplom inżyniera rolnictwa. Po ukończeniu studiów obejmuje posadę przyrodoznawstwa w naszym zakładzie w dniu 15 września 1920 roku jako zastępca nauczyciela. Nauczycielem rzeczywistym zostaje mianowany w dniu 7 stycznia 1925 roku.

Na tym stanowisku pozostał aż do chwili, kiedy śmierć nieubłagana przebrała jego życie pełne pracy i poświęcenia.

Świętej pamięci inżynier Zaworski był nauczycielem nadzwyczaj sumiennym, pracowitym i gorliwym, zamiłowanym w swoim zawodzie, osiągnięciem w nauczaniu wybitne rezultaty. Jemu to zakład nasz zawdzięcza zorganizowanie pracowni biologicznej, niezbędnej przy nauczaniu przyrody. Pracownia ta była dla niego marzeniem, tam czuł się najlepiej. Lecz w ostatnich latach choroba ustroju nerwowego niszczyła jego organizm, zapadał na zdrowiu i mimo pomocy lekarskiej umarł w szpitalu w Krakowie. Zwłoki tego legionisty – inwalidy i nauczyciela spoczęły na cmentarzu w Wieliczce żegnane przez Dyrektora Zakładu, grono i młodzież. Cześć Jego pamięci!

(archiwum szkolne)



ALFREDA ŻDZIEBŁO

wspomnienia z lat 1950-54

Byłam uczennicą dębickiego gimnazjum w latach 1950-1954. Przyszłam do tej szkoły jako absolwentka siódmej (nie ósmej) klasy i zapisano mnie do klasy VIII, której wychowawczynią była pani Waleria Koehli, wdowa po kapitanie AK, który zginął w Gumniskach, podobnie jak jej syn, student i partyzant AK. Wraz z naszym rocznikiem przyszedł do szkoły nowy dyrektor, mgr Jan Czyhin, którego tytułowaliśmy „panem naczelnikiem”. Tytuł ten przyszedł za nim do szkoły po wcześniej zajmowanym stanowisku w jakiejś instytucji w Rzeszowie. Był to człowiek o wielkim sercu. Uczył nas języka polskiego od X do XI klasy i robił to znakomicie. Na stanowisku dyrektora zastąpił panią Zofię Hołubowicz, którą starsi uczniowie wspominali ze zgrozą, jako zdeklarowaną komunistkę i kobietę, która trzymała wszystko żelazną ręką.

Ogromną sympatią w szkole cieszył się profesor Józef Wiercioch – nauczyciel matematyki i fizyki. Tłumaczył matematykę cudownie i był niezwykle taktowny. Nigdy nikomu nie ubliżył i miłosiernie przymykał oczy, gdy słabeusze ściągali na klasówce. Profesor Wiercioch miał szerokie zainteresowania humanistyczne, znał łacinę i grekę, kochał literaturę. Często reżyserował przedstawienia szkolne, na których wystawiano komedie Fredry lub widowiska satyryczne. Ich scenariusze profesor pisał własnoręcznie. Były to fraszki i inne formy, wszystko bardzo dowcipne, celne i ciepłe. Kochaliśmy pana Wierciocha wszyscy i był dla nas niekwestionowanym autorytetem.



Profesor Jan Czyhin

Bardzo miło wspominałam panią profesor Wójtowicz, która prowadziła szkolny chór i bibliotekę. W repertuarze chóru były tzw. pieśni masowe, w tym wiele radzieckich (także o Stalinie) i pieśni ludowe. Lubiliśmy próby chóru, w czasie których pani profesor z pobłażliwością traktowała objawy młodzieńczych uczuć szkolnych par, a tych w chórze było kilka. Inni profesorowie raczej tępiłi tego rodzaju zjawiska i zakochanych spotykały liczne szykany.



Bardzo surowo piętnowano uczennice, które odważyły się chodzić w krótkich spódnicach, malować rzęsy lub paznokcie. Chłopcom zakazywano nosić wąskich spodni, butów na grubej podeszwie i kolorowych skarpetek, bo to był przejaw „burżuazyjnej zgnilizny”.

Przez pierwsze lata uczyliśmy się w szkole religii. Naszym katechetą był ksiądz Teofil Dec, bardzo wymagający i świątły nauczyciel. Nie znosił „klepania” lekcji na pamięć, uczył rozumowego podchodzenia do spraw wiary. Był bardzo elegancki i pachniał dobrą wodą kolońską. Na początku X klasy (1952 rok) religię usunięto ze szkoły, zdjęto też krzyże ze ścian. Doszło zresztą do swoistej wojny krzyżowej. Uczniowie przynosili własne krzyże i wieszali na ścianie (codziennie ktoś inny), po lekcjach woźny krzyż zdejmował, a rano historia się powtarzała. Trwało to kilka tygodni. Wreszcie pojawili się członkowie Zarządu Powiatowego ZMP i na apelu zagrozili poważnymi konsekwencjami w przypadku kontynuowania „krzyżowych” praktyk. Oczywiście w szkole istniał też ZMP. W każdej klasie było Koło ZMP i jego przewodniczący. Bardzo ważną funkcję sprawował w szkole przewodniczący Zarządu Szkolnego ZMP.

Jesienią 1952 roku Zdzisław Czerny (zwracał się do uczennic per pani), Piotr Rybka, Stefan Dziepak, pani Kruszyńska, pan Nowak i Kulig zaczęli dopiero karierę nauczycielską.

Jesienią uczniowie wyjeżdżali w ramach lekcji na tzw. „akcje”, tzn. prace polowe, najczęściej do Państwowego Gospodarstwa Rolnego w Zawadzie. Pamiętam, że wrywaliśmy len, obrywaliśmy szyszki chmielowe i zbieraliśmy ziemniaki.



Zbiórka buraków
cukrowych





Zbiórka ziemniaków

Ponadto były też grupy agitacyjne, czyli coś w rodzaju zespołów artystycznych (skeptki, piosenki, wiersze), które wyjeżdżały na wieś, gdzie miały uatrakcyjnić zebrania wiejskie. Wyjeżdżaliśmy po lekcjach ciężarowym samochodem, często toniliśmy w błotach, bo drogi bite były wtedy na wsi nieznane. Po zebraniu często były potańcówki, w których czasem uczestniczyliśmy.

Sławny dziś Krzysztof Penderecki nie wyróżniał się w szkole, chyba tylko psikusami, które płała koleżankom. Pamiętam też wieczorek, na którym Penderecki grał na skrzypcach własne kompozycje, choć nikt wtedy tego poważnie nie traktował – ot, uczniowskie zabawy.

Maturę zdawaliśmy z następujących przedmiotów: pisemna – język polski, matematyka, ustna – język polski, matematyka, fizyka, historia, biologia, nauka o konstytucji. Maturę ustną zdawaliśmy przez dwa tygodnie, jeden przedmiot co drugi dzień. Zamiast dzisiejszej studniówki, był bal pomaturalny, komers, który odbywał się w auli szkolnej.

Języka rosyjskiego uczyła nas pani Małgorzata Michalczenko, Rosjanka, ponoć absolwentka paryskiej Sorbony, starsza już wówczas kobieta, nazywa-



na przez uczniów Babuszką. Była niezwykle skromna i dobra. Ponieważ mówiła po polsku niezbyt gramatycznie, uczniowie jej ciągle dokuczali i wyśmiewali się z niej, znosiła to z wyrozumiałym uśmiechem.

Łaciny uczyła Olga Oleńska (od X klasy), wcześniej pani Teresa Klich.

Logiki uczył nas pan Zbigniew Fladerer, prawnik z wykształcenia. Był bardzo rygorystyczny i wymagający.

Wśród przybyłych nauczycieli należy jeszcze wymienić małżeństwo Książków, oboje uczyli wychowania fizycznego i byli bardzo sympatycznymi ludźmi. Zajęcia sportowe odbywały się nie tylko w sali gimnastycznej i na boisku, lecz także na stadionie, który dziś już nie istnieje, a znajdował się w rejonie dzisiejszej Szkoły Podstawowej nr 4.

Był też przedmiot – przysposobienie wojskowe, nauczał go pan Stefan Dziepak, późniejszy dyrektor ZSZ nr 1 w Dębicy. Uczyliśmy się budowy karabinu, rozkładania i składania zamka karabinowego, odbywaliśmy ćwiczenia w strzelaniu na strzelnicy w jednostce wojskowej.

Pamiętam dzień śmierci i pogrzebu Stalina. 5 marca 1953 roku szkoła była oflagowana, flagi przewiązane kirem, w każdej klasie wisiał ukwiecony portret Stalina przewiązany czarną szarfą. Na twarzach nauczycieli wyraz powagi, najczęściej wymuszonej. Uczniowie też musieli odgrywać narzuconą im rolę smutnych żałobników, natomiast tych, którzy naprawdę traktowali żałobę po Stalinie poważnie, było niewiele.

(archiwum szkolne)





Uroczyste zakończenie roku szkolnego 2015/2016



30 stycznia 2020 roku miało miejsce uroczyste odstonięcie popiersia patrona szkoły





Rok szkolny 1931/1932 - inż Władysław Zieliński z uczniami Gimnazjum





Rok 1945 - (od lewej) prof. Szlamka, prof. Dwornikowa, dyr. Sadowski i prof. Szczerba





Rok 1978 - uroczyste zakończenie roku szkolnego



Rok 1979 - wycieczka szkolna





Wycieczka od Warszawy - wrzesień 2000 r.



Rok szkolny 2012/2013





Obchody 100-lecia szkoły





2018 r. - ślubowanie klas pierwszych



2019 r. - Konkurs Piosenki Obcojęzycznej



SPIS TREŚCI

<i>Teresa Będkowska</i>	6
<i>Jacek Bicz-Łatkiewicz</i>	10
<i>Jan Buszko</i>	14
<i>Ewa Cięciel</i>	17
<i>Krzysztof Cios</i>	21
<i>Teresa Czyżowska</i>	25
<i>Wincenty Dołżycki</i>	27
<i>Teresa Dudzińska-Berka</i>	31
<i>Lucyna Dymińska-Wodzińska</i>	34
<i>Adam Gierulski</i>	36
<i>Lidia Górka</i>	39
<i>Marian Grundboeck</i>	44
<i>Eugeniusz Jasiński</i>	56
<i>Danuta Kalita</i>	60
<i>Zofia Kawalec-Duszkiewicz</i>	63
<i>Krystyna Kołodziej-Selbirak</i>	65
<i>Tomasz Koziół</i>	71
<i>Edward Król</i>	87
<i>Zenon Książek</i>	89
<i>Maria Marek</i>	98
<i>Feliksa Miąso</i>	100
<i>Andrzej Mol</i>	101



<i>Marian Morawczyński</i>	107
<i>Janusz Mroczka</i>	109
<i>Halina Niziołek</i>	114
<i>Tadeusz Ozga</i>	123
<i>Stanisław Ożóg</i>	127
<i>Profesorka Małgosia</i>	133
<i>Adam Przewłocki</i>	134
<i>Julian Roztoczyński</i>	161
<i>Leszek Starkel</i>	184
<i>Czesław Surowiec</i>	203
<i>Anna Szczepanik</i>	208
<i>Wojciech Szmajda</i>	210
<i>Jan Sztaudynger</i>	213
<i>Zbigniew Szurek</i>	215
<i>Jan Szymaszek</i>	218
<i>Bolesław Tabas</i>	227
<i>Michał Władysław Urbanek</i>	229
<i>Antoni Wozowicz</i>	253
<i>Wojciech Wójcik</i>	254
<i>Stanisław Zaworski</i>	258
<i>Alfreda Żdziebło</i>	259



© Wszelkie prawa zastrzeżone.
Kopiowanie, przedrukowywanie i rozpowszechnianie
całości lub fragmentów bez zgody wydawcy
i autora jest zabronione

Redakcja:
Ewa Nowacka

Korekta:
Ewa Nowacka, Marta Bonarek-Socha

ISBN:
978-83-953594-8-4

Druk:
Drukarnia Millenium
Mateusz Kasperek Rafał Kasperek
Spółka Jawna
ul. Transportowców 18,
39-200 Dębica

Skład:
Drukarnia Millenium

www.drukmillenium.pl

Sponsorzy:





ISBN:
978-83-953594-8-4